

XX
Fr-40

ZESZYT TRZYDZIESTY SZÓSTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI

1976

ZESZYT TRZYDZIESTY SZÓSTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1976

«BIBLIOTEKA KULTURY»

TOM 265

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

Barbara TRUCHAN

„BURZA” POD WILNEM

Przygotowując do druku oba wspomnienia zamieszczone pod tym wspólnym tytułem wprowadziłem minimalną ilość poprawek, głównie w celu uniknięcia niejasności. Jednocześnie, dążąc do zachowania autentyczności i świeżości wypowiedzi, pozostawiłem nienaruszony styl, chociażby odbiegał on od normalnych form literackich. Dotyczy to w szczególności opowiadania Stanisława Paszula. Powstrzymałem się również od komentarzy w wypadkach, kiedy moje własne opinie odbiegają od opinii „świadków historii”. Odnośniki dodałem jedynie tam, gdzie chodziło o rzeczowe wyjaśnienia.

Przygotowując zarówno odnośniki, jak i listę pseudonimów wymienionych w relacjach, korzystałem z uprzejmej pomocy płk. Janusza Prawdzica-Szlaskiego, dawnego komendanta nowogródzkiego okręgu AK.

Zamieszczone wspomnienia dotyczą tej samej sprawy, ale są one odmienne w charakterze. Rozmowa Paszul-Szabunia jest konkretna, faktologiczna i „męska”. Natomiast wspomnienia „Grażyny” są nastrojowe, emocjonalne i „kobiece”, tym niemniej naświetlają one atmosferę panującą wśród uczestników wypadków podwileńskich. Przedstawiają one przed-„Burzowe” nadzieje porozumienia z Sowietami, które były tam niewątpliwie silne, a potem po-„Burzowe” rozgoryczenie i tragizm sytuacji.

Po klęsce wileńskiej „Burzy” poszczególne oddziały i pojedynczy żołnierze rozproszyli się. Jedni poszli do niewoli sowieckiej, inni wrócili do domów, inni kontynuowali pracę na swoim terenie, a jeszcze inni udali się na zachód do centralnej Polski. O tych grupach już pisano, chociaż często jedynie powierzchownie. Natomiast nie było dotychczas mowy o tych, którzy zamiast na zachód, udali się na wschód w kierunku puszczy Nalibockiej,

mając widocznie nadzieję, że pod jej osłoną zdążą doczekać lepszych czasów. Paszul porusza tę sprawę chyba po raz pierwszy.

Przyjeżdżający z kraju podają, iż ostatnio, dawny AK-owiec wileński Korab-Żebryk, absolwent Gimn. OO. Jezuitów w Wilnie we wczesnych latach 30-tych, przedstawił pracę doktorską dotyczącą dziejów AK na Wileńszczyźnie. Podobno, wbrew przyjętym zwyczajom, obrona tej pracy odbyła się przy drzwiach zamkniętych, jedynie w obecności rodziny Żebryka. Podobno praca ta została przyjęta pod warunkiem usunięcia z niej ostatniego rozdziału, dotyczącego dziejów AK-owców po klęsce „Burzy” wileńskiej. Niektórzy goście z kraju mówią o tej pracy z entuzjazmem, a inni odnoszą się do niej sceptycznie, nie wierząc w zdolność autora do obiektywnego przedstawienia wypadków, tym bardziej iż nie jest on z zawodu naukowcem. Natomiast zarówno jedni jak i drudzy sądzą, iż praca ta, nawet bez ostatniego, wycofanego rozdziału, nie zostanie opublikowana w kraju. Jednak dobrze by było gdyby to opracowanie ujrzało światło dzienne.

Z. S. SIEMASZKO

RELACJA STANISŁAWA PASZULA

Obce i wrogie nam siły działają uporczywie, by zmienić historię Polski. Obiektywizm nie służy walce klas. Fałszując fakty, zniekształca się tradycję narodu. Przykładem jest dokumentacja ostatniej wojny. Tomy tomów wydano o polskiej martyrologii, dużo mniej o naszym wysiłku zbrojnym i wkładzie w walkę o niepodległość.

Mija fala wspomnień — uczestnicy wymierają. Z okresu po 1939 roku najmniej są znane dzieje naszych ziem na wschód od Bugu. Po rozmaitych liberalizacjach w obecnej Polsce jest to nadal temat zakazany do druku. Tym bardziej więc są cenne relacje nieraz prawie cudem ocalałych świadków zdarzeń za potrójną kurtyną: Polski Ludowej, Sowietów i — czasu.

Na Święcie Żołnierza w Nowym Jorku w 1972 roku spotkałam partyzanta z oddziałów Nowogródzkiej Armii Krajowej. Stanisław Paszul, po „oswobodzeniu” przebył 10 lat w sowieckich łagrach i dwa lata na Syberii. Pan Paszul zgodził się opowiedzieć to, co pamięta z tamtych czasów.

Dla lepszego zrozumienia przemilczanych zdarzeń, poprosiłam też innego uczestnika i świadka walk na Wileńszczyźnie, p. Stanisława Szabunię. Był on — między innymi — dowódcą 2 kom-

panii, 5 batalionu, lidzkiego 77 pp. Działał w okolicach znanych p. Paszulowi.

Stanisław Szabunia po udziale w kampanii wrześniowej, resztę lat wojennych spędził w Nowogródku i na Wileńszczyźnie. W 1945 roku aresztowany przez NKWD, po pół roku śledztwa skazany na 25 lat, uciekł z więziennego pociągu. Rozmowę naszą nagrałam na taśmę. Oto jej przebieg.

Barbara TRUCHAN

Barbara Truchan: — Chciałabym, aby pan podał kilka szczegółów o sobie, gdzie pan był w początkach wojny i w jakich okolicznościach wstąpił pan do partyzantki?

Stanisław Paszul: — Zacznę chyba tak: mój pradziadek pochodził ze Święcian, brał udział w Powstaniu Styczniowym. Po upadku powstania pradziadek uciekł przed carską żandarmerią i ukrywał się w Nowogródzkim i tu przybrał inne nazwisko, bo go szukali. Przybrał nazwisko Paszul, bo osiedlił się początkowo w Paszelach. Ożenił się potem z Iwanowską ze wsi Kładniki, gminy Lipniskiej. Pradziadek miał dwóch synów, Józefa i Jana. Mój dziadek — to był Jan, a Józef wyjechał do Ameryki i był w Connecticut. Mój dziadek z kolei miał trzech synów: Józefa, Bronisława i Bolesława. Ja pochodzę od Józefa. Mój ojciec był legionistą u Marszałka Piłsudskiego. Po wojnie był osadnikiem wojskowym w powiecie Lidzkim, województwo Nowogródzkie, Gmina Lipniskiej, miejscowość Nikol-Sklawy, parafii Trokieskiej. Mój ojciec prowadził gospodarstwo. W 1929 zmarła ojcu żona; ja i moja siostra Anna zostaliśmy bez matki. Ojciec ożenił się drugi raz i druga żona mu zmarła. Ożenił się po raz trzeci i obecna żona mieszka tu, w Stanach Zjednoczonych. Kiedy w 1939 wybuchła wojna, ojciec został zmobilizowany i przydzielony do ochrony mostów kolejowych. Po upadku kampanii wrześniowej, kiedy z jednej strony uderzyli Niemcy, a z drugiej Sowietów, sowieckie wojsko zajęło nasze tereny. 10 lutego 1940 wywieziono nas na Sybir. Ja uciekłem z wagonu na stacji Mołodeczno². Miałem wtedy siedemnaście lat, rocznik 1923. Po ucieczce, ukrywałem się gdzie się dało i po znajomych i po krewnych i po obcych. Na ostatku, w styczniu 1941, zetknąłem się z „gościem”,

2. Ucieczka Paszula w Mołodecznie z transportu ludności cywilnej wywożonej na wschód w roku 1940 jest zjawiskiem rzadkim, gdyż w większości wypadków, po załadunku wagonów zawiązywano drutem zamki i dopiero na terytorium sowieckim otwierano drzwi, głównie w celach sanitarnych.

nazwiskiem Saroka, kiedyś on był też w Ameryce. Przez niego nawiązałem kontakt z Organizacją Podziemną prowadzoną w tym okręgu przez pułkownika Nikodema Sulika.

Stanisław Szabunia: — To był ZWZ. Czy pan spotkał Sulika?

St.P.: — Nie, nigdy go nie spotkałem.

S.Sz.: — Kto był pana najbliższym przełożonym? Kogo pan znał?

St.P.: — Najbliższym przełożonym był „Kruk”, nazwiskiem Wolski, sierżant, który już nie żyje. Pochodził on z Nabolik³.

W tym czasie myśmy się rozpuścili. Ale słyszeliśmy, że wojna się zbliża, wojna z Niemcami. Mieliśmy ostatnie posiedzenie w miejscowości Zawierganie u Rebkowskich. Sowieci jeszcze Rebkowskiego nie wywieźli, chociaż zsyłki były okropne. Na tym ostatnim posiedzeniu przygotowaliśmy objęcie terenu i stanowisk, w razie wkroczenia Niemców. Wyzaczyliśmy od razu komendanta policji i wójta na swoje gminy. Na komendanta policji — plutonowego nazwiskiem Kaczałko Stefan, pseudonim „Olszyna” z lidzkiego pułku; był on kiedyś przy CKM-ach. Zastępcą jego był Piotr Wysocki, który zginął u „Krysi”. Nadszedł 1-szy czerwiec 1941 — w gminach Lipniskiej i Dziewieniskiej nastąpiły masowe wywózki nocami. Ludzie zaczęli ukrywać się.

S.Sz.: — W Wilnie była taka wywózka 14 czerwca.

St.P.: — Wywozili kogo popadło, zwłaszcza tych, co byli za Polską. Ale ja ukrywałem się nadal. Pewnej nocy, w niedzielę z 20-go na 21-go czerwca kręciłem się w okolicach Paszel, Andruny i Kulnie. Leżę tak sobie koło rzeki i słyszę warkot samolotów. W niedzielę zachodzę do państwa Bałdowskich w miejscowości Kulnie (ich syn też się ukrywał). Akurat zachodzi pewien Żyd z Werenowa i mówi: „Wiecie panowie co, że wojna. Niemcy zbombardowali stację i jeszcze jakiś zakład MPS”. Dobra. Wojna przyszła. Niemcy wkroczyli, a ja wróciłem na swoje gospodarstwo do Nikol-Sklawy, na ojcowiznę.

S.Sz.: — Ile mieliście ha?

St.P.: — 25 ha. Wszystko poniszczone; no, ale tak — wójt swój, komendant policji swój, policja też swoja... Oni przejęli jak gdyby władzę. Od razu jak Niemcy tylko weszli, wszystko

3. Patrz pod „Kruk” i „Lutek” w Liście pseudonimów.

było gotowe. O to chodziło, aby nie dopuścić Białorusinów. Nawet Litwini byli.

S.Sz.: — Od strony Dziewieniszek.

St.P.: — W Dziewieniszkach był posterunek litewski, ale komendant był oficerem polskim. Organizacja podziemna zaczęła się w tym czasie u nas rozwijać. Najbardziej wzmogła się na wsi w 1943. Jako syn osadnika byłem wtajemniczony w to wszystko. Po małżeństwie wprowadziliśmy do Organizacji i wieś. Wiosną 1942 formowała się sowiecka partyzantka z tych, którzy byli w niewoli i po gospodarzach. Równocześnie formowała się żydowska partyzantka, która nie tylko rabowała, ale paliła gospodarstwa i ludzi. Dlaczego — to nie wiem, ale było bardzo dużo takich wypadków. Na naszym terenie zorganizował się batalion „Krysia”, nie pamiętam, czy w końcu maja, czy w początkach czerwca 1942 roku. Myśmy robili, znaczy się, zasadzki. Ja pracowałem jako łącznik między swoją placówką „Oset” i placówkami Hermaniszki, Lipniszki i Trokiele. Miałem trzy punkty — a dlaczego? Ponieważ byłem sam, bez rodziny i nikt za mnie nie odpowiadał. Mnie pchali wszędzie dlatego, że byłem samotny, bez rodziny, bez nikogo. Wiedzieli, że „Węgiel” — bo „Węgiel” był mój pseudonim — nikogo nie wsypie i najwyżej sam zginie. Na tym kończyło się. Dlatego posługiwali się mną, gdzie było można. No i teraz zaczęły się organizować nasze tak zwane lotne oddziały, zaraz po „Krysi” powstał 3-ci batalion „Pala”⁴.

S.Sz.: — Czy pan wtenczas spotkał „Krysia”?

St.P.: — „Krysiaka” nie spotkałem. I specjalnie go nie znam, „Antoniego” i „Olesia” znałem z widzenia, ale nie rozmawiałem nigdy z nimi. Początkowo chciałem wstąpić do „Krysi”, ale komendant naszego okręgu, porucznik Zakrzewski, pseudonim „Pantera” powiedział: „Nie, pójdziesz do swego 3-go batalionu”. Jak zaczął organizować się ten 3-ci batalion, 1-sza kompania, wstąpiłem pierwszy we wrześniu 1943. „Pal” był dowódcą, a jego nazwisko prawdziwe — Dedelis. Dowódcą 1-szej kompanii był „Zdrój”, potem został on mianowany kapitanem. Dzielny chłop. Nazwiska nie znam; miał rude włosy. Lubił dyscyplinę⁵.

4. „Krysia” zorganizował swój oddział partyzancki w jesieni 1943, a „Pal” w czerwcu 1943. Oddział „Krysi” stał się później 2 batalionem 77 pp, a oddział „Pala” 6 batalionem 77 pp, a nie 3-cim, jak podaje Paszul.

5. Był to Bałachowicz, syn znanego zagończyka z okresu wojny polsko-bolszewickiej 1919-20, gen. Bułak-Bałachowicza, który w czasie okupacji został zastrzelony na Saskiej Kępie przez nieznaną sprawców. Warto nadmienić, iż brat generała, który brał z nim razem udział w wojnie polsko-

S.Sz.: — Miejscowy człowiek?

St.P.: — Nie wiem, on był w artylerii w Wilnie. Lubił porządek, czystość. Dowódcą mego plutonu był „Olszyna” — właśnie ten Kaczałko, który całą policję przeprowadził do oddziałów. I teraz — na czym polegała u nas praca w oddziale? Na przykład dowódcą plutonu był „Szpak”, a brat jego był komendantem litewskiej policji w Raciszkach. To myśmy — dajmy na to — chodzili rozbierać Niemców, bez żadnego przelewu krwi, bez żadnego strzału. Dlaczego, bo komendantem litewskiej policji był polski porucznik. Pamiętam, zająłem stanowisko z RKM'em i dostałem za to „ochrzan”, bo wypuściłem całą serię, nie aby kogo zabić, ale po prostu tak, bo widziałem, że policja wyciągnęła CKM'y i zajmowała stanowiska.

S.Sz.: — Policja była litewska?

St.P.: — Policja litewska. Strzeliłem po nich, nie zabiłem nikogo, ale strzeliłem dość blisko tak, że oni odskoczyli od CKM'u. W tym czasie wyskakuje komendant policji — porucznik i krzyczy hasło „Lot” („Lot” był dowódcą 2-go plutonu i znajduje się obecnie w Aero-klubie w Polsce, nazwiska nie pamiętam).

S.Sz.: — To było 10 marca 1944. W tym czasie ile batalion miał kompanii?

St.P.: — Dwie kompanie.

S.Sz.: — Kompania ilu miała ludzi?

St.P.: — Nasza kompania miała w marcu 1944 około 300 ludzi.

S.Sz.: — Ile plutonów w kompanii?

St.P.: — Cztery plutony.

S.Sz.: — Wszystkie jednakowe, czy były jakieś specjalne?

St.P.: — Specjalny 5-ty pluton gospodarczy.

bolszewickiej został zastrzelony we wczesnych latach 20-tych przez sowieckich dywersantów w Puszczy Białowieskiej. W tym miejscu, przy szosie Hajnówka-Białowieża, stoi jeszcze krzyż, przy którym potomkowie „Bałachowców”, osiedleni po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej w Białowieży, dotychczas składają kwiaty w rocznicę śmierci brata generała. Losy drugiego syna Bułak-Bałachowicza, który tak samo jak „Zdrój” był kawalerzystą, oficerem służby stałej, nie są znane. „Zdrój”, który prawdopodobnie miał na imię Wiktor, uczęszczał do Gimn. im. kr. Zygmunta Augusta w Wilnie, gdzie brał czynny udział w Sodalicii Marianańskiej. Zdał on tam maturę w 1937 roku.

S.Sz.: — A więc cztery plutony liniowe. Czy były jakieś konie, kawaleria?

St.P.: — Były. Po 8 miesiącach przydzielono mnie do zwiadu. Dowódcą zwiadu był sierżant podchorąży „Selim”, nazwisko Ciemnicki.

S.Sz.: — A ile drużyn w plutonie?

St.P.: — Drużyn w plutonie było aż cztery z powodu braku u nas dowódców. Musieli tak robić, bo było dużo ludzi. Najwięcej ludzi nadchodziło od Niemna, z tamtej strony — Wołożyn, Wiśniewa, od Stołpców.

S.Sz.: — Czy każdy musiał przynieść swoją broń?

St.P.: — Przynosili. U nas broni było pod dostatkiem. Ja na przykład przyniosłem do oddziału dwa sowieckie RKM'y Diegtiary, starsze od wszystkich trzy karabiny pepedki (Pepede, bo najpierw były u nich Pepede, nie Pepesza).

S.Sz.: — Tak, z magazynkiem okrągłym.

St.P.: — Pepesza też miała magazynek okrągły, ale tylko innej konstrukcji. Sprężyna była zakręcona, tak wie pan z tyłu.

S.Sz.: — Jak z granatami?

St.P.: — Granaty mieliśmy rozmaite, sowieckiej produkcji i niemieckiej. Przede wszystkim zaopatrywała nas policja, a policja miała od Niemców, którzy zdobywali je na Sowietach. Policja szalenie zaopatrywała.

S.Sz.: — Czy mieliście jakieś materiały wybuchowe?

St.P.: — Co do materiałów wybuchowych, to sam przechodziłem przeszkolenie prowadzone przez porucznika „Jodłę”, jeszcze będąc na placówce. Przede wszystkim samoczynne miny podkładane, cukier, kwas siarkowy i sól Berthelot'a.

S.Sz.: — To znaczy butelkę do rozbicia...

St.P.: — Tak, butelkę do rozbicia. Ale można użyć i worek. Robiliśmy potem miny wybuchowe; bierze się gwóźdź, robi się spleonkę, wybuchowy trotyl...

S.Sz.: — Czy mieliście trotyle niemieckie?

St.P.: — Rozmaite mieliśmy trotyle i sowieckie, i w proszkach, i plastikowe. Przechodziliśmy szkolenie, aby stosować prąd, dynamit, ale w zasadzie tego nie praktykowaliśmy.

S.Sz.: — Gdzie był ten kurs?

St.P.: — U nas w Pietrykanach przychodził porucznik „Jodła”.

S.Sz.: — Czy to był zrzutek?

St.P.: — Nie, on nie był zrzutkiem. Zrzutków spotkałem, na przykład majora „Kotwicza”. Jemu w szpitalu w Sobotnikach amputowano rękę do łokcia. Wtedy zresztą nie wiedziałem, że to był zrzutek. Spotkałem również „Ponurego”.

S.Sz.: — Jakież większe akcje w 1944 roku?

St.P.: — W roku 44-tym mieliśmy akcje z Sowietami, kilka razy na placówce. A największa akcja była w Trabach w 44-tym roku w połowie czerwca. W naszej kompanii wtenczas nie było strat z wyjątkiem czterech rannych. I wtedy ja też byłem ranny i tu mam jeszcze znak (p. Paszul pokazał bliznę).

S.Sz.: — Ta walka była z kim?

St.P.: — Z Niemcami, Niemcy i galicyjskie SS. W Trabach bój wtedy trwał 5 godzin.

S.Sz.: — Planowany czy z przypadku?

St.P.: — To był bój z przypadku. Niemieckie wojska cofały się i zrobili sobie tam postój; znaczy nie wojska frontowe; byli to Białorusini, z brygady Kamińskiego, z ukraińskiej SS, Własowcy i Niemcy — mieszanina. Po pięciu godzinach, myśmy ich tam zabrali...

S.Sz.: — Cały batalion brał udział?

St.P.: — Nasza kompania brała udział z 3-go batalionu (400 ludzi było wtenczas w batalionie) i kompania „Zycha”⁶.

S.Sz.: — Batalion „Zycha” w której grupie?

St.P.: — Ja zawsze myślałem, że on był w 2-giej.

S.Sz.: — Nie, „Kryśia” był w 2-giej.

St.P.: — No, to on był w 1-szej — batalion „Zycha” i UBK (Uderzeniowy Batalion Kadrowy).

6. Według płk. Szlaskiego w tej walce pod Trabami batalion „Zycha” nie uczestniczył, natomiast oprócz 1 komp. 6 bat. w której służył Paszul, brał udział 3 batalion „Sablewskiego”, tzw. UBK.

S.Sz.: — UBK — oni nie mieli numeracji?

St.P.: — To był Uderzeniowy Batalion Kadrowy, wiem tylko tyle. A u nas nazywano ich „wojsko Św. Jadwigi” (p. Paszul zaśmiał się). Powiem prawdę, że oni parszywie zachowali się; mieli również dużo kobiet. U nas w naszych oddziałach kobiety żadnej nie było, nie przyjmowali. Pamiętam, przyszło parę dziewcząt, a im porucznik odpowiedział tak — ten porucznik został potem kapitanem: „Wiecie — mówi — panienki co, jak wojna skończy się, każda swego znajdzie. My tu idziemy pod kule i jak może iść z nami kobieta?”. Po prostu nie przyjmował. Ani u „Krysiaka” nie było, ani u nas. Z wyjątkiem UBK, oni mieli kobiety. Mieli oni z Warszawy i z Łomżyńskiego. Ot, ciągalі się⁸.

S.Sz.: — Czy spotkał pan kiedy UBK?

St.P.: — Spotkałem. Średni był oddział, liczył około 300 ludzi. Bardzo dużo miejscowych dołączyło się.

S.Sz.: — Pan dat nie pamięta?

St.P.: — W połowie czerwca. Wtedy wzięliśmy około 50 Niemców do niewoli. Białorusinów wzięliśmy potem do kompanii.

S.Sz.: — A coście zrobili z Niemcami?

St.P.: — Nie wiem, bo oddaliśmy ich w ręce żandarmerii. Dowódca żandarmerii w naszym plutonie, nie pamiętam już pseudonimu, był Słowakiem, oficerem; fajny był chłop. Co się z nim stało — nie wiem. Początkowo w takich wypadkach jak w Trambach, i w Wilnie, to robiliśmy wymianę. Pamiętam w Wincukach, pan zna wioskę Wincuki?

S.Sz.: — Tak, Wincuki znam, to na moim terenie.

St.P.: — Wzięliśmy w Wincukach 20 Niemców. Bartoszuny pan zna?

S.Sz.: — Miałem chłopców stamtąd.

7. Rozmówcy mają na myśli dwubatalionowe zgrupowania, które w przyszłości miały rozwinąć się w oddzielne pułki. 6-ty batalion „Pala” (który rozmówcy nazywają 3-im) i 3-ci bat. „Sablewskiego” (któremu rozmówcy nie przydzielają żadnego numeru) tworzyły zgrupowanie wschodnie pod dowództwem „Pala”. 2-gi bat. „Krysi” i 5-ty „Sztremera” tworzyły zgrupowanie północne, natomiast 1-szy bat. „Zycha” wraz z 4-tym i 8-ym batalionem tworzyły zgrupowanie południowe. Warto również nadmienić, iż 3 bat. — UBK powstał z resztek organizacji wojskowej Bolesława Piaseckiego (Sablewski) Konfederacja Zbrojna, które scaliły się z AK i w jesieni 1943 zostały wcielone do okręgu nowogrodzkiego.

8. Komentarz płk. Szlaskiego brzmi następująco: „Kadra UBK była inteligentna i dobrze przeszkolona. W UBK kobiety były tylko jako łącz-

St.P.: — To za Bartoszunami na moście, gdzie przepływała rzeczka. Za Bartoszunami była wymiana. Przyjechali Niemcy z Werenowa, przywieźli oni nam dwa wozy amunicji, 2 RKM'y i dwie skrzynki granatów za tych Niemców. Teraz po Trabach szycowaliśmy się na Wilno. Pamiętam, bo ja wtenczas byłem już w zwiadzie, a łączność i zwiad wtenczas u nas były jednakowe. Było posiedzenie w miejscowości Narwieliszki, w szkole. Wielka odprawa. Nastąpiła wielka sprzeczka między oficerami. Jedni chcieli iść na Wilno, a drudzy powiedzieli, że nie i lepiej iść od razu na Augustów. To było pod koniec czerwca 1944. Nasz porucznik wstał i mówi: „Nie (pamiętam był on wtenczas kapitanem), co jest, to jest, a Wilno nasze, musimy iść”. „Pal” ani tu, ani tu, pomimo, że był dowódcą batalionu, miał słaby charakter. A dowódca naszej kompanii „Zdrój” mówi: „Idziemy na Wilno i koniec”. No i tak ruszyliśmy. Płakali ludzie po wsiach z radości. Słyszeliśmy armaty, znaczy się zbliżał się front. Po drodze jeszcze rozbroiliśmy kilku Niemców.

S.Sz.: — Nie pamięta pan kędyście szli?

St.P.: — Pamiętam tylko, że Oszmiański trakt. Zeszliśmy później obok. Zatrzymaliśmy się od Wilna jakieś 15 km.

S.Sz.: — Szósty to czy piąty lipca?

St.P.: — Nie, myśmy byli pod Wilnem już 3 lipca. Jak jeździłem na zwiady, widzę, że idzie 15 ludzi z automatami. Sowiecka broń, a niemieckie mundury. Jeden z naszych mówi: „Otworzyć ogień”. Ja mówię: „Nie, czekajcie, ognia nie otworzymy”. To było czwartego lipca. A gorąco było jak лихо. Widzieliśmy dużo popalonych samochodów, koło Wilna, tych niemieckich. No i mówię do jednego z naszych ludzi: „Ty jedź tam, ty znasz ruski język, domówisz się z nimi, a my zajmujemy stanowiska; w razie czego, to my ich kropniemy i koniec”. On pojechał, niedługo wraca i powiada, że to Własowcy, ROA — *Russkaja Oswoboditielnaja Armija*. Nasz zwiadowca wówczas pyta się ich — kto u was komendant? Oni mówią, że „w rozpłoch” poszedł, że oni sami nie wiedzą gdzie idą. To my wtedy podeszliśmy do nich i wymieniliśmy broń z nimi. Zabraliśmy automatyczną, a daliśmy karabiny i puściliśmy wolno. Zamieniliśmy też buty, niektórzy chłopcy mieli słabe buty. „Idźcie” — powiedzieliśmy i z tym odjechalibyśmy z powrotem do naszego oddziału. Jaki majątek, gdzie staliśmy, nie mogę teraz przypomnieć. Mogę tylko

niczki, kurierki i służba sanitarna. Zresztą we wszystkich batalionach, tak samo jak i w konspiracji w terenie, służby te pełniły kobiety.

opisać tak: w tym majątku było jezioro, i las dębowy i góra. Nazwy nie pamiętam. Blisko, coś cztery km., od Oszmiańskiego traktu. Szóstego lipca jeszcze staliśmy tam. Widzieliśmy cywilne tabory — to ludzie po prostu uciekali na Wilno chyba za Niemcami szli. Była zbiórka. Dali nam suchy prowiant, suchą kiełbasę. Skąd ją wzięli, nie wiem, ale szef kuchni po apelu załadował.

S.Sz.: — Czy mieliście kuchnie na kołach?

St.P.: — Tak jest i były u nas biedki z maszynowymi karabinami i moździerz sowieckiej produkcji i cztery ciężkie maszynowe karabiny, również sowieckie, dwa przeciwpancerne karabiny automatyczne, kaliber 22, sowieckie TZ. No i wtenczas szykowaliśmy się do odjazdu. Wszystkich nas wyszykowano, nasz zwiad też. Ja poszedłem ze zwiadem pieszo. Obserwowałem szosę, tak jak się należy. A potem poszła kompania. Szperacze poszli też jak się należy. Razem szliśmy aż na Lipówki.

S.Sz.: — Który to dzień, 7 lipca?

S.P.: — Szósty na siódmy, na Lipówkach⁹ zaczęło tylko szarzyć.

S.Sz.: — Czy wiedzieliście co się dzieje? Czy był rozkaz do natarcia na Wilno? Na poszczególne cele?

St.P.: — To tu właśnie, tu był błąd, że żołnierz nie wiedział gdzie idzie. O to chodziło, że myśmy szli, ale nie wiedzieli po co idziemy.

S.Sz.: — Nie było rozkazów odczytanych przed kompanią?

St.P.: — Nic nie było. Ten błąd był u nas wielki. Myśmy szli i szli i tak przeszliśmy szosę Oszmiańską i Wileńską.

S.Sz.: — Tam Niemcy mieli już okopy.

St.P.: — Bunkry mieli. I wtedy tak: kompanie — pierwsza, druga, trzecia, znaczy po plutonie. A czwarta kompania zajęła ciężkie karabiny z tyłu.

S.Sz.: — Kompanie czy plutony?

St.P.: — Plutony, dowodził „Pal”, ale kompanią dowodził kapitan „Zdrój”, a każdym plutonem plutonowy.

S.Sz.: — Pan pamięta dowódcę plutonu?

St.P.: — Dowódcą plutonu był „Olszyna”, nazwisko Kaczałko.

9. Miejscowość na południowym skraju Wilna.

„Listek” — dowódca 3-go plutonu. Czwartego plutonu był „Klon”, nazwisko Olszewski, zginął na torach. Ze swoim plutonem przedarł się on na Rossę i siedział na cmentarzu. A mnie włączyli do 1-go plutonu i w pierwszym plutonie szedłem za Kaczałką.

S.Sz.: — Czy plutony były rozwinięte?

St.P.: — Rozwinięte już w tyralierze: druga kompania brała lewe skrzydło, my braliśmy od Rossy. I tak teraz my dopiero dowiedzieli się o co chodzi, jak przyszliśmy nad przedpola i rozległy się strzały. Wydano nam hasło „Wilno” i odpowiedź była „Wilno”. Mimo, że mieliśmy swoje mundury, każdy musiał mieć biało-czerwoną opaskę. Mundury swojej roboty, lniane, farbowane na zielono. Takie same miał „Krysiak”.

S.Sz.: — Mielicie furażerki czy czapki?

St.P.: — Furażerki. Niektórzy mieli hełmy. Orzełki mieli wszyscy i małe biało-czerwone proporczyki na kołnierzach. Ruszyliśmy. Przeszliśmy te wszystkie rowy, zygzaki, w jednym miejscu napotkaliśmy Własowców, ukraińską SS, czarną policję. Jak myśmy tylko przeszli, a oni z tyłu nas... Jeszcze było ciemno, ale oni z tyłu otworzyli ogień. No, ale zniszczyliśmy ich szybko. Przez kolej na Rossę, znaczy cały czwarty pluton tego „Olszyny” i on miał swoje CKM’y tam na Rossie, na samym cmentarzu. A tu pociąg pancerny nadjechał. Panie, zaczęło się piekło, ulewa pocisków.

S.Sz.: — Z Wilejki?

St.P.: — Z Wilejki.

S.Sz.: — To tam był „Szczerbiec”.

St.P.: — Ja nie wiem. Ale jak ten pociąg pancerny zaczął rąbać, to ja panu mówię, szaro było jeszcze, to nie myślałem, że kule zobaczę, a tu ja widział kule prawdziwe — taśma szła za taśmą, tak-o taśma kul. Tu była góra, dolina, a potem jeszcze raz pod górę. No, przebyliśmy tam do godziny dwunastej, aż weszliśmy pod same mury.

S.Sz.: — Mury czego?

St.P.: — Mury miasta już. Bo bunkry wszędzie były, przeszliśmy kilka bunkrów.

S.Sz.: — To bunkry nie wszystkie były obsadzone?

St.P.: — Obsadzone one były, ale zamieszanie w nich poszło. I możebyśmy wtargnęli do samego miasta, ale w tym czasie nasz dowódca kompanii „Zdrój” dostał kulę w usta. On jeszcze do ataku porywał się jak szalony, a potem dostał tak, aż mu gardziel wyrwało. Dostrzelił sam siebie. Wyszarpnął pistolet i palnął sobie w łeb. To się działo koło mnie tak blisko, jak teraz na odległość do tego telewizora. Na Rossie dostrzelił sam siebie i tam jest pochowany, może go przenieśli, ja nie wiem, bo dużo poległych Wilnianie przenosili. Po tym wszystkim u nas były wielkie straty, z naszej kompanii zostało stu ludzi razem z rannymi.

S.Sz.: — Ale od czego to było, od tego pociągu?

St.P.: — Od Niemców i od pociągu, bo potem samoloty pikowały, te „dwu-ramy”, pan pamięta te dwie ramy? Te podwójne, strzelali niesamowicie, dowódców dużo zgubiliśmy i musieliśmy się cofać.

S.Sz.: — Jeśli chodzi o ścisłość, to rozkaz cofania się był już przed dziesiątą.

St.P.: — No, ja nie wiem.

S.Sz.: — „Pohorecki” wydał rozkaz, kiedy czołgi sowieckie były jakieś cztery kilometry od linii natarcia i Sowietci kazali się wycofać.

St.P.: — Sowietci kazali?

S.Sz.: — Tak, po pięciu godzinach walki, opór niemiecki cofnął się na zabudowania samego miasta, bo tak poszły czołgi i nasze natarcie zostało odwołane.

St.P.: — Jak wróciliśmy to już był wieczór. A „Szczerbiec” był jeszcze dłużej. Myśmy się cofali, dużo z nas zostało pobitych, rannych. Nazwiska są dotychczas na cmentarzu. Wileńska ludność ściągала zabitych na Rosę i stawiała krzyże¹⁰. Wróciliśmy do miejsca naszego postoju, wymordowani i zniechęceni. Dowództwo nad kompanią przejął wtedy podchorąży Zdzisław Ciemnicki, znaczy „Selim”. On był podchorążym piechoty ze szkoły. Zaczęliśmy się formować od nowa. Już i głód był, bo i Sowietci przyszli, wie pan...

10. Większość żołnierzy AK poległych pod Wilnem w lipcu 1944 została pochowana na Rossie w pobliżu grobowca marszałka Piłsudskiego zawierającego jego serce, obok tych żołnierzy, którzy polegli w walkach o Wilno w latach 1919-20.

S.Sz.: — Kiedy po raz pierwszy spotkaliście się z frontowymi oddziałami?

St.P.: — Staliśmy o kilometr od sowieckich czołgów, niektórzy chłopcy chodzili tam po broń. Pamiętam, że nasi chłopcy przywieźli 5 RKM'ów. Sowieci dawali i innym broń. A potem, była to niedziela, patrzę, zjechało się dużo oficerów, nigdy nie widziałem tylu polskich oficerów na raz.

S.Sz.: — Przepraszam, chciałem cofnąć się do Wilna. Nie ma chyba pełnego opracowania tego natarcia. W czasie, kiedy pan był na Lipniskach, i przy Rossie, o jakich innych oddziałach pan wie, że były w sąsiedztwie?

St.P.: — Wielki bój prowadził „Szczerbiec”, UBK brało udział między Czarnym traktem, a Oszmiańską szosą.

S.Sz.: — „Szczerbiec” był kapitanem służby stałej, nazwiskiem Frug.

St.P.: — Tak, doszedł on aż na zamek i tam zatknął chorągiew.

S.Sz.: — Pan słyszał o tym, ale pan nie wie o tym na pewno?

St.P.: — Tak, słyszałem.

S.Sz.: — Oddziały, z którymi pan zetknął się bezpośrednio — kogo pan pamięta?

St.P.: — UBK było obok nas.

S.Sz.: — Falistym łukiem od Kolonii Wileńskiej i po lotnisku na Porubanku szła linia polowych umocnień, wśród nich między Czarnym Traktem, a szosą Oszmiańską, górowały kopiaste bunkry. Kiedy moja 2 kompania 5 batalionu zdobyła i przeszła nakazany odcinek, widziałem jak w tył na lewo od nas — a było to w dobrą godzinę po świcie — odbywało się natarcie na dwa kopce-wzgórza, czterysta do sześćset metrów od nas. Bez żadnej osłony i wsparcia, poprzez ogień karabinów maszynowych z bunkrów i siekania nisko lecących samolotów niemieckich, chłopcy wdarli się na same szczyty bunkrów. Widziałem przez lornetkę jak wrzucali granaty do strzelnic, z wierzchu. I widziałem po chwili bezradność, bo nie mieli więcej granatów. Myślałem wtedy, że to była akcja UBK.

St.P.: — Nie, to nasza kompania, nasz batalion.

S.Sz.: — Czy jest pan pewny, że to był 3 batalion?

St.P.: — O, tak.

S.Sz.: — 7 lipca, w okolicy i na Rossie byliście do godziny dwunastej od czwartej rano bez przerwy, walka bez przerwy: samoloty, pociąg pancerny. Czy Niemcy robili przeciwnatarcie piechoty?

St.P.: — Oni robili po rowach, ale zawsze byli odbijani, nawet kiedy rzucali granaty, oni tu, a my na nich rzucali. Długo wyraźnego frontu nie było i z przodu i z tyłu, bo my najpierw wpakowali się normalnie tyralierą. U nas, to porucznik tak dobrze zorganizował, pomimo, że nie wiedzieliśmy o co chodzi, ale ostatecznie on dobrze nas ustawił. Każdy pluton miał swój odcinek.

S.Sz.: — A zaopatrzenie, wozy?

St.P.: — Taborów nie mieliśmy, tylko amunicję. Tabory, kuchnie, to wszystko było 15 km. za nami. Myśmy nic nie ciągnęli za sobą, po partyzancku — suchy prowiant. Kielbasy, suchary i woda. Cukru nie mieliśmy. Woda przegotowana w manierkach. Manierek mieliśmy pod dostatkiem. Jeszcze przed pójściem na Wilno przywieźli nam, nie wiem skąd, całe fury manierek artyleryjskich, a menażki to mieliśmy takie okrągłe, kawaleryjskie, bo piechota miała inne.

S.Sz.: — Czy mieliście łopatkę ze sobą?

St.P.: — Mieliśmy, ale nie używaliśmy, bo nie potrzeba było. Tam były gotowe rowy niemieckie. Jak tylko się zeszło z traktu Oszmiańskiego, koło brzozowego lasu, to wszędzie rowy pokopane. Jak wdarlim się, to od razu po tych rowach, seria tu, seria tam i w skok, i dalej po tych rowach „zaiwanialiśmy”.

S.Sz.: — Jak długo zeszło na dojście do rowów?

St.P.: — My już o dziesiątej w nocy zeszli z traktu i byli pierwsi przy rowach. Krótki postój, znaczy reorganizacja, każdy pluton dostał swój odcinek. Sprawdziliśmy amunicję, to jeszcze noc, ale jasno było i ogromny smród spalenizny — Wilno paliło się, przysłonięte ogniem i dymem.

S.Sz.: — Czy mieliście kompasy?

St.P.: — Mało, ale większość ludzi знаła tereny.

S.Sz.: — Amunicja w czym?

St.P.: — Amunicję mieliśmy w ładownicach i w chlebaku. Na-

sza kompania miała 30 RKM'ów, a 4 kompania miała ciężką broń. U nas po cztery granaty na głowę, niektórzy więcej, ja miałem dwa obronne i dwa do natarcia, a amunicji ile unieść.

S.Sz.: — Ilu zginęło z kompanii pod Wilnem?

St.P.: — Nie mogę powiedzieć ilu zabitych, wiem, że trzech dostało się do niewoli, jeden Aniszkievicz, zawodowy żołnierz, nawet urodzony w Ameryce. Spotkałem go w Polsce w 56-tym roku. Ale zabitych było sporo, została niespełna połowa.

S.Sz.: — To zostało, a ilu pan widział zabitych sam?

St.P.: — Na zbiórce było wiadomo, że większość plutonu to zabici. I to nie tylko od samolotów, ale głównie od broni maszynowej. Przed walką kompania miała czterystu ludzi, ale w tym był i pluton gospodarczy ok. 30 ludzi.

B.T.: — To znaczy niecała setka została?

St.P.: — Z kompanii chyba 2 setki.

S.Sz.: — Co się stało z dowódcą kompanii?

St.P.: — Zginął ode mnie o jakieś 3 metry.

S.Sz.: — Kto jeszcze był przy tym?

St.P.: — Doktor, pseudonim „Niemen”, który starał się zrobić mu opatrunek. „Niemen” był z pochodzenia Żydem i był z nami w partyzantce od dłuższego czasu, bardzo uczciwy człowiek i śmiały był.

B.T.: — „Zdrój” zastrzelił się, to kiedy „Niemen” robił mu opatrunek?

St.P.: — „Niemen” myślał, że on jeszcze żyje; potem go przewrócił, zabrał dokumenty i pistolet. To co pamiętam to „Zdrój” też miał holenderski automat, którego chyba nikt nie zabrał.

S.Sz.: — Doktor zabrał dokumenty, to jak było wiadomo kto pochowany?

St.P.: — Ludzie wiedzieli. Ale „Zdrój” miał jeszcze inne zapiski. Sowietci byli przy pochowaniu i przysłali potem list do sztabu „gen. Wilka”, że nie porucznik „Zdrój”, a kapitan „Ryk” był pochowany. Porucznik „Zdrój” miał jakimś cudem zapiskę z nazwiskiem „Ryk” przy sobie i dlatego Sowietci uznali, że to był „Ryk”. Ale „Ryk” był kto inny. On pracował w sztabie „gen.

Wilka", nazwisko jego było Puczeko. „Ryk” mieszka obecnie w Elblągu. No i skończyła się akcja wileńska¹¹, a 14 lipca w niedzielę...

S.Sz.: — Chwileczkę, w międzyczasie, czy później, czy była u was reorganizacja oddziałów, uzupełnienia?

St.P.: — A było, zaraz powiem. Czternastego lipca odbyło się nabożeństwo, msza polowa. Koło Wilna, majątku tego nie pamiętam.

S.Sz.: — Czy były jakieś oddziały w pobliżu?

St.P.: — Oddziały w pobliżu — to UBK, ale oni cofnęli się zaraz. A więc powiem o tej niedzieli 14 lipca¹². Ustawiono stoły, było to już po obiedzie — zwołano nas na apel, ustawiliśmy się w czworobok. Przyszła 2 kompania, a później 3-cia, nowo-

11. Dotychczas nie został opracowany szczegółowy przebieg działań oddziałów AK na Wilno w nocy z 6 na 7 lipca 1944. Dlatego trudno jest ocenić do jakiego stopnia fragmentaryczne szczegóły podane w tej rozmowie zgodne są z rzeczywistym przebiegiem całości tych działań. Stwierdzenia Paszula sugerują, iż 1 komp. 6 bat. posuwając się od południa z Lipówek, dotarła do torów kolejowych między dworcem i Kolonią Wileńską w odległości około kilometra na wschód od dworca i tam została zatrzymana.

Według danych zgromadzonych przez płk. Szlaskiego, spośród oddziałów nowogródzkich jedynie 3 bat. — UBK i 1 komp. 6 bat. pod dowództwem „Zdzoja” wzięły aktywny udział w walce. Oddziały te przeszły przez dwie linie bunkrów i zostały zatrzymane i rozbite na trzeciej linii bunkrów, na skutek ognia artylerii i lotnictwa. Zdaniem płk. Szlaskiego w okolicy cmentarza Rossa walczyła 3 brygada wileńska „Szczerbca”, natomiast oddziały nowogródzkie miały nacierać z południa w kierunku na ul. Subocz. Jednak z powodu braku łączności z dowództwem jak i między nacierającymi oddziałami mogło dojść do pomieszania kierunków natarcia. Spośród innych oddziałów nowogródzkich maszerował na Wilno 5 bat. Jego 2-ga kompania przybyła jednak z opóźnieniem na skutek zablokowania przejść przez UBK, a 1 komp. dotarła pod Wilno już po zakończeniu walk, co potwierdzają przytoczone wspomnienia „Grażyny”. D-ca 2 bat. „Krysia” odmówił udziału w tej akcji, a 1 bat. „Zycha” i zaczątki 8 bat., pomimo że znajdowały się blisko miasta, nie otrzymały rozkazów wzięcia udziału w natarciu w nocy z 6 na 7 lipca. Może były przewidywane jako rezerwa.

Paszul sugeruje, iż 3 brygada „Szczerbca” dotarła nad ranem 7 lipca do centrum miasta, aż do Góry Zamkowej, gdzie zawiesiła polską flagę. Jest to całkowicie nieprawdopodobne. Sprawa zawieszenia flagi na wieży zamkowej zaistniała później, w czasie zdobywania miasta przez armię sowiecką, przy współudziale niektórych oddziałów AK, między 8 i 13 lipca. Potwierdzenie tego znajdujemy w telegramie z 14 lipca (L. dz. Oddz. Spec. 13218): „Wyczuwa się niechęć wyższych władz sowieckich. Chorągiew polska dwukrotnie zawieszana na Górze Zamkowej została zdjęta mimo interwencji”.

12. Data ta jest błędna, gdyż niedziela była 16 lipca. Zarówno Paszul, jak i „Grażyna” stwierdzają, iż w tę niedzielę, jeszcze przed zawarciem ostatecznej umowy z władzami sowieckimi, celebrowano pod Wilnem utworzenie regularnej Armii Polskiej po stronie sowieckiej.

zorganizowana, do naszego batalionu. I ogłaszają nas jako regularną armię. Wydają nam dokumenty, zielone książeczki, czy u was też dawali?

S.Sz.: — Kartki, podwójne kartki.

St.P.: — Tak, podwójne kartki, pieczątki, nazwisko i pseudonim. Numer jednostki każdy musiał nosić, jak nam powiedziano, w lewej kieszonce.

S.Sz.: — Przez kogo było podpisane?

St.P.: — Nie pamiętam. Przy tym dostało się awanse. Dostałem i ja kaprala ze starszego strzelca. Naszło tyle uzupełnienia, że kompania liczyła ponad dwieście ludzi. Zwiad wtedy już nie funkcjonował, mnie przydzielono do szkolenia nowych.

S.Sz.: — Czy to były osobne jednostki? Drużyny, czy pomieszani?

St.P.: — Wparcelowani do tych.

S.Sz.: — Jakie ćwiczenia pan pamięta?

St.P.: — Okopy strzeleckie, stanowiska bojowe. Trzeba było pokazać jak ułożyć pięty i wszystko jak należy, nieprzyjacieli z tyłu, nieprzyjacieli z przodu, jak zmieniać stanowiska.

S.Sz.: — Strzelania nie było?

St.P.: — Nie, nie było. Potem przeszliśmy w drugie miejsce, tam staliśmy jeden dzień tylko, były też ćwiczenia. W nocy, o północy był alarm, kompanie wyruszyły w kierunku puszczy.

S.Sz.: — Kto ten rozkaz wydał?

St.P.: — Nie pamiętam, bo zerwaliśmy się ze snu, ja nie miałem służby wartowniczej. Trzeci pluton miał służbę. Tabory i my, wszystko to waliło na puszcę Rudnicką.

S.Sz.: — Czy zetknęliście się z Sowietami?

St.P.: — Nie, przeszliśmy przez rzekę, rzeka ta była bardziej głęboka niż szeroka, przed torem.

S.Sz.: — Mereczanka czy Solcza?

St.P.: — Możliwe, że Mereczanka, Soleczniki zostały zdaje się z lewej strony. Szliśmy koło lasu, widziałem oddziały „Tura”.

S.Sz.: — To Turonek, skończył on SPP (Szkola Podchorążych

Piechoty) w 38-ym roku. W czasie wojny był w konspiracji w Wilnie, a jakiś czas koło Kiejdan. Ostatni raz widziałem go pod wieczór 7 lipca w 44 roku, miał przy sobie tylko kilku ludzi, nie chciał dużo mówić. Zrozumiałem, że Sowietci rozbili jego oddział, widocznie pozbił z tego co się przedarło.

St.P.: — On był niewysoki z czarnym wąsikiem?

S.Sz.: — Zgadza się.

St.P.: — Idziemy w stronę Rudnik, dużo wojska pcha się, bo to dwie albo trzy kolumny.

S.Sz.: — Ile wojska w zasięgu widoczności?

St.P.: — Sporo szło, w przybliżeniu, mogę dziś określić, że parę tysięcy widziałem. „Dolina” — pamiętam — przemknął się prawym skrzydłem, to trzynastka, Oszmiańska brygada.

Trzeciego Maja 1944 roku u nas była defilada w lesie majątku Dorsze, odbierał ją „gen. Wilk” po cywilnemu, bez czapki; jak staliśmy potem w wielkim czworoboku, był tam oddział „Tura” i „Doliny”, oni mieli oznaki Nietoperza na rękawie.

S.Sz.: — Nietoperza? To ten „Dolina” nazywa się Walczak, kolega mój i Turonka ze szkoły. Ci z Nietoperzem byli jakiś czas koło Narwiliszek.

St.P.: — A tak właśnie i pod Grauzyszki i pod Olszany. „Dolina” był potem we Wrocławiu. Więc szły kompania za kompanią w dość dobrym porządku. I ta czwarta zreorganizowana. Były zarośla i wioski i tak doszliśmy do Gudełek i na Aszmalony. Tam zrobiliśmy małe postój, a pod wieczór na Rudniki.

S.Sz.: — Czy jest pan pewny, czy po prostu do puszczy Rudnickiej, a nie na miejscowość Rudniki?

St.P.: — Tak, na puszcę Rudnicką. Ale jak podjechaliśmy do Gudełek, patrzymy, że z „Krysi” oddziału idą chłopcy bez broni. W marszu „Krysia” był z przodu. Widzimy jeszcze parę młodzieży, a tu takie zamieszanie, co jest? I samoloty sowieckie krążą, a nad wieczorem siada taki sowiecki Kukuźnik, a pilot pokazuje gdzie w wiosce składać broń. I czołgi z przodu, tam gdzie szosa przechodziła z Wilna na Bieniakonie¹³. Widząc takie rzeczy, takie zamieszanie palę dokumenty. Oddali nam niemiec-

13. Ulotki sowieckie zrzucone przez Kukuźniki nakazywały oddziałom AK maszerującym w kierunku Puszczy Rudnickiej udać się do Gudełek i tam złożyć broń. Na skutek tych ulotek „Krysia” rozwiązał swój 2 batalion

kie dokumenty, pan wie „auswajs”, pooddawali nam ze sztabu kompanii. U was też było to?

S.Sz.: — Nie, myśmy nie mieli niemieckich dokumentów. Kto miał, to przed pójściem do partyzantki musiał zostawić na melinie.

St.P.: — A myśmy mieli. Oddali nam to wszystko z powrotem, a potem „Pal” zebrał całą kompanię i co było z batalionu, stanął na wozie i mówi: „Koledzy, chcę pożegnać się z wami, trudno, sytuacja jest taka, każdy może robić jak uważa”. A wtedy porucznik „Listek” — dowódca plutonu mówi: „To co, zdobywaliśmy broń krwią, a teraz złożyć mamy? Nie, chłopcy za mną”. On był w Polsce nadleśniczym.

S.Sz.: — Więc każdy może iść gdzie chce, a co z bronią?

St.P.: — „Pal” o tym nie powiedział.

S.Sz.: — Czy pan może coś więcej powiedzieć o „Palu”?

St.P.: — Miał on jakieś 35 lat, przed wojną był w ludzkim pułku, ja go pamiętam jak na ćwiczenia Strzelca przyjeżdżał jako sierżant w 32-gim roku. No i jak „Listek” tak powiedział, to zaraz oderwałem się od batalionu i widzę — zaginął nasz dowódca plutonu, to ja dołączyłem się do „Listka” i poszliśmy. Ja na ochotnika wysunąłem się do szperaczy.

Kierowaliśmy się na puszcę Nalibocką. Szliśmy nocą, a na pierwszym mostku trzeba było zdmuchnąć patrol sowiecki. Było nas około 30 ludzi.

S.Sz.: — Który to był dzień?

St.P.: — 16-ty na 17-ty lipca¹⁴. Jeszcze żadnego deszczu nie było, po prostu susza i gorąco. Kierujemy się na Bieniakonie. Zostawiliśmy je po lewej stronie. Tu i tam rozchodziły się małe grupki. W Sokolemszczyźnie stała francuska eskadrilla samolotów z Normandii. Chcieliśmy, aby nam pomogli, ale Francuzi odpowiedzieli: „Nic nie wiemy, nic nie pomożemy”¹⁵. I tak noc-

lion. Paszul mówi o tych żołnierzach 2 batalionu, którzy zdecydowali się wykonać instrukcje sowieckie. Prowadził ich do Gudełek ppor. „Wiesław”.

Płk Szlaski stwierdza, iż nie było wypadku, żeby Kukuruźniki lądowały w tej okolicy, jak to sugeruje Paszul, i również zaprzecza jakoby w tym czasie były gdzieś w pobliżu czołgi sowieckie.

14. Paszul podobnie jak i „Grażyna” sugeruje, iż aresztowanie oficerów i rozpoczęcie marszu oddziałów do Puszczy Rudnickiej miało miejsce w niedzielę 16 lipca 1944, a nie 17 lipca jak można wnioskować z telegramu płk. „Strychańskiego” z tejże daty (L. dz. Oddz. Spec. 13168).

nymi marszami, koło Konwaliszek na Podhaje. Koło Dziewieniszek widzieliśmy porucznika „Jura”, miał on pięciu żołnierzy, a reszta w lesie. On też kierował się na Naliboki. „Listek” poprowadził nas w stronę Pietrykan, tam odpoczynek na melinie przez trzy dni, każdy rozproszył się gdzie mógł, bo było dużo znajomych. Potem porucznik „Jodła”, nazwisko Kopaczek, zorganizował nową grupę. „Jodła” był to saper sprzed wojny i u nas szkolił też saperów. Nasza placówka „Oset” była w okolicy Klewki, to znaczy kolonie. Z Pietrykan wyszliśmy 28 lipca na Naliboki, przechodziliśmy koło miejscowości Piesiewicze, Danilewicze, Izabelin, Kaczewo, i Łazduny. Dołączył się do nas kapral-podchorąży „Eryk” z UBK. Miał on około 30 ludzi, razem więc nas było ponad 50. A „Jur” z Podhaja poszedł na Michałowszczyznę. Akcji unikaliśmy przez parę tygodni, mieliśmy postój nad Berezynką, w szałasach z gałęzi i trawy. Jaśkowicze i Bakszty tam niedaleko. Blisko tam był też i cmentarz niemiecki z 1-szej Wojny. W sierpniu najechało dużo Sowietów w te okolice. Napadli oni na nas w miejscowości Wikszniany, ale my ich odbili. To było koło Brzezinki, dużo z nas zostało rannych. W tym czasie „Jur” został pobity, potrzaskany, zgubił CKM’y i moździerz.

S.Sz.: — Czy wiedzieliście w ogóle co się dzieje, czy słuchaliście radia?

St.P.: — Radia nie mieliśmy, a wszystkie wiadomości przynosiły nam łączniczki, dziewczyny i kobiety.

S.Sz.: — To były chyba najgorsze czasy, bez wyjścia, można było się załamać.

St.P.: — A jednak ciągnęli do nas chłopcy, najwięcej ze wsi Rubowicze, chociaż mówili, że to złodziejska wioska, sami biedni, ale po dwóch, z domu szło w las. No i dużo było od Niemna, na przykład z takiej wioski Ługamowicze. A tymczasem Sowieni — specjalne oddziały niszczycielskie i czerwoni partyzanci — rozchodzili się wszędzie. Przeszliśmy na drugą stronę Łazdun, a potem z powrotem, żeby zaszyć się w głębokie, bagniste części puszczy Nalibockiej. Z 13 na 14 września przeszliśmy do okolicy Bobrowicze, to między Kaczewem, Kaksztami a Jaśkowiczami. Mieliśmy dalej spotkać „Jura”, dołączył się drużynowy „Szpak”. I nad ranem w tych Bobrowiczach, była chyba szósta rano,

15. Chodzi tu o pierwszą eskadrę francuskiego pułku myśliwskiego Normandie-Niemen, który walczył po stronie sowieckiej (patrz nr 28-my Zeszytów *Historycznych*, str. 231).

Sowieci nas okrążyli. Bój był do godziny 10-tej jakiej. Słońce wysoko. Nas pobili na deskę. Wyjścia nie było. Biliśmy się do ostatniego chłopca¹⁶. „Eryk” ten z UBK został ranny. Zabitych ponad dwudziestu. Zginął porucznik „Jodła”. Samolotów nie było. Była silna piechota i coraz więcej podwozili tych *istriebitieli* i różnych partyzantów, co znali teren za okupacji niemieckiej. Mówili później, że porucznika „Jodłę” i innych zabitych, ludzie nocami przewozili na parafialny cmentarz w Łazdunach. Przez cztery godziny mieliśmy amunicję. Rannych, to Sowieci dokłuwali bagnetami, kolbami dobijali. Czym popadło dobijali. Ja byłem też ranny, a że ocalałem to chyba cud. A to było tak: jak był alarm, to ja w pośpiechu zamiast swego munduru chwyciłem kurtkę porucznika „Jodły”, bo on był też taki szczupły. Co popadło chwyciłem nawet dwa lewe buty.

S.Sz.: — To wyście stali w chałupach?

St.P.: — W chałupach, normalnie. Ja jeszcze porucznikowi mówił: „Lepiej idziem do lasu”, ale on mnie wyzwiał od tchórzcy i kazał spać w chałupie. Warta była wystawiona i koniec. No, ale mniejsza z tym.

Jak dobijali rannych, ja tak okrwawiony stał. Kolej na mnie. Ale ten jakiś Sowiec mówi: „Zaczekaj, to oficer”, bo gwiazdki były na mojej kurtce. I wzięli mnie za oficera. W Juraciszkach zrobili opatrunek.

S.Sz.: — Czy jeszcze wzięli do niewoli kogoś razem z panem?

St.P.: — Była łączniczka Maria Kwacz, partyzant nazwiskiem Julian Stocki, on był z oddziału „Ragnera”, bo to już była u nas mieszanina. Było nas trzech, a czwarty — zdrajca. Zdrajca był wzięty.

B.T.: — Zdrajca z jakiego okresu?

St.P.: — Był u nas w oddziale i donosił i przez to właśnie wpadliśmy. Nazwiskiem Buksza Edward, pseudonimu nie pamiętam. Buksza był potem w Polsce oficerem UB. Może już teraz nie jest w UB, mieszka koło Krakowa. Otóż w Juraciszkach zawołano mnie na śledztwo, gdzie byłem w tymczasowym areszcie. No, przychodzę, a Sowieci mnie się pytają: „Wy aficer?”.

16. Jak widać grupa do której należał Paszul nie zdołała dotrzeć do Puszczy Nalibockiej i w odległości kilkudziesięciu kilometrów od niej, w okolicy Jaraciszek, została rozbita. Zresztą puszcza ta nie dałaby pożądanego schronienia, gdyż po odejściu na zachód zgrupowania stołpeckiego AK w lipcu 1944, Puszcza Nalibocka została całkowicie opanowana przez sowiecką partyzantkę, która liczyła tam kilkanaście tysięcy ludzi.

Tłumaczę, że podczas alarmu wdziałem kurtkę porucznika i powiedziałem wszystko jak było. „Ile masz lat?” Ja im skróciłem o sześć lat. „To ty nie aficer? To jak ciebie nie dobili? — mówi Sowiet. — Masz szczęście, ty chyba w Boga wierzysz” — zaśmieli się Sowietci.

B.T.: — A ile lat pan podał?

St.P.: — Podałem rocznik 28-my, zamiast 23-ci. To Sowietci powiedzieli „Ty niepełnoletni, ty jeszcze do wojska niezdatny. Po co ty poszedł?”. Odpowiadam: „Bronić swego kraju”. A on do mnie: „Jaki kraj?”. „Toż polski kraj” — ja mówię. A on: „Macie przecież polski kraj, koło Grodna i Białegostoka jest granica wasza”. No i panie różne rzeczy jeszcze gadał, ale mniejsza. Odprawili do Lidy całą paczką.

Ja jeszcze pytał się Sowietów w Juraciszkach, gdzie Buksza? Oni mówią, że rozstrzelany, bo prawdy nie chcieli powiedzieć. No, rozstrzelany, to rozstrzelany. I na tym zostało się. A potem w roku 1956, jak z Rosji wróciłem do Polski, to mówię o Bukszy, a ludzie śmieją się: „Co Edek? Przecież on jest porucznikiem w UB koło Elbląga”. A w Rosji spotkałem takiego Polaka w łagrach nazwiskiem Us; a myśmy stali przed rozbiciem w chałupie Usa. To mówię do niego: „Pan jest Us, a ja przypominam sobie, żeśmy stali tuż przed bitwą u jakiegoś Usa”. I on mnie opowiedział wszystko jak było: „Jak wasza grupa partyzantcka u nas stała, Buksza dał mnie kartkę i kazał mnie ją zanieść do Łazdun do Sowietów. W tej kartce było napisane, gdzie robimy postój”. Us opowiada dalej, że go Sowietci poczęli bić, to Us mówi: „Ja wam przyniosłem kartkę o tych bandach”. Ale jego Sowietci aresztowali i wlepili mu 25 lat. Posadzili chłopca. I Us mnie mówi w łagrze: „Sprzedał was ten Buksza, sprzedał was kolega”.

I wie pan tam na ul. Syrokomli zaczęło się śledztwo. Bicie po nocach, żarcia nie było, dadzą raz na dzień mokry chleb, kipyatki i sucha ryba. I parasza, jak w więzieniu. No, ale jednakże łączność mieliśmy zawsze. Ja zdobyłem pudełko i przy pomocy tego pudełka porozumiewałem się z inną celią. Raz to wywierciłem dziurę na wylot drutem do kobiecej celi. Dwa tygodnie trwała rozmowa. Kobiety więcej wiedziały od nas, bo pracowały w kuchni. I tak śledztwo trwało aż do listopada 1944.

S.Sz.: — Co panu na śledztwie zarzucali?

St.P.: — Zdrajca „rodiny, izmiennik rodiny”, że chciał przyłą-

czyć Białoruś do Polski i Wilno. Raz na naszej „*progótcie*” patrzę przez szczelinę, mój plutonowy tam jest i jeszcze kilku znajomych chłopców. Porucznik „Wnim” też był, nazwiskiem Władysław Mickiewicz. No i jednego razu już mnie osadzili, jakiś pułkownik odczytał wyrok, dali mnie 10 lat „*isprawielielnych trudawych tagierej*” i pięć lat bez prawa głosu i zsyłka po wieczne czasy. W porządku. Ale po sądzie ganiłi do pracy. Pewnego dnia pracowaliśmy przy stawianiu szubienic. Zrobiliśmy dziesięć szubienic do wieszania ludzi. I teraz — co jest? Dla kogo te szubienice? Czy to dla nas? Czy to nas po kolei będą wieszać? Nikt nie wie. Te szubienice z Lidy rozwieźli do Galenowa, do Trokiel i do innych miejscowości. Ja jeszcze byłem w więzieniu. Przychodzi nowy do celi i mówi, że porucznik „Wnim”, Mickiewicz, został powieszony w Trokielach. Wisił on przez cztery dni i była napisana tablica, że ze wszystkimi tak będzie, kto tylko zdradzi ojczyznę i pójdzie do bandy. Każdego takiego czeka ten sam los. Potem spotkałem ludzi, którzy widzieli jak go wieszali. Na czas egzekucji zegnali ludzi. Słup był wkopany. Podjechał samochód, zarzucili porucznikowi pętlę i samochód poderwał się, a Mickiewicz został na szubienicy. Porucznik Mickiewicz, pseudonim „Wnim”, pochodził z miejscowości Rogiele, gminy Lipnickiej, parafii Trokiele. Był to bardzo fajny chłop. No, potem zabrali nas do transportu...

B.T.: — Czy pan pamięta nazwiska powieszonych?

St.P.: — Powiesili porucznika z 5 pułku lotniczego w Lidzie, z Werenowa kogoś powiesili, nazwiska nie wiem, po każdym prawie miasteczku kogoś wieszali.

S.Sz.: — To był co — listopad, grudzień 1944?

St.P.: — Koniec listopada i początek grudnia 1944. Przed Bożym Narodzeniem zabrali nas do transportu. Dali nam sowieckie szyniele, podarte buty bez sznurówek i zaczęli nas wysyłać na etapy. Początkowo nas skierowano na Mosty, aż do Wołkowyska. Koło Wołkowyska stoim jeden dzień, dwa dni, a potem z Wołkowyska dalej. Wagony bydlęce, porobione „sracze”. Niektórzy myślą, że w Polsce nas będą więzić¹⁷. Przynieśli nam chleb, bochenek na dziesięciu. Mijamy Słonim, Baranowicze. Już żegnamy starą granicę.

Barbara TRUCHAN

17. Opinia tego rodzaju mogła być oparta na tym, iż z Lidy wywieziono więźniów najpierw na południowy-zachód, pod Wołkowysk, w kierunku granicy PRL, a dopiero stamtąd skierowano ich na wschód.

WSPOMNIENIA „GRAŻYNY”¹⁸

Rok 1944, czerwiec. Praca oddziałów AK na Wileńszczyźnie w pełni. Te małe oddziały z roku 1943-44 przeszły w oddziały regularnego wojska. Umundurowanie jednakowe, polskie orzelki na czapkach błyszczą. W oczach żołnierzy-partyzantów jest zaszłona duma. Sami zdobyli wszystko. Jak wiele krwi przelali zdobywając te karabiny, CKM'y, czy też RKM'y. Ale rezultat jest.

Jeden koszmar ciąży nad życiem żołnierzy, to bolszewicy. Pamiętamy ich wszyscy z roku 1939. Pamiętamy tę srogą, straszną zimę.

Piąty batalion kpt. „Sztremera” i 2 batalion por. „Krysi” gotowy. Koncentracja wszystkich oddziałów wileńskich ma być pod Wilnem. Po okolicznych wioskach z zalem żegna ludność swoich obrońców przed Niemcami i bandami sowiecko-żydowskimi, które rabują po nocach. Ludność jest niespokojna. Z ust do ust leci wieść — AK maszeruje na Wilno. Wilno musi być nasze. Lecz Wilno nie zostało zdobyte. Bolszewicy nie przyszli z pomocą, chociaż byli kilkanaście kilometrów od Wilna. A my liczyliśmy na pomoc z ich strony, lecz na próżno.

Nie wszystkie oddziały zdążyły przyjść pod Wilno. Z 5 batalionu tylko dwie kompanie — 2 i 3. Kompania 1 została odcięta przez uciekających Niemców. Batalion por. „Krysi” w ogóle nie doszedł. Najwięcej strat w powstaniu wileńskim poniosły oddziały „Szczerbca” i UBK¹⁹. Padło około 300 żołnierzy.

Pierwsza kompania por. „Horynia” kieruje się w stronę Wilna, aby dołączyć do batalionu. Marsze odbywają się w nocy, w terenie są jeszcze Niemcy, ale już słychać zupełnie blisko bolszewickie Katiusze. W kompanii słychać niekończące się pytania: „Co zrobią z nami bolszewicy?”. O tym, że bolszewicy pod Wilnem nie przyszli z pomocą, jeszcze nie wiedzieliśmy. Więc pocieszamy się wzajemnie, że bolszewicy przyjdą inni, i będą naszymi przyjaciółmi, że pójdziemy z nimi na Niemców i na pomoc Warszawie. Na dnie serca czai się jednak niedowierzanie — za dużo nam złego zrobili. Ale mamy Rząd Polski w Londynie i tyle nadziei związanych z tym. Oni wiedzą, że bolszewicy

18. Autorka, Wanda Lisowska, była przed wojną nauczycielką w szkole powszechnej w nowogrodzkim. W czasie wojny pełniła służbę kurierki w 5 batalionie „Irena” 77 pp. Obecnie prawdopodobnie przebywa w Stanach Zjednoczonych. Wspomnienia te napisała ona w Londynie w 1946 roku i wręczyła je Stanisławowi Szabuni, który z kolei udostępnił je Z. S. Siemaszce w 1971 roku. Zostały one częściowo omówione w nr. 25-tym *Zeszytów Historycznych*, str. 110.

19. Uderzeniowy Batalion Kadrowy, którym dowodził Bolesław Piasecki.

idą i muszą być pewni, że idą jako nasi sprzymierzeńcy. Inaczej nie dopuściliby do tego, gdyby to nam zagrażało.

Noc ciemna jesteśmy odcięci od swoich, garstka, nas jest około 60 żołnierzy. Z jednej strony Niemcy, z drugiej bolszewicy. Pociski przelatują przez nas. Przez całą noc czuwamy; nad ranem, gdy wszystko ucichło, nasi żołnierze wyrwywają się na Niemców, aby zdobyć trochę broni. Dowódca nie pozwala. Czekaemy znów cały dzień, aby nocą iść do swoich. Bolszewicy są już w pobliżu. Niepokój nasz wzrasta. W nocy spotykamy pierwsze oddziały wojsk sowieckich. Wrażenie jak najgorsze. Kilku strzelców poszło zobaczyć jak wygląda to wojsko. Wracają — twarze chmurne. Teraz już wiemy na pewno, że to są nasi wrogowie, jeszcze gorsi niż Niemcy, bo pod maską przyjaźni ukryci.

Rano jesteśmy w Podbrodziu pod Wilnem²⁰. Dołączyliśmy do batalionu. W kompaniach ożywiony ruch. Jakiś bolszewicki batalion z nami. Żołnierze handlują. Za stary zegarek można dostać Pepeszę. Bolszewicy masowo kupują rewolwery. Nie mają ich zupełnie. Po kilku dniach zrozumieliśmy ten handel, ta broń miała iść z powrotem do nich, bo rozbili polskie oddziały AK, jak zwykle podstępem. Nim jednak doszło do rozbicia były przebłyki, chcieli osłodzić późniejszy cios zadany tak zrećźnie. Zaproszono dowódców batalionów na odprawę. Na odprawie tej uznali zasługi AK i nas jako Wojsko Polskie.

W niedzielę odprawił ks. Piotr, kapelan 5 batalionu, nabożeństwo dziękczynne. Tej samej nocy obudził nas alarm i rozkaz, że za pięć minut wyruszamy²¹. Już wśród marszu dowiadujemy się prawdy. Bolszewicy aresztowali „gen. Wilka” i jego sztab. Zaprosili na herbatę i aresztowali. Teraz wypadki następują szybko po sobie. Idziemy nocami do puszczy Rudnickiej. Staramy się omijać wojska sowieckie. Nie wszyscy wiedzą o aresztowaniu „gen. Wilka” przez bolszewików i idą do Miednik, gdzie bolszewicy zarządzili koncentrację wszystkich oddziałów AK. Niestety, nie zdążyliśmy ostrzec wszystkich. Po akcji na Wilno oddziały były rozproszone i trudno było o kontakty między nimi. Tak więc prawie wszystkie oddziały poszły na wezwanie władz sowieckich pewni, że zostaną uznani jako Armia Polska. Rozczarowanie było straszne, tym więcej, że tak bardzo nieoczekiwane. Bolszewicy otoczyli wszystkich, rozbili, oficerów oddzielili, trzymali głodnych, wymęczonych, obdartych za drutami, jak przestępców. Tych wszystkich którzy przygotowali im teren. Bo tylko

20. Tu nie chodzi o miasteczko Podbrodzie położone kilkadziesiąt kilometrów na północny wschód od Wilna.

21. Relacja ta sugeruje, że sztab wileńskiego okręgu AK został aresztowany w niedzielę 16 lipca, a nie 17 lipca jak to się zwykle przyjmuje.

w większych miastach byli Niemcy, a tereny były opanowane przez AK-owców. Bolszewicy przechodzili całe tereny nie spotykając Niemców.

W Miednikach pod Wilnem przeżyli polscy partyzanci gehennę. 12.000 chłopców żegnało swoje matki, siostry, żony. Niektórzy mogli uciec, lub wykupić się, lecz przysięgli sobie, że pójdą na tułaczkę razem, solidarnie. Miedniki stały się symbolem walki o wolność Polski. Po trzech tygodniach wywieźli w zaplombowanych wagonach stłoczonych, głodnych chłopców. Ilu ich umarło z głodu i pragnienia nikt się nie doliczy. Oficerów wywieziono w liczbie około 2.000 w niewiadomym kierunku i zaginęły wieści o nich zupełnie i do dnia dzisiejszego nic o nich nie wiadomo²². Żołnierzy wywieziono za Moskwę do Kaługi, gdzie pracowali bardzo ciężko przy wyrębie drzewa. Epidemia malarii azjatyckiej dziesiątkowała żołnierzy. „Jurek” z oddziałów „Szczerbca” uciekł z tego piekła. Przyjechał jako palacz na maszynie w grudniu 1944. Głodny, obdarty, bez dokumentów, wyskoczył z pociągu towarowego, bojąc się kontroli. Z wycieńczenia nie mógł się podnieść. Jak długo leżał na torach nie wiedział. Obudził go głos mówiący po polsku, że już się jego nie odratuje, że to trup. Ostatnim wysiłkiem woli powiedział, że jest Polakiem i że mieszka w Wilnie. Wzięto go do szpitala, gdzie amputowano mu obydwie nogi na skutek odmrożenia. I dziś ten pełen życia młody chłopak jest kaleką. Inny znów 17-letni Luda Błażejewski umarł na malarię azjatycką. Takich przykładów zbrodni sowieckiej są tysiące.

Nie lepszy był los partyzantów tych, którzy uniknęli Kaługi. Po dobrnięciu do puszczy Rudnickiej, gdzie spotkaliśmy bardzo dużo rozbitków z różnych oddziałów, dowództwo objął mjr „Kotwicz”. Tacy idealisci rodzą się po to, aby dać przykład męstwa i odwagi tysiącom. Mjr „Kotwicz” był bez ręki, chory, wycieńczony. Był dla nas wzorem w znoszeniu wszystkich cierpień, a było ich dużo. Głód, a jeszcze gorzej — widok naszej ruiny i bezczynności, bo i cóż mogliśmy zrobić. Byliśmy rozbici i upadli na duchu. Mjr „Kotwicz” był tym, który najlepiej rozumiał nasze położenie, on jeden nie stracił nic z mocy swego ducha. Był silny za nas wszystkich. I kiedy zebrał żołnierzy i w krótkich, twardych, żołnierskich słowach przemówił, zrozumieliśmy że rozpacz tu nic nie pomoże i że bolszewikom się nie damy.

Część żołnierzy po zamelinowaniu broni wróciła do domu, a reszta utworzyła małe oddziały. Mjr „Kotwicz” objął dowództwo nad około 60 żołnierzami. Z batalionu „Sztremera” dołą-

22. Cyfry tu podane, 12.000 internowanych, a w tym 2.000 oficerów, są z pewnością przesadzone. Prawdopodobnie w sumie w Miednikach internowano około 2.000 (patrz nr 25-ty *Zeszytów Historycznych*, str. 111).

czyła tylko kompania por. „Lichego”. Por. „Licho” był także jednym z najszlachetniejszych typów żołnierza-partyzanta. Szczupły, dosyć wysoki blondyn, nos orli, oczy trochę zimne i jakże często ślące ironiczne spojrzenie, były w istocie najlepsze dla żołnierzy. Widziały każdą potrzebę żołnierza. Ranny czuł opiekę i serce swojego dowódcy. Odważny, doskonali „strategik”, cieszył się wielką miłością swoich żołnierzy. Z por. „Licho” szedł każdy z ochotą. „W ogień bym za nim poszedł” — mawiali chłopcy. Dziś to szlachetne serce jest tysiące kilometrów od Polski. Aresztowany dnia 18 lipca 1945 w Wilnie, po mękach NKGB został skazany na 20 lat Syberii²³.

Tydzień po przyjeździe do domu z Puszczy Rudnickiej spotkałam łączniczkę mjr. „Kotwicza”. Poszłam z nią do oddziału i zgłosiłam się do pracy u byłego mego dowódcy kpt. „Bustromiaka”. Mjr „Kotwicz” i kpt. „Bustromiak” byli na melinie. Ręka majora nie goiła się zupełnie, miał gorączkę. Oddział żołnierzy był w Nackiej Puszczy. Mój dowódca ucieszył się, że się zgłosiłam do pracy, bo trzeba było dużo ludzi pewnych i wypróbowanych. Ja byłam również szczęśliwa, że mogę im trochę pomóc, tym więcej, że ruch bolszewicki w terenie był wielki i mężczyznom trudno było się poruszać.

Urządzali wielkie łapanki. Wyglądało to w ten sposób. Przyjeżdżali o godzinie 2-giej, 3-ciej, otaczali wioskę i robili rewizję szukając broni, a zabierając ze sobą mężczyzn. Więzienia w okolicznych miasteczkach Raduń i Ejszyszki, były przepełnione. W jednej wilgotnej piwnicy stali stłoczeni mężczyźni, o tym żeby usiąść mowy nie było. Przesłuchania NKGB były okrutne, odbywały się przeważnie w nocy. Szpiclów w terenie moc, przeważnie rekrutujących się z Żydów, którzy pozajmowali stanowiska w milicji, NKWD, czy NKGB i pracowali jako konfidenti. Oddziały, nie chcąc dopuścić, aby ludność cywilna cierpiała na skutek donosów, likwidowały konfidentów sowieckich.

Łapanką został zaskoczony oddział mjr. „Kotwicza”. Sowietci, nie przygotowani, że spotkają silny oddział partyzancki, wycofali się ponosząc straty. Mjr „Kotwicz” zrobił odprawę i między innymi powiedział, że żołnierz polski nie cofa się po zwycięstwie. Tymczasem bolszewicy zaalarmowali o pomoc, nadjechali autami, otoczyli oddział i po krótkiej walce pod Surkontami gminy Raduń stracił życie mjr „Kotwicz”, jego adiutant i 23 żołnierzy. Kpt. „Bustromiak” stracił brata i sam został ranny²⁴. W naszym partyzanckim życiu był to dzień żałoby i żałamania.

23. W początku stycznia 1946 „Licho” został skazany na 25 lat łagrów. W lutym tegoż roku uciekł z więziennego transportu, wydostał się do Anglii, a potem wyemigrował do Stanów Zjednoczonych.

W Raduniu, dokąd sowieciarze przywieźli swoich zabitych, urządzili pogrzeb. Czerwone trumny z gwiazdami, orkiestra i groby na rynku.

Ciała naszych żołnierzy leżały na bagnach. Po kilku dniach odbył się pogrzeb. Nocami rodziny pozabierały zwłoki swoich najbliższych.

Po śmierci mjra „Kotwicza” niedobitki żołnierzy ukrywały się. Najgorszy był los rannych. Ludzie bali się trzymać ich, zastraszeni i karani więzieniem. Przewożono ich z miejsca na miejsce. Dużo umarło nie na skutek odniesionych ran, ale z upływu krwi, lub niedopatrzenia. System komunistyczny tak terroryzuje ludzi, że po miesiącu teren był nie do poznania. Ludzie bali się głośno mówić, spać. Nikt nie był pewny, czy nie będzie aresztowany. Mimo tego ludność pomagała oddziałom AK. Witali ich zawsze życzliwie, chociaż nazajutrz ich chaty mogły pójść z dymem za przetrzymywanie „biełych”, tak bolszewicy nazywali naszych żołnierzy.

Na terenie gminy raduńskiej trzymał się jeszcze oddział por. „Krysi”. Z osobą por. „Krysi” jest ściśle związany teren pow. lidzkiego. On był pierwszym partyzantem, wyszedł w pole mając przy sobie dwóch żołnierzy. Po roku batalion „Krysi” był najlepiej uzbrojony i umundurowany.

Zaraz po walce pod Surkontami zostałam aresztowana. Szłam na melinę żołnierzy niosąc im cywilne ubrania. W drodze spotkałam bolszewików, którzy szli z łapanki, na drodze z Radunia do Lidy. Już z góry widziałam ten orszak. Mężczyźni szli pieszo, otoczeni milicją i wojskiem. Aresztowani byli wieśniacy różnego wieku. Każdy z nich niósł w ręku kawałek chleba i słoniny. Widok ten nie przeraził mnie. My, niewiasty, byłyśmy do tego już przyzwyczajone. Nie mogłam ich minąć lub uciec, bo byli za blisko. Jadący na koniu NKWD’zista podjechał do mnie i zapytał, gdzie idę i co niosę. Jak zobaczył męską odzież krzychał: „Znaju, białemu bandycie niesiesz *odzież*. Jesteś aresztowana”. Powiększyłam więc orszak prowadzonych. Przyprowadzili nas do Radunia. Mężczyzn zamknęli w stajni, a mnie w ciemnej komorze. Trzymano mnie dwa tygodnie. Badania były w nocy. Pierwszej nocy badali mnie siedem razy. Badało ich kilku na raz. Byłam jednak tak osłuchana w jaki sposób badają, że powtarzałam w kółko ułożoną bajkę. Badania były ordynarne, bili. Dotyczyły wyłącznie wiadomości o oddziałach AK. Dużo gorzej obchodzili się z mężczyznami. Bili ich łamiąc żebra, wybijając zęby i katując.

24. Wątpliwe, czy wiadomości te dotyczące „Bustromiaka” i jego brata odpowiadają prawdzie (patrz nr 2-ty *Zeszytów Historycznych*, str. 111).

Niektórzy z nich załamywali się i wydawali kto należał do oddziału. W ślad za tym nowe aresztowania, nowe szykany. W miasteczkach trzymali w aresztach do dwóch tygodni, potem wywozili do Wilna lub Lidy. W Wilnie i Lidzie odbywały się sądy, a transporty na Syberię odchodziły co dwa tygodnie. W areszcie nie dawano jeść zupełnie. Pozwalano tylko na przynoszenie paczek, a raczej chleba, bo jeżeli przysłano coś więcej, to zabierała sama milicja.

Po wyjściu z więzienia zgłosiłam się do pracy u por. „Krysi”. W tym czasie, a był to październik 1944, por. „Krysia” miał mały oddziałek liczący około 15 żołnierzy. Pod jego dowództwem pozostawały również oddziały — „Zemsty”, „Filara” i „Śmiałego”. Były to oddziały liczące nie więcej jak 30 ludzi każdy. Oddziały nie prowadziły akcji zaczepnej, likwidowały konfidentów i były ochroną dla tych, którzy byli ścigani. Oprócz oddziałów czynnych były kompanie rezerwowe. Najlepiej uzbrojona i czynna była kompania ppor. „Gaja” we wsi Dojlidy gminy Ejszyszek. Długi czas bolszewicy bali się zaczepić tę wioskę. Tam też ukrywało się dużo chłopców, wyrabiano dokumenty, słuchało radia i wydawało biuletyny informacyjne.

W terenie wychodziła jeszcze gazetka pt. „Szlakiem Narbutta” redagowana przez „Styksa”, dzielnego redaktora, który mimo ciężkich warunków nie ustawał w pracy. Gazetki te dodawały ducha ludziom, były rozchwytywane w terenie. Bolszewicy byli wściekli, że nie mogą wykryć redakcji i że mimo takich aresztowań i terroru Polacy dalej pracują.

Praca w terenie była solidarna. Oddziały ze swoich szczupłych dochodów pomagały rodzinom poległych, wdowom, sierotom i uwięzionym. Bardzo gorliwie i sumiennie opiekę społeczną prowadził ksiądz Żaba i kwatermistrz „Czarny”. Cały dochód oddziały czerpały z majątków i młynów administrowanych przez Polaków. Można powiedzieć, że majątki i młyny utrzymywały oddziały.

W takich ciężkich warunkach przetrwaliliśmy do grudnia 1944. Przed świętami Bożego Narodzenia, które mieliśmy spędzić razem, była największa klęska. Aresztowany został ppor. „Gaj” — przypadkowo. Dopiero po przywiezieniu do Ejszyszek dowiedzieli się bolszewicy kim on jest. Komendant „Krysia” bojąc się, aby ppor. „Gaj” się nie załamał, robi akcję odbicia więzienia. Akcja nie udaje się, bo bolszewicy zamknęli „Gaję” na górze w biurach NKWD, więzienia więc zostały odbite, lecz ppor. „Gaj” nie. Po tej akcji bolszewicy masowo aresztowali inteligencję w miasteczku i okolicy. Aresztowano wówczas ks. „Żabę”.

W Kaleśnikach aresztowano doktor „Lusie” zarzucając jej opiekę nad rannymi.

Ja wtedy byłam w Wilnie z meldunkami u por. „Licho”, który miał wtedy pseudonim „Bruk”. Por. „Bruk” wyjechał do Wilna na kurację, miał wrzody na dwunastnicy. Pomimo choroby miał stały kontakt z naszymi oddziałami i we wszystkich ważniejszych wypadkach był doradcą por. „Krysi”. Aby nie zwracać na siebie uwagi był stróżem nocnym w jednym z muzeów. Pracował niezmordowanie, umieszczał rannych w szpitalach, wyrabiał dokumenty, melinował zagrożonych, mając specjalne prace w tajnej radiostacji²⁵.

W Wilnie w grudniu 1944 roku aresztowania były tak masowe, że nieomal w każdej kamienicy siedziało NKGB i zabierało wszystkich kto przyszedł do mieszkania. Więzień w Wilnie było 16. Na Łukiszkach było szalone przepełnienie. O aresztowanych trudno się było dowiedzieć, zabierali i jak kamień w wodę. Rodziny nosiły paczki po wszystkich więźniach i otrzymywały jedną odpowiedź — nie ma. Za szczęście uważano, jeżeli ktoś dowiedział się o swoich bliskich.

Święta Bożego Narodzenia w roku 1944 były bardzo smutne na całej Ziemi Wileńskiej. W drugi dzień Świąt duży transport Polaków wyjechał na Syberię.

Coraz częściej mówiono w dowództwie o wymarszu oddziałów za Bug, do Polski. Trudno było jednak zdecydować się tym, którzy tam wyrośli, którzy kochali tę ziemię, na opuszczenie jej. Ludność cywilna też nie mogła uwierzyć w wymarsz oddziałów. Gdyby nie te oddziały, bolszewicy jeszcze więcej buszowaliby w terenie. Bali się jednak. W okolicy puszczy Rudnickiej, bolszewicy robiąc łapankę trafili na oddział „Filara” i „Zemsty” z kwatermistrem „Czarnym” i zostali zdziśiatkowani. Oddziały znające doskonale teren wycofały się do puszczy i stamtąd biły. U nas straty były niewielkie. Zginął kwatermistrz „Czarny” i kilku strzelców, lecz dla nas każdy człowiek miał dużą wartość, straty więc nasze były jednak wielkie.

Myśleliśmy, że rok 1945 przyniesie nam zmiany — przyniósł. Dnia 21 stycznia 1945 zginął komendant „Krysią”. Zginął pod Naczą z rąk bolszewików, w czasie przypadkowego spotkania z nimi. Żołnierze byli tak zdezorientowani, tak nie przygotowani, że zostawili ciało komendanta. Dowództwo objął adiutant pchor. „Szary”. Ciało komendanta tylko w kalesonach z worka, włożonych na urągowisko, wozili ze śpiewem po wszystkich

25. Jednak „Licho” nie zdołał nawiązać łączności radiowej z Londynem (patrz nr 25-ty *Zeszytów Historycznych*, str. 119 i 120).

jarmarkach i miasteczkach. Chodzili po domach, wypędzali ludzi, aby poznawali, czy to jest naprawdę „Krysia”. Naigrywali się mówiąc: „Wasz Bóg, wasz 'Krysia', całujcie jego ręce i nogi”. Co zrobili z jego zwłokami nie wiadomo. Tak czcili bohaterów sprzymierzonego państwa.

Po śmierci „Krysi” dowództwo nad oddziałami objął jego zastępca „Mazepa”, chwilowo tylko był „Szary”. W oddziale miejsce „Krysi” zastąpił ppor. „Laluś”. W lutym 1945 zginął adiutant „Krysi”, „Szary” i dwóch żołnierzy.

Wiosna nie przyniosła nam żadnych zmian na lepsze. Bol-szewicy nawoływali, aby partyzanci zgłaszali się z bronią i nic im za to nie będzie, że będą odesłani do Polski. Rozsyłali w teren swoich agitatorów. Nie skusili nas. Mieliśmy wyjechać przez Wilno, a ci znanadto znani mieli iść z bronią.

W tydzień przed świętami Wielkanocy zostałam znów aresztowana w miasteczku Kiszyszki. Szłam zarejestrować partyzantów na wyjazd do Polski. Miałam przy sobie ich spis i karty ewakuacyjne *in blanco*. Aresztowali mnie w aptece, gdzie wsta-piłam po lekarstwo. Zrobili szczegółową rewizję, znaleźli ten spis i karty ewakuacyjne. Tłumaczyłam się, że to jest spis więźniów z Wilna, których Komitet Patriotów Polskich ma wieźć do Pol-ski. Były rzeczywiście takie pogłoski, lecz nie prawdziwe. W Ko-mitecie w Wilnie byli sami komuniści z mjrem Szymańskim na czele. Badania były tak jak poprzednio w nocy, ordynarne, bito mnie batem. Po dwóch tygodniach wypuścili mnie, nie mogąc nic udowodnić. Nie mogłam uwierzyć, że mnie wypuścili, ponieważ powiedzieli, że wywozą mnie do Trok. Więzienie w Trokach pod Wilnem znałam, bo woziłam tam paczki dla więźniów. Nie wiem, czy było gdzie gorzej jak tam. Więzień w Trokach było trzy, wszystkie w piwnicach zaciekających wodą. Więźniów było tak dużo, że po kolei mogli się zbliżyć do jedyne-go okienka, aby odetchnąć powietrzem i... bić wszy. Wszy łąziły po ścianach, roily się w bieliźnie, napadały człowieka. Nasz ks. „Żaba” miał rany wyjedzone przez wszy. Kiedy go zobaczyłam po trzech tygodniach więzienia, prowadzonego z badania, był to cień czło-wieka, byłabym go nie poznała, gdyby nie matka, która poda-wała mu paczkę i zauważyła go, czy wyczuła sercem matki. Z Trok wywożono do Wilna. Byłam w Wilnie pod więzieniem z paczką, kiedy przyprowadzono więźniów z Trok. Otoczeni wojskiem i psami klęczeli przed Łukiszkami dwie godziny na roztopionym śniegu, czekając na przyjęcie. Tak samo otoczonych wojskiem i psami prowadzili na wywóz do Rosji.

Dzięki staraniom naszego nowego komendanta „Mazepy” i por. „Bruka”, część chłopców wyjechała transportami za Bug²⁶.

Reszta poszła z bronią. Już za granicą, w nocy na śpiących, napadli bolszewicy, więc niewielu uszło z życiem. Do ostatniej chwili miałam kontakt z kilkoma żołnierzami. Czuli się okropnie widząc w Polsce to samo co tam i cierpieli nad utratą Wilna.

„GRAŻYNA”

LISTA PSEUDONIMÓW¹

- „Antoni” — por.-rtm. Antoni Borewicz, d-ca 2 komp. 2 bat. 77 pp.
„Bustromiak” — kpt. Bolesław Wasilewski. Oficer sł. stałej. Przed wojną 5 pp Leg. w Wilnie. Szef Oddz. II komendy Okręgu Nowogródzkiego AK. Od czerwca 1944 d-ca 5 bat. 77 pp. Po wojnie prawdopodobnie służył w UB.
„Czarny”* — por. Kwatermistrz. Zginął na przełomie 1944-45.
„Dolina” — por. Walczak. D-ca oszmiańskiej 13 brygady z Wileńskiego Okręgu AK.
„Filar”* — d-ca jednego z oddziałów w Puszczy Rudnickiej w jesieni 1944.
„Eryk”* — kpr. pchor. z 3 bat. — UBK.
„Gaj” — pchor.-ppor. Antoni Babula. D-ca plutonu w 2 komp. 5 bat. 77 pp.
„Grażyna” — Wanda Lisowska. Kurierka 5 bat. 77 pp.
„Horyń”* — ppor. Przed wojną oficer policji. D-ca 1 komp. 5 bat. 77 pp.
„Jodła” — por. Kopaczek. Saper. Prawdopodobnie zginął we wrześniu 1944.
„Jur”* — por. D-ca jednego z oddziałów cofających się do Puszczy Nalibockiej w sierpniu 1944.
„Jurek”* — z brygady „Szczerbca”.
„Klon” — Olszewski. D-ca plut. w 1 komp. 6 bat. 77 pp.
„Kotwicz” — mjr-ppłk dypl. Maciej Kalenkiewicz. Oficer sł. stałej. Saper. Zrzucony do kraju 27/28. 12. 1941. D-ca zgrupowania nadniemeńskiego. Poległ 21. 8. 1944 w Surkontach.
„Kruk” — sierż.-chor. Waszkiewicz (a nie Wolski, jak podaje Paszul). Szef Oddz. II obwodu Stołpce. Zmarł w Anglii. (Patrz „Lutek”).
„Krysia”, „Kryś”, „Krysiak” — por. Jan Borysewicz. Oficer sł. stałej. D-ca 2 bat. 77 pp. Po lipcu 1944 d-ca luźnych oddziałów w okolicy

26. Po klęsce „Burzy” część pozostałej organizacji i funduszy Wileńskiego Okręgu AK została zużyta w celu ratowania żołnierzy poprzez umożliwienie im repatriacji do PRL przy pomocy fałszywych dokumentów i koniecznych środków materialnych. W tej dziedzinie Okręg Wileński należał do wyjątków, gdyż w wielu innych Okręgach nie przeprowadzano akcji rozładowania i „demobilizowania” żołnierzy.

Jako przykład można przytoczyć Komendę Gł. AK, której pozostałe fundusze zostały w całości przekazane władzom PRL, na rozkaz płk. dypl. Jana Rzepeckiego. Natomiast żołnierzom w terenie nie dostarczono środków materialnych (dokumenty, ubrania, pieniądze na przejazd i zainstalowanie się w nowym miejscu) koniecznych do względnie bezpiecznego wyjścia „z lasu”.

1. Zgodnie z oficjalną numeracją batalionów 77 pp batalion „Pala” został tu oznaczony jako 6-ty, a nie jako 3-ci, jak podaje Paszul. Pseudonimy żołnierzy nowogródzkich, których nie zdołał zidentyfikować płk Prawdzic-Szlaski są oznaczone gwiazdką (*).

- Puszczy Rudnickiej. Zginął 21. 1. 1945.
- „Lalus” — podoficer (a nie ppor. jak podaje „Grażyna”) Makowski. Przyboczny „Krysi”. Objął d-two oddziału „Krysi” po jego śmierci. Po wojnie w kraju.
- „Licho”, „Lichi”, „Bruk” — ppor.-kpt. Stanisław Szabunia. D-ca 2 komp. 5 bat. 77 pp. Wydostał się na Zachód. Obecnie w Stanach Zjedn.
- „Listek” — ppor. Z zawodu nadleśniczy. D-ca plutonu w 1 komp. 6 bat. 77 pp.
- „Lot” — D-ca plutonu w 1 komp. 6 bat. 77 pp.
- „Lusia” — dr med.
- „Lutek”, „Jastrząb” — Wolski. Kwatermistrz zgrupowania Stołpce. Zginął pod Żyrardowem latem 1944.
- „Niemen” — dr med. z 6 bat. 77 pp.
- „Mazepa”, „Miedzianko” — Nienartowicz vel Niewiarowski. Adwokat. Był w nowogrodzkim BIP’ie. D-ca oddziałów w okolicy Puszczy Rudnickiej po śmierci „Krysi”. Po wojnie w kraju.
- „Oleś” — ppor. D-ca zapasowej komp. w 2 bat. 77 pp.
- „Olszyna” — Stefan Kaczałko, D-ca plutonu w 1 komp. 6 bat. 77 pp.
- „Pal” — kpt. Stanisław Dedelis. Oficer sł. stałej. Przed wojną adiutant 77 pp, potem w szkole dla małoletnich. Wątpliwe, żeby był promowany z podoficera, jak sugeruje Paszul. Komendant obwodu Iwie-Juraciszki. D-ca 6 bat. 77 pp.
- „Pantera” — por. Zakrzewski.
- „Piotr” — ks. Piotr Siczek, kapelan 5 bat. 77 pp.
- „Pohorecki” — mjr-ppłk dypl. Antoni Olechnowicz. Oficer sł. stałej. D-ca zgrupowania podczas „Burzy” wileńskiej. Kierował organizacją Wileński Okręg AK na Pomorzu po wojnie. Rozstrzelany w PRL w 1948 roku.
- „Ponury” — por. Jan Piwnik. Przed wojną oficer policji. Zrzucony do kraju 7/8. 11. 1941. D-ca 7 bat. 77 pp. Poległ 17. 6. 1944.
- „Ragnar” — ppor. Czesław Zajączkowski. Przed wojną pchor. rezerwy łączn. D-ca 4 bat. 77 pp.
- „Ryk” — kpt. Puczeko.
- „Sablewski” — ppor. Bolesław Piasecki. Przed wojną przywódca Falangi. D-ca 3 bat. 77 pp. tzw. Uderzeniowy Batalion Kadrowy.
- „Selim” — sierż. pchor. Zdzisław Ciemnicki. D-ca zwiadu w 6 bat. 77 pp.
- „Styks” — redaktor „Szlaku Narbutta” wydawanego po „Burzy” wileńskiej.
- „Szary” — pchor. adiutant „Krysi”. Zginął w lutym 1945.
- „Szpak” — d-ca plut. w 6 bat. 77 pp.
- „Sztremer” — kpt.-mjr Stanisław Truszkowski. Oficer sł. stałej. Artylerzysta. D-ca 5 bat. 77 pp. W czerwcu 1944 został wysłany przez „Wilka” w misji na wschód przez front niemiecko-sowiecki. Tam został aresztowany. Potem służył w wojsku ludowym.
- „Szczerbiec” — por.-kpt. Gracjan Fróg vel Frug. Oficer sł. stałej. D-ca 3 brygady wileńskiej.
- „Śmiały” — ppor. D-ca jednego z oddziałów w Puszczy Rudnickiej w jesieni 1944.
- „Tur” — por. Witold Turonek. Oficer sł. stałej. D-ca 8 brygady wileńskiej. Według Tadeusza Konwickiego „Tur” zginął zimą — styczeń-luty 1945 roku pod Nowogrodkiem.
- „Węgiel” — kpr. Stanisław Paszul, z 6 bat. 77 pp.
- „Wiesław” — ppor. Krzywicki z 2 bat. „Krysi”. Po wojnie służył w wojsku ludowym.
- „Wilk”, „gen. Wilk” — mjr-ppłk Aleksander Krzyżanowski. Komendant Okręgu Wileńskiego. Zmarł w więzieniu mokotowskim w 1952 roku.
- „Wnim” — por. Władysław Mickiewicz. Zginął pod koniec 1944.

„Zemsta”* — d-ca jednego z oddziałów w Puszczy Rudnickiej w jesieni 1944.

„Zdrój”, „Zdroja” — ppor.-rtm. Bałachowicz. Oficer służby stałej. Przed wojną 17 p. uł. wielkopolskich. D-ca 1 komp. 6 bat. 77 pp. Cieszył się szacunkiem swego d-cy „Pala”. Poległ pod Wilnem 7 lipca 1944.

„Zych” — kpt. Władysław Żogło. Oficer sł. stałej. Przed wojną w 88 pp w Grodnie. D-ca 1 bat. 77 pp.

„Żaba”* — ks. kapelan 2 bat. 77 pp.

Z. S. SIEMASZKO

DOKUMENTY

HISTORYCZNE WYWIADY SPRZED 40-tu LATY

W okresie międzywojennym, od 1930 roku, ukazywał się w Warszawie dwutygodnik Bunt Młodych (od 1937 roku przekształcony na tygodnik Polityka). Kultura jest w pewnym sensie kontynuacją tego pisma ze względu na osobę redaktora i wydawcy. Jest to pismo dziś dość gruntownie zapomniane. Czym było to pismo? — zostawmy to przyszłym badaczom, jeśli tacy się znajdą gdy zmieni się sytuacja w Polsce. Między innymi w Buncie Młodych był dział specjalny — Wywiady z czołowymi działaczami 2-ej Rzeczypospolitej.

Ponieważ od pewnego czasu trwa dyskusja na temat polityki wschodniej Polski Niepodległej przedrukowujemy bez zmian i komentarzy dwa wywiady, zamieszczone w Buncie Młodych przed 40-tu laty: Rozmowa historyczna ze St. Grabskim (listopad-grudzień 1935) oraz rozmowa z Aleksandrem Ładosiem Jak straciliśmy Mińsk i federację z Białą Rusią (styczeń 1936).

Mieczysław PRUSZYŃSKI

ROZMOWA HISTORYCZNA ZE ST. GRABSKIM

Czasy przedwojenne. — Józef Piłsudski, Roman Dmowski, Paderewski, Wincenty Witos.

Trzymając się tradycyjnych zasad dziennikarzy robiących wywiady, opisać najprzód powinienem miejsce zamieszkania, wy-

gląd zewnętrzny oraz zwyczaje i tryb życia Stanisława Grabskiego. O ile chodzi o miejsce zamieszkania wybitnego męża stanu, to trudno jest doń trafić. Willa, a raczej dworek z dużym ogrodem, nie leży bowiem ani w mieście ani na wsi ale w szczerym polu; brak naturalnego drogowskazu w postaci nazwy ulicy i numeru domu zmusza do posługiwania się w tym wypadku bardziej prymitywnymi środkami informacyjnymi, jak nagabywanie nielicznych tu w jesieni przechodniów. Na dobitkę furtka od dominium profesora Grabskiego jest zaopatrzona w nieprzyjemny napis: „złe psy”.

Wygląd zewnętrzny Stanisława Grabskiego pozostaje pod znakiem tego samego indywidualizmu, który cechuje jego miejsce zamieszkania. Niedawno jeden z tygodników zamieścił szereg ilustracji z zeszłorocznego pobytu Marszałka Piłsudskiego w Moszczanicy, w majątku państwa Kępińskich. Wśród szeregu zdjęć rzucała się w oczy fotografia Marszałka w otoczeniu kilkunastu oficerów swego sztabu. Na pierwszy rzut oka przychodziła na myśl uwaga, że ten Człowiek w mundurze Marszałka, a ci ludzie w mundurach pułkowników i majorów to ludzie najzupełniej różnych ras, klas i czasów. Józef Piłsudski miał wygląd zewnętrzny rasowego szlachcica, ziemianina, polonusa. Stanisław Grabski jest pod tym względem najzupełniej do Marszałka podobny.

— Pochodzę z rodziny ziemiańskiej — oświadczył mi zresztą już w pierwszych chwilach rozmowy sam Grabski, gdy po długim błędzeniu po wertepach wzgórz wóleckich komplementowałem urok (siedząc już w saloniku), jego wiejskiej siedziby. (Tak — pomyślałem sobie — po Grabskich herbu Pomian, starożytnym rodzie łączyckim, odziedziczył były minister nie tylko prawdziwie polski typ karmazyna, ale i również ogromną zapalczywość. Czyż to nie Grabski, kasztelan rogoziński, kazał jakimś heretykowi „język tyłem głowy wyprowadzić i na stosie spalić?”). I zapewne nie czemu innemu, jak właśnie aktualnym w tym domu tradycjom staropolskiej gościnności zawdzięczać winienem długą i ciekawą rozmowę, jaką początkującego polityka zaszczycił wybitny mąż stanu. Podzielić ją można treściowo na cztery etapy historyczne, do których się odnosi: czasy przedwojenne i wojenne aż do powstania Państwa Polskiego, okres wojny polsko-bolszewickiej i Traktatu Ryskiego, nasze stosunki wewnątrzno-polityczne w latach 1922-1926 z wypadkami majowymi włącznie. Wreszcie z rozrzuconych w czasie rozmowy a zanotowanych skrętnie przeze mnie urywków postaram się odzwierciedlić czytelnikom poglądy Stanisława Grabskiego na rozwój wypadków w Polsce w najbliższej przyszłości.

— Zarówno Józef Piłsudski jak i Roman Dmowski są ludźmi ogromnej zasługi dla powstania Państwa Polskiego. Posiadali wiele cech różnych, różniły ich przewidywania polityczne i wybór środków i dróg wiodących do tego samego celu: niepodległości Polski. Ale mieli zasadniczą cechę wspólną — stosunek władczy do Polski. I dlatego, nie mogli nigdy się pogodzić trwale. Obaj byli bowiem głęboko przekonani, że się urodzili po to, by Polską rządzić wedle własnej jedynie myśli. I to nie dopiero po odzyskaniu niepodległości. Przypominają mi się dwa niezwykle charakterystyczne pod tym względem obrazy.

Pierwszy z roku 1905 — w Krakowie. Byłem wtedy docentem Uniwersytetu Jagiellońskiego i — jak zwykle mieszkalem za miastem. Od roku mieszkał też w Krakowie Piłsudski, wykradziony z więzienia petersburskiego, przez Dr. Mazurkiewicza. Odwiedzaliśmy się dość często, rozmawiając oczywiście o szykującej się w Rosji rewolucji. Jednego popołudnia marcowego, chodziliśmy po moim ogrodzie. Piłsudski dowodził konieczności rozpoczęcia walki zbrojnej, w której celowość wówczas dla całego szeregu względów nie wierzyłem.

— Musimy robić powstanie — mówił Piłsudski. — Skąd weźmiemy broń — zapytałem. — Austria nas wspomże — odpowiadał Piłsudski. — Naiwne złudzenie — odparłem — a mający się Wam dyktatura! W tej chwili do ogrodu zeszła żona i poprosiła nas na kolację.

W czasie pierwszego dania nastrój był też nieswój, nieprzyjemny. Piłsudski siedział w milczeniu, zły widocznie. Nagle twarz mu się rozjaśniła, zjawił się na niej uśmiech zadowolenia i zwrócił się do mnie powiedział:

— A jednak będę w Polsce dyktatorem! Przepowiedziała mi to cyganka. A wszystko, co mi ona przepowiedziała dotychczas się sprawdza.

A teraz drugi epizod, dotyczący Dmowskiego. Było to w 1908 roku. Mówiliśmy na temat przyszłej niepodległości Polski. Wyrzuciłem się, że mnie to osobiście mało obchodzi, czy zobacze niepodległość sam osobiście, że pracuję z myślą o ciągłości pokoleń. Dmowski przerwał mi gwałtownie. A ja Ci mówię, że na pewno zobaczę i to niedługo Polskę niepodległą. I wiesz — czym chcę być w niej: naczelnikiem policji państwowej, bo ten ma faktyczną władzę w państwie i utrzymuje w nim porządek. A utrzymanie dobrego porządku w Polsce będzie najważniejszą rzeczą. Tak — dodaje Grabski — ci ludzie wierzyli, że są urodzeni do rządzenia Polską. Toteż w ich książkach stale się powtarza słowo: ja i ja. A zarazem obydwaj — to ludzie nie tylko wielkich talentów, lecz olbrzymiej, choć despotycznej miłości Polski.

— Czy Pan Minister nie jest zdania, że te talenty mogły się były z powodzeniem uzupełniać wzajemnie — wtrącam.

— Naturalnie że tak. Piłsudski był tytanem czynu a Dmowski niezwykle daleko widział przyszłość międzynarodowych stosunków i znał je gruntowniej niż ktokolwiek w Polsce. Błędem z jego strony było zbyt jednostronne przecenianie w walce o niepodległość gry dyplomatycznej, a niedocenywanie bohaterstwa walki orężnej. Otośmy się spierali mocno na dwóch ostatnich przed wojną zjazdach Ligi Narodowej. My tu w Małopolsce — galicyjscy endecy — równocześnie, gdy Piłsudski organizował związek strzelecki, tworzyliśmy drużyny sokole, bartoszone i harcerskie.

Szczególnie zasłużony w tej pracy był zapomniany dziś niestety śp. Stanisław Biega, konspiracyjny kierownik współpracy sokolej trzech zaborców. Z tą „endecką” pracą „przygotowania wojskowego” współdziałał wydatnie Józef Haller. Wiele też w nią włożył zapału hr. Skarbek. Ale to się robiło tylko w Galicji. A do rozszerzenia tej pracy przygotowania polskiego czynu zbrojnego i na królestwo, Dmowski nie dopuścił. Dopiero pod koniec wojny po rewolucji rosyjskiej zaczęły się tworzyć poważne siły wojskowe polskie przeciwko państwom centralnym. Ale to było za późno.

Niesłusznie też moim zdaniem Dmowski w zimie 1918 na 1919 przecenił znaczenie politycznego precedensu jakim by był powrót armii Hallera do Polski przez Gdańsk (czego mu się zresztą uzyskać nie udało). Ważniejsze byłoby przybycie już w grudniu czy początku stycznia przez Włochy i Austrię — co było naprawdę możliwe — choćby pierwszych dwóch dywizji tej armii.

To lekceważenie przez Dmowskiego bohaterstwa czynów orężnych, przejawia się i w jego tak bezwzględny osądzie powstań.

Ale z drugiej strony Piłsudski nie doceniał na początku wojny ani zależności Austrii od Niemiec, ani sił antyniemieckiej koalicji. Wprawdzie pod koniec wojny naprawił błąd swej orientacji początkowej. Szczypiorna i Magdeburg uratowały moralną siłę legionów. Ale stało się to dzięki odporowi opinii publicznej przeciwko pomysłom tworzenia wielkiej armii przy boku Niemiec, dzięki „pozytywistom” tak bardzo przez piłsudczyków po dzień zohydzanym. I gdyby w listopadzie 1918 były tylko Magdeburg i Szczypiorna a nie było armii Hallera i Komitetu Narodowego w Paryżu — to nie byłoby też w Wersalu Polski jako współwalczącego i współzwycięskiego narodu.

Naprawdę w tym widzę największą łaskę Boską — że gdy w czasie wojny jedna połowa patriotów robiła jedno, a druga coś wręcz odmiennego, i gdy każda z nich wysilała się jak naj-

bardziej by przekreślić to, co druga czyniła — obie orientacje nie zniwelowały się nawzajem, ale się uzupełniły. Tak, — w czasie wojny światowej prace i talenty Piłsudskiego i Dmowskiego, wbrew nawet ich wiedzy i woli, a jeszcze bardziej wbrew zwolennikom jednego i drugiego, uzupełniały się. I to było wielkim szczęściem Polski. A za to, powtarzam, należy się nam dziękować Bogu, i brać stąd naukę, że nie rozum ludzki rządzi światem.

— Zastanowiło nas nieraz, Panie Ministrze, że Dmowski nigdy nie był premierem, mimo że tylu miernych w porównaniu z nim ludzi sprawowało wtedy w Polsce tę funkcję.

— Tak, może się to wydawać dziwne. Ale nigdy nie było u nas sytuacji, w której by mogło być uzyskać drogą legalną władzę jedno tylko stronnictwo. Dmowski zaś jest człowiekiem samowładnych rządów, a nie współpracy w rządzeniu.

— Czy nie było jednak nigdy takiej sytuacji, by Piłsudski i Dmowski szli razem. Był przecież w 1918 roku znany list Marszałka zaczynający się od słów „Kochany Panie Romanie”.

— Próby pójścia razem były. Ja sam parę razy próbowałem ich godzić. Po raz pierwszy było to w 1905 roku. Dzięki memu pośrednictwu Piłsudski i Dmowski kilka razy z sobą rozmawiali i obaj pojechali wtedy na zjazd rewolucjonistów rosyjskich do Paryża. Zaraz potem przysłała działalność bojowa w Królestwie i drogi ich się rozeszły.

Drugą próbę przedsiębrałem w roku 1918, gdy przyjechałem do Polski jako przedstawiciel Komitetu Narodowego. Wtedy do porozumienia doszło i to w ciągu trzygodzinnej zaledwie konferencji z Marszałkiem. Ustaliliśmy, że Piłsudski uznaje Komitet Narodowy w Paryżu jako reprezentację na Kongresie pokojowym, Dmowski zaś uznaje Piłsudskiego w Warszawie jako Naczelnika Państwa. Wtedy też napisał Piłsudski do Dmowskiego ów list, o którym Pan wspomina. Ale zamach na rząd Moraczewskiego znów wywołał wszystkie dawne niechęci i nienawiści. Groziło zupełne rozbitcie wewnętrzne narodu w obliczu wrogów zewnętrznych. Uratował wówczas sytuację, gdyż potrafił w tej tak niebezpiecznej chwili porozumieć się z Piłsudskim, Paderewski i stworzył rząd naprawdę jedności narodowej. Niestety jednak gdy w kilka miesięcy później, zresztą już po ustąpieniu gabinetu Paderewskiego, Dmowski wrócił do Polski — nie umieli się Piłsudski z Dmowskim bezpośrednio dogadać.

A czasem i drobnostki odgrywają rolę. Gdy Dmowski odwiedził w Belwederze Piłsudskiego, ten kazał mu czekać na siebie przez pół godziny.

Po raz trzeci próbowałem dokonać porozumienia za czasów premierostwa mego brata. Uważał on umożliwienie czynnej współ-

pracy w rządzie i Piłsudskiemu i Dmowskiemu jednocześnie za niezwykle doniosłe dla przyszłości Polski. Ale odnośne sugestie nasze z obu stron były z punktu odrzucane.

Wreszcie w ostatnich dniach koalicyjnego rządu hr. Skrzyńskiego starałem się niestety bezskutecznie tłumaczyć, że skoalizowane stronnictwa, powinny ofiarować Piłsudskiemu odpowiednie dlań stanowisko kierownicze w armii — bo wtedy socjaliści nie opuszczą koalicyjnego rządu — a póki będzie trwać koalicja z socjalistami — nie będzie zamachu ani wojskowego ani komunistycznego.

— Co zdaniem Pana Ministra było główną przeszkodą, że do porozumienia dojść nie mogło?

— Może dlatego, że mając wyłącznie służebny stosunek do Polski, nie umiałem trafić do ich władczych dusz.

— A czy mogę zapytać się z kolei Pana Profesora o jego zdanie o Witosie, jako mężu stanu?

— O Witosie muszę powiedzieć jedno. To, że się znalazł w Polsce chłop, który zdobywszy ogromny wśród ludu autorytet wręcz mu powiedział, że Polska nie jest dla chłopów ale chłopci dla Polski — to fakt dużego znaczenia w historii początków naszej odrodzonej niepodległości. Aby to w pełni ocenić, należy sobie zdać sprawę, jak klasowym był poprzednio w Polsce ruch ludowy. W końcu XIX wieku w Galicji wprost nie można było chłopom mówić o Polsce. A Witos im mówił stale więcej o Polsce niż o chłopskich krzywdach. Ja, panie, nie mogę zrozumieć tych walk — mówi zapalając się Grabski — że gdy jeden ma być wielki, to drugi musi być mały. Polskę przecież stać na to, by miała szereg ludzi niepospolitych. I teraz ja się Pana z kolei zapytam: dlaczego się mnie pan nie pyta o Paderewskiego. Tak, chcę by Pan, jako jeden z przedstawicieli młodego pokolenia się mnie pytał o Paderewskiego. Bo gdy patrzę na to jak się go ze strony i piłsudczyków i dmowszczyków pomniejsza, gdy słyszę jak się go przemilcza, gorzej plotką szerzoną w różnych konspiracjach zniesławia, to że jest masonem, a to że ma przyjaciół Żydów, a to że lepszy muzyk niż polityk itd., itd. — to bierze mnie lęk, duży lęk, czy nie jesteśmy niestety zaledwie podobni do Greków, którzy każdego swego wielkiego człowieka skazywali na wygnanie, albo i na śmierć i którzy dla tego, mimo chwil olbrzymiego bohaterstwa — tak niesławnie upadli.

Co to dużo gadać. Ani Anglia ani Francja nie chciały przed końcem wojny zobowiązać się publicznie do zjednoczenia wszystkich zaborów i danie Polsce dostępu do morza. Zrobił to zaś Wilson, który też był w Wersalu faktycznym arbitrem losów Europy. A pozyskanie Wilsona dla sprawy odrodzenia Wielkiej

Polski — tak całkowicie, jak nie byli pozyskani ani Lloyd George ani Clémenceau — było dziełem wyłącznie Paderewskiego. Jego dyplomacja — rzekomo tylko artystycznie — dyletancka, była naprawdę ze wszystkich naszych ówczesnych dyplomacji najsukcesyjniejszą. — I przyjazd to przecie Paderewskiego do Poznania dał nam powstanie wielkopolskie. A o doniosłym znaczeniu pojednania, które sprawił jego gabinet pierwszej połowy 1919 roku już powiedziałem. — Ale pomimo to wszystko, są dziś w Polsce piłsudczycy, dmowczycy — nie ma jednak paderewczyków. Czemu? — Bo nigdy się o to nie starał. Dawał hojnie po **magnacku** Polsce. Ale nigdy niczego w zamian dla siebie od Polski nie chciał — nawet uznania. Ale dziś już można powiedzieć bez obawy, by sąd ten przyszłość zmieniła: najczystszy, najofiarniej Polskę kochającym z wielkich naszych patriotów **ostatniego ćwierćwiecza** — jest Paderewski. Na jego patriotyzmie nie ma najmniejszej zmyzy.

Czemu to Panu mówię? Bo chciałbym, by młode pokolenie zrozumiało to nade wszystko, że zagadnienie przyszłości Polski jest o wiele bardziej zagadnieniem siły i wartości moralnej narodu — niż dobrej logicznej konstrukcji programów naszej polityki. A niewiele jest moralnie wart naród, w którym partyjne zawiści zabijają poczucie sprawiedliwości.

I teraz jeszcze powtarzam: Polskę stać było w okresie wojny światowej na kilku ludzi naprawdę wielkiego ducha, umysłu i serca. Dziękujemy za to Bogu, że nie był tylko jeden, że było ich więcej. I nie ponizajmy, nie przemilczajmy innych — by podnieść jednego.

— Czy uważałby więc Pan nacisk opinii w kierunku amnestionowania Witosa za pożądany?

— Bez wątpienia tak.

Rok 1919 — Bolszewicy czy Denikin

Z kolei rozmowa przechodzi na nowsze czasy, okres wojny polsko-bolszewickiej i traktatu z Rosją, w którym rozmówca nasz odegrał tak decydującą historyczną rolę. Przede wszystkim chcielibyśmy z tak autorytatywnego historycznie źródła zasięgnąć informacji, co do stanu rokowań polsko-bolszewickich w roku 1919, odnośnie do których źródła polskie i rosyjskie są wręcz sprzeczne. Formujemy więc pytanie.

— Czy zdaniem Pana Ministra Polska zawarła rozejm z Rosją (kwiecień-grudzień 1921) by umożliwić jej zgnicenie armii białej?

— Słyszałem o tym już znacznie po 1920 roku, ale nigdy o prawdziwość tej wersji nie zapytałem się Piłsudskiego, bo już wtedy się z nim nie stykałem. Mogę tylko powiedzieć, że gdyby ktoś się mnie był zapytał o zdanie w tej sprawie, odpowiedziałbym, że nie mamy powodów do popierania Denikina. Ten ostatni wysłał w roku 1919 do Warszawy kozackiego generała — nazwiska już sobie nie przypominam. Rozmawiałem wtedy z nim. Z rozmowy tej przekonałem się stanowczo, że ani Denikin ani Wrangel, ani nikt z białej armii nie zgodzi się na przyznanie Polsce dalszych granic na wschodzie poza Bug. Rewolucja nie nauczyła tych ludzi niczego.

O tym czy Marchlewski naprawdę przyjeżdżał wtedy do Polski i osobiście sprawę rozejmu z Piłsudskim w Belwederze omawiał — nie wiem*.

I po chwili jeszcze Minister dodaje:

— Jakem podpisywał wspólnie z innymi delegatami preliminarz pokojowy w Rydze, powiedziałem do Dąbskiego: „Podpisujemy w tej chwili wyrok śmierci na armię Wrangla”. Ale musiała nam być bliższą Polska niż biała Rosja. Przypomina mi się jeszcze inny, związany z tym epizod. W czasie rokowań ryskich Joffe zapytał się mnie, czym uzasadniamy nasz projekt granicy na Wołyniu. Odpowiedziałem, że wyłącznie wymaganiami strategicznymi. „Musimy mieć przewagę techniczną (kolej Równe - Sarny - Baranowicze), bo wy macie liczebną”. Joffe mi na to po chwili wahania powiedział: „No dobrze, ale skąd my możemy wiedzieć, że gdy my ruszymy na Wrangla to wy na nas z tyłu nie uderzycie”. Odpowiedziałem „o nieszczerłość możecie nas podejrzewać, ale nie powinniście nas podejrzewać o głupotę. Jeśli wy nam przyznacie teraz granice których żądamy, to czyż opłaci się nam pomagać Wranglowi, by on je potem obalił”. Uspokoili to Joffego.

Doszliśmy już do traktatu ryskiego. Rzykujemy pytanie.

— Czy zdaniem Pana Ministra Polska w Traktacie ryskim mogła była uzyskać korzystniejszą granicę na Wschodzie.

Chmura gniewu ukazuje się nagle na pogodnym dotychczas obliczu Stanisława Grabskiego. Mimowoli przypomina mi się kasztelan rogoziński i smutny los heretyka w jego ręku. Minister mówi zapalając się:

— Właściwie nie powinienem Panu odpowiadać na to pytanie. Nie pamiętam, czy Pan, czy brat pański napisaliście nie-

* A więc tu może leżał pretekst do niezrozumiałych oszczerstw szerzonych z pewnych kół politycznych w roku 1920 i później o „tajnym połączeniu telefonicznym Belwederu z główną kwaterą wojsk sowieckich”?

dawno — że dyskusja z Giertychem sprawę tę wyjaśniła. Zanadto młodzieńcze jest to pytanie! Wszyscy razem myślicie, że rząd ówczesny i Rada Obrony i naczelne dowództwo i delegacja pokojowa — jednym słowem cała Polska to była kupa niedołęgów i matolków. Całe nieszczęście Polski — to że p. Giertych był wówczas za młody, by grać czynną rolę w naszym życiu państwowym. Bo on jeden by należycie ocenił sytuację. Śmieszna zarozumiałość. Wygraliśmy w 1920 roku kampanię. Ale nie zniszczyliśmy żywej siły nieprzyjaciela i Polska była bardziej wyczerpana od Rosji. Trzeba było zawrzeć pokój koniecznie przed zimą. Przeciągaliśmy umyślnie rokowania jak najdłużej, by wojska nasze posunęły się jak najdalej na wschód. Ale dłużej tej gry prowadzić nie sposób było. A zima dałaby bolszewikom zrekonstruowanie armii. I co najważniejsze — podczas zimy albo by bolszewicy pokonali Wrangla, albo Wrangel bolszewików. Tego ostatniego najbardziej się bałem. Bo w razie zwycięstwa Wrangla opuściłaby nas nawet Francja. Rosja „biała” — dla masy rentierów francuskich oznaczała zwrot carskich długów i procenty od posiadanych przez nich obligacji rosyjskich. Rosja „biała” byłaby bliższa sercu francuskiemu od Polski. Tylko od Rosji bolszewickiej mogliśmy wywalczyć uzyskane granice.

— Czy Pan Minister zechciałby nam jeszcze udzielić wyjaśnienia, dlaczego w publicystyce polskiej pojawia się od czasu do czasu sprawa Mińska, z zaznaczeniem niechętnego jakoby stanowiska Pana, odnośnie jego przyłączenia wówczas do Polski?

— Przyłączenia ziemi mińskiej do Polski nie uważałem mimo wszystko za rzecz wartą ani ryzykowania dłuższej wojny (boć go jeszcze nie mieliśmy) ani też ustępstw na innym odcinku. Etnograficznie uważałbym już nawet za ważniejsze ziemie na południu, Kamieniec, Płoskirów i Stary Konstantynów. A jeśli i od ich domagania się odstąpiliśmy — to dlatego, iż uważaliśmy za jeszcze ważniejsze dla nas ziemie na północy, Dżisnę i Wilejkę. One bowiem dawały nam wspólną granicę z Łotwą i odcinały Litwę od Rosji, a przez to umożliwiały nam wcielenie do Polski Wilna, rzecz niemożliwą w innych warunkach. Wraz z tym też Rosja w preliminarzu pokojowym uznała, że sprawa ziemi wileńskiej jest sporem wyłącznie polsko-litewskim, i w ten sposób zerwała *de facto* swój sojusz z Litwą. Zapewnienie w ten sposób inkorporacji ziemi wileńskiej, uważałem za wiele ważniejsze od zdobycia Mińska, choć latyfundia polskie były większe w Mińszczyźnie niż w ziemi wileńskiej. Przede wszystkim jednak zrozumiałem, że tylko odepchnięta od Bałtyku Rosja skieruje swą ekspansję na wschód i wcześniej czy później zerwie porozumienie z Niemcami. Oto dlaczego starałem się ze wszystkich sił o zyska-

nie dla Polski wspólnej granicy z Łotwą i oddzielenie spornej ziemi wileńskiej od Rosji. Moją to było przede wszystkim inicjatywą żądanie Dżisny i Wilejki, choć tam nie powstała w kontrofensywie naszej jesiennej 1920 roku ani jedna jeszcze noga żołnierza polskiego. Przeprowadzenie tego żądania uważam za najlepszą bodaj rzecz, jaką mi się kiedykolwiek udało zrobić dla Polski.

Sprawa tajnej klauzuli o Petlurze

— Na zakończenie okresu Traktatu ryskiego chcielibyśmy jeszcze prosić Pana Ministra o wyjaśnienie sprawy tajnej klauzuli w Traktacie, która miała zobowiązywać Polskę do wydalenia atamana Petlury z granic Polski. Sprawa tej klauzuli spotyka się jednak do dziś dnia z kategorycznymi zaprzeczeniami niektórych kół.

— Nic o tym nie wiem.

— Niedawno jednak, Panie Ministrze, zapewniano nas równie kategorycznie, iż klauzula taka istniała, i opowiadano nam związane z nią szczegóły ukrywania atamana przez szereg miesięcy w Polsce. Spodziewaliśmy się iż potwierdzenie powyższego z drugiej strony przez Pana Profesora pozwoli nam ostatecznie ustalić prawdziwy stan faktyczny.

— Możliwe — odpowiedział na to Stanisław Grabski, — iż klauzula taka znalazła się w samym traktacie. Ja układałem i podpisałem wspólnie z delegacją Rady Obrony Państwa tylko preliminarz i zapewniam Pana że w tej umowie podobnej klauzuli nie było.

Wpływy ambasady francuskiej

Rozmowa przechodzi na dalsze okresy naszej ostatniej historii. Stanisław Grabski zarówno sam jako wybitny mąż stanu jak też jako brat premiera jest niewątpliwie jednym z najlepiej poinformowanych pod tym względem. Próbuje więc wyjaśnić nieporuszany nigdy publicznie fakt polityki francuskiej w Polsce w owym okresie. Zadajemy pytanie:

— Jak wielki był zdaniem Pana Ministra wpływ ambasady francuskiej na tworzenie gabinetów w Polsce przed majem 1926?

— Żaden. Najzupełniej żaden.

Grabski zaprzecza kategorycznie.

— Czy prawdą jest jakoby Panafieu uniemożliwił w czerwcu 1920 roku powołanie Daszyńskiego na stanowisko premiera.

— Nic o tym nie wiem, a chyba wiedziałbym gdyby tak było naprawdę.

Sulejówek

— Czy prawdą jest, iż Pan Minister odwiedzał przed majem Marszałka Piłsudskiego w Sulejówku?

— Nieprawda. Nie składałem żadnych wizyt Marszałkowi — zapala się znów Grabski. — Natomiast prawdą jest — jak już powiedziałem — że uznawałem potrzebę zwrócenia się do Piłsudskiego z propozycją objęcia odpowiedniego stanowiska w armii.

— Czy uważał Pan za pożyteczny gabinet koalicyjny Skrzyńskiego?

— Bez wątpienia tak. Błędem jedynie było, że koalicja się przedwcześnie rozpadła. Rząd ten przecież odniósł ogromny sukces — osiągnął *równowagę budżetu*. Drugim wielkim sukcesem tego rządu było *zaktywizowanie bilansu handlowego*. Nadwyżka bilansu na naszą korzyść wyniosła w roku 1926 przeszło 1 miliard złotych. Spowodowane powyższym ożywienie życia gospodarczego umożliwiło podniesienie budżetu w najbliższym okresie następnym z 1,7 mln. na prawie 3 miliardy. Gdyby stronnictwa były dotrwały w koalicji, to by się obeszło bez zamachu majowego. Tym bardziej że gabinet zgadzał się uznać tezy Marszałka w sprawie organizacji armii. Również projektowaliśmy wtedy zmianę *ordynacji wyborczej i wzmocnienie władzy wykonawczej*.

W Belwederze i w Wilanowie w maju 1926 roku

— Jak zdaniem Pana Ministra przedstawiały się szanse militarne rządu Witosa w maju.

— Szanse były równe po obu stronach. Drugiego dnia nawet oddziały rządowe miały wyraźną przewagę. Zmusiliśmy przeciwników do wycofania się za Aleje Jerozolimskie i wzięliśmy do niewoli cały pułk szwoleżerów. Gen. Rozwadowski oświadczył nawet, że jeszcze tego samego dnia mógłby zmusić oddziały Piłsudskiego do opuszczenia Warszawy, ale woli to odłożyć do następnego dnia, by nie dopuścić do rozszerzenia się akcji na prowincji w razie wycofania się tam wojsk Marszałka. Tymczasem w nocy z drugiego na trzeci dzień o sytuacji zadecydowali

kolejarze: Piłsudskiemu przyszło z odsieczą kilka pułków, natomiast idące na pomoc rządowi, pułki poznańskie nie nadeszły na czas.

— Jakie było właściwie zachowanie się generała Sikorskiego w czasie wypadków majowych?

— Na to pytanie trudno mi jest odpowiedzieć. W pierwszym dniu wypadków na Radzie Ministrów odbywającej się o godzinie ósmej czy dziewiątej z rana postawiłem wniosek, by powołać generała Sikorskiego na dowódcę armii wojsk rządowych. Wniosek jednomyślnie przeszedł. Witos opuścił salę, by jako premier uchwałę Rady Ministrów wykonać. Co się potem stało — nie wiem. Czy Witos nie uznał za wskazane Sikorskiego zawiadomić (obawiał się może zbyt dużego wzrostu znaczenia Sikorskiego w razie zwycięstwa nad Piłsudskim), czy zawiadomił Sikorskiego, ale ten polecenia nie otrzymał, czy wreszcie Sikorski polecenie otrzymał ale go nie wykonał — tego nie wiem.

— Czy prawdą jest jakoby Pan Minister zdecydował w Wilanowie o kapitulacji przed Piłsudskim?

— Nie w moim ręku była decyzja. Byłem tylko jednym z kilkunastu członków Rady Ministrów. Rada decydowała.

— No tak, Panie Ministrze, ale niewątpliwie zdanie Pańskie musiało zaważyć na decyzji gabinetu?

— Ja opowiedziałem się zdecydowanie za zakończeniem wojny domowej. Dla mnie było jasne, że z chwilą opuszczenia przez rząd Warszawy, wojna domowa przeciągnie się na tygodnie o ile nie na miesiące. A parę tygodni wojny domowej — było dla mnie znów pewnikiem — doprowadzi do wkroczenia w nasze granice któregoś z naszych sąsiadów. Powiedziałem też wtedy: „Wolę żyć do końca życia w opozycji, aniżeli Polska miała stracić chociaż kilometr kwadratowy swej ziemi”.

— Gdy patrzałem na to, co później się w Polsce działo, nieraz cisnęły się do głowy dręczące wątpliwości czy postąpiłem słusznie.

Przyszłość

Pyta się mnie Pan co myślę o przyszłości. Postaram się ją jak najbardziej streścić. Rządy pomajowe stworzyły silną armię i silny aparat wykonawczy władzy państwowej. Ale siłę państwa opierały na bierności i słabości społeczeństwa. Nastąpił powszechny upadek moralności obywatelskiej. W najszerzych warstwach szerzy się głęboki, szalenie niebezpieczny kryzys wiary w Polskę. A jednocześnie, cały przyrost naszej ludności zostaje bez zarobku. I z roku na rok rośnie ilość bezrobotnych o 200.000.

Dziś jest ich już naprawdę z górą 800.000. Jeszcze trzy lata dalszego biernego dostosowania się do kryzysu — a będziemy mieli półtora miliona bezrobotnych, patrzących beznadziejnie i z rozpaczą w przyszłość Polski.

Co wtedy? Tych trzech kryzysów: moralności życia publicznego, wiary w Polskę i przedsiębiorczości ekonomicznej — nie przezwycięży żadna rozgrywka partyjna czy koteryjna.

Może ją przezwyciężyć tylko nowy prąd ideowy, który stworzy wizję lepszej Polski (bo już wielką i mocarstwowo potężną mamy), Polski naprawdę chrześcijańskiej, w której więc życiu publicznym obowiązywać będzie tak samo jak w życiu prywatnym Dziesięcioro przykazań bożych i w której będzie chleb dla wszystkich.

Wytworzeniu takiego nowego prądu ideowego — a nie nowego jakiegos stronnictwa, czy nowej kategorii politycznej — pragnę oddać resztę mych sił i mego życia.

Mieczysław PRUSZYŃSKI

Bunt Młodych, 20 listopad - 5 grudzień 1935 r.

Mieczysław PRUSZYŃSKI

JAK STRACILIŚMY MIŃSK I FEDERACJĘ Z BIAŁĄ RUSIĄ

ROZMOWA

Z B. MIN. PEŁNOM. ALEKSANDREM ŁADOSIEM,
B. SEKRETARZEM GENERALNYM DELEGACJI POLSKIEJ
NA KONFERENCJĘ W RYDZE

Przed niespełną pięcioma laty przewodniczący delegacji polskiej na konferencję pokojową w Rydze śp. Jan Dąbski tak pisał we wstępie do swej pracy historycznej, poświęconej Traktatowi Ryskiemu*: „pragnę podać do wiadomości ogółu *garść faktów*, które

* Jan Dąbski, „Pokój Ryski”, Warszawa 1931.

będą może dla przyszłego historyka ciekawym materiałem do napisania historii Traktatu Ryskiego. *Dziś jeszcze — mimo upływu dziesięciu lat — na taką historię za wcześnie.* Sprawa jest jeszcze zbyt żywa i przesiąknięta namiętnościami” (podkreślenia nasze). A potem, na str. 78, w rozdziale pod tytułem: „Przeniesienie Konferencji do Rygi” czytamy jeszcze krótkie, ale może aż nadto wiele mówiące dwa zdania:

„W sprawie Ukrainy delegacja rosyjska zarówno w Mińsku jako też w Rydze była absolutnie nieustępliwa. Oświadczył mi to zupełnie otwarcie Joffe w czasie poufnej konferencji w Rydze. Upieranie się delegacji polskiej przy sprawie ukraińskiej groziło mimo osłabienia Rosji — dalszą wojną nie wiadomo jak długą...

Ustępliwszymi byłiby bolszewicy rosyjscy w sprawie oddania pod wpływy polskie Białej Rusi, ale próby postawienia tej sprawy w Rydze natrafiały na zdecydowany opór ze strony polskiej. (Podkreślenia nasze).

Połączenie tych dwóch ustępów wspomnień b. przewodniczącego delegacji polskiej świadczy najwymowniej iż:

- 1) wśród delegacji polskiej w Rydze istniały *odmienne zdania* odnośnie warunków pokoju z Rosją;
- 2) uzyskać mogliśmy *korzystniejsze granice* terytorialne, a to w szczególności na północy (Białoruś);
- 3) *dziś jeszcze prawdziwa historia rokowań pokojowych w Rydze nie jest znana* opinii publicznej, nawet Dąbski w swej historycznej książce zastrzega się wyraźnie, że podaje do wiadomości ogółu tylko „garść faktów”, gdyż „dziś jeszcze — mimo upływu dziesięciu lat — na taką historię za wcześnie”.

Lata powoli jednak mijają. Traktat ryski przechodzi coraz bardziej do historii wykładanej w podręcznikach szkolnych. Na Traktacie Ryskim, narastające pokolenia młodzieży uczą się formować swoje poglądy odnośnie celów i zadań polityki polskiej na Wschodzie. Do tego pokolenia nie dojdzie już skromne i zapomniane dawno wydawnictwo piśsudczyków z roku 1920 „Rząd i wojsko”. I dlatego ze względów już tylko ściśle dydaktycznych, w stosunku do naszych najmłodszych i przyszłych towarzyszy pracy ideowej, starajmy się zdejmować całun zapomnienia, zobojetnienia a może i nieprawdy, jaki ciąży dziś na historii Traktatu Ryskiego. Nie stawiajmy krzyżyka nad Traktatem, — jak to czynią dziś starsi kresowcy — który dla nich jedną wielką część życia zakończył na zawsze. Przeciwnie. Niechaj Traktat Ryski — wraz z jego całą historią aż do ówczesnych nastrojów społeczeństwa włącznie — stanowi dla nas przedmiot wiwisekcji.

Uczmy się na nim poznawać błędy naszych ojców — byśmy ich kiedyś mogli uniknąć.

Rola min. A. Ładosia

Piętnaście lat — to spory okres czasu. Już chyba przychodzi pora, by całą historię Traktatu Ryskiego wydobyć na światło dzienne. Obaj przewodniczący delegacji — Dąbski i Joffe — już nie żyją. Historię, jeśli źle jest pisać za wcześnie, może być jeszcze gorzej pisać za późno.

Wywiad ostatni z b. min. St. Grabskim zobrazował nam poglądy tego znakomitego męża stanu na historię pertraktacji ryskich. Obecnie zwróciliśmy się do drugiego z kolei współtwórcy ówczesnych historycznych wydarzeń, prosząc o wypowiedzenie swego sądu, a to mianowicie do min. pełn. Aleksandra Ładosia, który pełnił funkcje sekretarza generalnego polskiej delegacji pokojowej w Rydze i z racji swego stanowiska był dopuszczony do najpoufniejszych *pięciodniowych konferencji* (1-5 października 1920 roku) *w ciągu których został właściwie ustalony pokój ryski*. W konferencjach tych brało udział *tylko czterech ludzi*: przewodniczący: *Dąbski i Joffe*, oraz sekretarze: *Ładoś i Lorenz*.

W cichej willi na Żoliborzu

P. Al. Ładoś był w latach 1923-1926 posłem nadzwyczajnym i ministrem pełnomocnym R.P. w Rydze. W stan nieczynny został przeniesiony już przed 4-ema laty. Mimo to jest człowiekiem młodym — liczy dziś zaledwie 44 lata. Był sekretarzem generalnym delegacji pokojowej w wieku lat 29. Dziś nie przypomina bynajmniej emeryta, jego cichy gabinet na Żoliborzu, z dala od zgiełku śródmieścia, wydaje się być raczej miejscem przeczekania aniżeli zakończenia.

Rozmowę zaczynamy od pytania: Jak się przedstawiały różnice poglądów delegacji polskiej w Rydze odnośnie warunków pokoju, których miano zażądać od bolszewików?

— Nasza delegacja pokojowa — odpowiedział min. Ładoś — składała się z dwóch zasadniczych odłamów. Pierwszym była grupa sejmowa — drugim przedstawiciele ówczesnego rządu mianowani przez Min. Spraw Zagr. Był nim ówczynie ks. Eustachy Sapieha, niewątpliwie współpracujący ściśle z Naczelnikiem Państwa. Udziału przedstawicieli partii sejmowych wymagała ówczesna sytuacja polityczna kraju. Udział ich dawał gwarancję, że

zawarty traktat pokojowy zostanie ratyfikowany przez Sejm. W skład grupy sejmowej wchodził: N. Balicki (P.P.S.), St. Grab-ski (Zw. Nar. Lud.), W. Kiernik (P.S.L.), A. Mieczkowski (N. Zjedn. Lud.), I. Waszkiewicz (N.P.R.) i M. Wichliński (Ch. D.). Do drugiej grupy wchodził oprócz J. Dąbskiego przedstawiciel M.S.Z.: W. Kamieniecki, L. Wasilewski oraz przedstawiciel Min-Spraw Wojsk. gen. Kuliński. Tak się złożyło, że te *obie grupy* były zwolennikami *dwu różnych koncepcji politycznych*.

Otóż było dla nas wszystkich jasne, że od strony Ukrainy poza granice Galicji wyjść nie można było. Bolszewicy nie chcieli nawet o tym słyszeć.

— Swego czasu, Panie Ministrze, — pozwalamy sobie przer-wać — dużo się mówiło o pięciu powiatach południowych — w tym starokonstantynowskim i płoskirowskim, które jakoby mogliśmy w Rydze uzyskać, ale delegacja nasza się ich wyrzekła, woląc otrzymać pewną ilość złota z b. Banku Państwowego.

— Wykluczone. Nigdy nie było najmniejszego związku po-między sprawą granic a sprawą złota. W sprawie Ukrainy stano-wisko bolszewików było nieprzejednane. Kwestia Ukrainy była i jest dla Rosji zagadnieniem być albo nie być. To było jasne. Nie co innego jak wyprawa kijowska rozpętała dalszą wojnę. Nadto nie zapominajmy, że sprawa Galicji wschodniej nie była jeszcze w tym czasie pozytywnie dla nas rozwiązana, gdyż przeciwko nam przemawiał wówczas argument międzynarodowy. Była ona też bodaj jedynym punktem w sprawach granicznych, o który musieliśmy stoczyć ciężką dyskusję. Już wówczas nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że była ona wysunięta przez delegację sowiecką raczej prewentywnie, aby zapobiec wysunięciu przez nas dalej idących żądań terytorialnych na południu. Natomiast było nie-jasne, jak sprawa przedstawia się od północy. Tu bolszewicy byli skłonni do dalej idących ustępstw.

Różnice zdań wśród delegacji polskiej

— Tymczasem wśród delegacji polskiej panowały zasadnicze różnice zdań odnośnie żądań polityki polskiej na wschodzie oraz granic terytorialnych, jakie należałoby od bolszewików uzyskać. Z jednej strony delegaci M.S.Z. z Janem Dąbskim i Leonem Wasilewskim na czele opowiadali się zdecydowanie za koncepcją federacyjną tzn. za utworzeniem niepodległej Białej Rusi. Z dru-giej strony wśród grupy sejmowej zwyciężyło przekonanie St. Grabskiego, iż należy starać się uzyskać granice szersze od etnograficznych, ale nie tak znów szerokie, by asymilacja przy-

łączonych mniejszości narodowych była już nadto trudną. Otóż przed wysunięciem dezyderatów terytorialnych wobec delegacji rosyjskiej, należało je uzgodnić w łonie własnym. W tym celu odbyła się w przeddzień pertraktacji poufnych, *zasadnicza konferencja delegacji polskiej*. Starła się na niej koncepcja federacyjna z rozszerzoną koncepcją etnograficzną. Grabski wówczas zwyciężył. Grupa M.S.Z. została przegłosowana. Delegacja postanowiła zrzec się pretensji do Ukrainy i Mińska i zażądać tych granic, które dziś właśnie mamy na wschodzie. Zanim więc przystąpiliśmy do rokowań z bolszewikami, sprawa była już przesądzona.

— Czy zdaniem Pana Ministra nasza delegacja pokojowa w Rydze mogła uzyskać korzystniejszą od dzisiejszej granicę terytorialną?

— Otóż to samo, proszę Pana, pytanie dręczyło nas, tj. Dąbskiego i mnie, gdy późnym wieczorem dnia 1 października udawaliśmy się na pierwszą tajną konferencję z Joffem i Lorenzem do pałacu „Czarnogłowców”. Jak już Panu mówiłem, Dąbski a również i ja byliśmy zwolennikami federacyjnego rozwiązania. Tymczasem wbrew osobistym przekonaniom musieliśmy za chwilę żądać od Joffego zupełnie innych granic, jak te, któreśmy uważali za wskazane. Nie mogło być naturalnie mowy by nie zastosować się do uchwały delegacji i zażądać innych granic. Ale obaj pragnęliśmy chociaż wiedzieć jedno: czy dałoby się było uzyskać od bolszewików zgodę na koncepcję federacyjną (naturalnie tylko na północy), gdyby delegacja polska jej zażądała. Chcieliśmy, jak Panu mówię — przynajmniej wiedzieć, czy przez uchwałę delegacji straciliśmy możliwość realizacji federacyjnej koncepcji, czy też możliwości tej w ogóle nie było, a więc nie mamy czego żałować. Panowie są dziś ciekawi wiedzieć „czy Polska mogła uzyskać w Traktacie Ryskim korzystniejszą granicę terytorialną”. Panowie więc zrozumieją, że jeszcze bardziej byliśmy ciekawi wiedzieć o tym wówczas my, czynni aktorzy wydarzeń. Ale jaką drogą sprawdzić nastroje delegacji sowieckiej? Nie było innej prócz jednej: postawić Joffemu koncepcję federacyjną, jako żądanie delegacji polskiej. Dąbski, jako przewodniczący delegacji pokojowej, nie mógł tego żądania wysunąć, jako niezgodnego z zasadniczą uchwałą delegacji. Mimo, że rozmowa nasza miała mieć charakter poufny i prywatny — ewentualna zgoda delegacji sowieckiej na koncepcję federacyjną mogła grozić daleko idącymi komplikacjami w łonie delegacji naszej — aż do dymisji Dąbskiego włącznie. Wobec tego postanowiliśmy, iż ja — jako piasujący bez porównania mniej odpowiedzialną funkcję — dokonam próby. Z tym postanowieniem udaliśmy się na konferencję.

To, o czym nie pisał Dąbski w swych wspomnieniach

Pierwszej fazy rozmowy nie będę Panu streszczał — przedstawił ją Dąbski w swych wspomnieniach. Po wymianie szeregu zwykłych frazesów na temat szczerzej chęci zawarcia rozejmu i pokoju, nastąpiło wstępne badanie wzajemne odnośnie ustępstw terytorialnych, do których obie strony najdalej mogłyby się posunąć. W pewnej chwili ja zabrałem głos i powiedziałem co następuje (ta część rozmowy została znacznie złagodzona w protokole tajnym, złożonym po konferencji Delegacji, a opublikowanym w książce Dąbskiego).

— Odnośnie przyszłej granicy na północy przed delegacją polską stają dwie koncepcje. Pierwsza — ustalenia bezpośredniej granicy między Polską a Rosją. Druga — federacyjna tj. powołania do życia Białej Rusi niejako pod protektorem Polski.

Pragnęlibyśmy wiedzieć, która koncepcja odpowiadałaby bardziej rządowi sowieckiemu.

Joffe — który uśmiechnął się znacząco przy określeniu „pod protektorem” i powiedział: *Ja, ja ich verstehe um was es sich handelt* — odpowiedział: „*Propozycje obie nadają się do dyskusji*”. Nie jestem jednak w możności sam sprawy decydować i muszę zatem odnieść się po instrukcje do swego rządu. Proponuję więc odłożenie konferencji do jutra.

— Zrozumie więc Pan — mówi dalej min. Ładoś, że miałem bardzo niemiłe 24 godzin. Na szczęście dla mnie na drugim posiedzeniu Joffe oświadczył, że rząd sowiecki skłania się raczej do pierwszej koncepcji. Z tego jasno widać, że koncepcję federacyjną można było przeprowadzić. Ja ją przecież wysuwałem niezmiernie słabo, główny nacisk kładąc na pierwszą alternatywę, zgodną z uchwałą polskiej delegacji, a mimo to *zasadniczej odmowy nie było*.

— Jednym słowem Pan Minister jest zdania, że moglibyśmy w Rydze otrzymać korzystniejsze warunki terytorialne a w szczególności Mińsk?

— *Zapewne, ale tylko na podstawie federacji*. Najwymowniejszym dowodem nastrojów i ustępliwości delegacji bolszewickiej w Rydze jest fakt, że *dosłownie wszystkie wysunięte przez nas postulaty terytorialne zostały przez bolszewików przyjęte*, co więcej, trzeba dodać, że uzyskaliśmy potem w traktacie definitywnym nawet więcej, aniżeliśmy w preliminariach pokojowych zażądali i uzyskali, szczególnie na Polesiu. Min. Robót Publicznych oraz wojskowość zażądały mianowicie później przesunięcia granicy na Polesiu bardziej na wschód, a to by sobie zapewnić w przyszłości ewentualną możliwość osuszenia Polesia.

Był to pierwszy chyba w historii wypadek, że kraj w samym traktacie przyznał kontrahentowi korzystniejsze warunki terytorialne, aniżeli w preliminarjach i to bez nacisku wojskowego, ale ten wypadek należy właściwie traktować, jako prezent Joffego Dąbskiemu — sam Joffe, który bardzo cenił i lubił Dąbskiego, tak to określił. A więc zamiast odpowiedzieć Panu na pytanie: „czy mogliśmy korzystniejszą granicę w Rydze uzyskać”, wystarczy, gdy odpowiem: uzyskaliśmy w Rydze to wszystko, czego żądała delegacja polska. A nawet więcej — gdyż jeszcze rektyfikacje granic w okolicy Radoszkowic na północy i Puszczę Turowską na Polesiu.

— Czy Pan Minister zatem jest zdania, że wiadoma decyzja delegacji polskiej była szczęśliwa?

— Na to pytanie nie odpowiem.

— Dlaczego, Panie Ministrze?

— To jest wykluczone. Z chwilą kiedy daję wyjaśnienia ściśle faktyczne, nie mogę wyjść poza mą rolę sekretarza. Wystarczy przecież, gdy powiem że *uzyskaliśmy 105 % naszych postulatów terytorialnych*.

Stosunek Józefa Piłsudskiego do Traktatu Ryskiego

— Czy możemy z kolei zapytać się Pana Ministra jaki był stosunek Marszałka Piłsudskiego do Traktatu, tzn. jak Marszałek ocenił Traktat Ryski?

— Trudno mi na to odpowiedzieć. Nie mogłem wiedzieć dokładnie, co było w Warszawie, skoro ja byłem w Rydze. Wiadome mi jest to tylko, co jest wiadome, powszechnie o sympatiach Marszałka dla rozwiązania federacyjnego. Marszałek uchodził powszechnie za zwolennika federacji. Z drugiej strony trudno zaprzeczyć, że obóz Marszałka nie okazywał nigdy potem sympatii dla Traktatu Ryskiego. Jego dziesięcioletnia rocznica minęła niemal bez echa, bez żadnych obchodów i uroczystości. Dąbski wydał wtenczas swą książkę własnym nakładem.

— Czy Marszałek Piłsudski mógł w ówczesnej sytuacji sprzeciwić się zawarciu pokoju na warunkach ustalonych przez większość delegacji?

— Byłoby to chyba trudne, gdyż w skład delegacji wchodził przedstawiciel wszystkich wielkich stronnictw, nieuwzględnienie więc postulatów delegacji groziło kryzysem gabinetowym i odmową ratyfikacji przez Sejm. Niech Pan nie zapomina, że wówczas znajdowaliśmy się w innych warunkach ustrojowych, mieliśmy przecież Sejm suwerenny.

— A zatem Marszałek *bez zamachu stanu* nie mógłby być sprzeciwić się warunkom traktatu, ustalonym przez delegację?

— Zapewne *nie*.

— Pan Minister przypomina sobie zapewne, jak p. Leon Wasilewski pisze w swej ostatniej książce, iż Marszałek z lekceważeniem słuchał jego sprawozdania o pracach technicznych komisji, ustalającej granicę, i wreszcie powiedział: „A więc myślisz, że te słupy graniczne przetrwają dalej, jak do wiosny?”.

— To powiedzenie jest bardzo prawdopodobne. Wtedy, iż jest to traktat zawierany na długo, wierzył właściwie tylko Dąbski i jego najbliżsi współpracownicy. Inni uważali, iż jest to traktat przejściowy, bądź licząc się z możliwością nowej wojny, bądź oczekując zmiany reżymu w Rosji. Zwłaszcza to ostatnie stanowisko odbiło się na Traktacie, gdyż niektórzy z jego współautorów szukali przede wszystkim takich rozwiązań, które mogłyby przyjąć także przyszła Rosja carska czy demokratyczna.

Roman Dmowski a Traktat

— Czy wpływ Romana Dmowskiego odbił się, zdaniem Pana Ministra na Traktacie Ryskim?

— Nie sędzę. Granica wysuwana przez Komitet Narodowy w roku 1919 tzw. linia Dmowskiego biegła znacznie dalej na wschód od dzisiejszej granicy. Nie wiem czy Pan pamięta — od Kłajpedy i Połagi na północ od Libawy, granicą 1772 roku obejmując powiat Iłłukszański, potem przechodziła na prawą stronę Dźwiny, 30 km. na zachód od Witebska; potem szła ta linia do rzeki Berezyny na wschód od Mozyrza, dalej na południowy zachód od Owrucza i Zviahła, dochodziła do punktu zetknięcia się granic trzech powiatów: Zasławskiego, Ostrogskiego i Zviahelskiego, dalej granicą wschodnią powiatu zasławskiego i starokonstantynowskiego, stamtąd na południe do Uszycy i do Dniestru. Zatem trudno uważać by wpływ Dmowskiego odbił się na linii granicznej Traktatu Ryskiego.

Zdolności dyplomatyczne Dąbskiego

— A jak Pan Minister ocenia rolę ryską śp. J. Dąbskiego?

— W społeczeństwie naszym w okresie pertraktacji ryskich odnoszono się raczej z niedowierzaniem do talentów dyplomatycznych Dąbskiego. Wiedzano, że ma za przeciwnika starego wygę Joffego, który szereg traktatów miał za sobą. Ja byłem

przy Dąbskim przez cały czas pertraktacji i powiem, że trudno by było o lepszego przewodniczącego od niego.

— Dlaczego?

— Pomijając już to, że był bardzo szczęśliwym łącznikiem pomiędzy dwoma grupami delegacji, jako poseł na Sejm a zarazem podsekretarz stanu w M.S.Z. — przede wszystkim dlatego, iż prostym, jasnym, niekrętackim, „niedyplomatycznym” (choć może była w tym najwyższa dyplomacja!) postępowaniem przeprowadzał wszystkie swoje żądania. Joffe po prostu wstydził się wobec niego wychodzić z krętactwami. Musiał się dostosować do Dąbskiego. W tej rozgrywce wbrew pozorom silniejszym graczem był Dąbski.

Kończymy rozmowę. Zadaje jeszcze min. Ładosiowi pytanie na temat klauzuli odnośnie wydalenia Petlury z granic Polski, która jakoby miała się znajdować w Traktacie. Min. Ładoś kategorycznie zaprzeczył. I na zakończenie rozmowy dodaje jeszcze:

— Historia Traktatu Ryskiego zapewne na długo jeszcze pozostanie terenem badań i przypuszczeń, a może nawet *rewelacyjnych odkryć*. Materiał jest bowiem ogromny, ciekawy i nigdzie dotychczas w pełni nie ogłoszony.



W ten sposób b. min. Ładoś rozstrzygnął chyba ostatecznie długoletni spór historyczny i polityczny odnośnie sprawy Mińska. Min. Ładoś stwierdził również wyraźnie, że koncepcja federalcyjna — chociaż połowicznie, gdyż jedynie w stosunku do Białej Rusi — była zupełnie możliwa do zrealizowania. Tylko *myśmy nie chcieli jej realizować*.

Pozostawałaby jeszcze otwarta sprawa granicy południowej z Ukrainą. Min. Ładoś kategorycznie powtarza tezę Dąbskiego — że tutaj bolszewicy byli nieustępliwi.

Mamy wrażenie, że można się z tym zgodzić, ale jedynie odnośnie całości ziem ukraińskich — by powtórzyć koncepcję kwietniową Ukrainy Petlury bez wątpienia należałoby dalej wojnę prowadzić. Pozostaje jednak pytanie, czy i tu pewnych, stosunkowo niewielkich nawet ustępstw terytorialnych nie można było uzyskać? Czy bolszewicy tu byli „absolutnie nieustępliwi” — jak pisze Dąbski?

Trudno jest to dzisiaj wykazać. Członkowie delegacji ryskiej ze zrozumiałą niechęcią mówią o możliwościach, które mieli, a których nie wykorzystali, ale jest jeden fakt konkretny, który podważa tu tezę zarówno Grabskiego jak i Dąbskiego i Ładosia. Jest nią linia graniczna, którą zaproponował Polsce Cziczerin

w styczniu 1920 roku. Linia ta — jak wiadomo — biegnie prawie że równolegle do całej naszej granicy rosyjskiej — *tylko około 150 km. na Wschód od niej*. A więc na południu oddawano nam kilkanaście powiatów dzisiejszego Wołynia.

Jak wobec tego wygląda teza „nieustępliwości absolutnej”? Jeśli oddawali nam łatwo te ziemie w styczniu, dlaczego „absolutnie” nie mogli ich nam oddać w październiku? W międzyczasie bądź co bądź ponieśli jednak klęskę. A groźba Denikina zmieniała się tylko na groźbę Wrangla.

Dyskusja jest otwarta.

Mieczysław PRUSZYŃSKI

Bunt Młodych, 25 styczeń 1936 r.

WSPOMNIENIA

Tadeusz KATELBACH

MOJA MISJA KOWIEŃSKA

Kilka uwag wstępnych

Jestem jednym z jeszcze żyjących wysłanników Polski, upoważnionych do prowadzenia rozmów z Litwinami w Kownie o normalizacji stosunków między obu krajami. Moja misja trwała najdłużej, bo przeszło trzy lata.

O ile wiem historycy litewscy pomijają milczeniem tajne rozmowy polsko-litewskie w dwudziestoleciu międzywojennym. Tymczasem zaczęły się na pewno już w początkach 1919 a skończyły w marcu 1938 roku. Według relacji Jerzego Iwanowskiego¹ w delegacji polskiej, która w początkach 1919 roku udała się do Kowna wzięli udział: Z. Jundziłł, Michał Romer i Łukowski. Decyzja wysłania delegacji zapadła po naradach z przedstawicielem Naczelnika Państwa Aleksandrem Prystorem. Misja miała charakter oficjalny. Odbyła narady z członkami rządu litewskiego w obecności prezydenta A. Smetony. Propozycje polskie zostały odrzucone. 3 sierpnia tegoż roku udali się do Kowna minister Wasilewski i mjr Tadeusz Kasprzycki z nowymi propozycjami, które także Litwini odrzucili.

Wątpliwe czy zachowały się protokoły tych rozmów i rozmów późniejszych. Płk V. Sliogeris, jeden z adiutantów prezydenta Smetony, biada w artykule „Polacy, ultimatum, kulisy” (przytoczonym w 31-y numerze *Zeszytów Historycznych*), że strona litewska milczy o tajnych rokowaniach polsko-litewskich. Wśród

1. Dialog polsko-litewski, *Kultura* Nr 1/99, 1956.

litewskich wysłanników do tych rozmów wspomina dr. J. Szaulysa, księdza Vl. Mironasa i Martinasa Yczasa. Mylnie podaje, że rozmowy odbywały się tylko w latach 1935-1937. Według Sliogerisa, już po moim powrocie do Warszawy, Yčas przebywał w Warszawie skąd przywiózł Smetonie następujące propozycje polskie: Polska nie zgadza się na oddanie Litwie Wilna, natomiast gotowa jest zwrócić 12 gmin koło Puńska-Sejn i w rejonie Święcian. Ogółem teren liczący 120 tys. mieszkańców. O misji Yczasa dochodziły mnie mętne wiadomości. W czasie wojny spotkałem go w Lizbonie. Wspomniał jedynie o jakichś swoich zabiegach, lecz nie dzielił się żadnymi szczegółami, a ja o nie nie pytałem.

Jeśli informacje Sliogerisa są ścisłe świadczyłyby, że Beck zmienił swą nieprzejechaną postawę wobec Litwy jaką przejawiał po śmierci Marszałka, mając nadzieję, że za ustępstwa terytorialne uzyska zgodę Kowna na normalizację stosunków polsko-litewskich. Zawiodł się. Zawiodł się ostatecznie w marcu 1938 r.

Zastanawiałem się nieraz, dlaczego Litwini pomijają milczeniem cykl tajnych rozmów polsko-litewskich w międzywojennym okresie niepodległości obu narodów. Wydaje się, że urzędowe koła litewskie na emigracji uważają, że zajmowanie się tą tematyką jest zbędne gdyż rozmowy te nie dały pozytywnych wyników. Narzuca się przypuszczenie, że jest jeszcze jeden powód tej litewskiej zmowy milczenia. Zgodnie z obowiązującą w przedwojennej Litwie tezą Polska była wrogiem, którego słowom i dobrym intencjom nie można dawać wiary. Gdyby Litwini zaczęli pisać bezstronnie i rzeczowo o rozmowach prowadzonych z tym wrogiem, musieliby przyznać, że strona polska szczerze dążyła do pokojowej normalizacji wzajemnych stosunków — inna kwestia, iż na warunkach jakie jej odpowiadały.

Litewski bakcyl

W początkach 1918 roku po Traktacie Brzeskim, w którym Niemcy oddali Chełmszczyznę Ukraińcom, tajny ZET, do którego należałem od czasów studenckich, zorganizował na Chełmszczyźnie plebiscyt. Ludność Chełmszczyzny wypowiedziała się przeciwko decyzji niemieckiego okupanta. Akcja plebiscytowa „zetowców” dała początek powstaniu Towarzystwa Straży Kresowej (T.S.K.). Gdy wojska polskie zaczęły wkraczać na ziemie wschodnie Rzeczypospolitej Straż Kresowa posuwała się za nimi, organizując natychmiast życie społeczne i kulturalne na odzyskiwanych ziemiach. T.S.K. prowadziła swą działalność w porozu-

mieniu z Oddziałem II sztabu. W ofensywnej komórce „dwójki” pracowali wówczas oficerowie: W. Jędrzejewicz, K. Kierzkowski, A. Koc, I. Matuszewski, T. Schaetzel. Na liście zgłoszonych przez Straż Kresową kandydatów do pracy w terenie, znalazło się również moje nazwisko.

Wiosną 1919 roku zostałem odwołany z frontu pod Lwowem z rozkazem zameldowania się w sztabie u kpt. A. Koca. W Warszawie okazało się, że mam jechać „na robotę” pod fałszywym paszportem urodzonego w Augustowie Karola Müllera, lecz nie za wojskiem, lecz na Suwalszczyznę, zajmowaną wciąż bezprawnie przez wojska niemieckie. Niemcom zależało na przedłużaniu okupacji całej Suwalszczyzny z kilku przyczyn. Trzymali w swych rękach jeszcze jedną linię ewakuacyjną: Orany-Suwałki-Olecko. Chcieli jak najdłużej eksploatować gospodarczo ziemię suwalską, okradając ludność z żywności i wywożąc drzewo z lasów augustowskich. Wiedząc, że prędzej lub później będą musieli opuścić Suwalszczyznę, chcieli ją oddać nie Polsce, lecz swemu sprzymierzeńcowi litewskiemu, z którym paktowali w Kownie. W tym celu, w początkach 1919 roku dowództwo niemieckie skierowało na Suwalszczyznę tzw. Freikorps von Diebitsch.

Planom niemieckim miał przeciwdziałać Okręg Suwalski Polskiej Organizacji Wojskowej (P.O.W.), którym kierował ppor. Adam Rudnicki. Na razie podlegał mu podokręg P.O.W. w Kownie. Znalazłem się w komórce kierowniczej Okręgu Suwalskiego w charakterze referenta politycznego. Jednocześnie brałem udział w akcjach dywersyjnych, uprzykrzających życie okupanta. Poznałem Suwalszczyznę, nie wyłączając jej niektórych rejonów północnych, zamieszkałych zwarcie przez ludność litewską. Dzięki nieustannym kontaktom z Kownem wiedziałem co się i na Kowieńszczyźnie dzieje. W taki oto sposób zetknąłem się po raz pierwszy w życiu ze sprawami polsko-litewskimi. Przesyłałem z Suwałk raporty polityczne dla Oddziału II i dla Tow. Straży Kresowej, organizowałem jej koła, redagowałem przy pomocy L. Zarzyckiego tygodnik „Ziemia Suwalska” przeznaczony głównie dla ludności wiejskiej.

Piotr Łossowski w wydanej w kraju pracy „Stosunki polsko-litewskie w latach 1918-1920”², opierając się na sprawozdaniu ogłoszonym 24 sierpnia 1919 roku w „Ziemi Suwalskiej”, pisze o zjeździe przedstawicieli ludności polskiej w Suwałkach. Zjazd zwołany został z inicjatywy Straży Kresowej przy pomocy Komendy P.O.W. Przybyli nań delegaci nie tylko z trzech etnicznie polskich, południowych powiatów Suwalszczyzny (augustowski,

2. Książka i Wiedza, Warszawa, 1966.

suwalski, sejneński), lecz także z północnych: kalwaryjskiego, wyłkowyszkowskiego i mariampolskiego. Zjazd powziął, między innymi, uchwałę, że tylko „zajęcie Litwy przez wojska polskie będzie mogło rozwiązać zawiły problem polsko-litewski”. Na zjeździe wygłosiłem zasadniczy referat polityczny i byłem autorem uchwały.

Wychodząc z tak formułowanych założeń dowództwo Okręgu Suwalskiego P.O.W., dysponując kilkuset jako tako uzbrojonymi ludźmi i mając poparcie ludności, podjęło 16 sierpnia decyzję wywołania powstania. Wybuch powstania wyznaczono na noc z 22/23 sierpnia, w kilka godzin po opuszczeniu Suwałk przez Niemców. Przed odejściem Niemcy wpuszczali posterunki wojska litewskiego na teren między Suwałkami i Sejnami. Silny oddział litewski obsadził Sejny.

Działalność Okręgu Suwalskiego P.O.W. oraz dzieje powstania zwanego sejneńskim opisał w 1929 roku w „Polsce Zbrojnej” późniejszy płk dypl. Adam Rudnicki. Nie znam, niestety, tego opisu. Wiem tylko, że po wyspie uciekałem z nim, goniony przez Niemców lasami augustowskimi do Rajgrodu po ówczesnej stronie polskiej. Rudnicki pozostał w Rajgrodzie. Od tego czasu faktyczne kierownictwo Okręgu Suwalskiego spoczęło w rękach ppor. Wacława Rózgi-Zawadzkiego, kaprała I-szej Brygady Legionów. On był duszą i dowódcą powstania 26 sierpnia. Gdy Litwini na krótko odbili Sejny zajęte przez powstańców, zginął na jednej z ulic, walcząc do ostatka z oddziałem litewskim. Rudnicki przybył do Sejn w chwili gdy atakowaliśmy miasto. Dowodziłem wtedy 3-cią kompanią. Rudnicki towarzyszył memu oddziałowi.

Co ostatecznie wpłynęło na decyzję powstania — nie wiem. W każdym razie spełniło ono swe zadanie. Powstańcy, a później wojsko polskie do 9 września obsadziło na Suwalszczyźnie tzw. linię Focha. Być może, że wybuch powstania sejneńskiego spotęgował czujność Litwinów w Kownie i utrudnił próbę dokonania tam przez P.O.W. przewrotu. Miał on doprowadzić do powstania rządu litewskiego gotowego do ścisłej współpracy z Polską. Do otwartego zbrojnego wystąpienia kowieńskiego P.O.W. nie doszło.

Jeszcze 1 czerwca 1919 roku Piłsudski był kategorycznie przeciwny wszelkim zrywom powstańczym na Suwalszczyźnie. Taki rozkaz usłyszałem z ust Komendanta, gdy tego dnia wieczorem referowałem mu w Belwederze sytuację na Suwalszczyźnie. Być może nie chciał, aby powstanie na Suwalszczyźnie uprzedziło zamierzony przewrót w Kownie, nad którego przygotowaniem pracował Leon Wasilewski. Lecz od czerwca do sierpnia wiele

się zmieniło. Przypuszczam, że Piłsudski wyraził ostatecznie zgodę na wybuch powstania.

W rok później znalazłem się znowu w Suwałkach. Jako znający teren miałem przerzucić z Suwałk via Kowno do zajętego jeszcze przez Litwinów Wilna kilku wysłanników Straży Kresowej i Oddziału II-go. Po spełnieniu tego zadania czekałem na dalsze rozkazy. Tymczasem 30 września zaczęły się w Suwałkach pod auspicjami Komisji Ligi Narodów rokowania polsko-litewskie. Znałem dobrze przewodniczącego delegacji polskiej J. Łukasiewicza. W charakterze eksperta, autora ogłoszonej w czasopiśmie „Wschód Polski” pracy — „Spór o Suwalszczyznę”, pomagałem mu na ochotnika.

Strona polska od samego początku przeciągała rokowania, unikając definitywnych ustaleń. 3 października Łukasiewicz udał się po dalsze instrukcje do Komendanta, do Białegostoku. W raporcie z 6 października dla T.S.K. i Oddziału II-go pisałem: „W nocy z 3 na 4 był Łukasiewicz w Białymstoku u Komendanta. Z tego co mówił, zwłaszcza o wskazówkach Komendanta co do przewlekania pertraktacji do 9-go bm. i odciągania Komisji Ligi Narodów od 'wyjazdu' na teren naszych operacji na Wileńszczyźnie, wynika, że szykuje się 'robota' z Wilnem, która się do tego czasu ma zakończyć”.

Rokowania w Suwałkach zakończono podpisaniem umowy 8 października o godz. 2-iej w nocy. Tegoż dnia w południe wróciła z Oran do Suwałk Komisja Ligi Narodów. Odbyła tam rozmowy z oficerami polskimi i litewskimi. Wrażenie dla polskich rozmówców było niepomysłne. Komisja zaczęła teraz wpływać na delegację polską, by finalizowała z Litwinami negocjacje w sprawie ustalenia linii demarkacyjnej. 9 października raportowałem: „Zachowanie się płk. Koca w Oranach wobec Komisji niezbyt zręczne, utwierdziło członków Komisji, że szykujemy jakiś kawał”.

8 października wieczorem delegacja litewska opuściła Suwałki. Komisja Ligi Narodów na jej nalegania wyjechała nazajutrz rano do Wilna. Stało się tak wbrew intencjom delegacji polskiej, która chciała zatrzymać Komisję jeszcze przez parę dni w Suwałkach. 9 października 1920 roku donosiłem, że wobec decyzji Komisji „nasz plan przewlekania afery do soboty-niedzieli (9-10. X) spełzł, zdaje się, na niczym”. Takiego obrotu rzeczy nie spodziewał się Komendant, który w Warszawie, w rozmowie z p. Kościółkowskim, ziemianinem z Suwalszczyzny (jako ekspert, podobnie jak ja, współpracował z Łukasiewiczem), dawał wyraźny przekonaniu, „że sprawa da się odwlec jeszcze na kilka dni”.

Polsko-litewska Umowa Suwalska pozostawiająca Wilno Litwinom była dziwnym układem, którego faktyczny żywot wsku-

tek zajęcia 9 października Wilna przez „zbuntowanego” Żeligowskiego, nie przetrwał wielu godzin. Miała ona czysto wojskowy charakter i w żadnym razie nie przesądzała spraw granicznych między Polską i Litwą. Uznana przez Kowno za układ ustalający definitywnie granicę między obu krajami, zaciążyła nad kształtowaniem się stosunków polsko-litewskich.

Przekonałem się o tym wkrótce, gdy po raz trzeci zetknąłem się, tym razem w Wilnie, z elementami sporu polsko-litewskiego. Z Suwałk zostałem wezwany do Grodna, gdzie czekali na mnie wysłannicy Tow. Straży Kresowej: Z. Lechnicki, M. Wańkowicz i St. J. Paprocki. Dowiedziałem się od nich, że mam zdjąć mundur i pojechać z nimi do pozbawionego prasy codziennej Wilna, by uruchomić tam dziennik i objąć jego redakcję. Wilna prawie nie znałem. Spędziłem kiedyś w tym mieście tylko 10 dni. O redagowaniu dziennika nie miałem pojęcia. Zlecenie wykonałem, redagując do końca 1920 roku *Gazetę Wileńską*, pisując wstępne i niewstępne artykuły. Najtrudniejszą sprawą był wybór kierunku pisma.

Nie miałem wątpliwości, że nie tylko Wilno jest kamieniem niezgody między obu narodami. Miałem oczywiście pewność, że Litwini, powołując się teraz na ustaloną w Suwałkach linię demarkacyjną tym bardziej będą się domagali „zwrotu” miasta. Co najważniejsze jednak, Litwini nie chcieli mówić ani o unii ani o innych związkach z Polską w obawie, aby masy ludowe nie uległy podbojowi kultury polskiej, jak to się stało z dynastią litewską, panami i bojarami. Chcieli oddzielić się od Polski, jak to trafnie ujął M. Kukiel w „Dziejach Polski porozbiorowej”³ — za wszelką cenę, nawet za cenę groźnego sam na sam z zaborczością niemiecką lub rewindykacją rosyjską ich ziemi.

W październiku 1920 roku Wilno stało się stolicą Litwy Środkowej, odrębnego tworu państwowego z własnym rządem i administracją. Przez Litwę Środkową Piłsudski chciał przerzucić most porozumienia z Litwą Kowieńską. Nie Polska, lecz Litwa Środkowa miała być kontrahentem Litwy Kowieńskiej. Obie Litwy miały się połączyć, a potem określić swój stosunek do Polski. Po fiasku koncepcji federacyjnych z Mińskiem, przede wszystkim z Kijowem, Piłsudski podejmował ostatnią próbę realizacji swego programu federacyjnego — z Litwą.

Od pierwszej chwili przyjazdu do Wilna byłem pesymistą w tej sprawie. Uważałem, że koncepcję Piłsudskiego można Litwie narzucić zajmując po Wilnie Kowno albo zrezygnować

3. B. Świdorski — Londyn, 1961.

z myśli o porozumieniu Warszawy z Kownem via Litwa Środkowa. Byłem za pierwszym rozwiązaniem. Wydawało mi się, że Alianci pokiwiają palcem w bucie i na tym się skończy, a w samej Litwie znajdzie się jeszcze dość Litwinów, którzy przyjmą narzucone rozwiązanie w formie dwukantonalnej Litwy, opartej o Polskę. Byłem przekonany, że jest to ostatnia okazja przecięcia sprawy mieczem i jeśli ją przeoczymy czas będzie przeciw nam pracował. Byłem również przekonany, że Rosja i Niemcy zrobią wszystko, aby podsycać antagonizm polsko-litewski. Dałem wyraz tym poglądom w specjalnym, niedzielnym wydaniu *Gazety Wileńskiej*. Mottem numeru był wiersz poety Lubicz-Zahorskiego zatytułowany: „Do Kowna!”.

Lecz przeciąwszy już mieczem losy Wilna i Wileńszczyzny Komendant nie chciał zbrojnie zajmować reszty Litwy. Choć zdawał sobie sprawę z „zależności pieniężnej od Niemców i łączności z bolszewikami” Kowna, górowała w nim wciąż chęć „współzycia i współpracy z Litwinami”. Gotów był do ustępstw. 5 września 1919 roku w liście do gen. Szeptyckiego dawał takie instrukcje: „Zasadniczą myślą przy prowadzeniu pertraktacji w sprawie litewskiej powinno być twierdzenie, że gotowi jesteśmy do bardzo daleko idących ustępstw w stosunku do Litwinów, o ile będziemy mieli do czynienia z ludźmi czy rządem, nie robiącym z polityki antypolskiej zasadniczego kursu i podstawy swego istnienia. Tę zasadniczą myśl podkreślać trzeba w rozmowach czy to z Litwinami czy to z cudzoziemcami na każdym kroku. Dowodów na wrogość obecnego kursu litewskiego — nie brak”... A wyliczywszy je stwierdzał, że, mimo to, dąży do współpracy z Litwinami. Gdyby nie to — pisał dalej — „to ja osobiście dawno dałbym rozkaz swoim wojskom maszerowania wprost na Kowno i usunięcia precz samowładczego rządu, opłacanego przez Niemców i stworzonego przez nich. Liczę jedynie na to, że rozwój wypadków i znana mi dobrze niechęć narodu litewskiego do życia w poddaństwie czy to od Rosjan czy to od Niemców, doprowadzić musi bez użycia siły z mojej strony do zmiany kierunku wśród Litwinów”⁴. Liczył dalej na to powoławszy do życia Litwę Środkową.

Tymczasem *Gazeta Wileńska* coraz wyraźniej wypowiadała się przeciwko stabilizowaniu odrębności państwowej Litwy Środkowej. Każdy wypad w teren utwierdzał mnie, że ludność Wileńszczyzny gdy będzie miała tylko okazję swobodnego wypowiedzenia się, wypowiedzie się za przynależnością do Rzeczypospolitej. Na mocy uchwały Sejmu Wileńskiego z 22 lutego 1922 roku

4. Archiwa Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce.

w marcu tegoż roku, Wileńszczyzna stała się prowincją państwa polskiego.

Tak oto w pierwszych latach mej działalności politycznej, połączyłem litewski bakcyl. A choć wkrótce potem skoncentrowałem swe zainteresowania na stosunkach polsko-niemieckich i zagadnieniach narodowościowych w Europie powersalskiej, nigdy się już go nie pozbyłem.

Z Berlina do Kowna

Piłsudski znał historię odrodzieńczego, narodowego ruchu litewskiego, zapoczątkowanego w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. W memoriale złożonym 13 lipca 1904 roku w Tokio, a więc na dziesięć lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej, wśród narodowości opierających się imperializmowi rosyjskiemu wymieniał również Litwinów. Zaliczał ich wtedy do narodów „niehistorycznych”, które „nie mogą w walce z imperium stanowić siły samodzielnej i w istocie albo poddają się wpływowi polskiemu, albo też zdobywają się jedynie na cichą opozycję marząc zaledwie o pewnych swobodach narodowościowych w łonie imperium rosyjskiego, bez chęci zupełnego oddzielenia się od państwa i samodzielnego istnienia”. U schyłku pierwszej wojny światowej proklamacja niepodległości Litwy zrywającej więzy przeszłości z Polską była dlań zaskoczeniem. Nie wyobrażał sobie, by Druga Rzeczpospolita, spadkobierczyni w prostej linii Pierwszej, mogła się wyżyć ścisłych związków państwowych z Litwą. U podstaw planów Piłsudskiego, zmierzających w tym kierunku, tkwiły ponadto niezwykle silne emocjonalnie elementy osobiste. Urodził się na Wileńszczyźnie, lecz przez Billewiczów, związany był ze Żmudzią. Był potomkiem rodu, którego koligacje sięgały wszystkich zakątków Wielkiego Xięstwa Litewskiego⁵. Litwa cała Litwa, była jego ziemią rodzinną. Kochał ją. Szczególną jednak miłością darzył Wilno. Nieraz dawał wyraz uczuciom do tego miasta. Pamiętne jest przemówienie Piłsudskiego w Wilnie o Wilnie — „miłym mieście”, o jego murach, które go w dzieciństwie pieściły i które uważał za symbol „naszej wielkiej kultury i państwowej potęgi”.

Wygłosił je 12 sierpnia 1928 roku, po latach różnych bezowocnych prób rozwiązania sporu polsko-litewskiego, włącznie

5. Autor naświetlił ten temat w korespondencjach do *Gazety Polskiej*. Można je znaleźć w Bibliotece Polskiej w Paryżu, w rocznikach: 1934, 1935 i 1936. Patrz. „Kraj lat dziecińczych Józefa Piłsudskiego, *Wiadomości*, Londyn, 3. 10. 1965.

z najświeższą, którą podjął osobiście. W grudniu 1927 roku udał się do Genewy, gdzie zapytał wręcz premiera Litwy A. Wolde-marasa: wojna czy pokój? Miał jeszcze nadzieję, że odpowiedź „pokój” doprowadzi do normalizacji stosunków między obu krajami. Rokowania w Królewcu do których doszło w 1928 roku nie przyniosły oczekiwanych wyników. W nowej konstytucji litewskiej z tegoż roku, Wilno figurowało jako stolica Litwy. Musiał wtedy dojść do wniosku, że o porozumieniu z Kownem trudno na razie myśleć.

Mimo to w lipcu 1930 roku zgodził się na poufne przyjęcie wysłannika Litwy. Był nim dyrektor Banku Litwy V. Staszinskis. Staszinskis nie zdążył dojechać do Wilna, gdy ówczesny minister spraw zagranicznych Litwy D. Zaunius zapewniał posła niemieckiego w Kownie, że nic z tej podróży nie wyjdzie. Tak się też stało. Wizyta była najzupełniej nieprzygotowana, zarówno z polskiej jak i litewskiej strony. Cała sprawa do reszty zniechęciła Marszałka. Staszinskis wrócił do Kowna nie odbywszy rozmowy z Piłsudskim.

Następne spotkanie, w którego przygotowaniu brałem udział, odbyło się w lipcu 1933 roku, w Wilnie. Poprzedziły je wydarzenia, które zdecydowały o moim wyjeździe do Kowna.

Wiosną 1932 roku przyjechała z Kowna do Berlina ciotka mej żony. Wyszła za mąż za znanego i ustosunkowanego adwokata — Litwina. Dzięki jej staraniom wyjechałem z rodziną tegoż lata na wakacje do Litwy⁶. Wykorzystałem ten pobyt, by nawiązać nieco stosunków z Litwinami. Poznałem m.in. dyrektora departamentu bezpieczeństwa litewskiego ministerstwa spraw wewnętrznych J. Navakasa. Zapytałem go, czy będę mógł odwiedzić krewnych żony na Żmudzi w czasie świąt Bożego Narodzenia. Navakas przyrzekł, że pozwolenie załatwi, co znaczyło, że mam je w kieszeni.

Przed wyjazdem na wakacje letnie musiałem w poselstwie litewskim w Berlinie załatwić formalności wizowe. Poseł litewski dr Jurgis Szaulys zaprosił mnie na rozmowę. Byłem rad z poznania człowieka, który w budowaniu zrębów państwa litewskiego odegrał wielką rolę. W marcu 1917 roku udał się razem z Antanasem Smetoną i Steponasem Kairyssem do Berlina, gdzie złożyli memoriał, uzasadniający potrzebę utworzenia samostannego państwa litewskiego jako przeciwwagi Polsce. Memoriał podkreślał korzyści, jakie przyniosłoby to Niemcom, Szaulys został następnie posłem litewskim w Berlinie. Lecz Litwini, orientując się na

6. Patrz artykuł „Ciocia otwiera wrota do Litwy”, *Wiadomości*, 1975.

Niemcy, szukali jednocześnie oparcia w Anglii i Ameryce oraz — kontaktów z Polską. Szaulysa zastąpił w Berlinie J. Puryckis, on zaś udał się w kwietniu 1919 roku do Warszawy. 23 maja odbył rozmowę z Paderewskim i Piłsudskim. Wspominał mi o niej zaraz, gdy zjawiłem się w jego gabinecie. Piłsudski z Paderewskim starali się wówczas przekonać Litwę do idei federacji, w zamian za koncesje terytorialne. Szaulys ją odrzucił. Pobyt Szaulysa w stolicy Polski nie dał żadnych wyników. Przyczynił się jedynie do konfrontacji rozbieżnych stanowisk. Szaulys wspominając swą misję warszawską wyrażał się z wielkim szacunkiem o Marszałku i wiele mówił o jego „litewskich sentymentach”. Określił się jako zwolennik porozumienia z Polską i prosił, bym go odwiedził po powrocie z Kowna. Rozmowa toczyła się po polsku. Szaulys zrobił na mnie wrażenie polityka wytrawnego, wającego swe sady i opinie.

Pomny jego życzliwych rad pojechałem w czasie drugiej, zimowej wycieczki w szawelskie, do Kowna, gdzie nawiązałem znowu kilka kontaktów politycznych. Badałem pilnie klimat nastrojów wobec Polski. Czyniłem to już w porozumieniu z naszym ministerstwem Spraw Zagranicznych. Po powrocie do Berlina wysłałem w styczniu 1933 raport do M.S.Z. o mych rozmowach kowieńskich. Podzieliłem się wrażeniami o nich z Szaulyssem.

Ta druga rozmowa z posłem litewskim w Berlinie zapoczątkowała cykl stałych spotkań, nie wyłączając towarzyskich. Wymienialiśmy poglądy na perspektywy litewsko-polskiego porozumienia. Z tej wymiany zrodziła się myśl mego wyjazdu do Kowna w charakterze korespondenta *Gazety Polskiej*, a jednocześnie wysłannika rządu polskiego, upoważnionego do rozmów z rządem litewskim. Zawiadomiłem o pomyśle M.S.Z. Byłem zaskoczony szybką zgodą Warszawy. Oznaczało to, że Marszałek dał placet na mój wyjazd, jako że nic się w sprawach litewskich dziać bez niego nie mogło.

Brakowało jeszcze ostatecznej zgody Kowna, czyli prezydenta Smetony i rządu. Szaulys był optymistą, pragnął jednak przed załatwieniem sprawy mego wyjazdu spotkać się z Marszałkiem. Myślał, że może w czasie tego spotkania uda mu się ustalić wspólną platformę na której oparłyby się dalsze negocjacje. Kładł nacisk na poufny charakter spotkania, jeśli się na nie Marszałek zgodzi. Szczerze przyznawał, że chodzi mu głównie o to, aby o nowych próbach porozumienia polsko-litewskiego nie dowiedzieli się przedwcześnie Niemcy ani Sowiety. Sugerował, aby spotkanie odbyło się w Pikieliszkach.

Nie wiedziałem czy Marszałek zgodzi się na taki charakter spotkania. Uważał, że jeśli Litwini chcą z nim rozmawiać, niech

się z tym nie kryją. W świeżej pamięci miał nieudaną wyprawę Staszinskisa⁷. Tymi wątpliwościami nie dzieliłem się z Szaulys, by go nie zrażać. Tym bardziej, że już go uprzedziłem, by sobie zbyt wiele po spotkaniu z Marszałkiem nie obiecywał. Marszałek zgodził się na przyjęcie Szaulysa z zachowaniem poufności.

W lipcu Szaulys pojechał do Kowna, a stamtąd do Połagi, gdzie na wywczasach przebywał prezydent Smetona. O wyniku rozmowy ze Smetoną w sprawie terminu spotkania z Marszałkiem miał mnie Szaulys zawiadomić umówionym szyfrem. Wkrótce depesza nadeszła. Szaulys precyzował w niej datę i godzinę przyjazdu na granicę polsko-litewską, do Zawias. Zawiadomiłem o tym Warszawę, a sam pojechałem do Wilna. Dowiedziałem się tam, że spotkanie odbędzie się w Pałacu Biskupim i, że zjawi się w Wilnie minister Beck, lecz w spotkaniu udziału nie weźmie⁸.

O umówionej godzinie, w towarzystwie płk. Z. Wendy, zjechałem samochodem do Zawias. Posterunki graniczne zdjęto po obu stronach granicy. Po półgodzinnym oczekiwaniu nadjechał samochód wiozący Szaulysa. Przesiadł się do naszego samochodu i pojechalismy do Wilna. Zanim się przesiadł, jeszcze przy szlabanie granicznym, zdążył mi szepnąć, że, niezależnie od wyników jego rozmowy z Marszałkiem, przywozi zgodę swego rządu na mój przyjazd na stałe do Kowna. Nie wierzyłem swym uszom. Wydawało mi się, że zgodę na przyjazd uzależnią Litwini od tego, co Szaulys usłyszy od Piłsudskiego.

Do Pałacu Biskupiego towarzyszył Szaulysowi wicewojewoda wileński Jankowski. On miał wprowadzić Szaulysa do Marszałka. Pojechałem również do pałacu. W przyległym pokoju do sali kolumnowej spotkałem Becka. Powtórzyłem mu wiadomość o zgodzie rządu litewskiego na mój przyjazd do Kowna, sam zaś ukryty za jedną z kolumn czekałem na chwilę, w której Szaulys wchodzić będzie do gabinetu Marszałka. Widocznie Marszałek usłyszał jakiś szmer w sali kolumnowej, bo wyrzwał z gabinetu i rozglądał się przez chwilę. Uderzyło mnie, że jest w gali, przy orderach. Ten szczegół wskazywał, że godząc się na poufny charakter spotkania, nadaje mu formy oficjalnego spotkania wys-

7. Stefan Benedykt w artykule „Nie trzeba... nowej broszury” (*Orzeł Biały*, luty-marzec 1974) pisze, że Piłsudski najważniejsze zagadnienia, rozgrywał nie tylko na ustalonej drodze dyplomatycznej — starał się wykorzystywać również kontakty prywatne i utrzymywać je w tajemnicy. Powołując się na książkę Wacława Lednickiego Benedykt podaje, że Piłsudski wysłał m.in. na Litwę jego ojca Aleksandra Lednickiego. Nigdy o misji A. Lednickiego nie słyszałem.

8. Szczegóły: „Spowiedź Pokolenia”, 1948, Lippstadt, wyd. „Jutro Pracy”.

łannika rządu litewskiego z przedstawicielem Rzeczypospolitej, w którego rękach spoczywają ostateczne decyzje.

Rozmowa trwała około dwóch godzin i nie przyniosła konkretnych wyników. Opowiedział mi o niej Szaulys zaraz po śniadaniu u wicewojewody, kiedy na życzenie Szaulysa odbyliśmy razem przejażdżkę samochodem po dobrze znanym mu mieście. Piłsudski pokwitował wiadomość o zgodzie na mój przyjazd do Kowna milcząco „przyjaznym uśmiechem”. Zaczęła się rozmowa w której Marszałek dawał wyraźnie do zrozumienia, by Litwini nie liczyli na jego sentymenty litewskie. Z naciskiem powtarzał, że winni pamiętać, że jest Marszałkiem Polski. Gotów jest z Litwinami rozmawiać pod warunkiem, że najpierw wyrażą zgodę na normalizację stosunków i że zaraz podejmą oficjalne rokowania. Marszałek nie dopuścił do rozmowy o ewentualnych ustępstwach polskich w sprawie Wilna i Wileńszczyzny.

Główną część rozmowy wypełniły wspomnienia Piłsudskiego o Litwie kowieńskiej i o licznych, wspólnych znajomych Marszałka i Szaulysa.

Mówiąc krótko minister litewski przekonał się osobiście — o czym mu nieraz mówiłem w Berlinie — że Piłsudski, choć z ciężkim sercem, zrezygnował z planu federowania Polski z Litwą i myśli wyłącznie o nawiązaniu z nią normalnych stosunków dyplomatycznych.

Umówiliśmy się na długą rozmowę w Berlinie. W poselstwie litewskim miałem otrzymać *sauv-conduit*, ale jeszcze wcale nie byłem pewny, czy po spotkaniu Piłsudski-Szaulys, strona polska nie zrezygnuje z wysłania mnie do Kowna. W drodze z Wilna do Berlina zatrzymałem się w Warszawie, by rzecz sprawdzić. Czas nagiął. Wiedziałem od Szaulysa, iż zgodę rządu na mój przyjazd chce jeszcze oficjalnie notyfikować posłowi J. Lipskiemu w Berlinie.

Żadne zmiany nie zaszły. Odbylem w M.S.Z. dwie krótkie rozmowy z dyrektorem T. Schaetzlem i kierownikiem referatu litewskiego Tadeuszem Perkowskim oraz długą — z Beckiem. Polityczne instrukcje ministra były powtórzeniem tego, co wiedziałem. Radził, abym starał się w Kownie nawiązać kontakty z brytyjską placówką dyplomatyczną, z francuską, niemiecką i ostrożnie — z sowiecką. Ustalił, że co pewien czas, w zależności od mego uznania, wyjeżdżać będę do Rygi, Dyneburga lub Królewca, by stamtąd przysyłać raporty sytuacyjne oraz sprawozdania z rozmów prowadzonych z czynnikami oficjalnymi i wybitnymi osobistościami z litewskiego świata politycznego. Od czasu do czasu mam przyjeżdżać do Warszawy, również według swego uznania, lub — na wezwanie. Z rozmowy z Beckiem odniosłem

wrażenie, że nie bardzo wierzy w długotrwałość mego pobytu w litewskiej stolicy, lecz odnosi się do mej misji z życzliwą rezerwą. Jak się później dowiedziałem, tego samego zdania był Marszałek. Sądził, że po kilku miesiącach będę musiał zwinąć manatki.

Innego zdania był Szaulys. Dodawał mi otuchy, powtarzając w kółko, że klimat nastrojów litewskich wobec Polski zaczyna się zmieniać na lepsze, słowem — że jadę do Kowna we właściwym czasie.

Wczesną jesienią 1933 roku, żegnany przez nieodżałowanej pamięci mego przyjaciela, radcę ambasady Kazimierza Wyszyńskiego, opuszczałem z żoną i córką Berlin, udając się do Kowna.

W podwójnej roli

Po parutygodniowym pobycie w pustej w tym czasie Połдзе nad Bałtykiem, należącej dawniej do Tyszkiewiczów, wyruszyłem do Kowna. Aby nikt nie miał wątpliwości, że urządzam się na dobre, wynająłem u Litwinów pp. Siemaszków kilka pokoi w ich willi. Położona była na Witołdowej górze skąd roztaczał się widok na Dolinę Mickiewicza.

Znajomi Polacy nie byli z tego wyboru zadowoleni. Nie miałem jeszcze samochodu. Jeśli wracałem z miasta pieszo, musiałem, zanim doszedłem do domu, przemaszerować spory kawał Perkuno Aleja na której mieszkałem. Obawiali się, że elementy szowinistyczne, by sprowokować skandal, mogą mnie którejś nocy nabić. Nigdy do tego nie doszło, ale po kilku miesiącach, chcąc być bliżej centrum 120-tysięcznego miasta, przeniosłem się na ulicę Kiejstuta, równoległą do głównej arterii Laisves Aleja (Alej Wolności). Zamieszkałem na pierwszym piętrze nowoczesnego, jednopiętrowego domu. Należał do p. Jagmina człowieka o lewicowych poglądach. Pochodził z rodziny ziemiańskiej, lecz uważał się za Litwina. Siemaszko mówił po polsku, Jagmin mówił literacką polszczyzną.

Blisko było z Kiejstuta do ministerstwa Spraw Zagranicznych. Niedaleko, na tej samej ulicy, rezydowała brytyjska placówka dyplomatyczna. Blisko było do dwóch cukierni w Alei Wolności — Perkowskiego i Konrada, gdzie można było spotkać polityków, dziennikarzy, pisarzy, literatów. W krótkim czasie poznałem ich wielu. Blisko mieli do mnie różni interesanci.

Rozpuściłem wieści, że bywam zwykle przed południem w domu. Przeważnie zgłaszali się po telefonicznym zapytaniu. W większości byli to Litwini, pragnący jechać w różnych spr-

wach do Polski. Z czasem utarł się zwyczaj, że ministerstwo Spraw Wewnętrznych w osobie p. Olechnaviciusa, kierowało ich do mnie. Jeśli uważałem, że petent może jechać, dawałem mu na blankiecie korespondenta *Gazety Polskiej*, pisane ręcznie polecenie do jednego z konsulatów polskich, bądź w Rydze, bądź w Dyneburgu lub w Królewcu, gdzie otrzymywał wizę. Nieraz odmawiałem bez dyskusji.

Ale czynności „konsularne” nie zajmowały mi wiele czasu. Najwięcej godzin pochłaniały rozliczne kontakty, poczynając od rozmów w litewskim M.S.Z.-ecie i z szefami placówek dyplomatycznych.

Pierwsze kroki po urządzeniu się w Kownie skierowałem do M.S.Z.-tu. Najpierw złożyłem kurtuazyjną wizytę ówczesnemu ministrowi Spraw Zagranicznych dr. D. Zauniusowi. Trwała krótko. Nie wdawałem się w żadne rozmowy z tym patentowanym germanofilem. Inaczej wypadła rozmowa z sekretarzem generalnym ministerstwa, Staszysiem Łozorajtisem. Wiedziałem dobrze z kim mam do czynienia. W swym prywatnym mieszkaniu na ul. Putwińskiego Łozorajtis mówił ze mną zawsze po polsku. Mówił piękną polszczyzną. Był synem adwokata-Litwina i matki-Polki. Uchodził za zwolennika porozumienia z Polską. Szaulys cenił jego umysł i charakter. Nie mylił się. Później poznałem pp. Urbszysa, Turauskasa i pannę Avetinajtę, Litwinkę amerykańską, szefa wydziału prasowego ministerstwa, nie mówiąc o innych.

W kilka miesięcy po przyjeździe przyjął mnie Prezydent Smetona. Składając mu „listy uwierzytelniające” ułożyłem sobie krótkie przemówienie po francusku. Gdy adiutant wprowadził mnie do gabinetu, Smetona stał za biurkiem. Po przywitaniu zacząłem swój *speech*. Treść jego sprowadzała się do podziękowania za udzielenie wizy na stały pobyt i wyrażenia nadziei, iż może przyczynić się do normalizacji stosunków między obu krajami, czego życzy sobie Marszałek Piłsudski i cały naród polski. Przemówienie wygłosiłem ostatecznie po polsku. Po paru bowiem zdaniach wypowiedzianych po francusku, prezydent przerwał mi i oświadczył, że przecież możemy mówić po polsku, gdyż zna ten język równie dobrze jak ojczysty-litewski. Rozmowa potoczyła się gładko. Smetona powiedział mi, że znam zapewne ogrom trudności piętrzących się na drodze do normalizacji. Uważa jednak, że należy je pokonywać i w tym duchu będzie się starał oddziaływać.

Wkrótce potem złożyłem wizytę szwagrowi Smetony, premierowi rządu Tubelisowi. Obaj żonaci byli z siostrami Chodakowskimi. Zofia Smetonowa — jak mnie informowano — nie inte-

resowała się polityką, lecz pragnęła ponoć porozumienia z Polską. Jadwiga Tubelisowa, przeciwnie, miała opinię zaciętej Litwinki. Rodzony brat obu, nieżyjący już wtedy adwokat, uważał się za Polaka. Rozmowa z Tubelisem obracała się wokół zagadnień wewnątrz-politycznych i gospodarczych. Mówił o roli rządzącego stronnictwa „narodowców” (*tautininkai*) i o osiągnięciach gospodarczych kraju. W osiągnięciach tych zorientowałem się szybko. Były naprawdę imponujące. Dawałem temu wyraz w swych korespondencjach do *Gazety Polskiej* i w raportach do M.S.Z-tu.

Kontakty z korpusem dyplomatycznym zacząłem od złożenia wizyty brytyjskiemu konsulowi generalnemu — Prestonowi oraz jego zastępcy Percy Gent'owi. Przez cały czas mego pobytu stosunki z placówką brytyjską układały się idealnie. Bywałem prywatnie u Prestonów, częściej u Gentów. Gent spędził kilka lat w Polsce jako reprezentant angielskiej firmy handlowej. Mówił po polsku. Po raz drugi ożenił się z Polką. Wymienialiśmy sobie wzajemnie informacje o tym co się dzieje. Placówka brytyjska dawała mi mocne oparcie. We „wrogim” kraju, w którym pozbawiony byłem opieki własnego rządu, było to niezwykle cenne.

Podobnie układały się stosunki z poselstwem niemieckim, którym kierował dyplomata starej szkoły dr Zechlin. Początki mej misji kowieńskiej przypadły w czasie gdy grał pakt Hitler-Lipski. Zechlin wysilał się, by stosunki ze mną były najpoprawniejsze. Wiedział on w jakiej roli przebywam w litewskiej stolicy. Wiedział o mych wizytach w kowieńskim M.S.Z.-ecie i starał się ze mnie coś wyciągnąć.

Złożyłem również wizytę połodrowi Karskiemu, panu o pyszałkowatych manierach, szarogęszącemu się wszędzie w roli kontrolera Litwy. Zabawił się zaraz w intrygę, wkładając mi w usta rzeczy, których nigdy nie mówiłem. Dzięki życzliwości Łozorajtisa i Turauskasa nic z intrygi nie wyszło. Długo nie rozmawiałem z połodrem. Dopiero tuż przed jego odwołaniem do Moskwy, gdzie ślad o nim zaginął (trockista!), odbyłem z Karskim parę rozmów. Nie wierzył w normalizację stosunków polsko-litewskich. Powtarzał stale, że zgoda na nią Kowna, byłaby aktem samobójczym. Polskie wpływy kulturalne w Litwie — mówił — są wciąż tak głębokie, że po normalizacji odżyłyby z niebywałą siłą, hamując proces wszechstronnego odrodzenia narodowego. Jego zastępca czy następca Fechner, mówił kubek w kubek to samo.

Posłem Francji był Alzatczyk — Ristelhueber. Przyjął mnie krótko i oschle. Nie odesłał karty wizytowej. Nie widziałem go

długie miesiące. Spotkałem kiedyś na obiedzie u Prestonów. U końca stołu siedziała p. A. Tyszkiewiczowa z Połagi, ja po jej lewej stronie, Ristelhueber po prawej. Tyszkiewiczowa wiedziała o zachowaniu się wobec mnie posła francuskiego. Prowadziła z nim rozmowę. W pewnej chwili zwracając się do mnie, zapytała, czy nie znałem przedtem pana ministra. Odpowiedziałem: „Nie przypominam sobie”. Po tym incydencie p. Ristelhueber odkomenderował do kontaktów ze mną oficera dwójki, również Alzatzczyka Schmidtleina, późniejszego gaullistę, wiceprzewodniczącego parlamentu francuskiego.

Utrzymywałem kontakty z przedstawicielami tzw. „Olimpu”⁹, tj. grona, które kierowało życiem kulturalno-społecznym 200-tysięcznej mniejszości polskiej w dwu i półmilionowej Litwie. Grono to złożone z samych ziemian reprezentowało intelektualnie wysoki poziom. Zasiadali w „Olimpie” m.in. E. Romer, K. Okulicz, Lutykowie, Buttler, W. Budzyński, K. Janczewski. Seniorowi tego grona Romerowi złożyłem wizytę w jego rodowych Cytowianach.

Na razie byli dla mnie usposobieni życzliwie. Wiele od nich skorzystałem z rozmów o Litwie, którą po swojemu świetnie znali. Mieli w Warszawie swego przedstawiciela w osobie Władysława Wielhorskiego. Stosunek „Olimpu” zmienił się jednak z chwilą gdy musiałem się zgodzić na wejście w sprawy litewskich Polaków. Broniełem się przeciwko temu argumentem, że moje zainteresowania sprawami mniejszości polskiej mogą odbić się ujemnie na moich rozmowach normalizacyjnych z litewskimi czynnikami rządowymi. Lecz warszawskie M.S.Z. nalegało. W sprawie Polaków w Litwie porozumiewałem się w M.S.Z.-ecie z dyrektorem departamentu konsularnego Tomirem Drymmerem. Szedł mi zawsze na rękę. Akceptował moje wnioski. Odpowiadały mu moje projekty odmłodzenia komórek kierowniczych mniejszości polskiej i zasilenia ich działaczami nie wywodzącymi się wyłącznie z kół ziemiańskich.

O wszystkich swych czynnościach, zwłaszcza o rozmowach z przedstawicielami litewskiego M.S.Z.-tu, pisałem sprawozdania w Rydze, Królewcu czy w Dyneburgu, skąd były przysyłane pocztą dyplomatyczną do Warszawy. Sporo czasu zajmowały mi wypadły na teren samochodem, który polecił mi zakupić Beck z chwilą gdy przekonał się, że na dobre usadawiam się w stolicy Litwy. Przesyłałem regularnie swe korespondencje do *Gazety Polskiej*.

Pisząc je musiałem ważyć każde słowo. Wiedziałem, że będą

9. Patrz artykuł „Olimp”, *Wiadomości*, 1976.

czytane z uwagą przez mych gospodarzy, przez Niemców i Rosjan. Starałem się, by czytelnik czuł ciężar odpowiedzialności wynikającej z faktu, że jestem pierwszym w Litwie, stałym korespondentem „wrogiej” prasy polskiej. Redaktor *Gazety Polskiej* Ignacy Matuszewski zapewniał mnie, że czytelnik wyczuwa to doskonale. Niektóre z mych artykułów nazywał „notami” adresowanymi do Litwinów.

Ogółem w ciągu przeszło trzech lat wysłałem około 200 korespondencji. Większość z nich wydałem w 1938 roku w książce¹⁰. Podzieliłem je według materii. Ten zbiór korespondencji daje wcale pełny obraz rzeczywistości litewskiej lat: 1933-1937. Historyk krajowy Jerzy Osmański pisze uprzejmie w książce „Historia Litwy”¹¹: „Katelbach, przez okres przeszło trzyletni korespondent półurzędowej *Gazety Polskiej*, zdołał dość dokładnie zgłębić rzeczywistość litewską, przekazał o niej mnóstwo ciekawych wiadomości”. Bez zbioru mych korespondencji trudno byłoby teraz odtwarzać główne etapy mej misji.

Sądzę, że nie zachowały się moje raporty przesyłane do M.S.Z.-tu. Historycy krajowi wspominają czasem, że przebywałem w Kownie w podwójnej roli, lecz nie powołują się na moje raporty. Osmański nie pisze o mych rozmowach z Łozorajtisem i innymi politykami litewskimi. Twierdzi, bez powołania się na fakty, że Łozorajtis już od 1929 roku prowadził „tajne rozmowy z Polską w celu normalizacji stosunków”, i że powiadomił o nich 18 kwietnia 1935 roku prezydenta Smetonę. Dlaczego nagle tę datę wymienia i w ogóle o jakie rozmowy z Polską chodziło, pozostanie tajemnicą autora „Historii Litwy”¹².

Wobec rozrastającego się zakresu moich zajęć musiałem zorganizować sobie pomoc. Z Warszawy przyjechał na rok do Kowna w charakterze korespondenta *Kuriera Porannego* Leon Stachórski. Żadnych rozmów z czynnikami oficjalnymi nie prowadził. Wielką pomocą był przybyły równocześnie ze mną do Kowna stypendysta Kasy im. Mianowskiego, świetny znawca języka litewskiego, Stanisław Westfal, po ostatniej wojnie wykładowca polskiego na uniwersytecie w Glasgow. Miałem też kilku płatnych informatorów, wśród których znalazł się nawet

10. „Za litewskim murem”, Warszawa, 1938, Tow. wydawnicze „Rój”.

11. Instytut wydawniczy im. Ossolińskich, 1967.

12. Według Osmańskiego Łozorajtis miał proponować niewymienionym z nazwiska Polakom ułożenie stosunków z Polską „na zasadzie przyznania przez Polskę kulturalnej autonomii ludności litewskiej na Wileńszczyźnie”. Jednym z warunków porozumienia miało być oddanie Litwie Sejnu, Puńska i Świecian. Nigdy tego z ust Łozorajtisa nie słyszałem.

wybitny działacz jednej z najbardziej szowinistycznych organizacji antypolskich, poeta L. Gira.

W zakresie kontaktów politycznych z Litwinami pomagali mi dwaj równieśnicy: Adam Chrapowicki i Kazimierz Narutowicz, bratanek prezydenta Gabriela Narutowicza. Obaj skończyli wyższe studia we Francji. Obaj znali Litwę, język, ludzi. Obaj byli oszczędni w słowach. Chrapowicki miał swe zdanie. Narutowicz, syn Stanisława, jedyne Polaka, którego podpis znalazł się na deklaracji niepodległości Litwy z 16 lutego 1918 roku, rzecz rzadka — oficer rezerwy wojska litewskiego, miał od Chrapowickiego łatwiejszy dostęp do czynników oficjalnych. Niezwykle ostrożny unikał wypowiedzania swych poglądów. Słuchał, gotów jedynie do ścisłego przekazywania sugestii polskich Litwinom i odwrotnie od Litwinów — Polakom¹³.

W pierwszych miesiącach pobytu w Kownie rozmawiałem nieraz z matką Kazimierza, kuzynką Marszałka i towarzyszką lat dziecińczych Ziuka. Odwiedziłem ją raz w majątku rodzinnym, Brevikach. Kiedyś zapytała, czy przed wyjazdem do Kowna byłem u Marszałka. Gdy się dowiedziała, że nie byłem, orzekła, że powinienem osobiście zreferować mu swe obserwacje litewskie i usłyszeć bezpośrednio od Marszałka co mam dalej robić. Pani Narutowiczowej i jej zamężnej córce mieszkającej w Warszawie, bywającej w Belwederze, zawdzięczam, że 1 czerwca 1934 roku przyjął mnie Marszałek na długiej w owe czasy, bo 45-minutowej rozmowie¹⁴. Wzmocniło to mą pozycję u Litwinów i u moich bezpośrednich mocodawców w warszawskim M.S.Z.-ecie, dla których rozmowa Marszałka ze mną była zupełnym zaskoczeniem. Mogłem odtąd mówić, że wiatyk na dalszą drogę działalności kowieńskiej otrzymałem od samego Marszałka.

Społeczeństwo litewskie bardzo szybko dowiedziało się o moim przyjeździe do Kowna — z prasy. Jedno z pism awizowało mój przyjazd ilustracją wyobrażającą drapieżnego kruka czy orła lecącego z Warszawy do Kowna. W małej Litwie wkrótce byłem „znany”. Zнали mnie dorożkarze z Szaniec, dzielnicy zamieszkałej

13. J. Osmański nazywa Narutowicza „zaufanym Łozorajtisa”. Piszę, że po genewskim spotkaniu Beck-Łozorajtis Narutowicz prowadził tajne rozmowy kursując między Kownem i Warszawą. Prawda, że często jeździł do Warszawy — o czym wiedziałem — ale żadnych „tajnych rozmów” nie prowadził. Nie jest także ściśle twierdzenie, że kontynuował je w początku 1938 roku przed ultimatum polskim do Litwy. Po moim wyjeździe — o czym piszę dalej — ostatnią próbę porozumienia podjął Aleksander Tyszkiewicz z Kretyni i mieszkający w Warszawie jego syn Stanisław.

14. Fragmenty tej rozmowy ogłosiłem po raz pierwszy 19 marca 1938 r. w *Gazecie Polskiej*, później w londyńskich *Wiadomościach*, w 1942 r. pt. „Trzy rozmowy z Piłsudskim”.

licznie przez Polaków. Od nich dowiedziałem się, że dom na Kiejstuta, w którym osiadłem, jest pilnie obserwowany przez policję i jakieś indywidua mieszkające naprzeciwko. Tuż koło mego mieszkania był postój konnych dorożek...

Szeroki ogół nie orientował się w podwójnej roli w jakiej przebywam w litewskiej stolicy. Orientowały się czynniki rządowe, korpus dyplomatyczny, dziennikarze, politycy zarówno z obozu rządowego jak ze stronnictw opozycyjnych — chrześcijańskich demokratów i ludowców.

Jak wspominałem prasa litewska w czasie mego pobytu w Kownie od czasu do czasu zajmowała się moją osobą. Natomiast nie śledziłem litewskich wydawnictw emigracyjnych. W 1956 roku włączyłem się do dialogu polsko-litewskiego na łamach paryskiej *Kultury* (nr 1/99). Z okazji tej polemiki w litewskim czasopiśmie *I Laisvę* (Ku Wolności) wychodzącym w nowojorskim Brooklynie w Nrze 11 (50) z lipca 1957 roku, natknąłem się na krótki artykuł: „Katelbachas Kaune”, co znaczy — „Katelbach w Kownie”.

Etap nadziei

Korespondencje do *Gazety Polskiej* zacząłem wysyłać w parę tygodni po usadowieniu się w Kownie. Informowałem w nich ostrożnie czytelnika polskiego o zaostrażaniu się kursu antyniemieckiego w Litwie. W pierwszych dniach czerwca 1934 roku germanofil Woldemaras przy pomocy oddanej mu grupy wojskowych próbował sięgnąć po władzę. W nocy z 6 na 7 czerwca prezydent Smetona opanował sytuację. 12 czerwca dodatek nadzwyczajny *Lietuvos Aidas* przyniósł listę nowego gabinetu. Skład jego świadczył, że Smetona rzeczywiście postanowił usztywnić się wobec Rzeszy. Ożywiło to nadzieje wśród litewskich zwolenników porozumienia z Polską.

Tak się złożyło, że w czasie puczu Woldemarasa nie byłem w Kownie. Musiałem pojechać do Warszawy w związku z zapowiadaną rewizytą w Kownie b. premiera i b. Marszałka Senatu, Aleksandra Prystora. Po wizycie Szaulysa, którą Marszałek Piłsudski ocenił jako gest przyjazny, odpowiadał takim samym gestem.

Przypadek zarządził, że tuż przed opuszczeniem Kowna dowiedziałem się, że woldemarasowcy przygotowują zamach stanu i że na czele wojskowych zwolenników zamachu stoi szef sztabu gen. Kubilunas. Natychmiast skomunikowałem się z Łozorajtisem. Nie wymieniając źródła, powtórzyłem mu sensacyjną wia-

domość. Długo wtedy mówiliśmy o sytuacji wewnętrznej. Raczej mówił Łozorajtis, wyrażając przekonanie, że o żadnym puczu nie ma mowy, a z gen. Kubilunasem zaledwie przed paru dniami zwiedzał poligon artyleryjski. W Warszawie dowiedziałem się, że moje informacje okazały się ściśle. Skomentowałem Beckowi i Schaetzlowi proniemiecki charakter nieudanego puczu. Omawialiśmy szczegóły organizacyjne rewizyty Prystora.

1 czerwca w Belwederze, choć poruszyłem ten temat, nie usłyszałem z ust Marszałka żadnych wskazówek czy sugestii. Natomiast wyraźnie sprecyzował swoje stanowisko w sprawie uregulowania stosunków polsko-litewskich. Instrukcja brzmiała: Litwa musi najpierw wyrazić oficjalnie zgodę na normalizację stosunków między obu krajami. Następstwem zgody ma być nawiązanie stosunków dyplomatycznych. Dopóki się to nie stanie, Polska nie będzie się wdawała w żadne rozmowy z Litwinami ani na temat Wilna ani na temat autonomii kulturalnej dla Litwinów na Wileńszczyźnie. Nie robi w tej dziedzinie żadnych kroków pojednawczych czy propozycji. Dopiero normalizacja stosunków może stworzyć warunki do rozmów na te tematy.

W czasie rozmowy Komendant wypowiedział kilka uwag o megalomanii litewskiej. Dodał, że mógłby nieraz przeciąć siłą istniejący stan rzeczy, nie chciał jednak pogłębiać przepaści którą umacnia przelana krew¹⁵.

Widziałem się z Prystorem, chcąc wy badać czy nie ma jakichś szczególnych zleceń, o których nie mogłem się dowiedzieć od Becka ani od zawsze tajemniczego Schaetzla. Wiedziałem, że zanim Prystor zacznie składać wizyty, Łozorajtis zada mi pytanie jaki jest właściwy cel jego przyjazdu. Ostatecznie doszedłem do wniosku, że istotnie pod pozorem odwiedzenia grobów swych znajomych w okolicach Czekiszek, ma po wizycie Szaulysa w Wilnie złożyć rewizytę Smetonie.

12 czerwca nadzwyczajny dodatek *Lietuvos Aidas* przyniósł listę nowego gabinetu. Nie było na niej nazwiska Zauniusa. Jego następcą został Łozorajtis. Od szeregu miesięcy mówiono o tym, lecz Zaunius trwał na swym stanowisku. „Ludzie gubili się w domysłach — pisałem do *Gazety Polskiej* — czym tłumaczy się fakt, że człowiek uważany tutaj dość powszechnie za wyraziciela proniemieckiego kursu litewskiej polityki zagranicznej, pozostaje na tym stanowisku w okresie zdecydowanej walki o Kłajpedę i potęgującego się stale na tym tle konfliktu niemiecko-litewskiego. Toteż gdy dowiedziano się o liście nowego gabinetu, w której nazwisko Zauniusa zastąpione zostało nazwiskiem

15. Szczegóły: „Trzy rozmowy z Piłsudskim”.

Łozorajtisa, poczytano tę zmianę jednogłośnie za manifestację woli kontynuowania rozpoczętej już przed kilku miesiącami antyniemieckiej polityki Litwy”.

Nazajutrz zjawiłem się w prywatnym mieszkaniu Łozorajtisa, by wyrazić radość, że w jego rękach spocznie teraz kierownictwo polityki zagranicznej. Szczerze mi dziękował. Wyszedłem od niego przekonany, że Szaulys miał rację, iż rosną w Litwie nadzieje na zmianę klimatu wobec Polski.

Do podgrzania tego klimatu przyczynił się kilkudniowy pobyt Prystora. Przygotowałem mu audiencję u prezydenta Smetony, rozmowę z Łozorajtisem i Rustejką, ministrem Spraw Wewnętrznych. Rozmawiał z nimi, co stałe pokreślał, w charakterze prywatnym. Wyrażał jedynie gotowość przekazania rządowi polskiemu sugestii Kowna, jeśli takie będą. Przygotowałem Prystora, że takich sugestii nie będzie. Litwini wiedzieli ode mnie, że od warunku bezwarunkowej normalizacji nie odstępimy. Akceptując ten warunek, mieliby do przekazania Warszawie tylko jedno słowo: zgoda. A do tego było daleko. Litwini wyobrażali sobie, jak np. ostrożny Łozorajtis, że normalizowanie stosunków należy rozłożyć na kilka etapów. Łozorajtis liczył, że może w międzyczasie zdoła od Polski wytargować szereg ustępstw choćby prestiżowych. Niemniej pobyt Prystora w Kownie zostawił ślad pozytywny. Litwini, którzy nic nie wiedzieli o wizycie Szaulysa u Marszałka, poczytali wizytę Prystora za rodzaj samorządnej manifestacji ze strony Polski, pragnącej dać dowód dobrej woli uregulowania stosunków z Litwą. Życzliwe zainteresowanie — tak można było określić atmosferę polityczną w jakiej upłynął tydzień pobytu osobistego wysłannika Marszałka Piłsudskiego.

Niczego więcej nie można się było spodziewać. W ciągu kilkunastu lat przywódcy litewscy podsycali w społeczeństwie uczucia wrogości i nienawiści do Polski. Heroldem litewskiego nacjonalizmu był sam Antanas Smetona, przywódca rządzącego stronnictwa „narodowców”, które okrzyknęło go „wodzem narodu” — *tautos vadas*. Nawet Litwini pragnący możliwie szybkiego uregulowania stosunków polsko-litewskich, zwłaszcza chadecy i ludowcy (czemu coraz śміalej dawali publiczny wyraz, powtarzali stale, że rząd który poszedłby na bezwarunkową normalizację, zostałby obalony. Często wprawdzie w rozmowach ze mną dodawali, że jedynie „wyższe okoliczności” usprawiedliwiłyby w oczach społeczeństwa litewskiego taki krok rządu. Słuszność tej opinii potwierdził marzec 1938 roku gdy pod naciskiem polskiego ultimatum Litwa zgodziła się na bezwarunkową normalizację.

Ale na razie Warszawa nie zamierzała uciekać się do ultimatum. Uważała, że oziębienie stosunków litewsko-niemieckich, sprzyja prowadzonym przeze mnie rozmowom, choć rozumiała, że oziębienie między Berlinem a Kownem bynajmniej nie oznacza zupełnego wyzbycia się tyloletniej opieki Berlina. Rozumiano w Warszawie, że Kowno musi się również liczyć z Moskwą, przeciwną, jak Berlin, normalizacji stosunków polsko-litewskich. Raporty moje, nacechowane w pierwszym okresie działalności optymizmem, zwracały stale uwagę na oba aspekty. Aspektem tym poświęciłem dużą część moich korespondencji.

Po wizycie Prystora pisałem, że społeczeństwo litewskie zareagowało na przyjazd tak nieoczekiwanego gościa, jak na zjawisko wprawdzie niezwykle, lecz naturalne, zrozumiałe, ba, w obecnej sytuacji politycznej może już nieuniknione, jako że od kilku miesięcy oswoiło się z myślą, że — choć powoli — zbliżać się zaczyna chwila normalizacji stosunków między obu krajami. „W 14-tym roku tragicznych nieporozumień, dzielących oba narody — pisałem do *Gazety Polskiej* — zjawił się wreszcie w stolicy odradzającego się narodu osobliwy gość z Polski. Osobliwy dlatego, że choć przyjechał tu jako człowiek prywatny, reprezentował przecież całą powagą walczącej kiedyś o niepodległość, a dziś odrodzonej, silnej Polski, gotowej zawsze do zgody ze swym litewskim sąsiadem. Wydaje mi się, że zarówno rząd, jak opinia litewska umiały to ocenić”.

Nie chciałem wierzyć, że wkrótce po Prystorze Warszawa, bez żadnego porozumienia ze mną, wyśle do Kowna nowego wysłannika w osobie aktywnego dyplomaty, radcy ambasady polskiej w Paryżu ministra Anatola Muehlsteina. O zamiarze jego przyjazdu dowiedziałem się od Łozorajtisa. Myślałem, że zaszło jakieś nieporozumienie. Ale wkrótce Muehlstein zjawił się w Kownie z żoną. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że przybył, by pozyskać Żydów litewskich dla idei porozumienia polsko-litewskiego. Nigdy się nie dowiedziałem w czyjej głowie zrodził się ten poroniony pomysł.

W swym „Dzienniku” (tom I, str. 345, wyd. *Wiadomości*, Londyn, 1967) Jan Lechoń notuje, że wkrótce po ślubie z Dianą Rothschild Muehlstein miał być wezwany do Piłsudskiego, do Pikiliszek, „który chciał aby użył on nowych swoich wpływów dla osiągnięcia zgody z Litwą”. Piłsudski „prawie prosił Muehlsteina o jak największy w tym kierunku wysiłek”. Można przypuszczać, że słowa „nowe wpływy” odnosiły się do małżeństwa Muehlsteina z nosicielką nazwiska żydowskich potentatów finansowych.

W czasie długich rozmów w Kownie, Muehlstein nie tylko rozpytywał mnie o Litwę, lecz także o poglądy Marszałka na sprawę normalizacji stosunków polsko-litewskich. Nigdy nie wspomniał, że Marszałek wzywał go do Pikiliszek i prosił by jechał do Kowna.

M.S.Z. doskonale wiedziało z mych raportów, że utrzymuję stały kontakt z najwybitniejszym przedstawicielem mniejszości żydowskiej w Litwie — adwokatem Robinsonem. Był on wyrocznią dla Żydów litewskich. Rozczarowany do Niemców był zwolennikiem porozumienia Kowna z Warszawą. Nie potrzebował go agitować. Ale wyrocznia wyjechała z Kowna na kilkutygodniowy urlop. Muehlstein, nie chcąc wracać do Warszawy z pustymi rękami prosił, bym mu zorganizował kontakty polityczne. Przyjął go więc Łozorajtis, któremu wyjaśniłem cel wizyty Muehlsteina, ale odmówiłem stanowczo załatwienia audiencji u prezydenta Smetony. By pocieszyć Muehlsteina pojechałem z Muehlsteinami do Połagi. W Połędzie zapoznałem go z bawiącym tam na urlopie Szaulysem. Tyszkiewiczowie urządzili dyplomacie polskiemu i jego małżonce piękny obiad w pałacu. W Kraju Kłajpedzkim, w majątku Włodzimierza Zubowa, kuzyna Marszałka (który również próbował bez powodzenia odegrać rolę mediatora w sporze polsko-litewskim) zorganizowałem Muehlsteinowi spotkanie z gubernatorem Kłajpedy Navakasem.

Bywając u Tyszkiewiczów w Połędzie robiłem stamtąd wypadki do Kraju Kłajpedzkiego. Poznałem ten rejon, opanowywany systematycznie przez miejscowych hitlerowców. W raportach i w korespondencjach pisałem o trudnościach z jakimi Litwa nie może się uporać, by związać ten kraj, którego większość mieszkańców, doszczętnie zgermanizowanych Litwinów, nie chce słyszeć o przynależności do państwa litewskiego. Znając młodych Polaków z wyższym wykształceniem, nie mających dostępu ani do litewskich urzędów ani do zetaczanych organizacji gospodarczych, przyszło mi na myśl, by rząd otworzył im możliwości znalezienia pracy w Kraju Kłajpedzkim, gdzie mogliby odegrać rolę elementu umacniającego państwowość litewską. W tym duchu utrzymana była jedna z moich korespondencji. Reakcja zgleichszaltowanej prasy niemieckiej przyszła szybko. Obrzuciła mnie wyzwiskami za propagowanie takiej myśli w dobie paktu niemiecko-polskiego, wzywając redakcję *Gazety Polskiej* by poskromiła swojego korespondenta. Natomiast litewskie koła rządowe pomysł oceniły pozytywnie. Może poszłyby za moją radą, za radą *Der böse Retschläger* — jak mnie nazywała prasa niemiecka — lecz na razie nie miały głowy po temu.

Zwycięstwo hitlerowców w jesiennych wyborach 1935 roku

do Sejmiu Kłajpedzkiego skomplikowało sytuację. Wybrano do Sejmiu z niemieckiej *Einheitsliste* aż 24 posłów. Frakcja litewska liczyła zaledwie pięciu. Podczas wyborów objeżdżałem z Prestonem samochodem lokale wyborcze, by się przekonać o nastrojach ludności. Nie spotykaliśmy Litwinów, za to wszędzie pełno było zachowujących się buńczucznie hitlerowców. 13 stycznia, w rocznicę trzynastoletnich rządów litewskich w Kłajpedzie, pisałem, że cień feralnej trzynastki zaciążył nad losami tego kraju i nie łatwo będzie się Litwie go pozbyć. O palącym dla Litwy problemie kłajpedzkim mogłem wiele powiedzieć, gdyż miałem tam swego informatora, świetnego znawcę stosunków R. Walsonokasa, autora wyczerpującej pracy *Kłajpedos problema*.

Pierwszy okres mojej misji trwał dwa lata, od jesieni 1933 prawie do końca 1935 roku. W tym okresie, prócz Prystora i Muehlsteina, odwiedziła Litwę gromadka Polaków z Polski. Przyjechała nawet na gościnne występy znakomita śpiewaczka operowa Ewa Bandurska-Turska. Z cyklu zapowiedzianych występów w operze kowieńskiej nic jednak nie wyszło. Mimo gróźb zerwania przez szowinistyczną młodzież litewską wstępnego koncertu Bandrowskiej, sukces śpiewaczki był tak wielki, że władze litewskie odwołały występy operowe. Z jednej strony obawiały się, że zaagitowana młodzież nie zrezygnuje ze skandalu na większą skalę, z drugiej — triumfalny występ polskiej śpiewaczki był żywym potwierdzeniem prawdy, że gdy kiedyś runie mur dzielący Litwę od Polski, aktorzy polscy będą w Kownie mile widziani. Odwiedziło Litwę w tym czasie trzech moich kolegów uniwersyteckich: adwokat Feliks Majorowicz w sprawach hipotecznych Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Warszawie, Stanisław J. Paprocki, dyrektor Instytutu Spraw Narodowościowych oraz historyk prof. Henryk Paszkiewicz. Chciał odwiedzić kraj swych przodków i nawiązać kontakty z litewskimi historykami.

Latem 1934 roku grupa poważnych i wpływowych Litwinów wysunęła projekt zorganizowania spółki handlowej polsko-litewskiej z siedzibą w Gdańsku. Chodziło o skanalizowanie wymiany handlowej między obu krajami. Wskutek braku stosunków odbywała się okrężnymi drogami lub przez zieloną granicę. Litwa płaciła rocznie 8 milionów litów za okrężny import towarów polskich. Był to dobrowolny haracz płacony za izolowanie się od Polski. Pojechałem do Warszawy. Sądziłem, że powstanie takiej spółki będzie poważnym etapem na drodze zbliżenia. Jak się później mogłem przekonać Marszałek nigdy o projekcie nie słyszał. Dla niezbadanych przyczyn Schaetzel, z którym o tym rozmawiałem, nie wspomniał o nim ani Marszałkowi, ani Beckowi.

Przez cały czas rozmyślałem nad znalezieniem jakiegoś wyjścia z impasu, odpowiadającego obu stronom, które przybliżyłoby normalizację stosunków. W jednej z rozmów z Łozorajtisem wysunąłem projekt powołania w Kownie i w Warszawie stałych delegacji do rokowań normalizacyjnych, obdarzonych przywilejami dyplomatycznymi. Byłem przekonany, że jeśli obie strony wyrażą nań zgodę, status delegacji utrwali się po pewnym czasie i normalizacja faktycznie zacznie działać, a później dojdzie jedynie do sformalizowania stanu faktycznego. Wydawało mi się, że projekt przypadł do gustu Łozorajtisowi. Znał poglądy Marszałka Piłsudskiego i wiedział, że nic w nich nie da się zmienić. Mówił jednak o konieczności zrobienia jeszcze ze strony Warszawy jakiegoś gestu pojednawczego, który ułatwiłby rządowi litewskiemu ewentualną zgodę na pomysł stałych delegacji. Zachęcał do takiego gestu również *chargé d'affaires* brytyjski Preston.

Beck nie odrzucił pomysłu stałych delegacji ale go nie akceptował. Chciał się najpierw dowiedzieć co ostatecznie powie Kowno. Powtórzył znowu, że gotów jest w każdej chwili, jeśli tego zechcą Litwini, wsiąść do samolotu i polecieć do Kowna, by rozpocząć oficjalne rozmowy w sprawie normalizacji. Wiosną 1935 roku wydawało mi się, że bardziej niż dotychczas skłonny jest do zrobienia jakiegoś gestu dobrej woli.

Wiedząc o pogarszającym się stanie zdrowia Marszałka nagliłem Łozorajtisa, by rząd litewski wyraził przynajmniej zasadniczą zgodę na pomysł permanentnych delegacji. Dowodziłem, że Marszałek poczyta zgodę Kowna za konkretny wyraz chęci porozumienia.

W początkach maja Łozorajtis poprosił mnie do siebie i z uśmiechem zadowolenia zakomunikował, że pomysł stałych delegacji chwycił na najwyższym szczeblu. Choć nie wychodził poza ogólne, nie trudno było zrozumieć, że Smetona odnosi się do niego pozytywnie. Zawiadomiłem zaraz Warszawę o przyjeździe. Pełen nadziei, że może sprawa ruszy wreszcie z martwego punktu, szykowałem się do wyjazdu gdy otrzymałem telefoniczną wiadomość z Berlina o śmierci Marszałka.

Wyjechałem nazajutrz po południu. Wrażenie śmierci Marszałka w Kownie było olbrzymie. Głośniki radiowe nastawione były na Warszawę. O niczym więcej nie mówiono. Od głosów paszkwilanckich odbijały artykuły poważne. Organ opozycyjnej chadecji *Rytas* pisał, że polityczne osłabienie Polski byłoby w obecnych warunkach niebezpieczne nie tylko dla niej samej, lecz i dla jej sąsiadów w Nadbałtyce. Jeśli Piłsudski wyrażał chęć pogodzenia się z Litwą i tylko nie zdążył tego dokonać,

społeczeństwo polskie „najlepiej upamiętniłoby swego wielkiego bojownika, wypełniając jego wolę jako testament, to znaczy normując swe stosunki z Litwą na zasadach miłości chrześcijańskiej”. Walentinas Gustainis, korespondent urzędówki litewskiej *Lietuvos Aidas* w Warszawie rozwiewał złudzenia jakoby po śmierci Piłsudskiego mogło w Polsce dojść do wstrząsów wewnętrznych czy raptownych zmian. Zwracał w swym artykule przede wszystkim uwagę na wielką spuściznę wychowawczą pozostawioną przez Marszałka. Duch jego pozostanie — pisał — i będzie dalej oddziaływał na bieg wydarzeń.

W pierwszej rozmowie z Łozorajtisem po powrocie z Warszawy, może w innych słowach, mówiłem to samo. Powtórzyłem rozmowę z Beckiem po pogrzebie Marszałka. Beck słowem nie zareagował na ostatnie przed zgonem Marszałka tchnące optymizmem wynurzenia Łozorajtisa. Nie tał swych uczuć mówiąc, że z winy Kowna nie dane było Komendantowi zasypać rowu, który rozdzielił na tyle lat oba narody. Beck usztywnił się. Wiedziałem, że o żadnych etapach czy delegacjach nie będzie chciał teraz słyszeć. W dwóch słowach „bezwarunkowa normalizacja” streszczał swój program wobec Litwy. Powtarzał je parokrotnie z pasją jakby chciał powiedzieć: „Doczekali się. Niech wiedzą, że od tego nie odstąpię”.

Nie miałem złudzeń, że zaczyna się nowy etap mej działalności, zupełnie niepodobny do poprzedniego.

Na martwym punkcie

Przed wyjazdem z Warszawy rozmawiałem z referentem spraw litewskich w M.S.Z. doskonałym znawcą Litwy radcą Tadeuszem Perkowskim. Wspominaliśmy naszą długą rozmowę u mnie na Perkuno Aleja, gdy przyjechał do Litwy, by odwiedzić swe rodzinne, telszewskie strony. Odwilż w stosunkach polsko-litewskich była na przełomie z 1933 na 1934 rok tak widoczna, że wydawało się nam wtedy, iż nawrót do przeszłości będzie niemożliwy. Teraz stwierdzaliśmy zgodnie, że ten nawrót się zbliża. Pocieszała nas tylko myśl, że odwilż ujawniła w Litwie liczne zastępy ludzi, którym obrzydł stan permanentnej „wojny” z Polską, za którą dawniej sami się opowiadali. Znalazłszy się w Kownie starałem się spotykać z nimi jak najczęściej. Jednocześnie kontynuowałem rozmowy w M.S.Z.-cie, mniej teraz z Łozorajtisem, częściej z jego zastępcą Urbszysem, równie sympatycznym rozmówcą jak jego szef. Lecz wobec zarysowujących

się zmian polityki litewskiej wiele sobie po tych rozmowach nie obiecywałem.

15 stycznia 1936 roku Beck złożył oświadczenie na temat polityki zagranicznej. Stosunki polsko-litewskie nazwał w oświadczeniu „najdziwaczniejszym zjawiskiem w dziedzinie sąsiedztwa”. Zarzucał Litwie wspomaganie terrorystów ukraińskich w Polsce, co ujawnił wytoczony im proces. Urzędówka litewska *Lietuvos Aidas* odpowiedziała, że zarzuty te mają charakter propagandowy, są przeto niepoważne. Inaczej nie mogła pisać. Trudno się było przyznać, że irredentyści ukraińscy cieszą się nie tylko opieką Berlina, lecz i Kowna. Dowiedziałem się, że na wprost mego domu, na Kiejstuta, bodaj na pierwszym piętrze, Ukraińcy mieli punkt obserwacyjny. Obserwowany więc byłem nie tylko przez Litwinów, Niemców i sowieciarzy, lecz także przez Ukraińców, którymi się Litwini wyręczali.

Lietuvos Aidas oburzał się na Becka za jego stosunek do Litwy. Dziennik dowodził, że idąc drogą którą wybrał, nie można zbliżyć się do wyrównania przeciwieństw, dodawał jednak, że Litwa niezmiennie i szczerze pragnie naprawy stosunków sąsiedzkich z Polską. Parę tygodni przedtem, 28 grudnia, na zjeździe rządzącej partii narodowców zabrał głos Łozorajtis. Mając na myśli stosunki polsko-litewskie mówił, że „między wszystkim i niczym są cyfry i etapy pośrednie, które w pewnych okolicznościach polityk winien wykorzystać o ile chce, by osiągnięcie interesów państwowych posuwało się przynajmniej tak jak na to pozwalają okoliczności, a nie stało w miejscu”. Było rzeczą pewną, że etapowe aluzje Łozorajtisa Beck pominie milczeniem.

Odpowiadając na zgłoszoną w Sejmie Polskim interpelację w sprawach polsko-litewskich powiedział, że Polskę obchodzi tylko „fizjologia” współżycia dwóch państw sąsiedzkich, będąca *conditio sine qua non* równowagi i spokoju. Łozorajtis polemizując 6 marca w Sejmie Litewskim z wywodami polskiego ministra Spraw Zagranicznych uznał za wskazane mówić o „krzywdzie wyrządzonej Litwie przez Polskę”, o „smutnej pamięci” roku 1920-tym, o polskiej polityce faktów dokonanych i o polskiej „niewrażliwości” na wyrządzone Litwie krzywdy.

Wracał do niedawnej historii, choć wiedział, że Polska przestała wobec Litwy operować historią zarówno dawną, jak najnowszą z czasów wojennych i pierwszych lat powojennych. Oduczyl nas od tego twórcy państwa litewskiego. W czasie pierwszej wojny robili wszystko, aby zerwać nici wspólnej, wielkiej przeszłości. Lata 1919-1920 przyniosły wielu przykładów potwierdzających ahistoryczne podejście Litwinów do sprawy przysłych stosunków z Polską.

Przemówienie prezydenta Smetony wygłoszone 24 marca tegoż 1936 roku, w którym ofiarowywał Polsce „prawdziwą przyjaźń” Litwy w zamian za zwrot Wilna, miało ten sam wydźwięk historyczny co polemika Łozorajtisa.

Wystąpienia obu były wyrazem zmian jakie zaszły w polityce litewskiej. Po dwóch latach zaostrzenia stosunków litewsko-niemieckich, 9 marca rozpoczęły się w Berlinie pertraktacje handlowe. Poprzedziła je mowa Hitlera, w której znalazł się ustęp poświęcony Litwie. Hitler deklarował, że wobec złagodzenia antyniemieckiego kursu w Kłajpedzie, przestaje traktować Litwę w sposób „wyjątkowy” i gotów jest z nią zawrzeć pakt o nieagresji pod warunkiem zapewnienia autonomii Krajowi Kłajpedzkiemu. W tej sytuacji rokowania gospodarcze w Berlinie nabrały politycznej treści. Słowa Hitlera zawierały ofertę, na którą Litwa musiała odpowiedzieć pozytywnie.

W jednej ze swych korespondencji nazwałem w tym sensie rok 1936 rokiem rozstrzygnięcia dla Litwy. Pisałem, że Kowno będzie musiało się zdecydować, czy wróci pod skrzydła swych dawnych dwóch opiekunów czy też wyzwoi się częściowo spod ich opieki, normalizując stosunki z Polską. Pisałem, że w roku ubiegłym w murze dzielącym oba kraje zarysowały się poważne szczyrby i że są one nadal wielkie. Dlatego, „wbrew różnym półurzędowym i urzędowym głosom litewskim, ośmielałem się twierdzić, iż większość społeczeństwa litewskiego powitałaby z ulgą i zadowoleniem normalizację stosunków”. Na przeszkodzie jej — dowodziłem — stoi wiele czynników wśród nich przede wszystkim — bierność polityczna Litwinów. Jako przykład dawałem odprężenie litewsko-niemieckie. Kowno dopiero po klęsce wyborczej w Kłajpedzie, a więc w chwili najniegodniejszej, zdecydowało się na zmianę swej polityki. Bierność polityczna w połączeniu z błędnym mniemaniem, że „Litwa Polsce jest potrzebna” i dlatego ani jej sama nic nie robi i innym nic złego zrobić nie pozwoli, może w ogóle uniemożliwić normalizację stosunków między Kownem i Warszawą. Artykuł wywołał cierpkie reakcje w litewskim M.S.Z.-cie.

Takich reakcji było coraz więcej w miarę jak tematyka mych rozmów coraz częściej zaczęła się obracać wokół spraw, których poprzednio ani ja nie poruszałem, ani nie poruszali rozmówcy litewscy. Chodziło o położenie ludności polskiej w Litwie i litewskiej na Wileńszczyźnie. Pojawienie się tego tematu na porządku dziennym rozmów było zapowiedzią zbliżającego się końca mojej misji. Pisałem o tym w swych sprawozdaniach, lecz Beck nie chciał, bym sam miał opuszczać Kowno. Tymczasem moje inter-

wencyjne wizyty w M.S.Z.-cie w „roku rozstrzygnięć” nie ustały. Powodów było wiele.

Jeszcze za życia Marszałka, w marcu 1935 roku, w humorystycznym piśmie litewskim *Kuntaplis* ukazała się obrzydliwa karykatura. U nóg rozpartego w fotelu Hitlera kornie schylona postać Marszałka Piłsudskiego. Pod karykaturą słowa: „Nowy hymn polski: 'Dajmy by nam Niemiec pluł w twarz i dzieci nam germanił'”. Moi urzędowi i nieurzędowi rozmówcy spotykali mnie po tym wyczynie pisma na razie z minami zażenowanymi.

31 marca zjawiono się u Telvitisa, redaktora *Kuntaplis*a dwóch studentów uniwersytetu kowieńskiego, Dowgird i Paszkiewicz. Pierwszy z nich, student medycyny, wymierzył redaktorowi policzek. Oddalając się pozostawili bilety wizytowe. Prasa litewska, która nie zdobyła się na potępienie karykatury, teraz zgodnym chórem piętnowała obu studentów dowodząc, że spoliczkowanie było aktem chuligaństwa! Redaktora *Dnia Polskiego* usunięto ze Związku Dziennikarzy Litewskich. Komendant wojskowy Kowna skazał Dowgirda na rok zesłania do miejsca jego stałego zamieszkania, a jego towarzysza na pół roku — do Birż. Rektor uniwersytetu prof. M. Romer vel Romeris, człowiek o nieokreślonej narodowości, relegował obu studentów na semestr z uczelni. Incydent podniecił antylitewskie nastroje na Wileńszczyźnie wyczulonej na to, co się za litewskim murem dzieje.

Sprawa szczęśliwie przycichła, lecz w drugiej połowie 1935 roku zaczęły się szykany wobec ludności polskiej w Litwie. W styczniu roku następnego odbył się olbrzymi antylitewski wiec w Wilnie. Echa tego wiecu szybko dotarły do Litwy, podniecając organizacje szowinistyczne do akcji. Zaczęły się demonstracje antypolskie. Skutki ich nie dały długo czekać. W początku czerwca 1936 roku zebrał się 49-osobowy Sejm Litewski, posłuszny każdemu skinieniu rządu narodowców. W Sejmie tym nie znalazł się ani jeden przedstawiciel ludności polskiej. W poprzednich sejmach, powoływanych na zasadach demokratycznych, Polacy mieli swych posłów. Należały się im trzy, co najmniej dwa mandaty. Nie otrzymali żadnego. 9 października z niesłychaną pompą obchodzono rocznicę „podstępnego” zajęcia Wilna przez Żeligowskiego. Ożywił swą działalność „Związek Odzyskania Wilna”. W prasie i w radiu odżyła teza, że o żadnych porównaniach między sytuacją Polaków w Litwie i Litwinów na Wileńszczyźnie nie może być mowy, gdyż Wileńszczyzna to także Litwa, a wszyscy tzw. Polacy w Litwie są po prostu spolonizowanymi Litwinami.

Na Wileńszczyźnie, gdzie rządził poznańczyk, wojewoda L. Bociański, zaczęła się metodyczna kontrakcja wymierzona prze-

ciwko ludności litewskiej. Beck akceptował ją całkowicie. Uważał, że Litwa po porażkach w Kłajpedzie wycofała się na stare pozycje porozumienia z Niemcami, manifestowania przyjaznych uczuć wobec Sovietów i zrywania nawiązujących się kontaktów z Polską. Polityka Bociańskiego wobec mniejszości litewskiej miała pouczyć Litwę, że Warszawa zdaje sobie sprawę z tego zwrotu i wyciąga z niego właściwe konsekwencje.

W rozmowach prowadzonych dalej w litewskim M.S.Z.-cie usiłowałem przekonać mych rozmówców, że zarządzenia skierowane przeciwko Polakom w Litwie do niczego nie prowadzą, a tylko odbijają się ujemnie na położeniu Litwinów na Wileńszczyźnie, którzy do 1936 roku znajdowali się w sytuacji bez porównania lepszej od mniejszości polskiej w Litwie. Na dowód przytaczałem przetłumaczone mi starannie przez Westfala różne litewskie ustawy. Miały one wprawdzie charakter ogólnopaństwowego, lecz mierzyły bezpośrednio w Polaków. Już w 1935 roku Litwa przekształciła się w państwo rządzone totalnie przez narodowców. Opozycja nie miała nic do powiedzenia. Tym bardziej można się było nie liczyć z głosem mniejszości polskiej. Pokazywałem w M.S.Z.-cie egzemplarze wychodzącego nadal dziennika polskiego, który musiał drukować na wskazanym miejscu elaboraty rządowe na które wzdrygał się czytelnik! Odpowiedź na moje perswazje była zawsze taka sama. Cytowano mi przykłady „szykan Bociańskiego” mówiąc, że Warszawa powinna odwołać go jak najszybciej.

W korespondencjach od czasu do czasu uderzałem jeszcze w cieplejszą nutę. W październiku 1936 roku pisałem, że jest w Litwie dużo ludzi należących do różnych odłamów politycznych, nie wyłączając stronnictwa rządowego, których już dawno z całą antypolską demagogią nic nie wiąże.

Lecz już nie wierzyłem, by moje argumenty i perswazje mogły dać realny skutek. Rozkręcone znowu koło antypolskiej hecy toczyło się dalej. Było to dla mnie ciężkie przeżycie. Nie entuzjazmowałem się kontrakcją Bociańskiego na Wileńszczyźnie, choć uważałem, że nie ma innej rady, by Kowno przywołać do porządku. Z takiego obrotu rzeczy na pewno nie był również zadowolony Łozorajtis, człowiek subtelny, znający świetnie nie tylko psychikę własnego narodu lecz i polskiego. Znał nie gorzej literaturę polską od intelektualistów polskich. Ale przede wszystkim był Litwinem, kierownikiem polityki zagranicznej małego państwa, które zaplątawszy się po uszy w zatarg z Polską, przywykło ubezpieczać się przed nią — urojonym wrogiem, w Berlinie i Moskwie. Trudno było Łozorajtisowi zveksłować z toru, po którym poruszała się polityka litewska, wyznawana przez

„wodza narodu”, prezydenta Smetonę i innych czołowych polityków rządzącego stronnictwa. Rozumieli trudną sytuację Łozorajtisa także przywódcy obu stronnictw opozycyjnych. Dwaj z nich ze stronnictwa chrześcijańskich demokratów prof. Paksztas i dr Bistras mówili to wyraźnie.

U schyłku „roku rozstrzygnięć” byłem pewien, że tygodnie mego pobytu w Kownie są policzone. W drugiej połowie stycznia 1937 roku kończyła się ważność litewskiego „*sauſ-conduit*”. Na parę tygodni przedtem zastępca Łozorajtisa — Urbszys zakomunikował mi, że dokument nie zostanie przedłużony, a Szaulys to samo powiedział ambasadorowi Lipskiemu w Berlinie. Po normalizacji stosunków polsko-litewskich Szaulys został pierwszym posłem Litwy w Warszawie. Opowiadał mi wtedy z jaką przykrością musiał się podjąć tego zadania.

Opuszczałem Kowno wczesnym rankiem styczniowym 1937 roku. Prosiłem, aby nie żegnali mnie Polacy. Nie chciałem nikogo narażać, wiedząc, że na dworcu będą na pewno wywiadowcy litewscy. Taki był koniec mej misji.

W czasie mego pobytu w Kownie zmieniali się szefowie rządu polskiego. Po Prystorze przyszedł Janusz Jędrzejewicz. Po nim Leon Kozłowski. Po Kozłowskim Walery Sławek, a po Sławku Marian Kościółkowski. 15 maja 1936 roku premierem został Felicjan Sławoj-Składkowski. Z wyjątkiem Kościółkowskiego z żadnym z nich nie zamieniłem słowa o sprawach polsko-litewskich, choć wszyscy się nimi interesowali i wszystkich mniej lub więcej dobrze znałem. Wiedziałem, że właściwą instancją jest Józef Beck, że jemu mam składać sprawozdania i od niego jedynie otrzymywać wskazówki i instrukcje.

Najlepiej, bo od czasów peowiackich, znałem Kościółkowskiego. Gdy w październiku 1935 roku został premierem zobowiązał mnie, bym za każdym pobycem w Warszawie odwiedzał go i informował, co się na odcinku spraw polsko-litewskich dzieje. Jako kowieńczyk znał temat i bardzo się zagadnieniem interesował. W pierwszych latach odrodzenia państwowego działał na tym odcinku z polecenia Komendanta. Dotrzymałem słowa i za każdym razem będąc w Warszawie zachodziłem do prezydium rady ministrów, by z nim pomówić.

Z okazji jakiejś uroczystości wileńskiej Kościółkowski chciał wygłosić przemówienie, by dać wyraz gotowości Polski do rozmów z Litwinami. Pokazał mi tekst przemówienia. Treść była niewinna, pełna ogólników, ale ton był serdeczny i mógł przyczynić się do poprawy atmosfery. Byłem za tym, by Kościółkowski przemówienie wygłosił, ale zapytałem: „A co na to Beck?”. Usłyszałem odpowiedź, że wszystko z nim załatwi. Ustaliliśmy,

że uprzedzę Łozorajtisa o zamierzonym goście premiera naszego rządu. Dosłownie na 10 minut przed udaniem się na dworzec złapał mnie telefonicznie Kościółkowski. Zdyszczanym głosem zawiadał, że nic z jego planu nie wyszło. Nie trudno się było domyśleć, że Beck sprzeciwił się wystąpieniu Kościółkowskiego.

Postscriptum

Po przyjeździe do Warszawy likwidowałem w M.S.Z.-cie sprawy związane z pobytem w Kownie, byłem u Becka, porządkowałem swe korespondencje, by je wydać w książce oraz — część odpisów mniej ważnych raportów wysyłanych do Warszawy. Chcąc podzielić się z czytelnikiem polskim uwagami jakie mi się nasunęły po opuszczeniu Kowna napisałem w listopadzie 1937 roku „Zamknięcie” zbioru mych korespondencji.

Wyrażałem w zamknięciu opinię, że gdyby w 1927 roku, po spotkaniu Piłsudskiego z Woldemaraszem, Litwa oświadczyła, iż normalizuje stosunki z Polską, Berlin i Moskwa miałyby podstawy do przypuszczenia, że zwykły akt normalizacji może w sobie kryć znacznie głębszą treść. Żywe były jeszcze wtedy wspomnienia Litwy Środkowej i dążeń Piłsudskiego do sfederowania całej Litwy z Polską. Lecz przecież okres ten należy do przeszłości. Litwa związała się bliżej z państwami bałtyckimi, widząc w tym naturalną podstawę do osiągnięcia większej swobody ruchów w swej polityce zagranicznej. Uniezależniła się jednocześnie pod względem gospodarczym od Niemiec. Wydostawała się spod ich politycznej kurateli, starając się o zachowanie poprawnych stosunków z Berlinem. Oba te fakty ułatwiały normalizację stosunków z Polską. Pozostali członkowie tzw. ententy bałtyckiej — Łotysze i Estończycy, powitaliby ją ze szczerem uznaniem. Niemcy, związane z Polską dziesięcioletnim paktem, nie mogły być normalizacji otwarcie przeciwnie. Straciły w Kownie pozycję czynnika, który wpływa decydująco. Pozostała Moskwa. Litwa decydując się na likwidację muru antypolskiego, uniezależniałaby się od jej jednostronnej opieki. Nawiazanie stosunków pomiędzy Kownem i Warszawą stworzyłoby dla polityki litewskiej pomyślną sytuację. Nie kto inny — przypominałem — jak prezydent Smetona proklamował w 1933 roku zasadę, że dla małych narodów przeciwieństwa pomiędzy większymi czy wielkimi państwami, są największą gwarancją ich wolności, gdyż idąc w zawody ze względu na owe przeciwieństwa interesów „kontrolują się wzajemnie i ustalają granice ekspansji”. Unormo-

wanie stosunków z Warszawą byłoby dopiero logiczną konsekwencją zasady równowagi wpływów, która — zdaniem głowy litewskiego państwa — gwarantuje małym narodom swobodę ruchów i wolności.

Tak się jednak nie stało. Przeciwnie, rozluźniwszy swe stosunki polityczne z Niemcami Litwa, wahaniami oraz lęklwym odwlekaniem decyzji, doprowadziła do zerwania zadzierzgających się — zdawało się — nici porozumienia polsko-litewskiego.

„Stan istniejący między Polską i Litwą — pisałem — który przez usta ministra Becka określił Marszałek barbarzyńskim nie został zmieniony. Na jasny, prosty program normalizacyjny Litwa, po blisko dwudziestu latach tolerowania przez Polskę owego barbarzyństwa, odpowiadała mętnymi propozycjami normalizowania stosunków fragmentami, na raty. Mimo wielokrotnie okazywanej przez Polskę dobrej woli, mimo wyraźnie podsuwanej Litwie możliwości wycofania się z honorem, a przy tym wzmacniającego gwarancję bezpieczeństwa jej suwerenności, Litwa nie umiała się zdobyć na śmiały, otwarty krok porozumiewawczy. Zachowaniem swym doprowadziła wreszcie do tego, że Polska zdecydowała się na likwidację wybujałych przerostów litewskich na Wileńszczyźnie. Okazało się, że tolerancja polska na Wileńszczyźnie, która sprzyjała sztucznej hodowli tych przerostów w nadziei przyspieszenia procesu normalizacyjnego, nie została przez Kowno właściwie oceniona nawet wówczas, gdy zaistniały obiektywne warunki do takiej oceny. W Polsce narastających wciąż nowych generacji, którym obce są najzupełniej sentymenty polsko-litewskiej przeszłości, polityka litewska lat ostatnich wywołała uczucia nieobserwowanej przedtem antylitewskiej wrogości.

Litwa została sam na sam z Moskwą, która zawsze traktowała ją jako obiekt. Polska niejednokrotnie już miała możność przekonania się o tym. A Litwa sam na sam z Moskwą — to ztracenie resztek samodzielności, to zwękslowanie na jednostronny tor, z którego w pewnej chwili w żaden sposób nie będzie można się wydostać.

Ostatnie zwłaszcza miesiące pobytu mego za litewskim murem przekonały mnie o tym zupełnie. Nie opuszczałem więc Kowna pod zbyt dla Litwinów wesołym wrażeniem. A przecież żyłem się z tym krajem i ludnością, nauczyłem się cenić jej walory i życzę Litwie jak najlepiej. Lecz nigdy te szczerze uczucia, które żywiłem i żywię dla Litwy nie zaciemniały mi sądu o błędach jej polityki zagranicznej. Kiedyś nawet jeden ze znanych polityków i działaczy litewskich prof. I. Tamasznajtis nazwał mnie za to pół żartem pół serio — prokuratorem.

W gruncie rzeczy miał rację. Oskarżałem często. Oskarżam i teraz, twierdząc, że litewska polityka zagraniczna uprawia grę, która przekształca małe państwo w niebezpieczne ognisko niepokoju, miast tworzyć zeń ogniwo spokoju i równowagi”.

Takimi retrospektywnymi ocenami kończyłem swe wywody o stosunkach polsko-litewskich. Dowiedziałem się wkrótce o próbach Aleksandra Tyszkiewicza i jego syna Stanisława, mających na celu normalizację stosunków, ale, znając Kowno, nie wierzyłem, by mogły dać pozytywne wyniki. W artykule „Co poprzedziło polskie ultimatum do Litwy?” (*Kultura* Nr 4, 1956) omówiłem obszernie okoliczności w jakich do ultimatum doszło.

Inż. Stanisław Szmida był przed wojną prezesem kowieńskiego towarzystwa kulturalno-oświatowego „Pochodnia”. Łączyły go przyjacielskie stosunki z hr. Aleksandrem Tyszkiewiczem z Kretyngi. Latem 1939 roku przyjechał z Warszawy jego syn Stanisław Tyszkiewicz, który rozpoczął prywatne rozmowy z Litwinami na temat porozumienia z Polską. A. Tyszkiewicz informował o nich Szmida. Wśród Litwinów którzy wypowiadali się za porozumieniem znalazł się wpływowy polityk litewski, kapelan prezydenta Smetony i jego osobisty przyjaciel ks. V. Mironas. Pewnego dnia A. Tyszkiewicz poinformował Szmida, że rozmowy z toru prywatnego zostały skierowane na tor oficjalny i że Litwini godzą się na natychmiastową normalizację obopólnych stosunków. Obie strony ustaliły umówiony sygnał po którym rozpoczną się oficjalne negocjacje w Gdańsku. W końcu lutego 1938 roku A. Tyszkiewicz przyjechał z Kretyngi do Kowna i zamieszkał u Szmida. Zakomunikował mu zaraz, że delegacja polska już od trzech dni czeka w Gdańsku na przyjazd delegacji litewskiej. Zaniepokojony Tyszkiewicz zgłosił się 1 marca do ministra spraw zagranicznych Łozorajtisa. Doszło między nimi do dialogu, spisane natychmiast przez Tyszkiewicza po rozmowie z Łozorajtisem. Łozorajtis przyznał, że nie wysłał delegacji do Gdańska. Na pytanie co ma powiedzieć delegacji polskiej rzekł: „Niech Pan powie, że społeczeństwo, szczególnie młodzież, jak również i rząd, nie są przygotowani do zawierania umów z Polską”. Tyle w skrócie relacja Szmida.

W dwa tygodnie później 4 marca zabity został na pograniczu polsko-litewskim żołnierz straży granicznej. Nie ulegało wątpliwości, że rząd polski zastosuje teraz wobec Litwy metody jakich dotychczas nie stosował. 17 marca przesłał do rządu litewskiego ultimatum, które Kowno przyjęło. Taki był skutek ostatnich zabiegów Warszawy o pokojowe znormalizowanie stosunków między obu krajami. Odpowiedź Łozorajtisa udzielona Tyszkiewiczowi przekonała ostatecznie ministra Becka, że Litwini nie

myślą poważnie o likwidacji konfliktu środkami pokojowymi. Toteż — przyznaję — że z radością dowiedziałem się o ultimatum. Nie wątpiłem, że Kowno je przyjmie i że poddanie się żądaniu Polski żadnych wstrząsów w Litwie nie wywołała. Pragnąc, by politycy litewscy ustępujący pod naciskiem Warszawy nie mieli uczucia poniżenia, przemawiając po normalizacji na prośbę Becka przez radio do Litwy, czyniłem to w słowach serdecznych. Dowiedziałem się później, że Litwini byli mi za to wdzięczni.

19 marca 1938 roku wieczorem Beck urządził przyjęcie, na które nie zostałem zaproszony.

W kilka dni później zostałem wezwany do Becka w „ważnych sprawach”. Najpierw Beck prosił o rady w sprawie zorganizowania placówki dyplomatycznej w Kownie. Wiedziałem już — co dla wielu było zaskoczeniem — że nie przewiduje mnie na jej kierownika. Wysyłał do Kowna dla poczynienia wstępnych kroków organizacyjnych urzędnika M.S.Z.-tu Kłopotowskiego. Zdecydował, że pierwszym posłem zostanie nasz dotychczasowy poseł w Rydze, F. Charwat. Znałem go dobrze i nie miałem wątpliwości, że się na to stanowisko najzupełniej nie nadaje, że będzie „mocarstwowy” i wobec Litwinów bezceremonialny.

Ale wróćmy do rad. Beck słuchał ich z uwagą i parę razy — co nie było w jego zwyczaju — coś notował. Gdy mi powiedział, że zamierza zaangażować do poselstwa w Kownie kogoś z Polaków, obywateli litewskich, znających biegle język litewski, ostrzegłem by tego nie czynił. Wymieniłem nazwisko Stanisława Westfala. Bodaj jeszcze tego samego dnia Westfal przyjął propozycję objęcia w poselstwie stanowiska referenta prasowego.

W drugiej części rozmowy Beck zaskoczył mnie dziwną propozycją. Proponował, abym udał się zaraz do Gdańska w charakterze korespondenta i otwierając salon polityczny zaczął nawiązywać kontakty ze śmietanką hitlerowską. Przekonywał, że jest to potrzebne dla odprężenia nastrojów w Wolnym Mieście i jest przekonany, że mogą się do tego przyczynić. Pieniądze nie odgrywają roli. Będę oczywiście ściśle współpracował z Komisarzem Generalnym, ministrem M. Chodackim, ale będę miał jednocześnie bezpośredni kontakt z Beckiem. Pomysł uważałem za poroniony, bo mocno spóźniony. Zresztą po dziesięciu latach nieobecności w kraju, nie chciałem się ruszać z Warszawy. Pojechałbym tylko do Kowna. Odmówiłem.

Jesienią 1938 roku wpadłem na dwa dni do litewskiej stolicy celem zlikwidowania sprawy, którą rozpocząłem przed trzema laty.

Jadąc do Kowna musiałem się zapoznać w M.S.Z.-cie z tzw. priorami. Przeglądałem teczki z raportami dotyczącymi różnych spraw. Znalazłem wśród nich jedną, z której dowiedziałem się, że Polska udzieliła właścicielowi tartaków w Kłajpedzie, honorowemu konsulowi portugalskiemu, Nafthalowi, pożyczki w wysokości 100 tys. dolarów, którą na szczęście zabezpieczono hipotecznie. W zamian za pożyczkę Nafthal obiecywał Tadeuszowi Hołowce, który zajmował się wtedy sprawami litewskimi, złote góry. Zapewniał, że dzięki jego stosunkom, powstanie w Kownie rząd, który wyciągnie ramiona do porozumienia z Polską. Nic z tych obietnic nie wyszło. Nafthal pieniądze wziął, zapłacił procent tylko za pierwszy rok, po czym słuch o nim zaginął.

W M.S.Z.-cie uważano, że szkoda czasu na zajmowanie się tą sprawą.

Wezwany przeze mnie Nafthal stawiał się w Kownie. Pewny, że nic go nie osiągnie za litewskim murem, bagatelizował całą sprawę. Gdy się zorientował, że znam szczegóły transakcji, wysuwał śmieszne propozycje „kompromisowe”. Przed opuszczeniem Kowna zażądałem, by przyjechał do Warszawy i zwrócił pożyczkę z zaległymi procentami. Wiedziałem, że powodzi mu się świetnie.

W międzyczasie przyszło mi na myśl, że najlepiej będzie sprzedać naszą pretensję do pana konsula jednemu z państwowych banków litewskich, Bankowi Rolnemu. Litwini poszukiwali w Kraju Kłajpedzkim takich obiektów. Pewnego dnia zadzwonił do mnie z Kowna Kazimierz Narutowicz, komunikując, że Bank Rolny wyraził zgodę. Nafthal przyjechał do Warszawy gdy już kłamka zapadła. Czym prędzej pojechałem do Kowna, by przypilnować przelania tytułu naszych pretensji do Nafthala (jako wierzyciel z ramienia Polski figurował jeden ze znanych domów bankowych w Londynie) Bankowi Rolnemu. Formalności załatwiliśmy w Kłajpedzie. Przedtem odbyłem w towarzystwie Narutowicza rozmowę z dyrekcją Banku Rolnego. Bez żadnych targów zgodziłem się, że Bank wypłaci mi czekiem 20 tys. funtów szterlingów i w gotówce 100 tysięcy litów, co odpowiadało około 100 tys. złotych. Załatwiłem wszystkim w ciągu dwóch dni. 100 tys. litów wpłaciłem na cele kulturalno-społeczne mniejszości polskiej w Litwie, czek zabrałem z sobą i po przyjeździe do Warszawy oddałem w M.S.Z.-cie. Nie wierzone własnym oczom. Po paru dniach otrzymałem od dyr. Drymmera list z podziękowaniem.

Byłem pod dużym wrażeniem krótkiego pobytu w dobrze mi znanym mieście. Wydawało mi się, że nic w nim ze śladów wrogości do Polski nie zostało. Cieszyłem się na spędzenie w Litwie w przyszłym roku wakacji letnich.

Po normalizacji często odwiedzałem Szaulysa w poselstwie litewskim w Alejach Ujazdowskich i on u mnie bywał na Belwederskiej. Obudził mnie w nocy, zawiadamiając o zajęciu Pragi przez Niemców. Gdy Hitler sięgnął po Kłapedę, wygłosiłem w Senacie przemówienie, którego słuchał w łoży przeznaczony dla dyplomatów. Stosunki nasze stawały się coraz bliższe. Straciłem z nim kontakt w pierwszych, tragicznych dniach września 1939 roku, choć poszukiwał mnie telefonami. Myśląc że jestem w obleganej przez Niemców Warszawie i wiedząc co mi grozi z chwilą zajęcia przez nich miasta, przyjechał — jak się później dowiedziałem — na Belwederską, by mnie wraz z rodziną przeszmuglować w gromadzie członków korpusu dyplomatycznego opuszczających Warszawę podczas krótkiego zawieszenia broni.

W czasie wojny zamieszkał w Szwajcarii. Napisał do mnie, do Londynu. Wymieniliśmy z sobą kilka listów. W jednym poświęcił cały ustęp mojej misji. Według Szaulysa znaczenie jej polegało na tym, iż oswoiłem społeczeństwo litewskie z myślą, że może w Kownie stale przebywać w takim czy innym charakterze przedstawiciel Polski. Bardzo sobie ceniłem tę opinię o mojej osobliwej misji jednego z ojców państwowego odrodzenia Litwy. Nazywam ją osobliwą dlatego, że nikt mnie do niej nie wyznaczał, że dzięki przypadkowi sam ją zapoczątkowałem dwoma wyjazdami do Litwy, że zachęcany przez Szaulysa sam jej dwojaki charakter wymyśliłem, że znalazłszy się w sercu wrogiej Polsce Litwy, sam sobie musiałem radzić.

Tylko raz jeden po ostatniej wojnie uczestniczyłem w spotkaniu polsko-litewskim w Londynie. Było to za czasów premierostwa Tomasza Arciszewskiego. Stronę litewską reprezentowali: czołowy działacz emigracyjny, ex-dyplomata W. Sidzikauskas i dobrze mi znana z czasów kowieńskich panna Avetinajte. Stronę polską reprezentowali ministrowie: A. Tarnowski, M. Sokołowski, T. Gwiazdowski i ja. Spotkanie było bardzo serdeczne. Los obu krajów przesądziły wyroki zapadłe w Teheranie i Jałcie. Polska jako pseudosuwerenne państwo znalazła się w sowieckiej sferze wpływów. Litwę spotkał los znacznie gorszy. Została włączona do Związku Sowieckiego w charakterze jednej z republik, *de facto* — prowincji. Stolicą jej stało się Wilno oczyszczane z Polaków, a równocześnie rusyfikowane.

Litwini zdają sobie sprawę z tego czym grozi to sam na sam z Moskwą. Litwini w kraju jak mogą usiłują zachować swe odrębne, narodowo-kulturalne oblicze. Polityczna emigracja marzy o dniu, w którym Litwa przestanie być prowincją imperium sowieckiego i stanie się znowu niepodległym państwem ze stolicą

w Wilnie. Trudno jest sobie wyobrazić, by marzenie to mogło się zrealizować bez jednoczesnej likwidacji sowieckiej sfery wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej, obejmującej Polskę. Może wtedy oba wyzwolone z sowieckich kleszczy kraje podadzą sobie dłonie, godząc się z tym, że drogie obu narodom Wilno stanie się ogniwem trwałej, sąsiedzkiej współpracy, wolnej od wybujałych przerostów nacjonalizmu bezpowrotnie minionej przeszłości.

Tadeusz KATELBACH

Bogusław MIEDZIŃSKI

WSPOMNIENIA (4)

15 sierpnia Piłsudski przybył do Warszawy. Pozostawił dowództwo Brygady Sosnkowskiemu i nie pytając o niczyje pozwolenie, za dokumentem podróży przez siebie samego wystawionym, zjawił się w stolicy i zamieszkał w Hotelu Francuskim. Wieść o tym rozeszła się piorunem po mieście i wkrótce przed jego kwaterą zaczęły się zbierać manifestujące na jego cześć gromady młodzieży. W odpowiedzi na to dowództwo niemieckie poprosiło go o opuszczenie Warszawy. Piłsudski udał się wówczas do Otwocka i zamieszkał w jednej z tamtejszych letniskowych willi. Towarzyszyli mu w tej podróży Wieniawa-Długoszowski i Juliusz Kaden-Bandrowski.

17 sierpnia na wezwanie Komendanta udaliśmy się do niego do Otwocka: Roman Żuliński i ja z Komendy Naczelnej P.O.W., Artur Śliwiński, jako najwybitniejszy przedstawiciel obozu niepodległościowego w Warszawie oraz Sieroszewski i Downarowicz, którzy otrzymali już rozkaz pozostania w Warszawie dla pracy politycznej. Towarzyszył nam Wieniawa. Przybyliśmy do willi Komendanta dość wcześnie, między 9-tą a 10-tą rano. Właśnie kończył swoją toaletę; przywitał nas bardzo serdecznie, ale z wyraźnym zatroskaniem i kazał przedstawić sobie stan rzeczy w Warszawie i sytuację polityczną na terenie zaboru rosyjskiego. Wkrótce podano nam wszystkim herbatę i rozmowa przybrała charakter swobodny i nieformalny. Komendant przyjął krótkie sprawozdanie Żulińskiego z działań i *Ordre de Bataille* P.O.W. i powiedział, że na sprawy wojskowe będzie czas kiedy indziej, teraz zaś chciałby usłyszeć o politycznym układzie sił. Mówił na

ten temat Artur Śliwiński, dodawał swoje uwagi Sieroszewski, który będąc już prawie od dwóch tygodni w Warszawie, z właściwą sobie ruchliwością i energią nawiązał mnóstwo kontaktów i przeprowadził szereg rozmów z wybitnymi osobistościami świata warszawskiego. Oczywiście, w tym co obaj mówili powtarzały się ciągle narzekania na postępowanie endeków, na ich zaślepione rusofilstwo i niecofającą się przed niczym walkę z naszym obozem. Gdy wszyscyśmy temu przytakiwali, Piłsudski w pewnej chwili z wyraźnym zniecierpliwieniem przerwał i powiedział: „Słuchajcie moi Drodzy, musicie się wreszcie zorientować w doniosłości zmiany, która nastąpiła. Moskale odeszli i stosunek do nich będzie coraz mniej aktualny politycznie. Główny kłopot i nieszczęście z którym będziemy mieli do czynienia teraz, to będą różne mydłki, wślizgujące się w łaski nowych panów naszej ziemi, Niemców i Austriaków. Przestańcie się więc rozwodzić nad nieprawościami endeków i Lubomirskiego, przestańcie o nich myśleć, jak o zakamieniałych wrogach, bo może wkrótce będziemy mieli raczej ich obok siebie w walce na nowym froncie. Zdaniem moim, Rosja jest już na drodze nieodwołalnej klęski i następny etap, którego oczekuję, to rewolucja. W sprawie legionowej będę musiał pewnie wkrótce pójść na drastyczne rzeczy. Już teraz zaczynam pracować na dwie ręce. Musicie mi rozbudowywać, a nie likwidować P.O.W. — tu spojrzał znacząco na Żulińskiego i na mnie — i musicie mi stworzyć poważne oparcie polityczne w Warszawie, które mi jest niezbędne dla uniezależnienia się od Wiednia i jego krakowskiej filii. Nie zapominajcie ani przez chwilę, że to co się stało stwarza dla nas nie swobodę, ale nowy front. Tyle mam Wam teraz do powiedzenia, ale dobrze to sobie zapamiętajcie”.

Następnie, Piłsudski zwrócił się do nas z zapytaniem o stosunki wewnętrzne pod panowaniem rosyjskim, o stan dyscypliny w armii i o ewentualne oznaki naprężenia rewolucyjnego. Żuliński odpowiedział, że wywiad nasz zarówno na terenie ziem polskich, jak i w głębi Rosji, nie zaobserwował dotychczas żadnych oznak zachwiania dyscypliny, ani też natężenia rewolucyjnego. Zaproponował jednak, abym ja dopełnił jego spostrzeżenia, wobec tego że spędziłem kilka miesięcy w Petersburgu, zaś przez kilka miesięcy również pracowałem w szpitalu wojskowym. W zasadzie całkowicie potwierdziłem opinie Żulińskiego, dodałem tylko od siebie dwie uwagi, stwierdzając fakty, które w dalszym rozwoju mogą się przyczynić do rewolucyjnego nastawienia i do niezadowolenia wśród wojska. Mianowicie, po pierwsze, istnienie na ogromną skalę przekupstwa i łapownictwa w zakresie wszelkiego rodzaju dostaw wojskowych. W Petersburgu opowiadano mi, że zjawiska

te sięgają aż do szczytów ministerialnych i do dworu carskiego. Szczególną plagą jest podobne łapownictwo na kolejach, gdzie nawet za przewóz najpilniejszego materiału wojennego z portów na front, płacone są łapówki. Olbrzymie zarobki wszystkich organizacji, firm i osób zaopatrujących armię i rosnące z dnia na dzień fortuny — jest to rzecz powszechnie znana i zaczynająca już budzić pomruki oburzenia. Zastrzegłem się, że byłem w Petersburgu w okresie największych tryumfów oręża rosyjskiego w czasie upadku Przemysła, kiedy oczywiście tryumfy te przesłaniały wszystkim grozę zjawisk negatywnych i że obecnie, po wielomiesięcznym klęskowym odwrocie, opinia publiczna może już inaczej patrzeć na to wszystko, na co przedtem przymykała oczy. Z moich doświadczeń szpitalnych, z rozmów z żołnierzami w czasie nocnych dyżurów i z powtarzanych mi obserwacji naszych lekarzy, mogłem stwierdzić tylko, że zarysował się już w zimie z 1914 na 1915 brak środków opatrunkowych. Na terenie szpitala siedleckiego mieliśmy rannych z frontu niemieckiego nie z austriackiego i po każdej większej bitwie przybywali żołnierze z ranami zaognionymi i zakażonymi na skutek zbyt rzadkiej zmiany opatrunków; bardzo często zamiast waty były używane pakuły i nawet stosunkowo lekkie rany ulegały zakażeniu i ropieniu. Nie słyszałem nigdy od żołnierzy skarg na brak amunicji, natomiast skargi na zaniedbania w szpitalach i punktach opatrunkowych były powszechne i pełne ostrego rozgoryczenia. Wreszcie, wśród żołnierzy rosyjskich niemal bez wyjątku panował strach przed Niemcami i poczucie bezwzględnej niższości wobec armii niemieckiej.

Piłsudski zgodził się z nami, że istotnie na rozkład w armii rosyjskiej i na naprężenie rewolucyjne czas dopiero teraz nadchodzi. Stwierdził jednak, że rewolucja w Rosji jest faktem nieuniknionym i tylko kwestią czasu. Zdaniem jego, nie będzie to czas długi.

Na zakończenie rozmowy z nami Piłsudski zwrócił się specjalnie do Artura Śliwińskiego mówiąc: Od Was szczególnie oczekuję pomocy, która może być dla mnie nieoceniona — zaplecza politycznego. Nie znalazłem go w N.K.N.-ie. Są tam nawet zacni ludzie i dobrzy Polacy, ale moja polityka napawa ich strachem i marzą tylko o tym, żebym przestał być taki niegrzeczny wobec Austriaków, ale tego się ode mnie nie doczekają. Będę jeszcze bardziej niegrzeczny niż dotychczas. Departament wojskowy, na który dałem Sikorskiego z tym żeby bronił samodzielności naszych oddziałów, zawiodł moje nadzieje całkowicie. Zwąchał się bezpośrednio z Austriakami i stał się narzędziem w ich rękę.

W tym stanie rzeczy nie widzę żadnej potrzeby, aby wpływy N.K.N.-u rozciągały się na zabór rosyjski. Musicie tu stworzyć niezależną reprezentację polityczną obozu niepodległościowego.

Gdy w tym miejscu Artur Sławiński poruszył się niespokojnie i chciał coś powiedzieć, Piłsudski powstrzymał go ruchem ręki i ciągnął dalej: „Wiem doskonale w jakich jesteście trudnościach i brak Wam ludzi. Szereg z nich jest u mnie w Brygadzie i wbrew moim perswazjom nie chcą wracać do polityki i rozstawać się z mundurem. Nie jest to zaś praca, do której mogę zmuszać ludzi rozkazem, bo nie byłaby wówczas wiele warta. W tej chwili zostawię Wam jednak do pomocy Sirkę i Downarowicza. W miarę możliwości będę Wam przysyłał pomoc, a szczególnie do P.O.W. będę kierował ludzi, którzy jednocześnie będą mogli zająć się polityką.

Rozumiem doskonale Wasze zniechęcenie i rozgoryczenie pozostałe z ubiegłego roku, gdyście niemal zipnąć nie mogli w opanowanej przez endeków atmosferze politycznej. Musicie jednak zapomnieć o tym, a już szczególnie nie naśladować endeków w stosunku do nowych panów. Endecy zapomnieli maksymy Andrzeja Zamoyskiego: Wszystko brać, o nic nie prosić, za nic nie dziękować. Endecy za wszystko Moskałom dziękowali i nic nie żądali. Teraz od Austriaków i Niemców musimy wiele żądać i żądania podwyższać. Może endecy zmadrzeją i zaczną robić to samo po drugiej stronie.

Pod wieloma względami będzie Wam teraz lżej, szczególnie w tej części kraju, która będzie pod austriacką okupacją, bo na pewno się oni jakoś podzielą. Niemcy zaś będą musieli dostosować się w znacznej mierze do tych koncesji, które Austriacy w formie jakiegoś samorządu obywatelskiego wprowadzą. Radzę Wam tu, w Warszawie, iść drogą faktów dokonanych. Najpierw tworzyć organizacje polityczne i oczekiwać, że będą one przez okupantów uznane lub tolerowane. To drugie jest najwygodniejsze. Broń Boże, nie zaczynajcie od proszenia o pozwolenie. Atmosfera moralnego terroru, w której żyliście przez rok poprzedni, będzie się odprężać w miarę dalszych klęsk rosyjskich. Możecie regenerować stare partie polityczne jak P.P.S., lub tworzyć nowe; to już wasza głowa. Powtarzam jednak, wystrzegajcie się dopuszczenia do naszych szeregów tych, którzy będą szukali ugody z nowymi panami, tak jak przedtem ugody z Moskałami w oczekiwaniu na ich zwycięstwo i łaskę.

Muszę Wam wyjaśnić rzecz, która, jak zauważyłem, wzbudziła wśród Was nieporozumienia. Chwili obecnej nie traktuję jako momentu do powiększania Legionów w ogóle, ani nawet mojej Brygady w szczególności. Jednym z niewielu dorobków, który

przyniósł sprawie polskiej rok ostatni, jest opinia dobrego żołnierza, którą udało nam się zdobyć. To jest w tej chwili jedna z niewielu rzeczy, którą możemy grać i która może mieć coraz większy walor polityczny i dlatego właśnie nie możemy jej dawać za darmo. Po wzięciu Warszawy i w miarę zajmowania przez Austriaków i Niemców ziem polskich, musimy żądać, aby się oni zadeklarowali wiążącymi aktami co do swoich zamiarów wobec Polski. Musimy wprowadzić sprawę Polską na stół gry międzynarodowej. Niech się o nas licytują wzwyż. Zanim to się nie stanie, nie zamierzam prowadzić na terytorium zaboru rosyjskiego żadnego werbunku; przeciwnie, będę się temu przeciwstawiał. Aby nie tracić czasu i szkolić młodzież wojskowo, nie tylko nie likwiduję P.O.W., ale będę ją rozszerzał. Decyzję jednak, kiedy mają wdziać mundur i iść w pole, zatrzymuję sobie. Tylko w ten sposób możemy swą siłę żołnierską zachować jako atut, inaczej bowiem oddalibyśmy ją za darmo. Jak Wam już wiadomo, Departament Wojskowy N.K.N. poszedł już obecnie na otwartą walkę ze mną, zamiast poprzedniej podjazdowej i intryganckiej. Ofiarowali oni Austriakom i Niemcom zorganizowanie werbunku do Legionów w zaborze rosyjskim wbrew mojemu stanowisku. Znajdźcie się więc w walce z nimi.

Co do mojej osobistej sytuacji — mówił dalej Piłsudski — musicie pamiętać, że jestem skrupowany warunkami dyscypliny wojskowej. Od N.K.N-u i zaboru austriackiego nie mogę spodziewać się osłony, przeciwnie liczę się z tym, że szczególnie dzisiaj, gdy Austria przestała być bita, mogą mnie oni w każdej chwili przehandlować i to w dodatku za nic, zwalając przy tym winę na moją niesforność i rebelianctwo. Muszę więc jeszcze przez pewien czas być ostrożny, aby za wcześniej nie przebrać miarki. Stworzenie przez Was reprezentacji politycznej w Warszawie, uznającej mój autorytet i uznawanej z kolei przeze mnie, wzmocni moje stanowisko i da mi większą swobodę gry. To samo da mi P.O.W. moim tylko podlegająca rozkazom i z której Austriacy i Niemcy nie mogą mi dać dymisji, podczas gdy jednym pociągnięciem pióra mogą mi dać dymisję z Legionów. W tej chwili jeszcze nie sędzę, aby się na to mogli zdobyć, choć nawet przygotowują sobie tę drogę, tworząc nowe brygady do powiększenia ilości których mógłby im pomóc werbunek pana Sikorskiego, gdyby się udał. Ale wciąż jeszcze moje nazwisko w Legionach znaczy więcej niż wszystkich austriackich ekscelencji do nich odkomenderowanych. Być może, że ja zagram swoją dymisją wcześniej, niż oni się na nią zdobędą.

Nie żądajcie ode mnie w tej chwili, abym powiedział więcej o moich dalszych krokach i zamierzeniach; nie będę ich przed

Wami ukrywał, gdy przyjdzie na to czas. Muszę wracać do moich chłopców, którzy są na froncie. Mój przyjazd tutaj jest formalnie nielegalny, ale mogłem sobie nań pozwolić wobec tego, że chwilowo moje oddziały nie są bojowo zaangażowane; ale to są ostatnie godziny, na które mogłem sobie pozwolić. Jednak nie dzieli nas już linia frontu i będę teraz z Wami w możliwie częstym kontakcie.

Oto streszczenie miejscami dosłowne tej rozmowy z Piłsudskim, która była dla nas kluczową instrukcją na cały rok następny.

Wróciliśmy do Warszawy. Przez następny tydzień prowadziliśmy gorączkowe przygotowania do wysłania na front naszego „Batalionu Warszawskiego”, obawialiśmy się bowiem, że lada chwila może położyć na nim rękę cesarsko-królewska Komenda Legionów, lub współdziałający z nią Departament Wojskowy N.K.N. W myśl instrukcji Komendanta, udzieliliśmy urlopów wszystkim, którzy tego pragnęli, po cichu skłaniając nawet wszystkich niezdecydowanych, aby w ten sposób zachować kadre dla dalszej rozbudowy P.O.W.

Pod względem organizacyjnym otrzymaliśmy pomoc z I-szej Brygady. Przybył mianowicie por. Ignacy Boerner, wybitny działacz P.P.S., zaś w parę dni po nim mjr Michał Żymierski (nazywający się wówczas Żymirski).

Boerner pomógł nam w załatwianiu rozmaitych formalności z władzami okupacyjnymi niemieckimi, z którymi miał już przedtem dużo do czynienia, pracując w ciągu pierwszych miesięcy wojny organizacyjnie, na terenie Zagłębia Dąbrowieckiego okupowanego przez Niemców. Znał wszystkie formalności, które nam były obce, a w dodatku świetnie mówił po niemiecku. Nawiązał też kontakt z warszawską organizacją P.P.S. i zorientował polityków obozu niepodległościowego w politycznym stanie rzeczy i ze wszystkimi arkanami polityki Piłsudskiego, N.K.N.-u i Departamentu Wojskowego. Nawiasem mówiąc, wbrew udzielanym nam instrukcjom Piłsudskiego, popadł zaraz po swym przybyciu w ostry konflikt z ks. Zdzisławem Lubomirskim. Gdy bowiem, jak już wspominałem, Niemcy dali nam do dyspozycji siedzibę po generale Uthofie, zastaliśmy ją zamkniętą, a odnaleziony dozorca poinformował nas, że klucze wraz z kluczami wszystkich gmachów zajmowanych przez instytucje rosyjskie zostały w momencie ewakuacji złożone w Magistracie. Chcąc zachować należną lojalność i kurtuazję wobec obywatelskich władz miejskich, postanowiliśmy nie forsować zamków, lecz udać się do zarządu miasta, zakomunikować obecność oddziału wojsk polskich w Warszawie i prosić o klucze. Libicki, jako zastępca

nieobecnego jeszcze Żulińskiego, i Boerner udali się więc do księcia prezydenta z wizytą. Zostali oczywiście przyjęci bardzo ozięble, to jednak nie mogło być niespodzianką. Ale ks. Lubomirski wręcz odmówił wydania kluczy i to w bardzo szorstkiej formie. Boerner stracił cierpliwość i oświadczył, że nigdy nie spodziewał się, aby społeczeństwo polskie okazało żołnierzowi polskiemu mniej względów niż Prusacy. Na tym się rozmowa skończyła sprzecznie z naszymi intencjami, pozostawiając posmak rozgoryczenia.

Przybycie mjr. Michała Żymirskiego zrobiło na nas, oficerach Batalionu Warszawskiego, ogromne wrażenie. Nie tylko jego wysoka szarża (było wówczas zaledwie trzech czy czterech majorów w I-szej Brygadzie), lecz i legenda bohaterstwa, która go otaczała od bitwy pod Laskami, sprawiły, że meldowaliśmy się mu nie tylko wyciągnięci jak struny na baczność, ale i z głębokim wzruszeniem i drżeniem serc. Czytaliśmy przecież o nim w tej skąpej literaturze o walkach legionowych, która do nas przez front docierała. Był on jednym z niewielu imiennie i chlubnie wymienionych oficerów w rozkazach dziennych Piłsudskiego. Jego zachowanie od pierwszej chwili uraziło nas nieco i nie odpowiadało temu, cośmy sobie wyobrażali; nie zachwiało jednak bynajmniej jego w naszych oczach autorytetu. Żymirski traktował nas sztywno i ozięble, chwilami nawet drwiąco; dość przyczepliwie odniósł się do drobnych usterek formalnych, które znalazł w naszych meldunkach, lub w organizacji i administracji naszego batalionu. W formach zachowania się naśladował wyraźnie manieri oficerów austriackich. Nie znaliśmy jeszcze wówczas jego historii, nie orientowaliśmy się że był w I-szej Brygadzie zaledwie parę miesięcy, że po swej ciężkiej ranie w bitwie pod Laskami przebywał cały czas w szpitalach i na rekonwalescencji, przeważnie w Wiedniu i Krakowie i nie wiedzieliśmy o komplikacjach związanych z jego prawdziwym nazwiskiem i wybranym pseudonimem.

Żymirski z tytułu swej wysokiej szarży miał prawo rozkazywać i zresztą, mając daleko większe doświadczenie i wykształcenie wojskowe, dopomógł nam znacznie w pośpiesznej organizacji batalionu, który 22 sierpnia opuścił pieszym marszem Warszawę, udając się na front do I-szej Brygady. W przeddzień wymarszu batalionu, z którym poszli wszyscy oficerowie pod dowództwem Żulińskiego, spotkała mnie dotkliwa niespodzianka; otrzymaliśmy rozkaz Piłsudskiego, mianujący Żymirskiego Komendantem Naczelnym P.O.W. i zatrzymujący mnie w Warszawie w Sztabie Komendy Naczelnej. Byłem jak wszyscy wówczas romantycznie stęskniony do munduru i do walki na froncie; gdy otrzymałem

rozkaz pozostania, dostałem po prostu ataku furii, potłukłem wszystkie sprzęty w moim pokoju, zamknąłem się na klucz i nie wziąłem udziału ani w pożegnalnym wieczorze dla batalionu, ani nie pokazałem się na jego odmarszu o świcie dnia następnego. Żuliński starał się mnie pocieszyć bez rezultatu.

Przebieg następnych kilku tygodni był dla mnie bardzo ciężki. Nie tylko dlatego, że przeżywałem pozostawienie mnie na tyłach jako wstyd i hańbę, że miałem poczucie bezgranicznej niższości wobec oficerów przysłanych z frontu dla pomocy w rozbudowaniu P.O.W. Dodatkowym obciążeniem stał się dla mnie brak wspólnego języka z Żymirskim. Ten ostatni nawiązał wprawdzie ze mną stosunki osobiste i towarzyskie, przychodził do mnie do domu wieczorami, lub wyciągał mnie na miasto, ale wszystko to zamiast wywołać jakiekolwiek zbliżenie, przeciwnie, przekształciło mój stosunek do niego, początkowo nacechowany pełnym oddaniem i podziwem, na stosunek coraz bardziej niechętny i nieufny. W godzinach służbowych Żymirski był nieprzyjemnie imperatywny i arbitralny, nawet w dziedzinach, w których moje doświadczenie i orientacja były bez porównania wyższe niż jego, jak np. w dziedzinie politycznej i w dziedzinie organizacji konspiracyjnej. W stosunkach osobistych poza służbą Żymirski próbował być przyjacielski i poufały, ale w sposób protekcyjny i zdradzający na każdym kroku elementarny brak taktu i dobrego wychowania. Wszystko to znosiłem, nie bez dotkliwej przykrości, ale z należytą wobec zwierzchnika, okrytego sławą w dodatku — cierpliwością. Po kilku tygodniach jednak przysłyły rzeczy gorsze. Gdy Żymirski kazał mi przygotować raport dla Komendanta ze sprawozdaniem z przebiegu reorganizacji P.O.W. i z podaniem jej stanu liczebnego, przyjął on przygotowany przeze mnie raport — ściśle odpowiadający prawdzie — jako pracę nieudolną, nie tylko z powodu drobnych zresztą usterek, które nazwał pogardliwie „cywilną robotą”, ale polecił mi zmienić cyfry stanu liczebnego na znacznie wyższe, miejscami wręcz fantastyczne. Na próby remonstracji z mojej strony — a prawdziwy stan rzeczy znałem naprawdę dobrze — Żymirski zakrzyczał mnie, zarzucił brak dyscypliny i polecił zmienić raport pod jego dyktando. To było dla mnie rzeczą, nad którą przejść do porządku dziennego nie mogłem; dla mnie, jak i dla wszystkich z reguły Piłsudczyków, złożenie fałszywego meldunku Komendantowi było rzeczą nie do pomyślenia. Stosunek nasz do Piłsudskiego był wręcz religijny. Zbuntowałem się wewnętrznie; nie czułem się rozgrzeszony tym, że raport zawierający fałszywe dane, będzie podpisany przez Żymirskiego i że zrobiłem przecież swoje, meldując prawdziwe dane. Nie wiedząc co począć, zameldowałem się

chorym i przez szereg dni następnych nie przychodziłem do Żymirskiego. Na szczęście w tym czasie przybył do Warszawy Walery Sławek przysłany przez Piłsudskiego jako łącznik i mąż zaufania. Udałem się do Sławka, powiedziałem mu jak rzeczy stoją i poprosiłem o zameldowanie Komendantowi, że współpraca z Żymirskim jest dla mnie niemożliwa, że przy moim stanie nerwowym wywołanym przez to, że nie poszedłem z innymi kolegami na front, obawiam się, iż dojdzie do konfliktu między mną a Żymirskim, w którym nie wytrzymam dyscypliny i gotów jestem zrobić coś niedopuszczalnego. Sławek, znając mnie od dawna, dał wiarę mojej relacji i obiecał mi zrobić natychmiastowe kroki uwzględniające moją sytuację.

Istotnie, w nadspodziewanie krótkim czasie, bo w przeciągu tygodnia czy najwyżej dziesięciu dni, przyszedł rozkaz Komendanta zwalniający mnie z dalszej pracy z Żymirskim w Naczelnej Komendzie P.O.W. i odwołujący na front. Z niezmierną ulgą i radością odmeldowałem się u Żymirskiego i przeszedłem pod rozkazy Sławka. W przeciągu kilku dni, wyekwipowałem się z grubsza, otrzymałem od Sławka — starym obyczajem — nie bardzo legalnie wystawione dokumenty i wyjechałem na front na czele trzynastoosobowej grupki Peowiaków, którzy byli chorzy w czasie wymarszu batalionu. Było między nimi kilku późniejszych wysokich dygnitarzy Rzeczypospolitej.

W czasie mej kilkutygodniowej pracy z Żymirskim w Warszawie, zaczęli napływać z I-szej Brygady — zgodnie z obietnicą Komendanta — ludzie przeznaczeni do pomocy w organizacji politycznej obozu niepodległościowego w Warszawie. Przybyło kilku wybitnych pepesowców, między innymi Andrzej Strug, pięknie wyglądający w beliniackim mundurze, z aureolą bujnej, siwej czupryny nad opaloną twarzą. Przyjechali też spędzić urlop w Warszawie Wieniawa-Długoszowski i Juliusz Kaden-Bandrowski. Poza tym szereg innych oficerów z I-szej Brygady, których Komendant skłaniał do spędzenia przynajmniej części urlopu w Warszawie, aby przyzwycząić stolicę do widoku polskich mundurów.

Warszawa początkowo patrzyła na te mundury z oziębłą ciekawością raczej. Wkrótce jednak zaczęły topnieć lody i mundury te, szczególnie I-szej Brygady, zaczęły zdobywać sobie popularność; ludzie zaczęli szukać kontaktu, wypytywać i coraz szerzej rozumieć politykę i ideologię Piłsudskiego i jego ludzi. Mundur polski, przygody wojenne, odnowienie wojskowej tradycji polskiej i to z niepospolitą chlubą, miało jednak niezmierny czar i pociąg dla przeciętnych Polaków, niezwiązanych przez zacieklą doktrynę partyjną.

Wieniawa, przyjechawszy z frontu, zamieszkał u mnie; zaprzyjaźniliśmy się serdecznie; dowiedziałem się od niego wielu rzeczy o przeżyciach Komendanta i I-szej Brygady w pierwszym roku wojny. Podziwiałem jego niezwykle talenty towarzyskie i propagandowe, jego niepospolity dowcip i inteligencję. Podbił on piorunująco serca wszystkich, z którymi się zetknął i przy swej w dodatku wspaniałej postawie żołnierskiej i urodzie był sam jeden ogromną pozycją w naszej propagandzie. Kobiety szalały za nim i zaciągały się z całą pasją w szeregi zwolenników Piłsudskiego.

Gdy opuszczałem Warszawę w końcu września, czy też w początkach października 1915 roku, organizacja obozu niepodległościowego w Warszawie w myśl wytycznych Piłsudskiego ruszyła już całą parą. Ożywiła się P.P.S., powstało nowe stronnictwo Niezawisłości Narodowej, zreorganizowali się i opowiedzieli za Piłsudskim postępowi demokraci. P.O.W., rozwijając swoją pracę na wsi, zaczęła jednocześnie pomagać w rozwoju Stronnictwa Ludowego, które wówczas — silnie już zakorzenione w zaborze austriackim — było niezmiernie słabe na terenie zaboru rosyjskiego, i na ogromnych obszarach kraju w ogóle jeszcze nie istniało (Poniatowski, Bojakowski, Bagiński).

Nawiasem mówiąc, w ostatnim tygodniu mego pobytu w Warszawie, gdy już byłem wolny od współpracy z Żymirskim i w rozmowach z przyjaciółmi z I-szej Brygady dałem wyraz swoim przykrym przejściom z Żymirskim i memu rozczarowaniu do jego osoby, dowiedziałem się całego szeregu nieznanych mi przedtem danych o nim. Powiedziano mi poufnie, że nazwisko Żymirski jest tylko poseudonimem, że naprawdę nazywa się Łyżwiński i pochodzi z bardzo drobno-mieszczańskiej rodziny krakowskiej; że nie używał swego prawdziwego nazwiska, posługując się przybranym już przed wojną w Drużynach Strzeleckich pseudonimem Żymirski, ponieważ jego prawdziwe nazwisko nabrało szczególnie złej sławy po morderstwie rabunkowym w księgarni Gebethnera i Wolfa w Krakowie, popełnionym przez jego rodzzonego brata. Przypominałem sobie tę głośną wtedy w całej Europie zbrodnię i proces, który po niej nastąpił. Opowiedziano mi też dalszą historię: Michał Łyżwiński znakomicie pracował w Drużynach Strzeleckich, wybił się wkrótce na czoło i był jednym z niewielu, którzy zdali już przed wojną strzelecki egzamin oficerski, dający następnie prawo do noszenia specjalnej odznaki (zwanej „parasolem”), którą posiadało nie więcej niż pół setki oficerów Związków i Drużyn Strzeleckich. W dniu mobilizacji wstąpił on do I-szej Brygady i został przez Piłsudskiego wyróżniony, otrzymując dowództwo kompanii początkowo, a

wkrótce potem dowództwo batalionu. Miał piękną kartę w pierwszych bojach I-szej Brygady, zaś w październiku 1915 roku w czasie ofensywy na Dęblin i Warszawę, dowodząc batalionem w bitwie pod Laskami, został ciężko ranny, przeszyty snopem kul szrapnelowych na wylot, w beznadziejnym niemal stanie wyniesiony z frontu i cudem niemal odratowany później przez najlepszych lekarzy i wykurowany ostatecznie w jednym ze szpitali wiedeńskich. Imię jego (Żymirski) stało się głośnie i rzecz prosta, szeroko wyzyskane dla propagandy czynu legionowego przez odnośne placówki N.K.N. Szczególnie zajął się nim hr. Jerzy Mycielski, entuzjasta Legionów, posiadający jednocześnie znaczne wpływy na dworze habsburskim. Działając w najlepszej wierze, ale będąc mylnie przekonany, że ma do czynienia z prawnikiem słynnego napoleończyka Żymirskiego, Mycielski podkreślał przy każdej sposobności piękne pochodzenie rodowe swego bohater-skiego pupila, przywoził arcyksiężniczki habsburskie ze specjalnymi wizytami do jego łóża szpitalnego, urządzał mu jako rekonwalescentowi przejażdżki pojazdami dworskimi po Wiedniu i Schönbrunie; wreszcie, rozpoczął starania, aby zyskać dla niego order szczególnie wysoki. I wtedy wybuchła bomba, oczywiście wstrząsająca dla środowiska dworu i arystokracji, w które Mycielski wprowadził Żymirskiego. Formalistyka biurokratyczna nie mogła bowiem pominąć tzw. generalii. Wszystko się wydało i sprawa nabrała skandalicznego posmaku. O wysokim orderze nie było już mowy mimo, że bohaterstwo wojenne Żymirskiego w niczym się nie zmieniło. Skończyły się specjalne względy; Mycielski spotkał się z gorzkimi wyrzutami tzw. „najwyższych sfer” za wożenie arcyksiężniczek do łóża plebejusza i brata głośnego zbrodniarza. Żymirski przeniósł się na resztę rekonwalescencji z Wiednia do Krakowa. Oczywiście nie było w tym wszystkim jego winy — chyba tylko, że nie zdobył się na wyznanie Mycielskiemu swego prawdziwego nazwiska; przyznać jednak trzeba, że nie było to dla niego psychologicznie rzeczą łatwą. Ale w tym całym zawiłym splocie jego losów, niewątpliwie nastąpiło wywichnięcie duchowe, które zaczęło ciążyć coraz bardziej nad całym jego dalszym postępowaniem. Ten tragiczny obrót rzeczy nie miał najmniejszego wpływu na stosunek Piłsudskiego do Żymirskiego, czego najlepszym dowodem było, że powierzył mu stanowisko, do którego przywiązywał ogromną wagę — Naczelnego Komendanta P.O.W.; gdy zaś w tej roli nie okazał się odpowiedni otrzymał wkrótce nominację na dowódcę pułku w I-szej Brygadzie — jedno z najwyższych, od Piłsudskiego zależnych stanowisk. Nie wpłynęło to również na stosunek do niego kolegów i przyjaciół z I-szej Brygady; natomiast on sam

wewnętrznie popadał w jakieś patologiczne po prostu zakłamanie, które prowadziło go do coraz bardziej fałszywych sytuacji i fatalnych decyzji.

W pierwszych dniach października przybyłem ze swą trzynastką peowiaków na front, zbliżający się wówczas do rzeki Styru. I-sza Brygada skierowana początkowo na Brześć, którego obrony spodziewali się Austriacy, została skierowana forsownymi marszami na południe, gdy okazało się że Rosjanie Brześcia nie bronili, natomiast rozwinęli silną akcję defensywną na Wołyniu, gdzie siły austriackie były stosunkowo słabe do przełamania oporu, który często przybierał formę groźnych kontrataków. Zanim nadmiar sił z wysokości Brześcia zdołał przybyć na Stochód i Styr, I-sza Brygada znalazła się w ciężkich i ustawicznych walkach, na cienko obsadzonym froncie, mając do czynienia z reguły z przeważającymi lokalnie siłami nieprzyjacielskimi. Stwarzało to dodatkowe niebezpieczeństwo dla oddziałów legionowych — okrążenia i odcięcia w lesisto-bagnistym terenie, na którym linia frontu nie była ustalona. Nie stanowiło to wielkiej różnicy dla oddziałów austriackich, jako że „honorowe” dostanie się do niewoli nie było dla żołnierza austriackiego niczym przerażającym; przeciwnie, częstokroć było raczej przyjemną perspektywą zakończenia wojny i gwarantowanego bezpieczeństwa życia w obozie jeńców, aż do zawarcia pokoju. Dla Legionisty jednak, szczególnie poddanego rosyjskiego, był to aspekt bardzo niebezpieczny, już w pierwszych miesiącach wojny bowiem Moskale powiesili publicznie w Nowym Targu oficera I-szej Brygady, przy którym znaleziono dowody jego pochodzenia z zaboru rosyjskiego. I-sza Brygada od pół roku już była w ciężkich walkach, ponosząc wciąż poważne straty i nie otrzymując prawie żadnych uzupełnień.

Bezpośrednio przed moim przybyciem siły Brygady zostały rozdzielone. Pod pozorem konieczności operacyjnych, za którymi kryła się niewątpliwie próba stworzenia precedensu złamania jednolitości I-szej Brygady i jej nierozzerwalnego związku z Piłsudskim — dowództwo austriackie skierowało Piłsudskiego z częścią Brygady dopełnioną przez 4-ty Pułk Legionów na jeden odcinek frontu, resztę zaś pod dowództwem Śmigłego — na inny. Rozdział ten trwał przez szereg tygodni; ja trafiłem właśnie pod dowództwo Śmigłego. Dostałem chrzest bojowy podwójnie ciężki. Po pierwsze, trafiłem na serię zaciętych bojów, trwających od chwili przybycia w toku bitwy o Jabłonkę dzień po dniu i noc po nocy, przez Kukłę, Kamieniuchę, Podchacie, aż do osiągnięcia linii brzegów Styru, na których front się ustabilizował. 6-ty Batalion, który w tych właśnie bojach

zyskiwał swą sławę, był zdziesiątkowany; w bitwie pod Kamieniuchą zginął mój serdeczny już wówczas przyjaciel, dr Tadeusz Żuliński, do którego kompanii przydział otrzymałem na mą usilną prośbę. Kilka dni zaledwie cieszyłem się jego towarzystwem, opieką i instrukcją, czego tak bardzo potrzebowałem, rzucony bez żadnego uprzedniego doświadczenia bojowego w gorącą nieustannych walk. Jako jedyny pozostały przy życiu oficer tej kompanii, objąłem po nim dowództwo w bitwie pod Kamieniuchą, na szczęście krótkotrwałe, gdyż po paru dniach zostałem przeniesiony na adiutanta batalionu, gdzie mogłem wciągnąć się w służbę bez katastrofalnego poczucia odpowiedzialności, z jednoczesną świadomością zupełnego braku doświadczenia i zwykłej rutyny wojennej.

Niezależnie od tego wszystkiego spotkałem się, tak samo jak i inni moi koledzy z P.O.W. z niechętnym przyjęciem ze strony „weteranów” z I-szej Brygady. Podziało to na nas, przybywających na front z romantycznym sentymentem, tęskniących do spotkania się z Brygadą jak z najbliższą rodziną, jak kubeł zimnej wody niespodzianie na gorącą głowę wylany. Nie od razu zorientowaliśmy się jakie są tego powody. A były one dość proste i zrozumiałe. Przede wszystkim była to pretensja, że przybyło nas z Warszawy tak mało. Wykruszona w pół roku trwającej ofensywie Brygada, pozbawiona rozmyślnie jak już wspominałem uzupełnień, które kierowane były przez Komendę Legionów do II-ej i III-ej Brygady, spodziewała się, że z wolnej Warszawy i Kongresówki nieobjętej rekrutacją do armii zaborczych, napłynie fala żołnierzy która wypełni do należytej miary bataliony i szwadrony, i spowoduje wymarzony rozrost szczytów legionowych. Zamiast tego, nadszedł szczypty batalionik kilkuset ludzi, przynosząc z sobą aż 5 podporuczników i nadmierną ilość podoficerów różnych stopni, którzy — wszyscy razem — jeszcze prochu nie wachali. Przy niebywale trudnych awansach w I-szej Brygadzie, na które od roku czekała masa ludzi o pełnych kwalifikacjach i pięknej karcie bojowej, wywołało to dość powszechne rozgoryczenie i niechęć do Bogu ducha winnych przybyszów. Z podoficerami nie było zresztą większych komplikacji, jako że ich szarże nie sankcjonowane przez Komendanta zostały po prostu zanulowane i musieli zarabiać na nie na nowo w ogniu, co zresztą zrozumieli i przyjęli jak rzecz naturalną. Ale podporucznicy z nienaruszalną oczywiście nominacją Komendanta — gdy liczne dziesiątki przyszyłych pułkowników i generałów wojsk polskich sierżanckimi, a nawet kaprałskimi odznakami zadowolić się musiało — była to rzecz trudna do przełknięcia. Oczywiście, nikt niemal w szeregach Brygady nie

wiedział i wiedzieć nie mógł o tym, że Piłsudski zahamował mobilizację P.O.W., nie mówiąc już o werbunku, który właściwie dopiero teraz mógł się w zaborze rosyjskim zacząć i pod urokiem nazwiska Piłsudskiego dać poważne rezultaty. Mało kto wiedział, że Piłsudski rzucił już na szalę gry politycznej swój zakaz werbunku do Legionów, a nawet ci co o tym wiedzieli nie byli w stanie tego zrozumieć, mając na oczach przede wszystkim topniejące stany liczebne swych kompanii i szwadronów. Do nas więc, peowiaków, kierowały się wszystkie pretensje, wyrażane tym bardziej bezceremonialnie i szorstko, że w tej części Brygady, która została pozbawiona przejściowo dowództwa Piłsudskiego, panowała nerwowa niepewność, zaostrzająca reakcje na wszystko. Dopiero po zakończeniu serii bojów nad Styrem, po połączeniu się Brygady i po wydaniu przez Piłsudskiego rozkazu dziennego poświęconego pamięci Żulińskiego i podkreślającego wagę i znaczenie P.O.W., atmosfera uległa znacznemu odprężeniu. Pomogły też oczywiście rozmowy i informacje, gdy był na nie czas po przesunięciu Brygady na odpoczynek w rezerwie Korpusu. Mnie osobiście pomógł pewien przypadek, który za chwilę przytoczę.

Po śmierci Żulińskiego znalazłem się w moim batalionie w dość przykrej sytuacji. Nie było wśród oficerów nikogo kto by mnie znał z przeszłości. Nie wiedział nikt, że bądź co bądź jestem jednym ze starych Strzelców i członków Z.W.C.; nie było nikogo z moich kolegów ze Lwowa lub Krakowa, którzy by pamiętali, że miałem pewne stanowisko i imię w ideowym i politycznym życiu młodzieży akademickiej. Byli to wszystko świetni oficerowie i przeznaczeni chłopcy, ale urodzeni i wychowani w zaborze austriackim, nie mający pojęcia o ciężarach i trudnościach pracy konspiracyjnej, która była moim udziałem w pierwszym roku wojny. Byłem dla nich po prostu jednym z tych lekceważonych tyłowców, który wbrew uświęconej praktyce I-szej Brygady, wypłynął nagle z podporucznikowską gwiazdką na kołnierzu. Miałem już za sobą jedno i drugie przykre starcie z oficerami batalionu, gdy dopuściłem się takiego czy innego drobnego złamania „etykiety” służbowej, na co by machnięto ręką wobec każdego innego, mnie zaś dano „szkołę”, całkiem bezceremonialnie. Ale oto przyszła głęboko przeżywana przez całą Brygadę uroczystość ponownego objęcia przez Komendanta dowództwa nad całością I-szej Brygady. Defilada przed nim pod Kołkami, gdzie się nasze oddziały spotkały. 6-ty Batalion maszerował na końcu. Maszerowałem i ja za swoim dowódcą, majorem Fleszarem, na czele batalionu. Z nieznanym mi przedtem wzruszeniem i uniesieniem patrzyłem w oczy Komendanta, który stał

na koniu na niewielkim kurhanie przy rozstajnych drogach. Zdawało mi się, że Komendant spojrzał na mnie ze szczególnym zainteresowaniem, ale pomyślałem sobie po chwili, że pewnie każdemu z defilujących żołnierzy tak się wydaje. Jednakże, gdy tylko ostatnie szeregi batalionu minęły Komendanta, ruszył on koniem w kierunku czoła naszego batalionu, minawszy go zatrzymał się, osłonił oczy dłonią, przypatrzył mi się jeszcze raz i zawołał: „Obywatel Bogusław! To Wy żyjecie?”. Wypreżywszy się należycie odpowiedziałem: „Tak jest, Komendancie, wcale dobrze żyję”. Od tej chwili moja sytuacja w Batalionie zmieniła się krańcowo. Więc Komendant go zna, powiedzieli sobie ludzie, a nawet interesuje się tym czy żyje. Tego samego wieczora na kwaterze dowódca kompanii, który zbeształ mnie przed samą defiladą, nie przebierając w słowach, za to że wtrąciłem się do porządku marszowego jego kompanii i postawił mnie do raportu przed dowódcą batalionu, podzielił się ze mną świeżo otrzymaną paczką z domu, wytłumaczył mi poczcziwie i po koleżeńsku, że powinienem być jemu zameldować zauważony nieporządek, ale uznał mnie za usprawiedliwionego wobec zrozumiałego podniecenia przed defiladą i zaproponował bruderszaft. O raporcie karnym nie było już mowy. Wszyscy inni oficerowie i cały Batalion zaczął mnie traktować po bratersku, a nawet z pewnym odcieniem szacunku.

Geneza tego wyróżnienia mnie przez Komendanta była czysto przypadkowa; mianowicie po bitwie pod Kamieniuchą doszła do Komendanta, dowodzącego wówczas na innym odcinku, wiadomość że nie tylko Żuliński ale i ja również zostałem zabity. Nie był to meldunek oficjalny i dlatego też nie doszło potem do Komendanta żadne sprostowanie; był więc istotnie zaskoczony i zdumiony, gdy zobaczył mnie żywego. Wersja powstała stąd, że jeden z rannych żołnierzy wyniesiony na punkt opatrunkowy opowiedział tam, że widział jak ja padłem od tego samego szrapnela, którym on został trafiony; a ponieważ mnie na punkt opatrunkowy nie przyniesiono, wywnioskowano, że musiałem zostać zabity, bo na wynoszenie zabitych w czasie boju nie było ani czasu, ani dostatecznej obsługi sanitarnej. Tymczasem, ja oberwałem oprócz bólu tylko ogromnego guza; chwilowe obezwładnienie prawej ręki nie zrobiło mi innej krzywdy i mogłem pozostać w linii do końca boju, a po kilku dniach władałem już ręką normalnie. Zawdzięczam to temu, że wobec mroźnych nocy i ciągłego ruchu naprzód miałem na sobie cały swój przyodziewek, a więc futro i dwa płaszcze, które osłabiły uderzenie do tego stopnia, że nawet kość nie pękła. Pozostał tylko czysty zysk, przed chwilą opisany.

Wkrótce potem, wyczerpana do ostateczności i przerzedzona przez straty Brygada, wycofana została do rezerwy Korpusu i stanęła tuż za frontem na odpoczynek w kilku pustych wsiach wołyńskich z Komendą Brygady w Karasinie. Był po temu najwyższy czas. Żołnierze byli wygłodzeni, wymęczeni i obdarci. Pamiętam, jak przygotowywałem raport o stanie Batalionu przed najbliższym przeglądem i dostałem polecenie aby wyszczególnić, którzy spośród nie mających portek żołnierzy mają gacie tego koloru, że bez obrazy Boskiej mogą do przeglądu stanąć. Stany liczebne kompanii nie dochodziły nawet do wysokości plutonów; rany i choroby zabrały resztę; jednakże w niektórych kompaniach mimo znacznego ubytku w zabitych i rannych stan liczebny był wyższy, niż przed ostatnimi bitwami. Ten pozorny cud polegał na tym, że w czasie kampanii wołyńskiej wszystkie brygady legionowe znalazły się wreszcie razem. Przy tej sposobności, cały szereg żołnierzy z I-szej Brygady, którzy po wyzdrowieniu z ran i chorób zostali następnie przez Komendę Legionów odesłani do II-ej lub III-ej Brygady, znalazłszy się na froncie bojowym obok macierzystej I-ej, z leguńską bez troską zdezerterowali po prostu do swoich oddziałów pierwotnych, gdzie zostali zaciągnięci pod zmienionymi nazwiskami, nie robiąc sobie nic z tego, że zostali w swoich poprzednich kompaniach zarejestrowani jako zaginieni.

Dziwne to było wojsko ta I-sza Brygada i chyba jedyne w swoim rodzaju. Już pod względem wyglądu zewnętrznego stanowiło wyjątek; ani przez chwilę nie noszono w oddziałach I-szej Brygady odznak oficjalnie dla Legionów przepisanych. Szarże podoficerskie znaczone były nie gwiazdkami, lecz czerwonymi paskami umieszczonymi poziomo na kołnierzu. Oficerowie nosili gwiazdki tego samego typu co oficerskie austriackie, ale ułożone inaczej, wzdłuż kołnierza oraz wężyki z czerwonej wstążki umieszczone na kołnierzu tak samo jak późniejsze srebrne wężyki w armii polskiej. Piłsudski nie nosił odznak żadnych; na swej szarobłękitnej kurtce mundurowej zamiast płaszcza wojakowego nosił początkowo krótką kurtkę myśliwskiego kroju z futrzanym kołnierzem, którą później na naleganie lekarzy zamienił na futerkiem podbitą „bekieszę”. Spodnie nosił czarne, długie, z wąską czerwoną wypustką na szwach zewnętrznych; do jazdy konnej zaś bryczesy i brązowe sztylpy. Towarzyszący mu zawsze Wieniawa nosił płaszcz koloru czekoladowego, który to kolor był w czasie pokoju używany przez niektóre pułki kawalerii austriackiej, ale skrojony według jego własnego wzoru, ze szczególnie wysokim i szerokim kołnierzem, szeroko rozchylnym i nigdy nie zapinanym. Strój ten przypominał sztychy wy-

obrażające oficerów Polski z epoki napoleońskiej. Do postaci i rysów Wieniawy pasowało to znakomicie i wyglądało całkiem naturalnie, chociaż zdawałoby się, że wszelkie fantazje w stroju wojskowym powinny być rażące. Pierwszobrygadyjne dowolności szły jednak znacznie dalej niż odrębność odznak, formalnie bowiem nominacje oficerskie wychodziły z cesarsko-królewskiej Komendy Legionów; w I-szej Brygadzie jednak ważny był jedynie rozkaz nominacyjny Komendanta, co się bynajmniej nie pokrywało z sobą. Nie było też stopnia chorążego, który był pierwszym stopniem oficerskim austriackim, jak również i w innych formacjach legionowych. W I-szej Brygadzie stopień podporucznika był pierwszy. Gdy wychodziły w rozkazach nominacje Komendy Legionów, żaden żołnierz I-szej Brygady nie stosował się do nich i, będąc oficjalnie mianowany chorążym, nosił w dalszym ciągu odznaki sierżanta, czy nawet plutonowego. Natomiast, gdy w rozkazie Piłsudskiego został mianowany podporucznikiem, nakładał odznaki, choć oficjalnie w rejestrach C.K. Komendy był tylko szeregowym. To samo dotyczyło awansów; odchylenia szły w obie strony; częstokroć Piłsudski awansował swych oficerów nie czekając na zgodę władz oficjalnych; w szeregu wypadków przechodził do porządku dziennego nad awansami i potrafił niejednokrotnie przez rok trzymać danego majora w stopniu kapitana i nie było wypadku, aby ktokolwiek pozwolił sobie na przywdzianie nowych odznak, zanim przez Piłsudskiego nie zostały potwierdzone. Powodowało to szereg ciężkich komplikacji, czasami nie tylko psychicznych i moralnych. Każdy wojskowy rozumie doskonale jak ciężką i przykrą rzeczą jest dla żołnierza, mianowanego oficerem, odmówić sobie satysfakcji oficerskiego munduru i pełnić w dalszym ciągu służbę szeregowego. Nie łatwo też było przejść do porządku nad przyznanym sobie awansem i czekać cierpliwie na nominację Komendanta, tym bardziej gdy pociągało to za sobą supozycję, że Piłsudski nie uznał go jednak za godnego tego awansu. A nie było nic prostszego, niż wyłamać się z takiej sytuacji; każde podanie się o przeniesienie z I-ej do II-ej lub III-ej Brygady było przez Komendanta Legionów bardzo mile widziane. Nie przypominam sobie jednak takiego wypadku, z wyjątkiem jednego, o którym mówić będę później.

Z drugiej strony, wypadki nominacji oficerskich Piłsudskiego, nie potwierdzonych przez Komendę Legionów, pociągały za sobą niezmiernie przykre zajścia, gdy dany oficer znajdował się na tyłach, bądź w szpitalu, bądź na urlopie. Gdy na przykład stwierdzono, że chory lub ranny podporucznik I-szej Brygady, figurujący w spisach oficjalnych tylko jako chorąży, lub nawet pod-

oficer, musiał przejść upakarzającą ceremonię zdejmowania mu nieprawnie jakoby noszonych odznak i był pociągany do odpowiedzialności za ich noszenie. Bywały wypadki, że zagrożony taką procedurą oficer popadał w ciężką gorączkę, lub też uciekał ze szpitala austriackiego, narażając się na sąd polowy za dezerccję i z niezabliźnioną raną, lub niewyleczoną chorobą przedostawał się z powrotem na front do Brygady, gdzie oczywiście kpić sobie mógł z wszelkich sankcji karnych austriackich. Te dezerccje z tyłów na front były zgoła wyjątkowym zjawiskiem w rocznikach przestępstw wojskowych.

Duma z przynależności do I-szej Brygady i nieopatrzona żadnymi sankcjami dyscyplina wobec Komendanta, były silniejsze niż wszystko. Piłsudski zaś rozmyślnie i planowo utrzymywał w swoich oddziałach wszystko to, co świadczyło naocznie o ich niezależności od władz austriackich i o tym, że jego tylko autorytet jest dla żołnierza ostatnią instancją.

Była jeszcze jedna bardzo ciekawa odrębna cecha I-szej Brygady. Nikt w jej szeregach nie otrzymywał żadnych pieniędzy wprost z kas austriackich. Żołd szeregowych i gaże oficerskie były podnoszone sumarycznie przez naszą intendenturę; wszystkie pieniądze należne oficerom były wpłacane do kasy oficerskiej I-szej Brygady oraz do takiejże kasy podoficerskiej; wszyscy oficerowie od podporucznika do dowódcy brygady otrzymywali z kasy oficerskiej jednakową gażę, wynoszącą zaledwie część uposażenia podporucznikowskiego. Podoficerowie wszystkich stopni otrzymywali również żołd jednakowy. Gdy chodzi o oficerów, uposażenie wynosiło w pierwszym okresie wojny (aż do stycznia 1916) 100 koron, później zaś 200. W tym czasie to samo uposażenie w armii austriackiej, jak również i w innych brygadach legionowych, wynosiło ponad 300 koron dla podporucznika, rozciągając się aż do 800 koron dla podpułkownika. Uzyskane w ten sposób poważne sumy pieniężne szły do dyspozycji Komendanta, w drobnej części pokrywając pobory oficerów nie posiadających nominacji austriackich, zaś w ogromnej większości używane na utrzymanie P.O.W. oraz zasilanie politycznej pracy niepodległościowej.

Poza tym wszystkim I-sza Brygada miała swoją własną organizację i podział wewnętrzny zupełnie niepokrywający się z oficjalnym. Piłsudski miał pod swoją komendą „uznane” 2 pułki piechoty, 1-szy i 5-ty, po 3 bataliony każdy; podzielił jednak swoją piechotę na 3 pułki, dwubatalionowe. Komenda Legionów, uznawszy *post factum* pułk 2-gi, nadała mu jednak miano 5-go. Pułk 3-ci, przez długi czas w ogóle uznawany nie był,

w końcu uznany został jako 7-my. Oprócz tego podlegały dowództwu Piłsudskiego pułk kawalerii — Beliniaków, który formalnie istniał tylko jako dywizjon, oraz 2 baterie artylerii pieszej i konnej. Były czynione kilkakrotne próby detaszowania poszczególnych oddziałów i wyłączenia ich spod dowództwa Piłsudskiego, kończyło się to jednak z reguły tym, że żołnierze bili się niechętnie i opieszale, meldowali się jako chorzy, podczas gdy pod dowództwem Piłsudskiego lekarze musieli nieraz po prostu zmuszać prawdziwie chorych, aby się dali odesłać do szpitala. Poszczególni żołnierze uciekali z detaszowanych oddziałów z powrotem do tych, które pozostały pod dowództwem Komendanta. Zdarzało się, że całe plutony nikły z odcinka, na który je przeniesiono i zjawiały się znowu w Brygadzie. Wyższe dowództwa austriackie miały nielada kłopot z tym dziwnym wojskiem, aż w rezultacie zrezygnowano po prostu z wszelkich prób podciągnięcia Brygady Piłsudskiego pod oficjalne normy. Usiłowań zmian organizacyjnych też zaniechano, bo gdy raz zabrano Piłsudskiemu 1-szy pułk, a oddano natomiast pod jego komendę 4-ty (III-cia Brygada), skończyło się to tym, że Czwartacy podpadli raz na zawsze pod wpływ Piłsudskiego i od tego czasu aż do końca — włącznie z odmową przysięgi — solidaryzowali się z I-szą Brygadą.

Gdy przybyłem na front, uderzyło mnie od pierwszej chwili dość dziwaczne na pozór zjawisko: zdecydowany i niesłychanie ostry nastrój anty-austriacki w szeregach. Odbijał on oczywiście mocno od naiwnie i romantycznie anty-rosyjskiego nastawienia warszawskiego batalionu peowiaków. Ci ostatni irtowali po prostu starych wygów, mających już rok wojny za sobą, swoim zapałem bojowym i wyśmiewani byli za swoje piosenki w rodzaju „bo my jeszcze dzisiaj chcemy szturmować Moskali”. „Naszurmujesz się jeszcze cholero głupia i lepiej stul pysk, żebyś nie wymówił w złą godzinę”, warczeli starzy żołnierze. Żadnej specjalnej animozji do Moskali nie było, natomiast we wszystkich rozmowach w okopach czy na kwaterach przebiegała się bezgraniczna pogarda i niechęć do Austriaków wszelkiego rodzaju i wszelkiej szarży. Powierzchowny obserwator, słysząc to wszystko, mógł dojść do fałszywego przekonania, że to wojsko odmówi walki lada chwila, lub zacznie strzelać do Austriaków zamiast do Moskali. Ja sam w pierwszej chwili uległem temu wrażeniu, gdy objąłem po Żulińskim dowództwo kompanii w bitwie pod Kamieniuchą, podejrzliwie patrzyłem na każdego żołnierza, pozostającego choćby o parę kroków w tyle poza linią tyralierską, sądząc że chce wiać spod ognia. Oczywiście, zorientowałem się bardzo szybko jak głęboko się myślę i wstydziłem się tego potem.

Dobry, doświadczony żołnierz nie przypomina w niczym książkowych bohaterów, idących ciągle na śmierć z wzniosłymi myślami; uważa słusznie, że jego zadaniem jest zadawać straty nieprzyjacielowi, a nie nastawiać się na jego kule; dba o swoje życie i ceni je, gdy trzeba iść w ogień to idzie z pewnym fatalizmem raczej dalekim od entuzjazmu. Żołnierz I-szej Brygady gadał cynicznie, kpił sobie zdrowo z wszelkiej frazeologii, ale bił się twardo i ambitnie; gdy się słyszało prowadzone w szeregach rozmowy aż dziw brał, że nigdy nie było brak ochotników na niebezpieczne patrole i najryzykowniejsze przedsięwzięcia. Stosunek żołnierza do oficera był bliski i poufały, a jednak dyscyplina bojowa była taka, że trudno wyobrazić sobie lepszą. Nie było „panów” w I-szej Brygadzie, żołnierze i oficerowie mówili do siebie wzajemnie „wy” i „obywatelu”.

Zupełnie wyjątkowym zjawiskiem był stosunek zarówno żołnierzy jak oficerów do Piłsudskiego. Bezgraniczne zaufanie, połączone z najgłębszym sentymentem wiązało to dziwne wojsko w niesłychanie spójną całość, gotową literalnie na wszystko za jego rozkazem. „Już tam Komendant będzie wiedział, co i kiedy zrobić”, mówili spokojnie oficerowie, gdy zaczynały się rozważania nad sytuacją wojenną lub polityczną. Jak mnie złe myśli opadną — słyszałem kiedyś szeptaną rozmowę między dwoma żołnierzami w ziemiance nad Styrem — to idę pod kwaterę Brygady i popatrzę sobie przez okno, jak se Dziadek chodzi po pokoju i rozmyśla i zaraz mi się robi lżej i spokojniej”. Żołnierz, który to mówił, na pewno nigdy w życiu nie zamienił ani słowa z Piłsudskim, co najwyżej poczuł kiedyś jego wzrok na sobie w czasie defilady. Wystarczyło mu to, aby oddał w jego ręce swoje życie, swój los, z najzupełniejszą pewnością, że tak będzie najlepiej.

Niebywały autorytet osobisty Piłsudskiego połączony z uczuciowym przywiązaniem doń jego żołnierzy — charakterystyczny dar wodzów z łaski Bożej — wytworzył w I-szej Brygadzie *esprit de corps* o szczególnej potędze. Każdy żołnierz I-szej Brygady był prawdziwie dumny, że do niej należy i jeszcze bardziej dumny, że Józef Piłsudski jest jego dowódcą; zgola niezależnie od tego czy Piłsudski był dla niego łaskaw, czy nie łaskaw. Dlatego też, mimo że każdy oficer I-szej Brygady, prosząc o przeniesienie do II-ej lub III-ej, mógł na pewno liczyć na awans i pełne uposażenie należne jego szarzy — kilkakrotnie wyższe niż pierwszobrygadyjne 100 czy 200 koron — zdarzył się taki wypadek tylko raz jeden; wyjątkiem tym był Michał Łyżwiński-Zymierski. A pokusa była nie byle jaka. Dowódcą 6-go batalionu, w którym wówczas służyłem, był kapitan Fleszar już od szeregu

miesięcy awansowany przez Komendę Legionów na majora; miał żonę, dziecko i rodziców na utrzymaniu. Piłsudski, jeszcze przez pół roku, nie potwierdzał jego awansu. Wystarczyło, aby podał się o przeniesienie z I-szej Brygady, by mógł nałożyć oznaki majora i aby zamiast 100 koron miesięcznie otrzymać 700. Formalnie nikt nie mógłby mu zrobić z tego żadnego zarzutu, pozostałby nadal w formacjach polskich, na froncie i na pewno cieszyłby się wśród swych nowych kolegów mirom i poważaniem, przenosząc za sobą sławę I-szej Brygady. Byłem jego adiutantem i wkrótce związała nas dobra przyjaźń. Mogę stwierdzić, że mimo pewnej goryczy, jaką niewątpliwie musiał w sercu nosić, myśl opuszczenia Brygady nie przeszła mu przez głowę. Nie chcę mnożyć przykładów, lecz wypadków takich było więcej.

W bojach nad Styrem po raz pierwszy od początku wojny wszystkie 3 brygady Legionów znalazły się razem na jednym odcinku frontu. Pamiętam jak byłem wzruszony, gdy po raz pierwszy w okopach zetknąłem się z oficerem II-ej Brygady, obsadzającej sąsiedni odcinek. Różne warunki i zrozumiałe różnice w obyczajach i tradycjach, wytworzone w ciągu roku wojny, wpłynęły na to że przy najlepszej woli i szczerego zadowolenie z połączenia się zbliżenie nie było łatwe i nie odbywało się bez tarć. Być może nawet, że utrudnienia wychodziły ze strony I-szej Brygady, od jej dołów rzecz prosta, nie od Piłsudskiego. Ponieważ będę do tych spraw wracał, chciałbym od razu zaznaczyć, że ani mi w głowie wynosić wartość żołnierza czy oficera I-szej Brygady ponad inne legionowe formacje. Było to wojsko równie bitne, o równie wysokim poziomie patriotyzmu i o równej skali rozpięcia między indywidualną wartością poszczególnych ludzi. Różnica polegała po prostu na tym, że I-sza Brygada była szczęśliwsza, mając od początku do końca na czele dowódcę tej miary, co Józef Piłsudski. Poza tym w porównaniu z III-cią Brygadą (pułki 4-ty i 6-ty) górowała większym, bo dłuższym, doświadczeniem wojennym. Brygada II-ga miała przez długi czas na wszystkich stanowiskach, od dowództwa batalionu w górę, oficerów odkomenderowanych z armii austriackiej; niektórzy z nich nie mówili nawet po polsku. Pociągało to za sobą konsekwencje wykraczające poważnie poza drażliwość narodową jedynie. Oficerowie austriaccy, szczególnie w pierwszym okresie wojny, nie mieli należytej wrażliwości na straty w ludziach, nie zdawali sobie sprawy z tego co dominowało u Piłsudskiego: że Legiony są bezcennym materiałem kadrowym dla przyszłej armii polskiej, że wojna toczona w ramach armii zaborczych jest dla nich tylko szkołą; najcięższą, ale najkrótszą i najefektywniejszą szkołą dla dowódców przyszłej armii Polskiej. Gdy więc Piłsudski

i przezeń wychowani oficerowie niesłychanie dbali o to, aby unikać niepotrzebnych strat, oficerowie ze szkoły austriackiej nie liczyli się z tym niemal zupełnie, uczeni byli bowiem, że osiągnięcie celu taktycznego, czy strategicznego jest rzeczą główną i decydującą niezależnie od strat w materiale ludzkim. Pamiętam doskonale rozmowę z przypadkowo spotkanym na jakiejś kwaterze oficerem austriackim, Polakiem, który po kilku dniach walk na sąsiednich odcinkach frontu, powiedział mi szczerze: „Nie rozumiem was, oficerów legionowych; wy się roztkliwiacie nad stratą każdego gemajna. Dla mnie, to jest kwestia dwóch koron czterdziestu halerzy. Tyle kosztuje jego utrzymanie; gdy mi każą atakować obchodzi mnie tylko to, aby cel ataku osiągnąć; zaś ilu żołnierzy stracę, tylu mi przyślą w uzupełnieniach”. Tym systemem dowodzona była przez pierwszy okres wojny II-ga Brygada, ponosząc w wielu wypadkach straty niepotrzebne, przynoszące ogromny uszczerbek naszym kadrom; zmieniło się oczywiście, gdy wszystkie dowództwa i w tej brygadzie objęli oficerowie legionowi.

Jednym z powodów początkowej powolności w zbliżeniu się żołnierzy legionowych były ciężkie warunki jesiennych walk na Wołyniu; nieustalony i słabo w tym miejscu obsadzony front, tężejący opór armii rosyjskiej, wyczerpujące i ciągłe walki, które nie dawały możliwości tych kontaktów nawet z sąsiadującymi z sobą oddziałami, które przyspieszyłyby zbliżenie, rozmieszczenie oddziałów pozostających w odwodzie, w daleko od siebie rozrzuconych wioskach, szalone zmęczenie ofensywą trwającą od kilku miesięcy, głód, chłód i wszy — wszystko to przeszkadzało. Dopiero po kilku miesiącach w 1916 roku, gdy front się ustalił, umocnił i nastąpił, długie miesiące trwający, zastój w działaniach wojennych, zaczęło się wzajemne przenikanie w szeregiach z jednej strony, z drugiej zaś planowe rozmowy i porozumienia — z inicjatywy Piłsudskiego — między dowódcami pułków i brygad, dla ustalenia wspólnej akcji w kierunku usamodzielniania Legionów i ujednolicenia ich pod względem zewnętrznym, od sprawy odznak poczynając. Ale o tym później.

Chcę tu zanotować pewną mą przygodę osobistą, która niezależnie od wpływu jaki wywarła na moją dalszą kartę służby wojskowej, była charakterystyczna dla panujących wówczas stosunków. Jak już wspominałem, przybyłem na front w czasie gdy Brygada była podzielona i mój oddziałek peowiacki znalazł się w jej części dowodzonej przez Śmigłego. Na własną prośbę, aby być razem z Żulińskim, zostałem przydzielony do dowodzonej przezeń 2-giej kompanii 6-go batalionu. Front w tym miejscu

miął cienką obsadę po naszej stronie; przerzucano nas ciągle, poszczególnymi batalionami, a nawet kompaniami z miejsca na miejsce. Straty szczególnie w oficerach były ciężkie, mało która kompania miała więcej niż jednego oficera. Pewnej nocy przerzucano nasz batalion nagle na odcinek, który Moskale usiłowali przebić kontratakami. Po krótkim, ale koszmarnym przemarszu nocnym, gdy żołnierze byli tak zmęczeni, że walili się z nóg i zasypiali w czasie marszu, znaleźliśmy się na piaszczysto-bagnistej pustaci, w chuderlawym lasku, tuż za nieodrutowanymi okopami pierwszej linii. Zaledwie zdążyliśmy wypocząć godzinę czy dwie, dzwoniąc z zimna zębami i nie usiłując się nawet kryć przed rzadkim na szczęście ogniem artyleryjskim bijącym w nasz las, wybuchła gorączkowa strzelanina przed nami i zostaliśmy poderwani, by wzmacnić obsadę leżącego przed nami okopu, na który o świcie Moskale przypuścili atak. Był to teren, który od kilku dni przechodził z rąk do rąk, popłatane, płytkie okopy w piasku, niezabezpieczone drutami, niczym nieosłonięte, leżące o sto kilkadziesiąt kroków od gęstego lasu, w którym siedzieli Moskale. Przez tydzień broniliśmy tej linii. Wymagało to nieustannej czujności w dzień i w nocy wobec bliskości osłoniętej gęstym lasem pozycji nieprzyjaciela; usiłowano nas kilkakrotnie zaskoczyć niespodziewanym atakiem nawet w biały dzień. W okopach, na przedpolu i na pustej płaszczyźnie za nami leżały nieuprzątnięte trupy rosyjskie i austriackie. Dostarczano nam żywność i amunicję jedynie w nocy, gdyż w dzień ogień nieprzyjacielski nie dopuszczał zbliżenia się do naszych okopów. Kuchnie polowe zatrzymywały się daleko i przynoszono nam kubły zamrożonej zupy, nie do spożycia, kawałki tłustej i równie zamrożonej baraniny australijskiej, która jakimiś dziwnymi drogami dostała się do intendencji austriackiej. Trzymaliśmy zażarcie te okopy; dochodziło do kontrataków na bagnety, w których udało nam się zresztą wziąć do niewoli pluton piechoty rosyjskiej. Ale po kilku dniach wyglądaliśmy wszyscy jak cienie, zmęczeni, głodni, zgorączkowani. Utrzymaliśmy się właściwie tylko dzięki temu, że artyleria nieprzyjacielska, strzelająca zresztą niezwykle celnie, miała najwidoczniej mało amunicji, w tym do 50 % niewypałów; natomiast po naszej stronie pod wielką wsią Lisowem stało kilka baterii artylerii naszej i austriackiej, która na szczęście przygważdżała ataki rosyjskie z miejsca potężnym i dobrze kierowanym ogniem.

Miałem świeżo w pamięci pytania zadawane mi w Otwocku przez Komendanta i po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że zaczyna się coś psuć w armii rosyjskiej. Po pierwsze, brak i zły gatunek amunicji artyleryjskiej; po drugie, braki w uzbrojeniu

piechoty — po bitwie pod Kamieniuchą znaleźliśmy przy zabitych Moskalach wyłącznie karabiny z poprzedniej wojny, japońskiej; po trzecie, gdy któregoś dnia w samo południe zaskoczył nas niespodziewany atak na bagnety bez przygotowania ogniowego, atakująca pół-kompania rosyjska dobiegłszy do ukośnego okopu, połączonego z naszym, ukryła się natychmiast w tym okopie, mimo że miała już tylko kilkanaście kroków do nas i mimo nawoływań swego dowódcy „*W pierod, w pierod*”. Został on sam jeden i wkrótce padł pod naszym ogniem. Artyleria nasza natychmiast pokryła lizierę lasu wściekłym ogniem i dalsze fale ataku nie wyszły. Pod osłoną tego ognia jeden nasz pluton, rzucony przez Lisa, uderzył na ukrytą w okopie pół-kompanię rosyjską. Wyskoczył z niej chorąży rezerwy, chcąc odbić bagnetami nasz atak, ale żaden z jego żołnierzy nie poderwał się za nim. Oficer rozejrzał się rozpaczliwie, zaklął brzydko, nie poddał się jednak na wezwanie naszych chłopców, oddał parę bezskutecznych strzałów z rewolweru i padł, zaś jego żołnierze klęczeli już w płytkim okopie z podniesionymi do góry rękami. Gdy zobaczyłem po chwili radosne miny wziętych do niewoli Moskali, pomyślałem sobie, że pierwsze oznaki rozkładu nadchodzą. Byli rozpromienieni, gdy zagadałem do nich po rosyjsku. „*Stawa Bohu, dla nas wojna kończyłaś*”, mówili otwarcie, a jak się później dowiedziałem, na pierwszym przesłuchaniu w komendzie pułku dawali obfite i szczegółowe zeznania na wszystkie pytania.

W kilka dni później zostaliśmy przesunięci do rezerwy korpusu. Skończyła się ofensywa rozpoczęta pod Gorlicami, nowy front się ustalił, umocnił, rozbudował.

Odbywwszy po drodze defiladę przed Komendantem, który objął z powrotem dowództwo nad całością Brygady, zdobywszy sobie mimochodem chwałę, przywiązanie i oddanie 4-go pułku, przemaszerowaliśmy w nocy do wsi Leszniewka, kilka kilometrów za frontem. Wieś była przepełniona, batalion nasz, który nadciągnął na końcu, nie mógł sobie zrazu znaleźć kwater. Odkryliśmy jednak kilka pustych chałup i stodół na skraju wsi i zakwaterowaliśmy się w nich, nie szukając akceptacji komendy placu. Przemęczeni żołnierze poszli spać, jak który stał. Również i my oficerowie usnęliśmy w naszej chałupie nie rozbierając się. Na drugi dzień rano, kapitan Lis-Kula, zastępujący dowódcę batalionu Fleszara, poszedł zameldować się do Komendy Brygady, w tejże wsi stojącej. Ja i pozostali oficerowie batalionu zaczęliśmy się myć i czyścić z grubsza, co nie było nam dane pewnie od dwóch tygodni, po czym zajęliśmy się czyszczeniem naszych chrząszczących od piasku pistoletów. W pewnej chwili usłyszeliśmy krzyk, awanturę i zobaczyliśmy jakiś rozruch około zaję-

tych przez naszych żołnierzy chałup. Za chwilę zameldował się jeden z dyżurnych podoficerów z wiadomością, że jakieś parszywe tabory austriackie nadciągnęły z wozami i zgłosiły pretensje do naszych kwater, jakoby dla nich przeznaczonych. Oczywiście nasi żołnierze wściekli, że ich bojowe wojsko ośmiela się rugować jakieś taboryty i sakramenckie dziady austriackie, wyrzucili ich na zbity pysk. Przyjęliśmy tę wiadomość jako naturalną i postanowiliśmy czekać na powrót Lisa z Komendy Brygady. Tymczasem, po niedługiej chwili, zaczął się nowy rozruch. Spojrzawszy przez okno, zobaczyłem Austriaków usiłujących się dostać do naszych kwater, naszych żołnierzy wyrzucających ich stamtąd i oficera austriackiego wkraczającego przed nasz dom na czele oddziału piechoty z karabinami. Oficer ustawił swój oddział frontem do naszych kwater i wydał rozkaz załadowania broni. Na ten widok porwałem pistolet ze stołu i bez munduru, tylko w swetrze i w cywilnej bekieszy na ramionach, wypadłem przed dom, nieprzytomny ze złości i rzuciłem się do austriackiego oficera, wymachując pistoletem i żądając od niego wyjaśnień oczywiście po polsku, bo po niemiecku nie umiałem. On ze swojej strony zaczął krzyczeć po niemiecku, prawdopodobnie chcąc się dowiedzieć kto ja taki jestem. Pokazywał mi na migi na moje cywilne ubranie i na swój mundur. Do niczego to nie doprowadziło, zacząłem więc wołać na naszych żołnierzy, gromadzących się coraz liczniej, żeby nie stali bezczynnie i przepędzili precz Austriaków. Nie trzeba im było tego dwa razy powtarzać, nie mając karabinów, zaczęli wyrywać żerdzie z płota i ruszyli groźnie na Austriaków. Na to podoficer austriacki wydał jakiś rozkaz i jego żołnierze wzięli naszych na cel. Wtedy odepchnąłem szarpiącego mnie za poły oficera, podbiegłem do podoficera, przyłożyłem mu pistolet do skroni i wydałem po polsku komendę „wróć”. Przeraził się i powtórzył moją komendę po niemiecku. Żołnierze wzięli broń do nogi. Tłum naszych znalazł się tymczasem między oficerem a jego wojskiem. Oficer najwidoczniej stracił głowę, zabrał swoją sekcję i odmaszerował z naszego podwórka. Nie ochłonełem jeszcze z białej pasji i z tryumfującą miną wróciłem do kwatery batalionu. Ze zdumieniem ujrzałem, że trzech obecni dowódcy kompanii mają bardzo niewyraźne i zatroskane miny. Ochłonełem trochę i zacząłem sobie zdawać sprawę, że to coś niedobrze. — „Człowieku, coś ty narobił?”, powiedział do mnie porucznik Rzecki. — „A cóż miałem robić”, zapytałem, „pozwolić żeby austriackie taboryty odebrały naszym chłopcom kwatery?”. — „To wszystko dobrze, ty peowiacki cywile”, powiedział porucznik Wilk, „ale przecież to jest wojsko i wojna i front. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że posta-

wieść opór z bronią w ręku pogotowiu garnizonowemu. To Bracie ciężka sprawa". W tej chwili otwały się drzwi i wszedł ten sam oficer austriacki, którego przed chwilą tak spostponowałem. Zorientował się on najwidoczniej, że zrobił głupstwo, z którego się będzie musiał ciężko tłumaczyć, pozwoliwszy się w ten sposób wypędić i nie spełniwszy rozkazu komendy placu. I gdyby był porozmawiał z nami po ludzku i po koleżeńsku, to prawdopodobnie zatuszowalibyśmy jakoś tę sprawę, jak się nieraz w podobnych wypadkach zdarzało. Ale zamiast tego zaczął się wściekać i piąte przez dziesiąte zrozumiałem, że urąga co my jesteśmy za wojsko, a w dodatku splunął na podłogę. Wściekłem się po raz drugi, chwyciłem go za ramiona, odwróciłem i dosłownie wyjechałem na nim za drzwi. Zapadło ponure milczenie. Moi starsi koledzy nie próbowali mi nawet tłumaczyć, że zrobiłem wszystko com zrobił, nie pytając nawet ich, starszych ode mnie szarż. Gdy wkrótce potem wrócił z Komendy Brygady Lis Kula, okazało się, że idzie już awantura na całego na wyższym poziomie. Komenda placu interweniowała już w Komendzie Brygady, żądając zastosowania się do dyscypliny, odstąpienia kwater i zawiadamiając o oddaniu sprawy przeciwko mnie i współwinnym pod sąd polowy I-go Korpusu, w skład którego wówczas wchodziliśmy. Komendant odmówił wydania nam rozkazu opróżnienia kwater, wyzyskując jednocześnie tę sprawę jako argument dla przeniesienia Brygady na odpoczynek, przynajmniej do najbliższej rezerwy. Sprawa kwater skończyła się jak zwykle z Austriakami kompromisem; cały nasz pułk, tj. 5-ty i 6-ty batalion I-szej Brygady przeniesiono do pobliskiej wsi Karasin, gdzie również stanął kwaterą Komendant. Do tego czasu jednak, z zajętych przez nas domów nie ustąpiliśmy. Ale sąd polowy zaczął urzędować. Już na trzeci dzień po opisanych wypadkach zjechał do Leszniewki kapitan-audytorski z dowództwa Korpusu i zostałem wezwany na przesłuchanie. Tłumacz, Polak, który przyszedł po mnie, oświadczył mi z nietroskliwą miną, że jego zdaniem kara śmierci nie wchodzi w grę, ponieważ jestem żonaty i mam dziecko, ale radził mi dobrze się tłumaczyć, bo inaczej degradacja i więzienie pewne. Ja zaś bałem się najwięcej innej rzeczy; należałem mianowicie do tych, których nominacja oficerska nie była zatwierdzona przez Komendę Legionów; z formalnego punktu widzenia byłem tylko chorążym. Pewne było, że sprawa ta musi wyjść na jaw i stawała mi przed oczami wizja jak na sali sądowej będą mi zdejmować gwiazdki porucznikowskie. Pierwsze przesłuchanie nie wróżyło dobrze. Kapitan-audytorski, elegancki i inteligentny Wiedeńczyk, rozbił natychmiast moją naiwną obronę, że wszystko wynikało z mojej nieznajomości języka niemieckiego.

Wysłuchał mnie z pozornym zainteresowaniem, po czym zadał dwa zapytania: po pierwsze o moje wykształcenie ogólne i zanotował sobie moje 4-letnie studia uniwersyteckie; następnie zapytał, czy i jakie mam wykształcenie wojskowe i zanotował również moją odpowiedź, że od roku 1910 należałem do Związków Strzeleckich. Dobrotliwy uśmiech zniknął z jego twarzy i zapytał mnie czy chcę, aby sąd dał wiarę, że człowiek wykształcony, który w dodatku musiał poznać regulaminy wojskowe w czasie swej kilkoletniej służby w Strzelcu, mógł nie rozumieć, że ma przed sobą oficera pełniącego służbę i że oddział, który zaatakowałem z bronią w ręku, był pogotowiem Komendy placu. Na to mogłem odpowiedzieć tylko ponurym milczeniem. Po czym usłyszałem, że będę odpowiadał przed sądem polowym z najbardziej ponuro brzmiących paragrafów prawa wojennego. Jedyną pociechą dla mnie było, że ów oficer taborów, który nawiasem mówiąc wołał przemilczeć w swych zeznaniach fakt wyrzucenia go przeze mnie za drzwi, ale w głupi sposób kładł nacisk na to, że nie miałem na sobie żadnych odznak wojskowych, został zbesztany i wyszydzony zjadliwie przez audytora za to, że według swych własnych zeznań, mając asystencję oddziału zbrojnego, ustąpił z placu przed groźbami cywila, hańbiąc w ten sposób mundur który nosi. Na tym skończyła się pierwsza faza sprawy i nastąpiła zwłoka, gdyż Komendant zakwestionował właściwości sądu, żądając przeniesienia mojej sprawy do sądu polowego Legionów polskich. Prawnicy nie robili jednak żadnej nadziei, żeby ten punkt mógł być wygrany wobec tego, że w momencie zajścia batalion nasz podlegał niewątpliwie jurysdykcji I-go Korpusu, któremuśmy byli taktycznie podkomendni.

Mnie i moich kolegów martwiła głównie inna strona kwestii, mianowicie czy moja awantura nie narobiła kłopotu Komendantowi i przyznaję, że bałem się jak ognia wezwania przezeń do raportu i wysłuchania gorzkich słów, że powiększam i tak już nadmierną ilość jego trosk i kłopotów. To jednak nie nastąpiło i po pewnym czasie doszliśmy do przekonania, że widocznie w tym momencie Komendantowi jedna więcej zwada z Austriakami nie przeszkadzała.

Wśród moich towarzyszy broni przygoda ta najwidoczniej mi posłużyła, gdyż jeszcze przed opuszczeniem Leszniewki na zebraniu oficerów I-szej Brygady spotkał mnie niespodziewany jak na jednego z najmłodszych oficerów zaszczyt, zostałem wybrany do sądu honorowego oficerów I-szej Brygady.

Nastąpił okres kilkomiesięcznego, dobrze zasłużonego odpoczynku w rezerwie Korpusu. Na froncie zapanował zastój, który

potrwał aż do lata 1916 roku, do słynnej ostatniej ofensywy armii rosyjskiej — ofensywy Brusilowa. Przez zimę i początek wiosny staliśmy w ewakuowanych z ludności cywilnej wioskach wołyńskich; siedzieliśmy w ciepłych chatach, zaopatrzonych wkrótce nawet w taki luksus jak oszklone okna. Zaczęliśmy się dobrze odżywiać, wszyscy żołnierze dostali całe portki i mundury, zaczęli wracać ze szpitali chorzy i ranni; dopełniły się zdzięsiątkowane stany liczebne. W ciągu zimy tylko poszczególne kompanie pełniły służbę tzw. „myśliwską” na przedpolu ustalonego frontu, polując po nocach na patrole rosyjskie, gdyż wyższe dowództwa austriackie gwałtownie potrzebowały jeńców, aby ustalić stan i rozkład sił nieprzyjacielskich na nowoutworzonym froncie. Nasi chłopcy lubili tę służbę i uzyskali sobie wkrótce niepospolitą sławę. Wychodzili po nocach jak widma, od stóp do głowy białło przyodziani, wracali o świcie często z dobrym połowem, zawsze w świetnych humorach, z mnóstwem opowieści o przygodach, zasadzkach i podstępach na zaśnieżonych równinach i w lasach wołyńskich.

Był czas na coś w rodzaju życia towarzyskiego, wzajemnego zapoznawania się i zbliżenia osobistego. Duża ilość oficerów, rannych w ciągu półrocznej ofensywy, wróciła po wyleczeniu się na front. W warunkach zacisza operacyjnego odpoczynek nasz w rezerwie Korpusu był niemal taki, jakbyśmy byli daleko poza frontem; przez kilka miesięcy ani jednego alarmu; oprócz zwykłej służby garnizonowej i ćwiczeń nie mieliśmy nic do roboty. Piło się stosunkowo mało, grało w karty jeszcze mniej, mówiło się dużo. W pułku naszym nastąpiły poważne zmiany. Dotychczasowy dowódca, Ryś Trojanowski, późniejszy generał dywizji W.P., został przez Komendanta odwołany i na jego miejsce przyszedł nie kto inny jak mjr Michał Żymirski, którego Komendant po stosunkowo krótkiej próbie odwołał z Naczelnej Komendy P.O.W. w Warszawie, posyłając na jego miejsce ze swego sztabu kapitana Tadeusza Kasprzyckiego, pierwszego dowódcę Kompanii Kadrowej. Nominację tę ogół oficerów 5-go i 6-go batalionu przyjął entuzjastycznie. Ryś Trojanowski, mimo że był powszechnie lubiany i szanowany jako jeden z pierwszych i najstarszych oficerów strzeleckich, nie miał jednak wielkiej sposobności odznaczenia się w ostatniej kampanii jako dowódca pułku, gdyż bataliony jego działały najczęściej osobno, detaszowane do tej, czy innej operacji. Żymirski nie był wprawdzie na froncie od roku przeszło, był jednak otoczony legendą bohaterstwa z czasów bitwy pod Laskami. Po moich doświadczeniach warszawskich nie podzielałem tego entuzjazmu, ale oczywiście nic o tym nie mówiłem. Żymirski, mając tak doskonały start, zmarnował

jednak wkrótce ten przychylny mu nastrój swych oficerów. Nie pamiętając o tym, że przez rok z górą nabyli oni ogromnego doświadczenia i świadomości swojej wartości, zaczął ich traktować z góry, przywiązując nadmierną wagę do formalistyki i drobiazgów natury porządkowej, drugorzędnych z punktu widzenia istoty wojny. Zaczął pułk „przeszkalać” rutynalnie, przy czym okazało się wkrótce z przebiegu ćwiczeń przez niego planowanych i kierowanych, że oni umieją już więcej od niego, co wychodziło na jaw przy omówieniach. Przebywając tyle czasu na tyłach, przyzwyczał się do naśladowania „fasonu” austriackiego, podczas gdy w Brygadzie urobiły się już własne i odrębne tradycje, formy i obyczaje. Stosunek oficerów do niego zaczął gwałtownie chłodzić. Najgorsze jednak były próby współżycia towarzyskiego. Żymirski zapraszał nas na herbatki do swej kwatery, którym nadawał ton etykietałny, wręcz obcy tej żytej z sobą serdecznie gromadce ludzi. Co gorsza zaś, na herbatkach tych prowadził konwersację obracając się głównie koło jego własnej osoby i wspomnień z przeszłości, które wywoływały początkowo wymianę niedowierzających spojrzeń między oficerami, wkrótce zaś stały się przedmiotem anegdot i śmiechu. Albowiem echa skandalu wiedeńskiego poszły już dość szeroko i nie było niemal wśród oficerów nikogo, kto by nie wiedział o prawdziwym nazwisku i pochodzeniu Żymirskiego. Nic by to jednak nie przeszkadzało, gdyby nie zaczął grać roli arystokraty i gdyby nie rzucał mimochodem wspomnień o myśliwskim zameczku rodziców, o plantacjach róż na tarasach wśród których bawił się w dzieciństwie, gdyby nie przeplatał rozmowy mnóstwem najpiękniej brzmiących nazwisk historycznych, z aluzjami do swojej najściślejszej przyjaźni z właścicielami tych nazwisk. Gdy zaś zjawił się raz na jednej z tych herbatek pewien przemiły zresztą podporucznik o hrabiowskim nazwisku, dowódca pułku, major I-szej Brygady, zaczął nadszakać mu i tytułować „panem hrabią” niemal w każdym zdaniu — wszyscy mieli tego dosyć. Autorytet Żymirskiego pękł jak bańka mydlana, stosunek oficerów do niego zmienił się na wręcz nieprzyjazny.

W tym czasie nawiązałem bliższy stosunek z Komendą Brygady i kilkakrotnie zetknąłem się osobiście z Komendantem. Wrócił z urlopu Kazimierz Sosnkowski, nasz popularny „Szeł”. Dwaj moi starzy koledzy ze Lwowa, Tadeusz Piskor i Julian Stachiewicz, kierowali wydziałami operacyjnym i organizacyjnym sztabu Brygady. Z krakowskich czasów znałem lekarza przybocznego Stachurka Ruperta; jeszcze w Warszawie zaprzyjaźniłem się z Wieniawą, a już w Karasinie przypadliśmy sobie do serca od pierwszej chwili z Andrzejem Nałęcz-Korzeniowskim, słyn-

nym z ostrego języka i niepospolitej inteligencji. Od czasu do czasu dostawałem telefon z Brygady, aby przyjść na partię winta, lub na specjalną herbatkę, gdy ktoś z moich przyjaciół otrzymał obfitą paczkę ze specjalami. Któregoś dnia, gdy wszedłem, powiedział mi Piskor że w porozumieniu z Szefem zaaranżowali partię winta dla Komendanta, ponieważ od szeregu dni już przemierza swój pokój z kąta w kąt, chmurny i tak wyraźnie przemęczony swymi myślami, że trzeba go choć na parę godzin od nich oderwać. — „Czy się dzieje coś specjalnego w polityce”, zapytałem. — „Nie”, brzmiała odpowiedź, „ale Komendant jest zaniepokojony, że Niemcy mogą zdobyć Verdun”. Odpowiedź ta dała mi dużo do myślenia. Gdy onieśmielony wszedłem do pokoju Komendanta, przyjął mnie na wesoło tytułując „nieboszyk Bogusław” i pytając czy na tamtym świecie grają w winta. Graliśmy cały wieczór, ale od czasu do czasu widziałem, że oczy Komendanta są nieobecne i że jego myśli uciekają gdzieś daleko, daleko, od naszej gry. Kiedy indziej, gdy znowu mnie zaproszono do Brygady, zapytałem żartobliwie przez telefon, czy znowu Verdun zagrożone — odpowiedziano mi: „Nie, ale Komendant zły, bo mu się rewolucja rosyjska spóźnia i sam zaproponował, że chce zagrać wieczorem w karty”.

Oczywiście w ówczesnych moich zetknięciach z Komendantem nie było mowy ani o polityce, ani o żadnych zagadnieniach poważnych. Przy kolacji poruszano co najwyżej ostatnie anegdoty o C.K. Komendzie Legionów, lub opowiadano o kawałach urządzanych przez naszych chłopców Austriakom. Czasem wybuchała walka na dowcipy między Nałęczem, a Rupertem, z czego Komendant śmiał się wesoło i serdecznie, podniecając ich od czasu do czasu do szermierki na języki.

Poza tym Komendanta widziało się rzadko; inspekcjonował czasami zakwaterowanie poszczególnych oddziałów, lub zjawiał się niespodziewanie w czasie rozdzielania obiadu. Był zwykle chmurny, milkliwy, skupiony. Specjalną pozycję w Brygadzie miał ppłk Kazimierz Sosnkowski. Gdy w rozmowach mówiło się o sprawach personalnych, hierarchia I-szej Brygady ujmowana bywała zwykle w ten sposób: Najpierw jest Komendant, potem Szef, potem długo, długo nic, a potem Śmigły i dalej następowała lista dowódców pułków i batalionów, w której kolejność zmieniała się w zależności od czasu i osoby wymieniającej. Pierwsze trzy nazwiska były jednak zawsze niezmiennie. Po kilku latach dopiero, po więzieniu Magdeburgskim Piłsudskiego i Sosnkowskiego, gdy Śmigły zastępował ich obu i po zwycięskiej kampanii 1920 roku w hierarchii tej zaczęto wymieniać częstokroć

nazwisko Śmigłego obok Sosnkowskiego, bez owego „długo, długo nic” z czasów I-szej Brygady.

Wspomniałem już przedtem o niezwyklej powadze, którą się cieszył Kazimierz Sosnkowski jeszcze za czasów Związku Walki Czynnej i Strzelca. Źródłem tej powagi była nie tylko jego przeszłość z organizacji bojowej P.P.S. Byłych bojowców o głośnych imionach był wówczas spory zastęp we Lwowie i Krakowie. Zналиśmy ich wszyscy; żaden z nich jednak nie odznaczał się ani szczególną inteligencją, ani wybitniejszą indywidualnością, czy talentem politycznym lub organizacyjnym. Sosnkowski był wyjątkiem. Ten dwudziestokilkuletni student architektury był już człowiekiem o pełnej dojrzałości intelektualnej, uderzających zdolnościach politycznych, umiejący w dodatku świetnie, niezbić logicznie i jasno formułować swoje myśli. Miał on przy tym wręcz wyjątkowy talent organizacyjny i pęd do wyciągania konsekwencji praktycznych i wcielania w życie raz powziętych koncepcji. Pod tym względem zdaniem moim górował nad Józefem Piłsudskim i był jego znakomitym dopełnieniem. Piłsudski był jedyny w swoim rodzaju, gdy chodziło o myślowe przepracowywanie zagadnień, trafność przewidywań i nieustępliwą konsekwencję w trwaniu przy raz przemyślanych i powziętych decyzjach. Ale był raczej powolny w praktycznym wykonaniu, nie miał dostatecznej cierpliwości w opracowaniu szczegółów, w podziale pracy, w doborze ludzi i w całej tej rutynalnej technice, niezbędnej w tłumaczeniu koncepcji na język życia praktycznego. I nie miał też dostatecznej cierpliwości w kierowaniu ludźmi, w korygowaniu ich pracy i podciąganiu ich do możliwie największej wydajności. Piłsudski był, że tak powiem, za wielki; onieśmiał ludzi mimo całej prostoty swojego zachowania się. Było w nim coś, co utrudniało bliższy kontakt. Sosnkowski natomiast był bliższy nam wszystkim; nie krępowaliśmy się pytać go, gdyśmy czegoś nie rozumieli; on zaś miał niezwyklej cierpliwość i umiejętność jasnego wykładu zagadnień. Zachowanie jego było zawsze ujmujące i — rzecz rzadka i cenna — potrafił zbliżyć do siebie i wiązać przyjaźnią swoich podkomendnych i współpracowników, być z nimi na stopie daleko idącej poufałości, nie tracąc pełni swego autorytetu. Tytuł Szefa Sztabu, który miał już w Związkach Strzeleckich, a później w I-szej Brygadzie, był właściwie nieścisły, w obu wypadkach bowiem był on więcej niż szefem sztabu, był zastępcą Piłsudskiego. Zastępował go w czasie jego nieobecności w dowodzeniu, a dopełniał go — zarówno w dowodzeniu jak w pracy organizacyjnej — zawsze.

W czasach, które opisuję, mimo że zarówno Komendant jak i Szef byli obecni między nami, Komendant był jednak daleki;

nikomu z nas do głowy by nie przyszło zadawać mu pytania, trudzić go tłumaczeniem naszych wątpliwości czy trosk. Z Szeffem mówiliśmy otwarcie, brał on udział w naszym życiu codziennym, tłumaczył i motywował rzeczy dla nas niejasne, spędzał z nami razem niejedną wesołą noc przy kieliszku i dobrej zabawie, co niewątpliwie pomagało mu w dobrej ocenie indywidualnej wartości i charakteru poszczególnych oficerów; nigdy zaś, jak już wspominałem nie przyniosło uszczerbku jego autorytetowi.

Karasińskie wywczasy I-ej Brygady dobiegały końca. W marcu 1916 roku przyszedł też zwrot w mojej osobistej wojnie z C.K. armią austriacką. Kwestia przeniesienia mojej sprawy pod sąd Legionów definitywnie upadła i wyznaczony został termin rozprawy przed sądem polowym, z niewesołymi perspektywami. Wobec tego Komendant kazał wysłać mnie na urlop i to dla pewności do strefy okupacji niemieckiej a nie austriackiej. Wyjechałem więc na urlop do Warszawy i do swojej rodziny na wieś, sądząc, że gdy mój urlop się skończy, Brygada wróci do pierwszej linii na front, gdzie — jak było z praktyki wiadomo — austriackie ręce po mnie nie sięgną. Po miesiącu otrzymałem przedłużenie urlopu na dalsze dwa tygodnie, gdyż wciąż jeszcze wobec zastoju na froncie pozostawaliśmy w rezerwie. Gdy wreszcie po sześciu tygodniach wróciłem do Karasina, Brygada zbierała się już do objęcia odcinka na froncie; Nałęcz poinformował mnie żartobliwie, że już mu włosy zbieleły od odpowiadania, a częściej nie odpowiadania na korespondencję z sądem polowym I-go Korpusu, domagającym się dostawienia mnie na rozprawę. Tymczasem jednak wyszliśmy ze składu tego korpusu, przeszliśmy pod dowództwo sąsiedniego i w rezultacie C.K. armia zrezygnowała z mojej głowy i zgodziła się na przekazanie sprawy do sądu polowego Legionów. To oznaczało dalszą zwłokę i oczywiście znacznie łagodniejsze perspektywy.

W czasie urlopu mogłem już zauważyć daleko idące zmiany w nastrojach kraju. Mundury legionowe nie budziły już niechęci, przeciwnie, niezależnie nawet od orientacji politycznej, stary polski sentyment i tęsknota do do własnego wojska i munduru zwyciężały i Legioniści, szczególnie spod znaku Piłsudskiego, byli witani mile i sympatycznie. Początkowy lęk przed tzw. wtenczas popularnie „powrotem taty” zanikał. Zaczęła utrzymywać się wiara, że Rosja jest pobita i nieokreślone przekonanie, że zarysowuje się jakiś nowy i może lepszy los dla Polski. Zainteresowanie osobą Piłsudskiego było ogromne. Ludzie domagali się opowiadań o naszej polskiej wojnie, o bitwach, o tym jaki jest nasz żołnierz, czy naprawdę mamy swoje polskie sztandary i pol-

ską komendę i wszystko to było pochłaniane z niekłamaną radością i jak gdyby dumą. Zarysowywały się coraz wyraźniej nowe komplikacje, utrudniające szerokiej opinii publicznej orientację. Dlaczego Piłsudski bije się w dalszym ciągu po stronie austriacko-niemieckiej, ale nie popiera werbunku do Legionów prowadzonego przez Sikorskiego? Co znaczy P.O.W.; jaka jest różnica między Piłsudskim a NKN-em i jak się to wszystko łączy z zagadnieniem zwycięstwa w wojnie. I nie były to rzeczy łatwe do wyjaśnienia, jako że większość z nas nie mogła tak łatwo zadowolić ludzi pytających odpowiedzią, która nam wystarczała, że Piłsudski wie do czego prowadzi i że mamy do niego bezgraniczne zaufanie.



Gdy miałem wyjechać na urlop, zostałem wezwany do Komendy Brygady. Byłem przekonany, że czeka mnie porządne mycie głowy za ową awanturę w Lesznie, która sprawiła Komendantowi tyle kłopotu i z biciem serca przekraczałem próg gabinetu Komendanta. Ten jednak nie wspomniął ani słowem o całej sprawie, natomiast dał mi zlecenia o charakterze raczej politycznym; kazał mi jechać nie wprost do Warszawy, lecz zatrzymać się najpierw w Lublinie, a stamtąd udać się do Krakowa. Instrukcje, które otrzymałem, dotyczyły aktualnych zataregów Komendanta z C.K. Komendą Legionów oraz tarć, które wynikły właśnie między I-szą a II-gą Brygadą z powodu drobnych zresztą wypadków i niesmacznych „psich figłów”, których dopuścili się żołnierze I-szej Brygady przy jakiejś zmianie kwater. Rzeczy nieważne w perspektywie historycznej i dlatego nie będę o nich mówił. Natomiast otrzymałem przy tej sposobności pewien wgląd w personalne sprawy i w różne odcienie stosunku Komendanta do działaczy politycznych jego obozu. A więc w Lublinie kazał mi Komendant zobaczyć się z Jodko-Narkiewiczem, który tam wówczas przebywał i z Juliuszem Poniatowskim, który, będąc w P.O.W., stał jednocześnie na czele politycznej akcji Piłsudczyków na terenie okupacji austriackiej. Zarówno Poniatowskiemu jak Jodce kazał mi Komendant powiedzieć całą prawdę o dotyczących sprawach, odpowiadać szczerze i otwarcie na wszystkie ich zapytania i opowiedzieć wszystko z bieżących wydarzeń w I-szej Brygadzie. W Krakowie natomiast miałem złożyć kurtuazyjną wizytę prezesowi N.K.N., prof. Jaworskiemu, zawieźć mu wyrazy szacunku i pozdrowienia od Komendanta i zapowiedzieć, że wkrótce otrzyma odpowiedź na jakiś nieznany mi list, który Komendantowi przesłał. Nie miałem wdawać się z nim

w żadne rozmowy polityczne, a już szczególnie nie poruszać nawet gdybym był pytany, sytuacji politycznej na terenie Kongresówki i nie mówić nic o działalności P.O.W. Poza tym miałem zobaczyć się z Ignacym Daszyńskim i co do tej rozmowy otrzymałem wskazówki, wyraźnie świadczące o tym, że stosunek Komendanta do Daszyńskiego nie jest tak prosty, jak do Jodki, czy Poniatowskiego, lecz zabarwiony raczej lekkim odcieniem dyplomacji. Z Krakowa dopiero miałem udać się do Warszawy, tam rozejrzeć się dobrze w postęпах politycznej organizacji obozu niepodległościowego, o ile możliwości „dodać im pieprzu” i zapowiedzieć, że Komendant bardzo się interesuje ich pracą. Moje wrażenie z tych rozmów miałem zakomunikować Sławkowi, który znajdował się w Warszawie jako łącznik Komendanta, dla przesłania Mu. Po tym wszystkim dopiero miałem rozpocząć mój prywatny urlop.

Drugą moją wyprawą z frontu był wyjazd w delegacji reprezentującej Komendanta i I-szą Brygadę na uroczysty pogrzeb Żulińskiego we Lwowie. Do delegacji tej Komendant mianował kpt. Mariana Kukiela, ppor. Konrada Libickiego i mnie. Dzięki jakiemuś nieporozumieniu, czy omyłce w dacie, delegacja nasza spóźniła się i przybyła nazajutrz po pogrzebie. Złożyliśmy kwiaty na grobie i kondolencyjną wizytę u rodziny poległego. Z kilku rozmów ze starymi znajomymi lwowskimi zorientowałem się w zmianach w opinii publicznej, jakie tam nastąpiły. Nie były one takie, jak się można było spodziewać. Wprawdzie, okupacja rosyjska i bezceremonialne położenie łapy moskiewskiej na Lwowie i Małopolsce wschodniej, jako ziemi odwiecznie rosyjskiej, ostudziły skutecznie pierwotną pro-rosyjską orientację tej części społeczeństwa, która ulegała wpływom endeków i Podolaków, ale Austriacy ze zwykłą swą głupotą popsuli to wszystko przez zastosowanie terroru w stosunku do rzekomych zdrajców. Oczywiście terror ten nie dotknął wcale istotnych popleczników i współpracowników gen. Bobryńskiego, którzy zawczasu wycofali się wraz z armią rosyjską. Natomiast masowe wieszania, rozstrzeliwania i internowanie na całym terenie tej dzielnicy przyćmiły nastrój anty-rosyjski, a co najmniej zneutralizowały go.

Po powrocie do Karasina — a były to pierwsze dni kwietnia 1916 roku — I-sza Brygada przeszła z rezerwy do pierwszej linii frontu, zajmowanej dotychczas przez Brygadę II-gą. Naszemu batalionowi przypadł w udziale odcinek wyjątkowy, prawdopodobnie jedyny w swoim rodzaju na całym froncie wojennym wschodnim. W głębokich lasach nad ujściem rzeczki Garbachu do Styru leżała reduta, wysunięta przed front aż do odległości 50 kilku kroków od wysuniętych pozycji nieprzyjacielskich.

Stwarzało to sytuację, przypominającą stosunki na froncie zachodnim. Z naszej reducy, którą natychmiast nazwaliśmy Redutą Piłsudskiego, a która stanowiła dość wyniosłą wydęgę piaszczystą, dość mocno ufortyfikowaną, odrutowaną i zaminowaną, do reducy moskiewskiej, zwanej Orlinoje Gniezdo, można było dorzucić granatem ręcznym i strzelać z pistoletu. Siedzieliśmy w ziemiankach głęboko wkopanych w ową wydęgę, pod korzeniami wspinających starych sosen i dębów. W czołowym naszym okopie musieliśmy dbać o to, aby co dzień starannie wyrzucać osypujący się piasek, gdyż jeśli tylko czubek głowy przesuwających się żołnierzy był widoczny, trafiali weń wyborowi strzelcy nieprzyjacielscy. Mieliśmy też wypadki trafiania przez nich w wążutkie otwory tarcz stalowych, zasłaniających nasze strzelnice. Trzeba było czuwać w dzień i w nocy, gdyż zaskoczenie nagłym atakiem i odcięcie reducy od pierwszej linii naszych okopów było zawsze możliwe.

Na froncie panował jednak zupełny spokój. Początkowo strzelaliśmy na każde najmniejsze poruszenie w reducie nieprzyjacielskiej i nie było prawie nocy bez wybuchu gwałtownego ognia i alarmu. Po kilku dniach jednak zaczęły się nawoływania z okopów rosyjskich: „*Pany, Pany, nie strelajtie i my nie budiem*”. Moskale wiedzieli już doskonale, że ten odcinek obsadzony jest przez polskich Legionistów. Przez dwa miesiące trwał ten niepisany rozejm. W pięknych lasach wołyńskich mijały ciche, pogodne dni kwietniowe i majowe — bez strzału. Moje wprawne ucho słyszało nieraz o szarym świetle tokowanie głuszca; niektórzy z naszych oficerów, zawzięci myśliwi, wyprawiali się na toki cietrzewic, odbywające się z całym przepychem na chłopskich poletkach wśród lasu, tuż na tyłach frontu obsadzonego przez milionowe armie. Dopiero czerwiec przyniósł zmianę i złowróżbne oznaki gotującej się ofensywy — niewinne na pozór i nieznaczne przysrzeliwania się artylerii rosyjskiej do naszych pozycji; nocne ruchy patroli, czołgających się aż pod nasze druty, badające ich rodzaj i zarys; próby odminowania naszego przedpola przez wpędzanie nań w nocy chłopskich koników i bydła; coraz częstsze inspekcje i badanie z bliska pozycji nieprzyjacielskich przez wyższych oficerów sztabowych, zarówno z Komendy Brygady jak i z wyższych dowództw austriackich. Trzykrotnie oglądaliśmy na naszej reducie Komendanta. Budziła ona powszechne zainteresowanie, szczególnie od chwili gdy rozeszły się pogłoski, że prowadzony jest podkop pod naszą redutę i że może ona być lada chwila wysadzona w powietrze jako wstęp do ataku. Pogłoski te wynikły z raportu sierżanta austriackiego, który dowodził plutonem pneumatycznych miotaczy min, dużego ka-

libru, strzelających niemal bezgłośnie, robiących natomiast straszliwy huk przy wybuchu za okopami rosyjskimi. Było to ostatnie słowo ówczesnej techniki moździerzowej. Ów austriacki sierżant służył poprzednio na froncie włoskim, gdzie podkopy i wzajemne wysadzanie sobie odcinków frontu były na porządku dziennym. Był też na to specjalnie nastawiony; zameldował się któregoś wieczora do komendy batalionu i złożył mjr. Fleszarowi raport, że słuchając przez szereg nocy ze swojej ziemianki odgłosów podziemnych, doszedł do niezbitego przekonania, że prowadzony jest podkop od strony rosyjskiej, który się posuwa i zdaniem jego dochodzi już niemal do środka reducy. Poszliśmy wraz z nim do jego ziemianki, nakazawszy uprzednio zupełną ciszę na całej reducie; przyłożyliśmy uszy do ziemianki podziemnej i po chwili zaczęliśmy doprawdy słyszeć jakieś szmery i dudnienia. Sierżant szeptem wyjaśniał nam ich znaczenie: oto wybierają łopatami ziemię, a teraz podstawiają stemple drewniane, żeby im się chodnik nie zawalał — teraz umacniają je drewnianymi młotami — teraz znowu wybierają łopatami ziemię i posuwają się dalej. Było to dość sugestywne i wobec minimalnej przestrzeni dzielącej okopy, prawdopodobne. Poszedł meldunek do komendy pułku i Brygady. Na drugi dzień zjawił się u nas Komendant i szef saperów. Austriak powtórzył im swój meldunek, zapewniając na wszystkie świętości że ma doświadczenie w tej dziedzinie i że się nie myli. Fleszar i ja zameldowaliśmy o swoich nasłuchach z dnia poprzedniego. Komendant pomyślawszy, wyraził swe zdanie, że uważa to za nieprawdopodobne, gdyż podkop nieprzyjacielski musiałby iść dość głęboko na przestrzeni dzielącej naszą redutę od rosyjskiej, grunt zaś pomiędzy wydymami i poniżej ich podstawy jest podmokły i bagnisty i praca ich musiałaby być bez przerwy zalewana wodą; ale na wszelki wypadek Komendant postanowił posłać meldunek dalej do komendy korpusu, której podlegaliśmy.



Dzięki ustabilizowaniu frontu wschodniego w pierwszej połowie roku 1916 i zupełnemu zastojowi operacyjnemu na wołyńskim odcinku tego frontu w tym czasie, można liczyć okres postoju I-szej Brygady w rezerwie Korpusu, zarówno jak okres pobytu na froncie aż do ofensywy Brusilowa, jako okres wywczasów. Dzięki temu był czas na bliższe zapoznanie się z tym szczególnym zjawiskiem jakim było wojsko Piłsudskiego; był też czas na przemyśliwanie zagadnień i perspektyw przyszłości, któ-

rym poświęcało się mało uwagi zarówno w okresie prostolinijnej anty-rosyjskiej konspiracji jak i w czasie gorączkowej i wyczerpującej akcji bojowej.

Czy to w Karasinie, czy w okopach nad Styrem, miałem jako adiutant batalionu dużo wolnego czasu. Często spędzałem wieczory w tej czy innej kompanii, w tej czy innej ziemiance, przypatrując się i przysłuchując uważnie, obserwując typy ludzkie, tematy rozmów, ich poziom. Tym ostatnim byłem niejednokrotnie szczerze zdziwiony. W środowisku prostych żołnierzy zdarzało mi się słyszeć niesłychanie ciekawe rozprawy na tematy takie jak Arystoteles, jak rola filozofii Spinozy w europejskiej myśli filozoficznej, jak neoplatonizm, lub nawrót do pogaństwa w najwyższych sferach intelektualnych okresu renesansowego we Włoszech. A były to dyskusje prowadzone na bardzo wysokim poziomie, niejednokrotnie przewyższającym poziom seminariów uniwersyteckich. Przeciętny poziom intelektualny żołnierza I-szej Brygady, szczególnie jeśli chodzi o ludzi z zaboru rosyjskiego był bardzo wysoki. Ale nie brakło i tak zwanych „dłubinosków”, młodych chłopaków ze sfery chłopskiej lub rzemieślniczej, nie mających żadnego wykształcenia. I tu zaobserwowałem inne piękne zjawisko, mianowicie nadzwyczaj umiejętną pracę żołnierzy i podoficerów inteligentów nad doksztacaniem ich. Nie zapomnę nigdy wykładu historii polskiej, którego słuchałem siedząc pod otwartym oknem ziemianki, u stóp starej sosny w okopach Reduty Piłsudskiego. Nieznany mi amator wykładowca opowiadał o czasach Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego. Mówił językiem okopowym, używając wyrażeń, których w druku zacytować nie podobna. Opowieść jego wydawała się jednym pasmem kapitalnych anegdot i słuchacze boki zrywali ze śmiechu, ale też słuchali z niebywałym zainteresowaniem, zadawali mnóstwo pytań i ci których pytania godziły w sedno wynagradzani byli przez „profesora” papierosem. Niezależnie jednak od tej formy wykład był absolutnie ścisły i wierny historycznie. Takich nauczycieli z Bożej łaski i z powołania było sporo; a co ciekawe, byli oni zwykle znani jako „morowcy” i „psy na patrole”; jestem przekonany, że dbali oni specjalnie o posiadanie takiej opinii, zgłaszali się zawsze pierwsi na ochotnika na wszelkie niebezpieczne imprezy, nie dlatego aby się lubowali w wojnie, lub śpieszyli do gwiazdek oficerskich, ale aby zdobyć sobie posłuch i autorytet, bez którego żołnierze nie chcieliby pewnie słuchać ich wykładów. Żyłka pedagogiczna, a nie bojowa, grała tu rolę decydującą.

Innym jeszcze rysem charakterystycznym I-szej Brygady było poczucie humoru i zmysł dowcipu, przypominający luddek War-

szawy. Przy każdej niemal okazji powstawał jakiś kapitalny dowcip, lub piosenka. W marcu 1916 roku — o ile sobie przypominam — nastąpiła zmiana w C.K. Komendzie Legionów. Odwołany został gen. Trzaska-Durski, a przyszedł na jego miejsce gen. Puchalski. Przybył on na front i dokonał przeglądu wszystkich po kolei brygad legionowych. Odbył się więc i w Karasinie przegląd I-szej Brygady. Na tę okoliczność w Komendzie Legionów przygotowano mu specjalną mowę pod adresem piśsudczykowskich „rebeliantów”; składała się ona z rozpaczliwie banalnych frazesów patriotycznych, o dwuznacznym polsko-habsbursko-austriackim brzmieniu; zawierała też akcenty przestrogi przed marzycielstwem oraz obietnice łaskawości dla lojalizmu. W zakończeniu, podnosiła patriotyzm czynu legionowego. Gdy po zakończeniu owej oracji oddziały I-szej Brygady zaczęły się związać w kolumny marszowe i odchodzić z placu, pierwsza z kolei kompania, w niedwuznaczej odpowiedzi panu generałowi, zaśpiewała: „Miała matka synów trzech — dwóch było mądrych i zostało w domu — a trzeci co był głupi — poszedł do Legionów”. Zaś już w kilka godzin później powstała i śpiewana była we wszystkich kompaniach nowa piosenka na znaną „dziadowską” melodię:

*„Przyjechał do nas Puchalski generał,
Za własne dzieci nas se poprzybierał,
Przyrzekł opiekę, poparcie moralne,
I materialne...*

*Wyrzecz się bracie pro publico bono,
Fantazji, które do łba ci włożono.*

*Trzymaj się wiernie monarchii rakuskiej,
Takoz i pruskiej...”*

Kapitałną pointą tej piosenki było, że zawierała ona punkt po punkcie, a chwilami dosłownie, treść przemówienia gen. Puchalskiego. Piosenka gruchnęła po wszystkich kwaterach i okopach. Tegoż dnia doszła do Komendy Brygady i została przetelefonowana do Komendy Legionów, tak że gen. Puchalski po powrocie ze swej ceremonialnej wyprawy zastał już to echo swego wystąpienia.

Mieliśmy i inne charakterystyczne przeżycia bynajmniej nie tak wesołe. Przybył kiedyś, korzystając z zupełnego bezpieczeństwa na tym froncie, jakiś wysoki dygnitarz wojskowy z Wiednia; był to — jeśli dobrze pamiętam — minister obrony krajowej, taki czy inny marszałek polny. I on również odbył przegląd I-szej Brygady i przed nim musieliśmy defilować. Jak zawsze w takich okolicznościach, Komendant był „chory”. Przykrą ope-

rację oddawania honorów ekscelencjom austriackim musiał przejść w jego zastępstwie Kazimierz Sosnkowski. Gdy przed ustawionymi na placu koło cerkiewki karasińskiej oddziałami zjawił się w asyście sztabu oraz generałów i dowódców miejscowego korpusu pan minister, wyruszył ku niemu z raportem Sosnkowski; orkiestra nasza zagrała „Hej strzelcy wraz, nad nami Orzeł Biały”, ale nim Sosnkowski doszedł przed oblicze ekscelencji, rozległa się po niemiecku komenda: „Wróć”. Sosnkowski zatrzymał się, zrobił w tył zwrot i wrócił na swoje miejsce. Orkiestra przestała grać. W tej chwili podbiegł do Sosnkowskiego któryś ze sztabowców austriackich i zapytał Sosnkowskiego czy mu nie wiadomo, że ministrowi obrony krajowej przysługuje prawo, aby na jego powitanie grać hymn cesarski. Sosnkowski odpowiedział, że nasza orkiestra nie może zagrać tego hymnu, gdyż nie ma nut. Adiutant odszedł z meldunkiem, po chwili wrócił z łaskawą propozycją ekscelencji, że orkiestra może zagrać hymn austriacki z pamięci i ewentualne usterki będą wybaczone. Odpowiedź brzmiała, że niestety orkiestra nasza nie zna tego hymnu i nigdy w życiu go nie grała. Ta odpowiedź wywołała dłuższe narady w sztabie ekscelencji. Sosnkowski tymczasem stał chmurny, przegryzając wąsa. W rezultacie po austriacku zapadła decyzja kompromisowa: orkiestra ma zagrać zwykły marsz generalski, który przeciw każdej orkiestrze wojskowa znać musi, zaś ekscelencja zaleca, aby orkiestra nasza natychmiast przystąpiła do nauki hymnu cesarskiego i ma nadzieję, że podobnie gorsząca rzecz nie powtórzy się na przyszłość. Po tym wszystkim defilada odbyła się w nastroju ponurym z obu stron, ale nasze „dłubinoki”, przeciwiczone już zresztą nieźle w czasie postoju karasińskiego, postanowiły pokazać austriackim „dziadom” co umieją i maszerowały w defiladzie tak, że austriackim ekscelencjom oczy na wierzch wylażyły. I bezpośrednio po defiladzie dowódca korpusu rozpromieniony dziękował Sosnkowskiemu za wspaniałą defiladę, która przyniosła prawdziwy zaszczyt dowodzonemu przez niego wojskom. Na drugi dzień, rozeszły się wiadomości, że jakoby w ciągu nocy Beliniacy, w dowód wdzięczności za to uznanie, ukradli najlepszego konia ze stajni dowódcy korpusu, przeznaczonego właśnie dla ekscelencji ministra. Nie wiem do dziś, czy wiadomość ta była prawdziwa, ale uważam to za bardzo prawdopodobne.

Jak już wspominałem, miałem w tym okresie dość czasu do przemyśleń. Zacząłem dociekać, jakie jest znaczenie dziwnej na pozór polityki Piłsudskiego. Stworzył ruch strzelecki i wyruszył w pole 6 sierpnia przeciwko Rosji po stronie Austrii i w oparciu o nią; zdawałoby się więc, że przewiduje zwycięstwo Austrii

i Niemiec w tej wojnie i oczekuje, że na skutek zwycięstwa powstanie Polska bądź jako samodzielny twór państwowy, bądź jako składowa część monarchii habsburskiej, posiadająca albo te same pełne swobody życia narodowego, jakie miał zabór austriacki, albo też takie prawa jakie miały Węgry w tej monarchii. Z tym oczywiście, że na razie trzeba będzie zrezygnować aż do dalszego etapu historycznego z zaboru niemieckiego. Ale w takim razie, czym sobie wytłumaczyć nieustanną opozycję, a chwilami wręcz rebelię Piłsudskiego wobec Austriaków? Dlaczego podtrzymuje on i kultywuje zaciekle anty-austriacki nastrój w swych oddziałach? Dlaczego nie chce dalszego rozwoju liczebnego Legionów i kieruje młodzież do P.O.W., dlaczego przeciwstawia się N.K.N-owi, będącemu politycznym odpowiednikiem Legionów; dlaczego w rozmowach warszawskich starał się stuszczać nasze ostre anty-endeckie nastawienie? Czego oczekuje od rewolucji rosyjskiej, której tak niecierpliwie wygląda, a która przecież musi zwiększyć szanse zwycięstwa państw centralnych? Czemu wreszcie na jego stole w Komendzie Brygady leży karta frontu zachodniego, a nie wschodniego i czemu chodzi posępny jak chmura gradowa ilekroć z komunikatów niemieckiej kwatery głównej wynika, że Verdun się chwieje?

Wprawdzie dąbinoski pierwszobrygadyjne mają na to wszystko odpowiedź, która zdawałaby się rozwiązywać zagadkę: najpierw Niemcy i Austriacy pobiją Moskali, a potem Francuzi z Anglikami pobiją Niemców i wszystko będzie dobrze. Ja, uważając się od szczenięcych lat za polityka, pobłażliwie traktowałem te nadzieje dąbinosków, które nie wydawały mi się przekonywujące. Przecie — myślałem sobie — odpadnięcie Rosji i zwolnienie tych olbrzymich sił państw centralnych z frontu wschodniego, przy zrównoważonym stosunku sił na zachodzie, musi zdecydować wynik wojny na korzyść państw centralnych, a w takim razie, przez nie, a nie przez kogokolwiek innego, będą decydowane sprawy w naszej części Europy. Ale jakoś nie czułem się dobrze z moim rozumowaniem; przy całej mojej zarozumiałości powziąłem już od kilku lat przekonanie, że Piłsudski jest ode mnie mądrzejszy, skoro więc postępuje w sposób dla mnie niezrozumiały czy niekonsekwentny, to musi to wynikać z jakichś przewidywań i przesłanek nieznanych mi, lub niewidocznych dla mnie, niemniej przeto ważkich i rozumnych. A przy tym miałem dobrze w pamięci, że we wszystkich wypowiedziach Piłsudskiego, zarówno przed wojną jak w czasie wojny, nie figurowała nigdy teza, że w oczekiwanym starciu zbrojnym zwycięży strona austriacko-niemiecka; przeciwnie, zastrzegał się on przeciwko imputowaniu mu tej przesłanki. Przewidywał tylko poraż-

kę wojenną Rosji i w następstwie tej porażki — rewolucję. Czyżby więc naiwne marzenia dąbinosków pokrywały się z przewidywaniami Piłsudskiego? Wszystkie opinie, stawiające losy Polski na kartę zwycięstwa Austrii i Niemiec, głoszone są przez polityków N.K.N.-u i jego odpowiednika warszawskiego tzw. „aktywistów” ze Studnickim, a od niedawna z Sikorskim, na czele. Nigdy nie zażyrował tego swym nazwiskiem Piłsudski. Nigdy ani jednym słowem nie poparł tych przekonań. Jeśli chodzi zaś o czyny, to zarówno jego polityka legionowa, jak tworzenie P.O.W., jak instrukcje dla polityków warszawskich idące przeciwko mydłom środkowym”, czyli tymże aktywistom, świadczą, że uważa on ich politykę za szkodliwą. Jasne jest więc, że Piłsudski, a zatem i my wszyscy, cały jego obóz, nie mamy dla siebie miejsca w żadnym z dwóch ugrupowań, w których zaszeregowuje się ogół społeczeństwa polskiego. Ani po stronie Dmowskiego, stawiającego na zwycięstwo koalicji z Rosją włącznie, ani po stronie aktywistów, stawiających na zwycięstwo państw centralnych. Męczyły mnie te rozważania przez długie godziny spędzane w karasińskich lasach i w ziemiankach na Reducie Piłsudskiego, i męczyć mnie miały jeszcze przez czas długi.

W czerwcu 1916 roku zaczęło być gorąco na froncie wołyńskim. Gorąco nie tylko od słońca, które grzało wyjątkowo stale od kilku miesięcy. Długotrwała susza zmieniła obronność naszych tamtejszych pozycji; nieprzebyte bagna, przez które według opinii ludzi miejscowych tylko przy tęgich mrozach przejść można było, stały się suche jak pieprz. Wysychały w oczach jeziora leśne, ledwie się sączyły rzeczki i strumienie zasilające Styr i Stochód. Brani od czasu do czasu jeńcy rosyjscy zeznawali zgodnie o wielkich zapasach broni i amunicji, gromadzonych na naszym froncie, o nadciągających wciąż potężnych rezerwach. Nowe boje wisały w powietrzu.

W końcu maja odbyła się na naszym froncie wielka uroczystość z powodu święta pułkowego 4-go Pułku Legionów. Przybyli na to święto wszyscy dowódcy jednostek legionowych z Piłsudskim włącznie oraz delegacje żołnierzy i oficerów ze wszystkich pułków. Zostałem wyznaczony w skład delegacji 1-go Pułku. Z zainteresowaniem obserwowałem zachowanie się Komendanta. Nie był tak chmurny jak zwykle przy stole biesiadnym, zastawionym w lesie, był wesoły, pogodny, w niezmiernie przyjazny sposób rozmawiał z dowódcami pułków II-ej i III-ej Brygady, szukając najwidoczniej zbliżenia z nimi; wyraźną, choć uprzejmą oziębłość okazywał tylko panom z C.K. Komendy Legionów, no-

szącym na swych czakach orzełka legionowego poniżej austriackiego tzw. „bączka”. Gdziekolwiek się ruszył otaczały go gromady żołnierzy II-ej i III-ej Brygady, przypatrujących mu się z nabożnym zaciekawieniem i będących wyraźnie pod urokiem jego postaci. W pewnym momencie, gdy znalazłem się w pobliżu, Piłsudski mnie spostrzegł i przywołał mnie do siebie. „Dobrze, że was tu widzę”, powiedział, „przygotujcie się na wyjazd do Warszawy. Odsyłam was do P.O.W. Za kilka dni otrzymacie dokumenty podrózne. Możecie to zameldować Fleszarowi”. Byłem zaskoczony, czułem się na froncie świetnie i spokojnie i nie nęcił mnie bynajmniej powrót do cywila i konspiracji. Otworzyłem usta, chcąc apelować o łaskę, ale Komendant zmarszczył brwi i powiedział krótko: „To wszystko, możecie odejść”.

Mimo wspaniałego przebiegu uroczystości i niemałej ilości alkoholu, którym nas uczęstowali koledzy czwartacy, wróciłem na Redutę w ponurym nastroju. W kilka dni później otrzymałem urlop, który mi się zgoła nie należał i dokumenty podróży do Warszawy. Zwlekałem jednak z wyjazdem; zżyłem się serdecznie ze swoim 6-tym batalionem, nawiązałem naprawdę braterskie stosunki ze wszystkimi oficerami, z dowódcą batalionu włącznie. Nijako mi było opuszczać ich w przededniu ofensywy. Siedziałem więc jeszcze przez kilka dni, ale koledzy oficerowie zaczęli gderać na mnie, tym bardziej że istniał przesąd na froncie, że ludzie którzy mając dokumenty urlopowe nie wyjeżdżają natychmiast, często obrywają od jakiejś głupiej kuli, czy szrapnela. Coś podobnego istotnie przydarzyło mi się pewnego pięknego poranku, gdy niespodziewanie zaczęła się przyszykować do nas jakaś nowa bateria rosyjska. Wtedy Fleszar rozgniewał się na mnie, powiedział mi że jest rzeczą niebywałą, aby oficer I-szej Brygady zwlekał z wykonaniem rozkazu Komendanta, kazał ordynansowi zapakować moją walizę i zarządził aby wóz taborowy przyjechał po mnie o zmroku, na możliwie najbliższą odległość od Reduty. Pożegnałem się więc z batalionem i pojechałem. Ale po drodze, mijając niedaleko usadowioną w lesie Komendę Brygady, postanowiłem zaryzykować i zameldować się do Komendanta z prośbą o odroczenie mego wyjazdu. Gdy podchodziłem do Komendy Brygady, zobaczyłem Komendanta spacerującego po lesie, w świetle zorzy wieczornej. Nim jeszcze stanąłem przed nim na baczność, Komendant mnie spostrzegł, szybkim krokiem podszedł do mnie i wyraźnie rozgniewany, huknął: „A Pan co tu robisz?”. Zmieszałem się i zacząłem bąkać coś o tym, że trudno mi opuszczać front w przededniu bitwy i że chciałem prosić o przesunięcie mego urlopu. Z rosnącym gniewem Komendant mi odpowiedział: „Rozumiecie przecież, że nie jedzie-

cie na urlop, ale na służbę. Ja wiem co robię, jesteście mi potrzebni tam, a nie tu. Odjazd natychmiast; żebym Was tu więcej nie widział, bo źle będzie". Odszedłem jak zmyty, siadłem na swoją furkę i pojechałem do Maniewicz.

Po przyjeździe do Warszawy zameldowałem się u Sławka i przez niego zostałem skierowany do Naczelnego Komendanta P.O.W., kpt. T. Kasprzyckiego, oraz w ciągu krótkiego czasu skontaktowany z warszawskim kierownictwem politycznym naszego obozu. Kasprzycki polecił mi objąć funkcje adiutanta Komendy Naczelnej P.O.W. Nomenklatura P.O.W. nie odpowiadała ściśle formalnej nomenklaturze wojskowej; funkcje adiutanta Naczelnej Komendy nie miały nic wspólnego z normalną pracą adiutancką. Odpowiadały w praktyce funkcjom szefa Wydziału Organizacyjnego; tak samo jako szefowie sztabów w organizacji P.O.W. byli naprawdę zastępcami Komendanta.

Wbrew moim przewidywaniom, po 10-miesięcznym oderwaniu się od stosunków warszawskich, zastałem większy postęp w rozwoju i natężeniu naszej akcji politycznej niż w akcji P.O.W. Kasprzycki jednak dał mi dużo swobody w pracy i zachęcił mnie do inicjatywy i rozbudowania agend Komendy Naczelnej. Składała się ona z chwilą mego przybycia właściwie z nas dwóch oraz sekretarki, znanej mi z poprzedniego okresu naszej działalności — za Żulińskiego — z wybitnego udziału w akcjach Oddziału Lotnego, za które otrzymała później dobrze zasłużony Krzyż Virtuti Militari. Kontakt Naczelnej Komendy z siecią organizacyjną był stosunkowo słaby, utrudniony przez nadmierną — jak na ówczesne warunki — ostrożność konspiracyjną. Korzystając z zachęty Kasprzyckiego, zainstalowałem Komendę Naczelną w dobrym, łatwym do odnalezienia lokalu, połączonym z moim mieszkaniem prywatnym, tak że byłem niemal 24 godziny do dyspozycji przybywających z okręgów prowincjonalnych ich komendantów, lub łączników. Po zapoznaniu się z całością kształtem sieci organizacyjnej przekonałem się, że była ona rozbudowana lepiej niż Komenda Naczelna i w całym szeregu ośrodków, a przede wszystkim w Warszawie, dzięki energii szeregu oficerów odkomenderowanych z Brygady przez Komendanta, robota się rozwija i ma szanse jeszcze większego rozwoju przy zwiększonym kontakcie i usprawnieniu łączności. Wkrótce też praca nasza poszła w żywym, niemal gorączkowym tempie.

W dziedzinie organizacji politycznej zastałem sytuację krańcowo odmienną od zastoju i bezwładu sprzed roku. Szereg energicznych, inteligentnych i utalentowanych politycznie ludzi, skierowanych i na to pole przez Komendanta, osiągnął już znaczne rezultaty. Obok seniora naszego obozu Artura Śliwińskiego, nie

odznaczającego się nigdy temperamentem i aktywnością, zaczęli działać Wacław Sieroszewski, Medard Downarowicz, Tadeusz Szpotański i kilku innych. Ożywiła się i stawała się ponownie poważną siłą P.P.S. Zorganizowane zostało Stronnictwo Niezawisłości, obejmujące inteligencję zawodową; wzrastało w siły młode na gruncie zaboru rosyjskiego Stronnictwo Ludowe, gruntujące się coraz poważniej na wsi, idące ręką w rękę z P.O.W. Inteligentny i zdolny polityk Stanisław Thugutt w okupacji niemieckiej, a Juliusz Poniatowski w okupacji austriackiej, byli czołowymi organizatorami tego ruchu. Wkrótce powołany został do życia Centralny Komitet Narodowy, koordynujący wspólną linię polityczną wyżej wymienionych i niektórych drobniejszych grup i idący w zasadzie w myśl wskazań Józefa Piłsudskiego. Zorganizowany obóz niepodległościowy, przeciwstawiający się zarówno Narodowej Demokracji jak i aktywistom spod znaku „Klubu Państwowców” Wł. Studnickiego i sieci werbunkowej Wł. Sikorskiego — stał już na dość mocnych nogach.

Bezwzględna dominacja endecji nad opinią publiczną zaczęła się poważnie kruszyć.

Niezależnie od mej pracy w P.O.W., wciągnąłem się szybko i do roboty politycznej. Może ściślej byłoby powiedzieć, że zostałem do niej wciągnięty przez wymienionych przed chwilą naszych czołowych działaczy. Kasprzycki chętnie akceptował moją pracę polityczną, do której osobiście nie miał specjalnego pociągu. Wszedłem do władz Stronnictwa Niezawisłości, które było najbardziej dojrzałe do podporządkowania się autorytetowi Komendanta; wszedłem też z ramienia tegoż Stronnictwa do Centralnego Komitetu Narodowego, w którym oczywiście mój głos miał specjalny ciężar gatunkowy wobec tego, że był on uważany za głos P.O.W. Ta zaś, ze względu na swój zasięg wpływów i siłę organizacyjną, szczególnie na prowincji, górowała bez porównania nad wszelkimi innymi ugrupowaniami, wchodzącymi w skład C.K.N., z wyjątkiem jedynie P.P.S. Wszędzie też gdzie sięgała sieć organizacyjna P.O.W., torowała ona drogę dla politycznej infiltracji poszczególnych grup obozu niepodległościowego i dopomagała do tworzenia ich placówek.

Tymczasem z frontu, na którym ruszyła właśnie ostatnia wielka ofensywa armii rosyjskiej, zaczęły nadchodzić niepokojące wiadomości. Wkrótce po komunikacie oficjalnym naczelnego dowództwa armii austro-węgierskiej, podnoszącym szczególnie bohaterstwo i godny najwyższego uznania udział Legionów polskich w walkach nad Styrem — otrzymaliśmy ponure wieści o ciężkich stratach, szczególnie w oficerach, jakie poniosły oddziały polskie,

a głównie I-sza Brygada; o legendarnej tyralierze oficerskiej, osłaniającej odwrót otoczonych ze wszystkich stron naszych wojsk nad Styrem. Przejściowy sukces tej ofensywy spowodował niezwykle ciężką daninę krwi dla I-szej Brygady. Lista poległych była długa i zawierała nazwiska najwybitniejszych i najdzielniejszych oficerów. Nadeszły też wkrótce relacje o zwykłym tchórzostwie i nielojalności Austriaków, opuszczających swe pozycje chyłkiem, bez uprzedzenia sąsiadujących oddziałów polskich, narażając je na odcięcie. Nowe laury dodane do sławy bojowej żołnierza polskiego wydawały się nie opłacać tych bolesnych, niepowetowanych strat.

Ofensywa Brusilowa załamała się wkrótce. Na odcinku legionowym front przesunął się nie dalej jak ze Styru na Stochód. Wkrótce potem oddziały legionowe, po ustaleniu się nowej linii bojowej, przeszły do rezerwy wobec swych szczególnie ciężkich strat. Nastąpił nowy okres zastoju operacyjnego, a jednocześnie nowy okres akcji Piłsudskiego.

Komendant wyzyskał połączenie się formacji legionowych na jednym odcinku frontu, dla wciągnięcia w orbitę swych wpływów całości Legionów. Początkiem tej akcji była jak wspominałem uroczystość czwartacka. Bezpośrednio po zakończeniu operacji bojowych, Komendant zacieśnił swe porozumienie z dowódcami innych oddziałów. Z jego inicjatywy powstała tzw. Rada Pułkowników, na której Piłsudski postawił na porządek dzienny dalsze kroki zmierzające do unifikacji i usamodzielnienia polskich formacji wojskowych. Przez pewien czas Legiony jako całość zaczęły grać wspólną grę, dzieląc uprzednie osamotnione rebelianctwo I-szej Brygady i Piłsudskiego. Wysłunięte zostało wspólne żądanie nowych, ujednoliconych odznak dla wszystkich oddziałów. Gdy C.K. Komenda Legionów, czy też wyższe władze austriackie, nie kwapiły się z załatwieniem tej sprawy, II-ga i III-cia Brygada zdjęła swe dotychczasowe odznaki wzorowane na austriackich. W rezultacie, wprowadzone zostały odznaki nowe, wzorowane na dotychczasowych I-szobrygadyjnych, z tą różnicą, że zamiast wężyków oficerskich z czerwonej wstążeczki wprowadzone zostały wężyki srebrne. Była to manifestacja jednolitego i wspólnego nacisku na władze austriackie w kierunku odrębności polskich oddziałów.

W obradach Rady Pułkowników weszły na porządek dzienny sprawy polityczne. Piłsudski w oparciu — o wzrastającą w opinii zarówno austriackiego jak i niemieckiego dowództwa — ocenę wartości bojowej polskiego materiału żołnierskiego, którego grożący brak zaczynał coraz silniej ciążyć na planach odnoś-

nych sztabów generalnych, chciał wyzyskać politycznie tę koniunkturę, w myśl swej zasady „licytacji wzwyż”. Proponował więc wracając do swego stanowiska sprzed roku, po zajęciu Warszawy, aby zażądać zajęcia przez państwa centralne stanowiska w sprawie przyszłości Polski, grożąc w przeciwnym razie złożeniem broni przez Legiony. Nie zdołał osiągnąć współdziałania dowódców poza I-szą Brygadą w tak śmiałym pociągnięciu. Zbyt silnie działały wpływy N.K.N.-u krakowskiego oraz aktywistów warszawskich, którzy w dalszym ciągu uważali za najlepszą politykę dawanie krwi polskiej za darmo; działały też niewątpliwie pewne animozje i ambicje osobiste. Piłsudski konsekwentny i nieustępliwy jak zawsze, gdy wchodziły w grę rzeczy zasadnicze nie osiągnąwszy zamierzanego optimum, którym byłoby solidarne wystąpienie wszystkich dowódców legionowych, zagrał sam. Rzucił na szalę siebie i niezawodną I-szą Brygadę: podał się do dymisji z Legionów. To samo uczynił w ślad za nim Sosnkowski, to samo wszyscy dowódcy oddziałów I-szej Brygady, to samo wreszcie wszyscy jej szeregowi. W myśl wymagań dyscypliny wojskowej nie był to akt zbiorowy, każdy żołnierz I-szej Brygady stawał do raportu indywidualnie i żądał zwolnienia, motywując to w ten sam sposób.

Akcja ta była kapitalnym dowodem zwartości I-szej Brygady i bezwzględego autorytetu Piłsudskiego. Zwolnienie z Legionów dla tych żołnierzy i podoficerów, którzy pochodzili z zaboru austriackiego, pociągało ciężkie konsekwencje. W razie wcielenia do armii austriacko-węgierskiej podoficerowie tracili oczywiście swoje szarże; oficerowie legionowi, o ile nie byli oficerami rezerwy armii austro-węgierskiej, tracili również swoje stopnie oficerskie i groziło im przejście na status podoficerski. A wielu z nich było już przecież kapitanami, majorami i podpułkownikami, dowódcami batalionów i pułków. Każdy wojskowy rozumie, co znaczy taka perspektywa, zaostrzona jeszcze tajną klauzulą P.V. oznaczającą „podejrzany politycznie”; taka klauzula nie tylko wykluczała awans, ale z całą pewnością powodowała nieznośne szykany ze strony austriackich dowódców. Mimo to całość I-szej Brygady wystąpiła solidarnie, z jedynym wyjątkiem. Major Łyżwiński-Zymirski wyłamał z solidarności i posłuszeństwa wobec Piłsudskiego i nie podał się do dymisji. Austriacy zagrali na jego snobistycznej hysterii i ambicji, obiecali mu awans na podpułkownika i legalną zmianę nazwiska Łyżwiński na Żymirski. Pierwszego punktu swej obietnicy dotrzyмали, co do drugiego zaś oszukali go, dodając jedną literę w nowym nazwisku, które odtąd brzmieć miało Żymierski, jakoby na skutek protestu żyjących jeszcze potomków historycznego generała.

Tzw. kryzys dymisyjny w Legionach nabrał oczywiście olbrzymiego rozgłosu. Mimo że dowódcy innych jednostek legionowych nie poszli za przykładem Piłsudskiego — całość Legionów została objęta gorączkowym wrzeniem. Zarówno szeregowi jak i młodszy oficerowie, zachowując formalną dyscyplinę wobec swych dowódców, sympatyzowali jednak ze stanowiskiem I-szej Brygady. Mimo że Piłsudski nie był nigdy formalnie dowódcą Legionów, jednak jego imię było imieniem sztandarowym. Nazwiska kolejnych formalnych dowódców — Baczyński, Trzaska-Durski, Puchalski — nie miały żadnego znaczenia i żadnej atrakcji. Odejście Piłsudskiego z Legionów groziło ich likwidacją. Zdawali sobie z tego sprawę wszyscy, nie wyłączając najwyższych instancji austriackich. Kryzys dymisyjny pozostał w zawieszeniu. Piłsudski i Sosnkowski otrzymali wtenczas urlopy i wyjechali z frontu do Krakowa, a następnie do Zakopanego. Pozostali oficerowie i żołnierze I-szej Brygady nie otrzymali żadnej odpowiedzi na swe prośby o zwolnienie z Legionów. Wszystkie oddziały legionowe zostały wycofane na tyły dla reorganizacji. Istotnym powodem była ich oczywista niepewność. Rozeszły się wiadomości, że formacje polskie po stronie rosyjskiej przez długi czas zapomniane, wycofane z akcji przez dowództwo rosyjskie i skazane jak gdyby na wygaśnięcie — uległy reorganizacji i zostały ponownie wprowadzone na front, jakoby właśnie na odcinek polesko-wołyński. Pogłoski o tym wywołały wśród szeregow legionowych głośne wypowiedzi, że w razie spotkania się z nimi na linii bojowej, Legioniści nie będą się bić, lecz połączą się z nimi. Gdy w półtora roku później znalazłem się po drugiej stronie frontu i zetknąłem się z oficerami polskich formacji wschodnich, usłyszałem od nich, że w tym samym czasie rozważali oni między sobą tę samą ewentualność i planowali w razie spotkania się z Legionistami przejście na ich stronę... Było to miarą niepewności i zamieszania jakie panowało w tych czasach. Każda z formacji polskich miała dosyć swych dotychczasowych sprzymierzeńców.

Gdy Piłsudski i Sosnkowski prowadzili rozmowy polityczne na terenie Krakowa i Zakopanego, gdy Legiony otrzymały nowego formalnego dowódcę w osobie gen. Szeptyckiego i przechodziły reorganizację i przeszkolenie w Baranowiczach — w Warszawie nastąpił charakterystyczny zwrot w sytuacji politycznej. Obóz aktywistyczny, firmowany przez Władysława Studnickiego i ściśle współdziałający z nim Departament Wojskowy N.K.N. pułkownika Wł. Sikorskiego, rozpoczęły zdecydowanie atak na Józefa Piłsudskiego, jako warchołę i rozbijacza, zarzucając mu niszczenie „czynu legionowego”. Wprawdzie już od

wzięcia Warszawy w sierpniu 1915 roku nastąpił wyraźny konflikt *de facto*, gdy Piłsudski wypowiedział się przeciwko dalszemu werbunkowi do Legionów, zaś Sikorski werbunku tego się podjął i zaczął go organizować. Wprawdzie wojna podjazdowa przeciwko Piłsudskiemu, I-szej Brygadzie, P.O.W. i organizacji Ligi Kobiet, prowadzącej swą akcję pod znakiem Piłsudskiego, trwała już od dawna — unikano jednak atakowania Piłsudskiego wprost. Zmieniło się to po kryzysie dymisyjnym. W prasie aktywistycznej i w wydawnictwach Departamentu Wojskowego N.K.N. zaczęto planowo dyskredytować nazwisko Piłsudskiego. Oboz niepodległościowy odpowiedział ostro i zdecydowanie. Nie mając do dyspozycji prasy jawnej, odpowiadaliśmy w dyskusjach publicznych, w ulotkach i nielegalnych periodykach P.O.W. Ujawnił się istniejący w gruncie rzeczy od początku wojny nie dwu, lecz trój-członowy układ sił w polskim życiu politycznym. Pomiędzy starym obozem Romana Dmowskiego, fundamentem którego była wiara w zwycięstwo koalicji i Rosji, a obozem aktywistycznym Studnickiego, wierzącym w zwycięstwo państw centralnych, stanął oboz niepodległościowy, Piłsudskiego, zaczął rosnąć w oczach i przybierać na sile. W pierwszym okresie wojny aktywistów z zaboru rosyjskiego oraz austriackiego (N.K.N.) łączyło z obozem Piłsudskiego wspólne przeciwstawianie się polityce Narodowej Demokracji, wspólny front anty-rosyjski. Zerwanie tej wspólnoty ujawniło się obecnie w całej pełni. Siły Piłsudskiego — P.O.W., C.K.N. i znakomita część pro-legionowego odłamu społeczeństwa — zwróciły się całym frontem przeciwko aktywistom. Z czołowych organizacji C.K.N.-u w Kongresówce stronnictwa lewicy społecznej opowiedziały się całkowicie po stronie Piłsudskiego. W zaborze austriackim rzecz się przedstawiała nieco inaczej; część P.P.S.D. wypowiadała się całkowicie po stronie Piłsudskiego, część zaś po stronie polityki N.K.N.-u. Ludowcy byli chwiejni i niezdecydowani. Jeśli zaś chodzi o prawicę społeczną — Narodowa Demokracja niemal bez wyjątku trzymała się w dalszym ciągu polityki Dmowskiego. Konserwatyści małopolscy dzielili się między N.K.N. a Dmowskiego. Ten sam podział zaczął się zarysowywać wśród konserwatystów zaboru rosyjskiego, idących początkowo w całkowitej solidarności z endecją. Organizacje polityczne inteligencji zawodowej w Kongresówce reprezentowane były we wszystkich trzech obozach, oboz Piłsudskiego wyraźny jednak zyskiwał grunt, szczególnie w Warszawie.

Gdy w Klubie Państwowców pod przewodnictwem Studnickiego rozpoczęto publiczną dyskusję nad sytuacją polityczną, spowodowaną przez dymisję Piłsudskiego z Legionów, poszedłem

wbrew przestrogom ortodoksyjnych konspiratorów na jedno z tych posiedzeń. Poszedłem sam bez żadnego przygotowania, nie zamierzając zabierać głosu, ani nie organizując sobie poparcia na sali. Miara głębokiego zainteresowania opinii publicznej było to, że mimo niepopularności Klubu Państwowców zastałem salę przepełnioną. Referat wygłoszony przez jednego z czołowych przedstawicieli aktywizmu był ostrym atakiem na rzekomą nieodpowiedzialność i niekonsekwencję polityki Piłsudskiego. Zirykowałem się i poprosiłem o głos. Otwarcie oświadczyłem, że jestem żołnierzem I-szej Brygady, żołnierzem Piłsudskiego. Na sali zapanowała skupiona cisza i naprężone oczekiwanie; zauważyłem poruszenie na trybunie prezydialnej. Nie byłem jeszcze wówczas wprawnym mówcą, moja praktyka z czasów akademickich dawała bardzo nierówne rezultaty; częściej mówiłem źle, niż dobrze. W tym wypadku jednak, prawdopodobnie pod wpływem szczerzej emocji i głębokiego przekonania, odniosłem pierwszy sukces dużej miary jako mówca. Piłsudski był wówczas tematem raczej nowym w Warszawie. Nastrój słuchaczy szczerze zaciekawionych dodał mi bodźca i wpłynął na to, że nawet forma słowna mego przemówienia udała mi się ponad spodziewanie. W rezultacie, gdy skończyłem publiczność, mimo że dobrana i zaproszona przez przeciwników, zrobiła mi entuzjastyczną owację; ludzie ruszyli z miejsc, dziękując mi, gratulując i ściskając moją dłoń. Prezydium wpadło w panikę. Gdy cały szereg ludzi zażądał głosu — i to właśnie spośród tych, którzy burzliwie oklaskiwali moje przemówienie, przewodniczący oświadczył, że zamyka zebranie. Rozległy się ostre protesty, gdy zaś przewodniczący powołał się na spóźnioną porę sala zażądała kontynuowania dyskusji na następnym posiedzeniu w jak najkrótszym czasie. Nie zadowolono się ogólnikową obietnicą przewodniczącego i musiał on natychmiast wyznaczyć termin jeszcze w tym samym tygodniu. Było to dla mnie wymownym dowodem jaką siłą staje się imię Piłsudskiego i że trzeba o nim mówić jak najwięcej i jak najszerzej. Nazajutrz po całej Warszawie gruchnęła wieść o niespodziance jaka spotkała aktywistów w ich własnej siedzibie. Gdy przyszedłem następnym razem, zastałem wejście do Klubu Państwowców oblezione. Zaproszenia były ściśle kontrolowane, ale w krótkim czasie napierająca fala odepchnęła funkcjonariuszy klubu i załapała salę. Gdy się do niej dostałem, była zapełniona po brzegi, ludzie stali na wszystkich wolnych miejscach i na całej wolnej przestrzeni. Zauważyłem, że mnóstwo osób przyniosło kwiaty. Początkowo sądziłem, że jest to manifestacja przygotowana przez klub dla Studnickiego; po chwili jednak spostrzegłem, że w pierwszym rzędzie z kwiatami siedzi Wacław Sieroszewski. Panika

mnie ogarnęła na myśl, że tym razem może się mój występ nie udać i będzie kompromitacja. Przemówienia, odpowiadające na moje wystąpienie poprzednie, wygłoszone były przez Grużewskiego i Studnickiego, którzy jednak wybrali sobie nie nazbyt fortunne nastawienie, traktując mnie z nieszczerą pobłażliwością, jako pocziwego żołnierza, któremu nie można się dziwić i raczej trzeba policzyć za dobre iż czci i podziwia swego dowódcę. Po czym z wysokości mężów politycznych przypuścili atak na treść mego przemówienia. Gdy przyszła na mnie kolej zabrania głosu, czułem się już dość pewniej, a bagatelizowanie mojej osoby zastrzyło mój język należycie. Mówiłem znowu dobrze i mocno i gdy skończyłem spotkała mnie ponowna owacja, jeszcze burzliwsza niż poprzednio i pamiętam moją młodzieńczą dumę z dobrze spełnionego obowiązku gdy pierwszym, który podszedł do trybuny i wręczył mi wiązankę kwiatów był Wacław Sieroszewski. Klub Państwowców po tych dwóch doświadczeniach przerwał na swym terenie publiczne dyskusje nad kryzysem legionowym i polityką Józefa Piłsudskiego. Ja zaś pasowany zostałem w opinii warszawskiego obozu niepodległościowego na popularnego mówcę i od tej chwili aż nazbyt często obarczany byłem funkcją referenta na piłsudczykowskich zebraniach politycznych w Warszawie i na prowincji.

Tymczasem drastyczne wystąpienie Piłsudskiego zaczęło osiągać swe konsekwencje, które rozgrywały się między Wiedniem a Berlinem na poziomie sztabów generalnych i rządów. Przez polityków Koła Polskiego w Wiedniu i N.K.N. doszły nas wkrótce wiadomości, że w najbliższym czasie nastąpi doniosłe i historyczne oświadczenie obu rządów, czy też obu cesarzy w sprawie polskiej. Zbliżał się listopad 1916 roku.

Zwrócił się do mnie Artur Sławiński, że musi się spotkać ze mną w sprawie jak mówił najwyższej doniosłości. Z trudem wykręciłem chwilę czasu, aby się z nim spotkać i byłem zaskoczony jego niespodziewaną dla mnie reakcją. Był mianowicie przerażony naszą (P.O.W.) szaleńczą nieogłędnością; przedstawił mi z największym naciskiem żądanie natychmiastowego odwołania wszelkich manifestacji powitalnych dla Piłsudskiego; oświadczył, że zachodzi tu oczywista prowokacja ze strony Niemców, na lep której idziemy jak nieprzytomne dzieci. Niemcom — mówił — w to właśnie graj. Zgromadzicie wszystkie najdzielniejsze i najcenniejsze elementy Warszawy. Niemcy, wobec pogwałcenia zakazu zebrania i manifestacji będą mieli znakomitą podstawę do zniszczenia najlepszych naszych sił; zaczają się dokoła dworca głównego z karabinami maszynowymi, a gdy rozentuzjasmowana

młodzież nie usłucha wezwania do rozejścia się, zrąbią wszystkich, może i Komendanta nie wyłączając, ogniem tych karabinów. Trzeba być ślepym — mówił — żeby tego nie widzieć. Odwołać należy wszystko natychmiast, inaczej bowiem, Wy, Naczelna Komenda P.O.W. weźmiecie na siebie strasliwą odpowiedzialność.

Według mojej oceny sytuacji nic podobnego nie zagrażało i zagrazać nie mogło. Próbowałem to wytłumaczyć Śliwińskiemu, ale bezskutecznie. Rozstaliśmy się z tym, że ja odmówiłem kategorycznie zmiany naszych planów, on zaś odszedł z ponurą zapowiedzią: „Pamiętajcie, że was ostrzegałem”.

Jak należało oczekiwać przebieg wypadków dnia następnego był gładki i spokojny. Nie tylko nie było żadnych przygotowań specjalnych ze strony niemieckiej, ale przeciwnie na całym terenie od Dworca Głównego do hotelu Brühlowskiego za ogrodem Saskim, w którym zarezerwowaliśmy apartament dla Komendanta, Niemcy świecili ostentacyjną nieobecnością. Na pewno mieli swoich obserwatorów ubranych po cywilnemu, ale na ulicach widziało się tylko polską milicję. Nikt nie przeszkadzał wielotyśiecznemu tłumowi, który się zgromadził przed dworcem. Kilku delegacjom z Komendą Naczelną P.O.W. funkcjonariusze niemieckiej komendy dworca wskazywali uprzejmie drogę na peron, na który pociąg miał przybyć, nie pytając nawet o bilety peronowe. Dopuszczono korespondentów prasowych i fotografów, mimo że oficjalne zdjęcia fotograficzne na dworcu były zakazane. Nawiasem mówiąc, jedna z fotografii na której Kasprzycki i ja witaliśmy Komendanta wychodzącego z wagonu, zrobiła dużo kłopotu kapitanowi audytorowi Komendy Legionów, kapitanowi J. Krzeмиńskiemu, późniejszemu Prezesowi Najwyższego Sądu Wojskowego, a następnie Prezesowi Najwyższej Izby Kontroli w wolnej Polsce. Gdy spotkałem się z nim przypadkowo kilka tygodni później, pokazał mi on te fotografie i list od Szefa Komendy Legionów, zwracający mu uwagę, że oto porucznik Miedziński od roku poszukiwany przez Sąd Polowy, akta sprawy którego powierzone zostały właśnie Krzeмиńskiemu, występuje jawnie i publicznie w Warszawie, mimo że tenże Krzeмиński melduje wciąż, że oskarżonego nie podobna znaleźć.

Gdy Komendant pokazał się przed dworcem wybuchła manifestacja w całym tego słowa znaczeniu potężna. Po krótkiej chwili został otoczony ze wszystkich stron przez rozentuzjasmowaną młodzież, oddzielony od swej świty; gdy zaś dotarł wraz z Kasprzyckim do oczekującego nań powozu, konie zostały wyprężone i młodzież zawiozła go aż do hotelu, w otoczeniu wzrastającego jeszcze wciąż tłumy, wśród ciągłych okrzyków i wiwatów.

Gdy po upływie pół godziny dotarłem do hotelu Brühlowskiego, zastałem Komendanta, rozmawiającego z Kasprzyckim oraz kilku wybitnymi politykami z C.K.N.-u. Przy wejściu do hotelu zastałem jeszcze kilkaset osób, mimo że nasi Peowiaczy mieli wydaną dyspozycję, aby manifestacji powitalnej zbytnio nie przeciągać. Po dłuższej chwili dopiero przyjechał dorożką zdyszany A. Śliwiński, który ochłonał już ze swych złowróznych przeczuć i dziwnie unikał mego wzroku. Piłsudski był w dobrym humorze, ale w pewnej chwili wziął mnie na bok i po cichu polecił, abym szepnął wśród zebranych, że chciałby zostać sam i odpocząć. „Ale Wy nie potrzebujecie odchodzić — dodał — i zajmijcie się tym, żeby nam tu dali dobrej, mocnej herbaty”. Zrobiłem dyskretnie swoje, Komendant zatrzymał jeszcze na chwilę Kasprzyckiego, gdy zaś ten się odmeldował, zostałem z nim sam. Popijając herbatę, Komendant powiedział do mnie żartobliwie: „Cóż to, słyszałem, że Wy tu jesteście wielki polityk i generalny mówca”. Nie byłem pewny, czy w tym zapytaniu nie ma dezaprobaty i zacząłem się tłumaczyć. Komendant mi przerwał. „Ja nie mam nic przeciwko temu — powiedział — właśnie dlatego chcę z Wami pewne rzeczy omówić. Ale przede wszystkim powiedźcie mi, czy nie macie jakichś choćby prywatnych kontaktów z tutejszą endecją?”. Byłem tym pytaniem zaskoczony. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że takich stosunków w Warszawie nie mam. „To szkoda” — odpowiedział Piłsudski — „ale sądzę, że jakaś droga do nich powinna się znaleźć. Natomiast, powiem Wam o co mi chodzi, abyście mi mogli pomagać w tym waszym C.K.N.-ie, bo jestem pewny, że tam będę miał trudności jak zawsze, gdy chcę zrobić coś rozsądnego”. Komendant wstał i chodząc po pokoju dał mi następujące wytyczne.

Nie wiem jeszcze jak się ułoży z tą Radą Stanu, ale moją myślą jest, aby spróbować postawić okupantów jako jedną stronę, z jednolitą reprezentacją polityczną polską z drugiej strony. Im się zdaje, że oni będą sobie wybierać i mianować poszczególnych ludzi, co oczywiście im jest bardzo wygodnie. Ja chciałbym, żeby Polacy załatwili to między sobą i przedstawili okupantom listę taką, jak z ich wewnętrznych układów wypadnie, pozostawiając im tylko odrzucenie, lub przyjęcie takiej listy w całości. Oczywiście, wówczas tylko taka Rada Stanu miałaby powagę u polskiego ogółu. Nie wiem, czy panowie z Koła Międzypartyjnego dojrzeli już do zrozumienia wszystkich dobrych stron takiej taktyki. Sądzę, że chyba w ciągu roku ubiegłego przestali już na wszystko co się dzieje patrzeć w perspektywie powrotu Moskali. Ale obawiam się też, że będę miał trudności w naszym

własnym obozie, bo nasi politycy wciąż jeszcze uważają, że strefniliby się gdyby siedli do jednego stołu z endekami i że na cokolwiek endecy powiedzą „tak”, to oni muszą mówić „nie” i na odwrót. W najbliższych dniach tą właśnie sprawą będę się zajmował i gdyby mi się udało, to rozumiecie o ile mocniej mógłbym rozmawiać z Beselerem, który chce ze mną konferować. Uważajcie więc, jeśli ta sprawa będzie omawiana w tych wszystkich komitetach, zarządach, czy jak się to tam nazywa, do których należycie, to musicie zwalczać partykularyzm i domagać się żeby nasi matadorzy szli po mojej linii. Jeśli nie będziecie mieli innych argumentów, to możecie śmiało operować tym, że mówicie w imieniu P.O.W. Czy mnie dobrze rozumiecie?

Odpowiedziałem, że rozumiem doskonale; że istotnie jeśli chodzi o wszystkie stronnictwa C.K.N.-u oprócz P.P.S. to chcą czy nie chcą, muszą się one liczyć z głosem P.O.W., która jest mocniejsza niż wszystkie one razem wzięte; natomiast P.P.S. reprezentuje własną, odrębną siłę. Komendant odpowiedział mi, że próbę przekonania P.P.S. weźmie na siebie.

Przed wyjazdem z Warszawy jeszcze mnie do siebie wezwie, zaś gdybym przedtem miał jakąś ważną wiadomość, czy potrzebował instrukcji nieprzewidzianej, to mam się do niego meldować.

Nie miałem przekonania, aby Komendantowi mógł udać się plan tego „wspólnego frontu”. Wyczuwałem dość dobrze puls życia politycznego Warszawy i przewidywałem, że jeśli nawet autorytet Piłsudskiego zdoła przełamać ostrą niechęć wśród stronnictw lewicy do jakiegokolwiek współdziałania z prawicą spod przywództwa Narodowej Demokracji — to na pewno Koło Międzypartyjne oferty współdziałania nie przyjmie, bądź odrzucając ją *a limine*, bądź też stawiając warunki nie do przyjęcia. Osoba Piłsudskiego, którego autorytet wśród stronnictw niepodległościowych był od dawna ogromny i wciąż jeszcze wzrastał — nie budziła zaufania w części opinii publicznej polskiej, podlegającej dyktaturze Narodowej Demokracji. Prawicowe nastawienie społeczne tego odłamu powodowało najdalej idącą nieufność w stosunku do socjalistycznej i rewolucyjnej przeszłości Komendanta.

Pobył Piłsudskiego w Warszawie trwał krótko. Nie osiągnął on powodzenia w próbie wspólnego frontu polskiego wobec okupantów. Był też wyraźnie zniechęcony i niezadowolony ze swej rozmowy z Beselerem. „To dziwny facet” — powiedział nam później Komendant — „jakaś niepospolita mieszanina pruskiego generała z niemieckim profesorem. To połączenie generalskiej pewności siebie z profesorskim *besserwisser*’stwem i gadatli-

wością uniemożliwia po prostu porozumienie się z nim, nawet w granicach ustalenia różnicy zdań. On tokuje jak głuszc i nie rozumie, że to jest po prostu śmiesznie, gdy on mi próbuje wyłożyć gdzie leżą interesy Polski”.

Owe dziesięć dni pobytu w Warszawie Komendant miał tak szczerze wypełnione, że nie ośmielałem mu się nawet przypomnieć obietnicy udzielenia mi dalszych instrukcji aż do ostatniego dnia przed jego wyjazdem. Ułożyłem sobie starannie szereg pytań, postanowiłem przezwyciężyć zwykłe onieśmienie i prosić o odpowiedź na rozliczne wątpliwości, które miałem. Ostatniego wieczora zostałem wprawdzie aż do zakończenia wszystkich jego rozmów i konferencji ale widziałem, że jest on zmęczony i wyczerpany i z niekłamaną ulgą odetchnął usłyszawszy meldunek, że porządek dnia wyczerpany i nikt już na niego nie czeka. Przy ostatniej szklance herbaty Komendant jednak sam zaczął mówić o bieżących sprawach, wobec tego pozwoliłem sobie zadać mu pytanie jak to będzie z tą Radą Stanu i czy Komendant do niej wstąpi. — „Nie pytajcie mnie jeszcze o to — odpowiedział — decyzji jeszcze nie powziąłem. Nie jest mi łatwo, bo, jak to zawsze bywa, wypadki nie idą w czasie tak, jak się człowiek w swych przewidywaniach spodziewa. Nie mam jeszcze elementów z Rosji. Może się jeszcze przedłużyć czas, kiedy będę musiał lawirować. Chodzi tylko o to, aby nic na tym nie stracić”.

„Co będzie z wojskiem, komendancie?” — zapytałem. „Czy do wojska Komendant nie wróci?”.

„To jest pewne” — odpowiedział Komendant. „Jeśli co mnie męczy, to tylko pytanie czy nie za późno wyszedłem; czy nie trzeba było tego zrobić przed Kościuchnowką. Rosja jest militarnie pobita, nie wiem jak długo będą jeszcze trwały walki, ale nie ma powodu, abyśmy my w nich brali udział i ponosili straty”.

W tym miejscu Komendant zaczął jak gdyby myśleć głośno. „Tylu ludzi padło, tylu doskonałych oficerów, tylu przyszłych dowódców. Szkoła wojny była potrzebna; wiele rzeczy nie da się osiągnąć w P.O.W. Ale cóż z tego, jeśli najlepsi padną i nie będzie ich wtedy, gdy będą najpotrzebniejsi. Nasz dotychczasowy udział w wojnie, to była tylko szkoła, koniec wojny, jej koniec dla innych, to będzie dopiero czas próby dla nas” — mówił Komendant jak gdyby do siebie. „Ze stratami czas było skończyć. Na zachodzie też podobno garstka tylko została. Moskale również schowali gdzieś polskie oddziały, może nawet rozwiązali je zupełnie. Nie, z tym na pewno czas było skończyć”.

„Więc cóż będzie dalej z Legionami?” — zapytałem.

„Tu, czas nie będzie stracony”, odpowiedział Komendant. „Wcale nie zaszkodzi, gdy przejdą dobre przeciwieństwa na tyłach. Od Niemców można się dużo nauczyć. Myślę, że będą się starali rzetelnie przeszkolić naszych chłopców, bo to osiągnęliśmy na pewno, że nas ocenili i oczy im z głowy wyłazą na myśl o kilkunastu polskich dywizjach. To jest też plus i gdybyśmy tego nie osiągnęli za krwawą cenę, na pewno mój 'bunt' nie dałby w rezultacie aktu 5-go listopada. To jest duża rzecz. I to my, wojsko, zrobiliśmy, a nie panowie politycy. Ale teraz musimy poczekać. Rewolucja w Rosji powinna przyjść lada dzień; tymczasem, niech gra pan Roman Dmowski. Dałem mu do ręki atutową kartę — niech on teraz gra, niech od tamtej strony żąda więcej”.

„Ale, Komendancie” — powiedziałem — „jeśli rewolucja w Rosji rozłoży front wschodni, czy Niemcy wobec tego nie przestaną się starać, aby nas sobie pozyskać? Przecież zwolnią sobie ogromne siły na wschodzie”.

„To wcale nie takie proste” — odpowiedział mi Piłsudski, „Ulga na wschodzie nie powetuje im olbrzymich strat, które ponieśli na zachodzie; a poza tym wisi nad nimi groźba wejścia Ameryki do wojny. To będzie wymagało czasu, ale Ameryka będzie mogła rzucić olbrzymią masę ludzką na szalę, która zastąpi i przewyższy ubytek masy na wschodzie, jeśli Rosja tak, czy owak odpadnie”.

Byłem zaskoczony niektórymi rzeczami usłyszanymi od Komendanta. Zdawałem sobie sprawę z tego, że słyszę fragmenty istotnego planu Komendanta i jego przewidywań, ale daleki byłem od rozumienia całości. Chciałem pytać się jeszcze, ale Komendant mi przerwał pobłażliwie wprawdzie, lecz bardzo stanowczo: „Dajcie mi już spokój, moje dziecko. Dosyć na dzisiaj”.

Koniec grudnia i początek stycznia 1917 roku przyniósł powołanie i ukonstytuowanie się Tymczasowej Rady Stanu. Piłsudski wszedł do niej jako jeden z 10 przedstawicieli okupacji austriackiej. Termin „okupacja” został przy tej sposobności zniesiony; wprowadzono zamiast tego nazwę „Obszar Administracyjny”; mieszkańcy tego obszaru, dotychczas traktowani prawnie jako poddani rosyjscy otrzymali prawo nazywania się obywatelami Królestwa Polskiego. Piłsudski objął kierownictwo Departamentu Wojskowego Tymczasowej Rady Stanu; zastępcą jego został Kazimierz Sosnkowski. Poza tym cały Departament, jego wydziały i referaty zostały obsadzone przez P.O.W. Nie pamiętam już dzisiaj jakie mieliśmy tam tytuły — naczelników, radców, czy referendarzy. Wszedł w każdym razie do tego departamentu Kasprzycki i Walery Sławek, ja i Zdanowicz-Opiepliń-

ski i cały szereg ludzi bądź z Komendy Naczelnej P.O.W., bądź z warszawskiej Komendy Okręgowej. W kilka dni po mojej nominacji na naczelnika jakiegoś wydziału, gdy zameldowałem się u Sosnkowskiego, przyznając się otwarcie że nie mam najmniejszego pojęcia jak ma wyglądać ten mój wydział i jak w ogóle wygląda tzw. urządowanie, otrzymałem od niego krótką i jasną instrukcję: Komendant zapowiedział, abyśmy się nie wazyli urządzać tu naprawdę jakiegoś departamentu; mamy po prostu robić w dalszym ciągu to co przedtem, tzn. P.O.W. i niczym innym nie zawracać sobie głowy. Mamy korzystać w tym celu z przydzielonego nam obszernego lokalu, korzystać również z naszych legitymacji i służbowego prawa jazdy kolejami na obszarze obu okupacji, nie likwidując jednak dawnych tajnych lokali P.O.W., bo nie wiadomo jak długo nasz obecny status legalności będzie trwał. Archiwa, raporty i Ordre de Bataille P.O.W. pozostawić w poprzednich lokalach tajnych; lokal Departamentu uważać za tymczasowy.

Aktywistyczni członkowie Rady Stanu oczywiście spodziewali się, że Departament Wojskowy zajmie się natychmiast przygotowaniem akcji werbunkowej oraz mobilizacji P.O.W. i wcielenia jej do wojska. Departament Wojskowy N.K.N. i organizacja werbunkowa Sikorskiego zaofiarowała nam swoje usługi i współpracę. Przez pierwszy miesiąc czy sześć tygodni nastąpiło coś w rodzaju zawieszenia broni między Piłsudczykami i P.O.W., a obozem aktywistycznym. Wkrótce jednak zorientowali się oni, że ani nam w głowie likwidować P.O.W., że przeciwnie, korzystając ze swobody i atmosfery legalizmu, rozszerzamy i rozbudowujemy naszą organizację.

Przemówienia Piłsudskiego w Radzie Stanu, wysuwające daleko idące żądania, jako warunki wstępne przed rozpoczęciem tworzenia Wojska Polskiego, przyjęte zostały przez aktywistów ze zdumieniem i oburzeniem. Wkrótce zaczęły się ze strony Studnickiego i jego towarzyszy naciski na przyspieszenie przez Departament Wojskowy pracy nad organizacją werbunku i mobilizacją P.O.W. Posiedzenia Tymczasowej Rady Stanu stały się wkrótce terenem coraz ostrzejszej walki między Piłsudskim, a aktywistami, przy czym znaczna część członków Rady czuła się coraz bardziej nieswojo, nie bardzo rozumiejąc co się dzieje, gdyż spodziewali się oni raczej zacieśnienia stosunków i czegoś w rodzaju współpracy Piłsudskiego z Beselerem, jeśli chodzi o tworzenie wojska.

W obozie C.K.N.-u, a częściowo i w P.O.W., zwłaszcza na prowincji, zarysowała się pewna dezorientacja. Obóz Narodowo-

Demokratyczny atakował z całą bezwzględnością Radę Stanu, odrzucając całkowicie jej autorytet i traktując ją po prostu jako narzędzie władz okupacyjnych. Nasi działacze, ulegając jak zwykle tendencji do przeciwstawiania się wszystkiemu, co szło od strony endecji, przesadnie podnosili znaczenie Rady Stanu, uznając ją za Rząd Narodowy niemal, przeceniając zarówno jej autorytet, jak i możliwości działania. Miałem na ten temat rozmowę z Komendantem, która się stała wstępem do nieco głębszego wglądu w istotę ówczesnej jego polityki, nie bardzo przeze mnie wówczas rozumianej. Stykałem się wtedy z Komendantem dość często; odprowadzałem go wielokrotnie bądź to z lokalu Rady Stanu w Pałacu Kronenberga, bądź to z Departamentu Wojskowego do jego mieszkania na Służewskiej. Komendant nie był jeszcze wówczas znany w Warszawie, tak że postać jego nie ściągała na siebie uwagi publiczności. Jeździliśmy czasami tramwajem, czasami przy dobrej wiosennej pogodzie Komendant wołał iść piechotą przez Mazowiecką, Bracką i Aleje. Przechodziliśmy po drodze koło Komendy P.O.W. na Szpitalnej 1, która łączyła się z moim prywatnym mieszkaniem. Kiedyś, gdy Komendant miał ochotę wstąpić do cukierni na herbatę, pozwoliłem sobie zaproponować mu, żebyśmy wstąpili do mnie, gdzie będę mógł służyć mu herbatą „po wileńsku”, to znaczy z dobrymi, domowymi konfiturami. Herbata istotnie okazała się dobra i od tego czasu wielokrotnie robiliśmy przystanek na pół drogi od Rady Stanu na Służewską i przy herbatce miałem możność dłuższej z Komendantem rozmowy.

Pierwsza rozmowa była jednak raczej nieprzyjemna dla mnie. Było to po jednym z moich częstych wyjazdów na prowincję, gdzie wygłaszałem referaty informacyjne. Zapytany przez Komendanta o nastroje w kraju, opowiedziałem mu przebieg dyskusji po moim referacie, streszczając zarówno to co mówiłem, jak i opozycję z którą się spotkałem ze strony endeckiej. Usłyszawszy, że mówiłem o Radzie Stanu jako o prowizorycznym rządzie polskim i nawoływałem do posłuszeństwa i szacunku w stosunku do niej, Komendant zachnął się na mnie i powiedział:

Niepotrzebnie posuwacie się tak daleko. Rada Stanu nie jest jeszcze żadnym rządem i oczywiście w sytuacji obecnej być nim nie może. Rządu musimy się dopiero domagać. Więc twierdzenie, że już go mamy jest nie tylko niedorzecznością, ale i ciężkim błędem taktycznym. Trzeba zachowywać umiar i nie krzyczeć na ślepo, że coś jest białe, tylko dlatego, że endecy mówią że czarne. I nie powinniście się jako C.K.N., a już szczególnie jako P.O.W. zanadto wiązać z Tymczasową Radą Stanu, bo nie wiadomo czy jutro lub pojutrze nie będziecie musieli iść przeciwko niej.

Wysłuchałem bury w milczeniu. Odprowadziłem Komendanta na Służewską, ale żegnając go zdobyłem się na prośbę, abym mógł mu przedstawić kwestie, których nie rozumiem dostatecznie i poprosić o instrukcje, nie dlatego aby mną kierowała ciekawość, ale dlatego że muszę często przemawiać zarówno publicznie, jak i na wewnętrznych obradach C.K.N.-u, gdzie głos mój jest zwykle uważany za opinię Naczelnej Komendy P.O.W. nie chciałbym więc robić błędów. Przypomniałem też Komendantowi, że już w czasie grudniowego pobytu w Warszawie, obiecał mi rozmowę na tematy polityczne, do której później nie doszło. Komendant przyjął moją prośbę dość chmurnie, upoważnił mnie jednak abym mu przypomniawszy tę sprawę, gdy będzie miał wolną chwilę. Skorzystałem z tego już za dni kilka, przy sposobności następnej herbatki na Szpitalnej 1, gdy zauważyłem że Komendant jest w wyjątkowo dobrym humorze i wiedziałem, że ma przed sobą kilka godzin wolnego czasu.

Postawiłem Komendantowi kilka pytań: Skoro Komendant wstąpił do Tymczasowej Rady Stanu, co oczywiście w opinii publicznej wiąże cały nasz obóz, to dlaczego Komendant rozgniewał się na mnie i powiedział żeby się z Radą Stanu zaniechać; następnie, jeśli Komendant uważa, że grając Wojskiem możemy jedynie coś wygrać, to dlaczego Komendant to wojsko opuścił i nie zamierza do niego wracać; trzecie — Komendant wspomniawszy w ostatniej rozmowie ze mną przed wyjazdem z Warszawy, że przez akt 5-go listopada dał atut do ręki Dmowskiemu. Czy to znaczy, że Komendant ma jakieś porozumienie z Dmowskim?

„Mówicie jak dziecko” — przerwał Komendant. — „Oczywiście, że nie mam z nim żadnego porozumienia ani umowy i nie było to możliwe skoro jego i moja robota oparta jest na różnych przewidywaniach. I kto z nas przewidywał dobrze, a kto źle — fakty dopiero pokażą, i nim to nastąpi żaden z nas na pewno nie przekonałby drugiego, nawet gdybyśmy mieli możliwość porozumiewania się. Ale nie możecie patrzeć na te sprawy z poziomu wiecowej polityki; na wiecach mogą sobie endecy nazywać nas pruskimi pacholkami, a Wy możecie ich nazywać carskimi sługusami i moskalofilami. To nie jest ani mój sposób myślenia, ani moja polityka. Nie trzeba żadnego formalnego porozumienia, aby wiedzieć że przy tym wszystkim jest miejsce na to co ja nazywam licytowaniem polskiej sprawy wzwyż, i skoro ja to widzę, nie mam powodu sądzić, aby nie widział tego Dmowski. Wojna nie wybuchła o Polskę i nie o nią się toczy. Przeciwnie, tak samo po stronie koalicji, jak po stronie państw centralnych była od początku tendencja, żeby się niczym w spra-

wie polskiej nie wiązać. Koalicja zostawia tę sprawę jako wewnętrzną sprawę Rosji, państwa centralne zostawiają ją też do decyzji między sobą. Naszą rzeczą jest robić wszystko, aby sprawa Polski stała się zagadnieniem międzynarodowe. Państwa centralne widziały się zmuszone do wykrzuszenia słów o niepodległym państwie polskim. To wygraliśmy my — z tej strony. Rzeczą Dmowskiego jest żądać od koalicji, aby przelicytowała państwa centralne. Rosja już nie jest tak mocna jak dwa lata temu. Paryż i Londyn mogą naciskać mocniej niż przedtem na Petersburg. Na razie leży na stole gry karta aktu 5-go listopada. Komitet Narodowy musi domagać się od rządów koalicji, aby tę kartę pobiła, a wtedy my znowu będziemy żądać więcej. Chciałbym, żeby Dmowski i jego ludzie byli mądrzejsi od naszych enkaenowców, od naszych Studnickich i Sikorskich, którzy ciągle tylko chwala i dziękują, zamiast żądać więcej. Od początku wojny starałem się, aby mnie zostawiono tylko robienie wojska, zaś panowie politycy mieliby je osłaniać, a w razie potrzeby nim grać. Nic z tego nie wyszło — zagrać musiałem sam. Ale było to z mej strony ogromne ryzyko, na które mogłem pozwalać sobie z Austriakami; tymczasem układ wewnętrzny stosunków się zmienił: Austriacy, w zamian za ratunek od klęski, w zamian za Gorlice, musieli zejść z roli równorzędnego partnera z Niemcami. Dziś Wiedeń ma drugorzędną rolę. Decyduje Berlin, z którym nie można pozwolić sobie na tę samą taktykę, co z Austriakami. System pracy i myślenia niemiecki wyklucza, aby mogli oni tolerować, że dowódca brygady, czy nawet Legionów jako całości, mógł być przez nich uznany jako partner do pertraktacji politycznych, aby mógł stawiać im warunki i prowadzić z nimi pertraktacje. Jeśli więc chcę grać z nimi, muszę grać z pozycji polityka, a nie oficera; nawet jeśli ceną mojej gry jest wojsko. Przy ich systematyczności i zmyśle porządku mogę z nimi mówić jako członek Rady Stanu, mający za sobą poparcie obozu politycznego, oficjalnie, a — na czym im bardziej zależy — kartę Legionów i P.O.W. — nieoficjalnie.

Mówiłem Wam jeszcze niedawno, że miałem wątpliwości czy nie za późno wyszedłem z wojska i spowodowałem wycofanie Legionów z frontu. Czy potrzebne były ofiary ostatnich bojów? Ale w przeciągu ostatnich kilku miesięcy doszedłem do przekonania, że to było jednak potrzebne. Gdybym — a nosiłem się z tą myślą — spowodował kryzys legionowy bezpośrednio po zajęciu Warszawy, prawdopodobnie nie osiągnąłbym tej ceny, którą osiągnąłem w rok później... Ceny aktu 5-go listopada i zaczątków własnej administracji na terenie obu okupacji... Ten rok dał nam dwie rzeczy: po pierwsze, Niemcy obserwując nas bezpo-

średnio w walkach wołyńskich, doszli do przekonania, że jesteśmy dobrym wojskiem, że kilkadziesiąt tysięcy polskiego żołnierza może znaczyć więcej niż kilkaset tysięcy Austriaków. Po drugie, potrzeba poważnej ilości materiału ludzkiego stała się dla nich palącą i gotowi są płacić za to ceną polityczną, o której by nie pomyśleli rok temu. Ani Ludendorff, ani Beseler nie rozmawialiby wówczas z nami tak, jak obecnie.

Rozumiem, że macie trudności w publicznym przedstawianiu sprawy Rady Stanu i że jesteście często w walce na dwa fronty: między endekami i aktywistami. Ale w tej chwili niewiele mogę Wam w tym pomóc. Jesteśmy na bardzo ciężkim odcinku naszej drogi. Moja polityka może wydawać się niejasna i taki stan rzeczy może potrwać przez czas pewien. Może szereg tygodni, a może nawet długie miesiące; i nawet gdy przyjdzie chwila kiedy powiem swoje słowo i postawię sprawę wyraźnie, mogę tu wprowadzić na Was ciężkie czasy, znacznie cięższe jeszcze niż obecne. Komendant przerwał w tym miejscu, zasępił się i długi czas chodził po pokoju bez słowa.

Muszę czekać — powiedział wreszcie. Są dwie rzeczy, na które muszę czekać: rewolucja rosyjska i przystąpienie Ameryki do wojny. A tymczasem trzeba wygrywać co się da. Niech się tymczasem tworzy początek polskiej administracji szkolnictwa, sądownictwa w zaborze rosyjskim. Ten kraj odzwyczaił się od własnych władz; nie wie jak się brać do najprostszych rzeczy; jedynie Galicja ma doświadczenie pod tym względem, ale przecież to nie wystarczy na całą Polskę. To jest dobrze, jeżeli powstaną polskie sądy, polska milicja, czy policja, polskie samorządy w miastach, polskie gminy. Niech się tym Rada Stanu zajmuje; niech się tworzą jakieś kadry urzędnicze, tak samo jak kadry wojskowe. Legionom nie zaszkodzi, jak się przeciwiczą na tyłach, w dobrej niemieckiej szkole. Wy w P.O.W. musicie wyzyskać ten czas legalizmu, żeby mocniej przeciwiczyć ludzi. Ale tak samo jak przestrzegałem Was, żebyście się zanadto nie wiązali z Radą Stanu, muszę Was przestrzec, żebyście nie wyleźli zanadto na wierzch z P.O.W. Musicie mieć ustawione wszystko tak, aby w razie potrzeby w dwadzieścia cztery godziny zniknąć znów pod ziemią. Nie dekonspirować lokali, ani ludzi; mieć przygotowane zapasowe lokale, w tych wypadkach kiedy obecne się zdekonspirowały. Musicie przygotować plan przerzucenia na inne tereny tych waszych oficerów i komendantów, którzy się zdekonspirowali obecnie przez publiczne wystąpienia. Pamiętajcie, że jesteśmy w fazie przejściowej i nie przywiązujcie się do niej zanadto.

Komendant nie powiedział mi już nic więcej tego wieczora,

natomiast ze swej strony zadał mi kilka pytań, zmierzających do oceny wyrwałości psychicznej P.O.W. Przypomni mi sierpień 1915 roku, kiedy po odwrocie Moskali z Warszawy i Kongresówki decyzja Komendanta wstrzymania dalszego werbunku do Legionów stworzyła ciężki kryzys w P.O.W., gdyż wszyscy chcieli iść na front, pchani swego rodzaju psychozą wytworzoną przez rok konspiracji — tęsknotą do munduru, do otwartej walki. Wypytywał mnie Komendant, czy nie zachodzi to samo zjawisko po raz drugi, spotęgowane jeszcze bardziej tym, że od tego czasu mundur legionowy okrył się chwałą, idea niepodległości rozszerzyła się i spopularyzowała, zaś ostatnie pociągnięcia okupantów stępiły ostrze propagandy endeckiej.

Odpowiedziałem Komendantowi, że na pewno trzeba się liczyć jako z rzeczą naturalną z tęsknotą tej młodzieży, którą rozbudziliśmy wojskowo, do przywdziania mundurów. Że jednak według mojej oceny możemy przez dłuższy czas przetrzymać młodzież w P.O.W. i że sytuacja jest lepsza niż w roku 1915, po pierwsze dlatego, że od tego czasu wzrósł ogromnie autorytet Komendanta i w P.O.W. panuje niemal takie same ślepe zaufanie do niego, jak i w I-szej Brygadzie; po drugie, że działalność Aktywistów i działającego pod ich patronatem aparatu werbunkowego jest raczej niepopularną wobec ich zbyt wielkiego wiązania się z państwami centralnymi i wobec szeregu błędów, które robią, jak np. ujawnione już tajne instrukcje, polecające oficerom werbunkowym zbieranie wiadomości i składanie meldunków o politycznej działalności wybitniejszych osobistości działających na terenie ich pracy, co ma nieprzyjemny posmak donosicielstwa. Przez pewien czas pomoże też możliwość prowadzenia na szerszą skalę ćwiczeń wojskowych, którą osiągnęliśmy od czasu rozciągnięcia nad nami protekcji Rady Stanu.

Komendant słuchał tego wszystkiego bardzo uważnie, zapytał się mnie o dane cyfrowe rozwoju P.O.W. i powiedział, że przy tak szerokim zasięgu trzeba już wprowadzić coś w rodzaju dwustopniowej organizacji, utrzymującej pion polityczno-ideologiczny na wzór tego, jak Związek Walki Czynnej, w związkach strzeleckich w ostatnich latach przed wojną i takąż sama tajna organizacja polityczna w drużynach strzeleckich. Tym jednak zajmie się Sławek — powiedział mi Komendant. — Macie mu w tym pomagać, jeśli chodzi o dobór ludzi w tych ośrodkach prowincjonalnych, które znacie. Wasze inspekcje i objazdy z Komendy Naczelnej nie mogą wystarczyć, skoro strona przeciwna, to jest Aktywiści, mają swoją sieć organizacyjną stale działającą na miejscu. Musicie we wszystkich większych miastach mieć — niezależnie od partii należących do C.K.N.-u grupy ludzi, z którymi

będziecie utrzymywali stały kontakt, którym będziecie dawali poufne instrukcje i informacje, których możecie być pewni, że w razie wątpliwości poddadzą się mojej decyzji i którzy będą czuwać politycznie nad P.O.W.

Oczywiście, zastosowaliśmy w naszej robocie wszystkie te wskazania Komendanta. Zastosowaliśmy daleko idące ostrożności w ujawnianiu się P.O.W. Dla pokrycia jej działalności zalegalizowaliśmy towarzystwo sportowe „Piechur”, pod firmą którego otworzyliśmy obszerne lokale, najczęściej w pustych budynkach fabrycznych, których pełno było w większych miastach. Pozwoliło to nam również na organizowanie w szerszej skali ćwiczeń polowych pod firmą tegoż „Piechura”. Najtrudniej było uniknąć zdekonspirowania ludzi i z tym mieliśmy już w kilka miesięcy później znaczny kłopot, gdy po odmowie przysięgi i aresztowaniu Komendanta i Sosnkowskiego, trzeba było znowu zejść pod ziemię. Wówczas też przekonaliśmy się, jak doniosła była instrukcja Piłsudskiego, aby w wystąpieniach publicznych nie wiązać się zanadto z Radą Stanu i jej polityką, co niektórzy z naszych działaczy — nie wyłączając oficerów P.O.W. — zrobili, narażając się na utratę zaufania w szeregach w momencie, gdy Komendant zadeklarował jawny zwrot i front przeciwko mocarstwom centralnym, przypieczętowany jego uwięzieniem.

Sławek zorganizował wewnątrz P.O.W. ściślejszy stopień organizacyjny, nazwany Związkiem Wojskowym (Z.W.). Weszli do tego związku nie tylko wszyscy wypróbowani Peowiaci i oficerowie legionowi, ale również cały szereg starszych działaczy politycznych spośród wszystkich stronnictw tworzących obóz niepodległościowy, a dobieranych z punktu widzenia ich gotowości do słuchania dyspozycji Piłsudskiego, nawet w wypadkach gdy mogły być one sporne, lub niechętnie przyjęte przez stronnictwa polityczne. Ten aparat przetrwał przez szereg lat i oddawał naszej pracy ogromne usługi, szczególnie w ośrodkach prowincjonalnych, zarówno w czasach magdeburskich, jak i w niepodległej już Polsce aż do roku 1926. Po roku 1915 Z.W. nie miał już charakteru ścisłej organizacji, niemniej przeto zachował swoje znaczenie i wpływ w okresie kryzysów i napięć politycznych. Nazywaliśmy w skrócie członków tej organizacji „matadorami”, zaś Walerego Sławka — „naczelnym matadorem”.

Piłsudski tymczasem znalazł się w trudnej sytuacji w Tymczasowej Radzie Stanu. Beseler domagał się od Aktywistów zdecydowanych i śpiesznych kroków w kierunku tworzenia wojska. Aktywiści ze swej strony domagali się tego od Piłsudskiego jako Szefa Departamentu Wojskowego oficjalnie, zaś dysponenta P.O.W. nieoficjalnie. Piłsudski odpowiadał na to długimi i ostrzy-

mi przemówieniami na posiedzeniach Rady Stanu, stawiał coraz dalej idące warunki, dotyczące samodzielności wojska polskiego, wyłącznie polskiego personelu dowodzącego z pozostawieniem oficerom niemieckim, czy austriackim roli wyłącznie instruktorskiej i coraz wyraźniej stwierdzając, że Tymczasowa Rada Stanu nie ma dostatecznego autorytetu w kraju dla zażądania od Narodu daniny krwi i że rekrutacja do wojska może być atrybutem Rządu Polskiego, który musiałby przedtem powstać. Jednocześnie zaś nie mogło się ukryć przed ciekawymi oczami polityków aktywistycznych oraz komisarzy rządów okupacyjnych, że Departament Wojskowy Piłsudskiego nie zachowuje nawet pozorów, że robi cokolwiek w kierunku przygotowania werbunku czy rekrutacji.

Piłsudski oczywiście w myśl swoich zasad licytował wzwyż, jednocześnie grając na zwłokę.

W tym czasie, było to o ile sobie przypominam w marcu 1917 roku, zaskoczył nas nagle rozkaz Komendanta, aby przygotować ćwiczenia w terenie organizacji Okręgu Warszawskiego P.O.W., w sile co najmniej pełnego batalionu i połączyć je z egzaminami praktycznymi na stopnie podoficerskie i oficerskie, z tym że mamy zawiadomić o tych ćwiczeniach wojskowe władze niemieckie, które prawdopodobnie przysła swoich obserwatorów. Odbyliśmy te ćwiczenia w lasach za rogatką Grochowską. Przybył na nie Komendant w swym pierwszobrygadyjnym mundurze, bez odznak i w maciejówce. Przybyli również punktualnie na miejsce zbiórki dwaj czy trzej oficerowie niemieccy, w tym jeden major i jeden kapitan. Zauważyłem w czasie ćwiczeń, które zresztą doskonale wypadły, że major ów doskonale rozumiał po polsku, a nawet mówił śląską polszczyzną. Przysłuchiwał się egzaminom; w pewnym wypadku zauważył trafnie błąd kandydata, którego nie zauważył egzaminujący i dyskretnie zwrócił mu na to uwagę. Poza tym wyraził pochlebną opinię o przebiegu ćwiczeń, podkreślając że trudno mu wprost pojąć tak wysoki poziom już na pierwszych ćwiczeniach polowych. Zapytałem go dlaczego sądzi, że są to pierwsze ćwiczenia. Odpowiedział mi na to z dość filuternym uśmiechem, że przecież do tychczas nie otrzymali oni żadnego zawiadomienia o ćwiczeniach, co przez przepisy stanu wojennego jest bezwzględnie wymagane. To znowu ja zostawiłem bez odpowiedzi.

Oficerowie niemieccy przedstawili się należycie Komendantowi po przybyciu na miejsce. W czasie ćwiczeń major zbliżył się kilkakrotnie do Komendanta i jego świty, wyraźnie szukając rozmowy. Komendant jednak dość ostentacyjnie odchodził wówczas na inne miejsce lub patrzył w inną stronę, w sposób do

rozmowy bynajmniej nie zachęcający. Gdy zaś w czasie przerwy obiadowej, peowiaczki rozłożyły posiłek dla Komendanta i peowiaczkiego sztabu, pod pięknym starym dębem, i gdy zapytał ktoś Komendanta czy zaprosić stojących w pobliżu oficerów niemieckich, odpowiedź brzmiała krótko i kategorycznie: Nie.

W parę dni później, zapytałem Komendanta o znaczenie tego pociągnięcia. Komendanta powiedział mi, że miał poufne, ale zupełnie pewne wiadomości, o rozmowach między panami z aparatu werbunkowego, a sztabem Beselera na temat werbunku do wojska. W rozmowach tych Niemcy zapytali dlaczego akcja werbunkowa nie daje niemal żadnego rezultatu — zaledwie kilkuset ludzi marnej wartości zgłosiło się w przeciągu roku na całej przestrzeni obu okupacji — podczas gdy P.O.W. według ich informacji rozrasta się bardzo poważnie. Na to ze strony polskiej padła odpowiedź, że rzekomy rozrost P.O.W. nie odpowiada prawdzie, że jest to bluff Piłsudskiego, zaś w rzeczywistości wpływy pro-rosyjskiego obozu politycznego w Polsce są wciąż jeszcze tak silne, że młodzież nie chce iść do wojska pod znakiem współdziałania z państwami centralnymi. „Chciałem wobec tego pokazać im, że ja wcale nie bluffuję i że wojsko moglibyśmy dać, gdybyśmy chcieli. To mi jest potrzebne do mojej licytacji wzwyż; jeśli chcą wojska, to niech dadzą politycznie coś więcej niż Tymczasowa Rada Stanu”. „A co będzie, jeśli dadzą” — zapytałem. — „Nigdy nie dadzą tyle, abyśmy nie mogli żądać więcej” — odpowiedział Komendant. „A zresztą nie zagłądajcie mi w karty” — dodał żartobliwie.

Gra Komendanta na zwłokę, jego pozorna niekonsekwencja z punktu widzenia polityków obozu niepodległościowego, którzy wciąż na rzeczy uważali, że kluczem do polityki polskiej jest przewidywanie kto zwycięży w wojnie: koalicja, czy państwa centralne — wywołało zamęt i rozterkę wśród czołowych polityków obozu niepodległościowego. Zostałem któregoś dnia zaproszony przez Artura Śliwińskiego, przewodniczącego C.K.N. i członka Rady Stanu, na zebranie w najściślejszym gronie w jego mieszkaniu. Uprzedził mnie on, że nie będzie to żadne zebranie formalne, że będziemy rozmawiać przy herbatce i że inicjatorzy rozmowy prosili go o zobowiązanie wszystkich uczestników do absolutnej dyskrecji. Nie przypuszczając, aby to mogło być coś szczególnie ważnego, zgodziłem się na ten warunek.

Zabrało się nas siedmiu czy też ośmiu o wyznaczonym dniu i godzinie. Rozmowa miała rzeczywiście charakter swobodnej pogawędki o sprawach bieżących, nikt nie przewodniczył i nie udzielał głosu. Nie będę wymieniał wszystkich obecnych, bo nie

jestem pewny, czy ściśle pamiętam. W pewnej chwili, Stanisław Thugutt zaczął mówić o tym co się dzieje w Radzie Stanu; powiedział, że czuje się do tego stopnia zaniepokojony, że chciał się podzielić swymi obawami z kilkoma przynajmniej najbardziej wyrobionymi politycznie spośród przyjaciół. Ponawiając prośbę o zupełną poufność tego co nam powie — postawił istotnie rewelacyjną tezę, że Józef Piłsudski, przed którego dotychczasowymi olbrzymimi zasługami zawsze chylił on głowę, nie dociąga na terenie politycznym do tego poziomu, do którego się wzniósł jako dowódca i organizator wojska. Że jego przemówienia na posiedzeniach Tymczasowej Rady Stanu są przewlekłe, mętne, pełne swarliwych uszczypliwości pod adresem państw centralnych, że nie podobna po prostu zrozumieć do czego to wszystko prowadzi i że jego zdaniem musimy sobie powiedzieć tragiczną prawdę: iż Piłsudski, jeśli nawet był wielkim przywódcą w przeszłości, to dziś się skończył i że powinniśmy sobie zdać z tego sprawę zawczasu i wobec odpowiedzialności historycznej, jaka ciąży na kierownictwie obozu niepodległościowego, rozejrzeć się za innym przywódcą. W momencie, gdy Thugutt skończył swoje wywody, wniesiono do pokoju nową porcję herbaty i ciastek, co przerwało rozmowę; nastrój zapanował wręcz ponury. Korzystając z przerwy, wziąłem na bok Artura Śliwińskiego i powiedziałem mu, że jestem zaskoczony tematem rozmowy, że oczywiście skoro dałem przyrzeczenie, to zachowam ją absolutnie w poufności, nie mogę jednak jako oficer P.O.W. i I-szej Brygady brać udziału w tego rodzaju debatach i dlatego miłe zebranie opuszczam.

Nie wiem jak postąpili inni, ale istotnie poufności dotrymałem i nigdy nikomu, nawet Komendantowi, nie meldowałem o tej sprawie. Nieco później dowiedziałem się tylko od Artura Śliwińskiego, że do żadnej dalszej dyskusji nie doszło, ponieważ prawie wszyscy zebrani poszli za moim przykładem i tłumacząc się brakiem czasu, rozeszli się. Sam Śliwiński powiedział mi, że nie spodziewał się absolutnie takiego postawienia sprawy, jakiego usłyszeli od Thugutta. Proponując tę konferencję, Thugutt powiedział mu tylko, że jest bardzo niespokojny, bo nie rozumie taktyki Piłsudskiego, że jak dalej pójdzie, to Piłsudski na terenie Rady Stanu straci wszelki autorytet i że trzeba jego zdaniem naradzić się w najściślejszym gronie w jaki sposób można by wpłynąć na Piłsudskiego i otworzyć mu oczy na to, że jego taktyka jest błędna i powinna być zmieniona. „Drastyczna konkluzja Thugutta” — powiedział mi Śliwiński — „była dla mnie taką samą niespodzianką jak i dla wszystkich innych”.

Notuję dziś to wspomnienie, bo jest ono charakterystyczne dla stosunku wielu wybitnych polityków jego własnego obozu

do Józefa Piłsudskiego. Właśnie w tych momentach, w których Piłsudski wykazywał zdolność daleko idącego przewidywania, lub trafnie oceniał moment dla daleko idących decyzji, politycy ci bądź nie rozumieli go, bądź — co więcej — byli przekonani, że postępowanie jego jest błędne i jeśli nawet szli za nim, to czynili to opieszale, niechętnie, bez wiary. Daleko cenniejsza dla możliwości działania była dla Piłsudskiego pełna prostoty i zaufania gotowość dolnych szeregów jego obozu do dania mu swego poparcia, bez usiłowania nawet rozumienia jego polityki i bez żądania od niego motywów i wyjaśnień. Z tym bezwarunkowym poparciem od dołu politycy musieli się liczyć i gdyby go nie było być może, że wielokrotnie opuszczaliby go w najkrytyczniejszych momentach. Thugutt był jednym z najinteligentniejszych i najbardziej wartościowych ludzi wśród polityków obozu niepodległościowego, a jednak mógł popełnić tak fantastyczny błąd, jak uznanie Piłsudskiego za człowieka „który się skończył”, w marcu czy kwietniu 1917 roku; a musiałby on przecież być głęboko przekonany o słuszności tej swojej diagnozy, skoro posunął się aż do otwartego jej wypowiedzenia. Inny, najwybitniejszy może z polityków tego obozu, Ignacy Daszyński, robił ten sam błąd — i to wielokrotnie — krzyżując, czasem skutecznie akcję Piłsudskiego. Ludzie ci nie potrafili dojrzeć tego co „doły” instynktownie wyczuwały, że Piłsudski góruje nad nimi wszystkimi, że jest w pełnym tego słowa znaczeniu mężem stanu, podczas gdy oni są tylko mniej lub więcej zręcznymi politykami.

W tym właśnie okresie czasu przyszły nareszcie wypadki, których Piłsudski oczekiwał od dawna i niecierpliwie. Marzec przyniósł pierwszy akt rewolucji rosyjskiej i zerwanie stosunków dyplomatycznych z Niemcami przez Stany Zjednoczone. W kwietniu Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę państwom centralnym.

Zauważyłem w tym czasie charakterystyczną zmianę w usposobieniu i wyglądzie Komendanta. Przez szereg miesięcy wyglądał on źle i chorowicie; miało się wrażenie, że starzał się w oczach; był znużony, niecierpliwy, posępny. To wszystko ustąpiło obecnie. Komendant stał się ożywiony, odmłodniał; twarz mu się wygładziła, wzrok się ożywił. Widzieliśmy wszyscy, że planuje jakieś pociągnięcia większej miary, że z polityki zwlekania przechodzi do aktywności. Jednocześnie ożywił się i spotęgował atak obozu aktywistycznego na niego. Żądano ultimatywnie jego zgody na otwarcie szerokiego werbunku, na mobilizację P.O.W. Nie czekając na inicjatywę Departamentu Wojskowego, Tymczasowa Rada Stanu zaczęła ponad jego głowę przygotowywać i uzgadniać z okupantami statut Polskich Sił Zbrojnych i formułę przy-

siegi, którą żołnierz polski miał składać. W odpowiedzi na to P.O.W. i C.K.N. rzuciły hasło, że tylko Rząd Polski ma prawo wojsko powoływać. „Nie ma Wojska Polskiego bez Rządu Polskiego” głosiły plakaty i napisy na murach we wszystkich miastach i miasteczkach polskich, rozpisane przez P.O.W. To samo hasło rozległo się na wszystkich wiecach i zebraniach publicznych. Obóz aktywistyczny lekceważył fakt przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny, natomiast przeceniał niebywale wpływ rewolucji w Rosji na dalszy jej przebieg. Studnicki i jego zwolennicy uważali zwycięstwo państw centralnych za zapewnione, uważali za rzecz oczywistą, że w tej sytuacji Polska musi odegrać rolę ich aktywnego sprzymierzeńca i w ten sposób uzyskać tytuł do ich dobrej woli i do wytargowania najdalej idących koncesji. O Piłsudskim mówili jako o rozbijaczu własnego swego dzieła legionowego, o polityku nieodpowiedzialnym, który nie widzi najprostszych rzeczy. Gdy meldowałem o tym Komendantowi w jednej z rozmów, śmiał się on i mówił o nich jako o ludziach ślepych, czy daltonistach, którzy widzą zielone światło tam właśnie, gdzie jest czerwone. „Oni są bardziej pewni Niemców, niż Niemcy sami siebie. Dla mnie gorączkowy pośpiech Niemców do uzyskania 50 czy 60 tysięcy polskiego wojska świadczy niewątpliwie o tym, jak bardzo Niemcy czują się słabi”.

Działalność Komendanta wówczas szła w dwóch kierunkach. My w P.O.W. otrzymaliśmy rozkazy reorganizacji, wyraźnie świadczące o tym, że zbliża się koniec naszego legalizmu, że możemy się spodziewać okresu represji. Organizacja miała być wzmocniona i zdecentralizowana. Mieliśmy powołać do życia odrębne naczelne komendy dla okupacji niemieckiej i austriackiej. Kierownictwo centralne miało przenieść swą siedzibę na okupację austriacką jako bezpieczniejszą. Dostaliśmy rozkaz zaprojektowania rozciągnięcia organizacji na zabór austriacki, dotychczas pracą naszą nie objęty, wobec tego że młodzież z tamtego zaboru poszła do Legionów, bądź też została wzięta do armii austriackiej. Polecił nam też Komendant, aby wziąć pod uwagę uzyskanie kontaktu z organizacją naszą po drugiej stronie frontu na wschodzie.

Z drugiej strony zaczął się ruch między kwaterą Komendanta i Sosnkowskiego w Warszawie, a pułkami legionowymi, pozostającymi na przeszkoleniu. Nie było dnia, aby nie meldowali się u Komendanta lub Sosnkowskiego oficerowie i żołnierze z pułków dawnej I-ej lub III-ej Brygady, a od czasu do czasu i z II-ej. Decyzja przeforsowania w Tymczasowej Radzie Stanu statutu organizacyjnego Polskich Sił Zbrojnych i formuły przysięgi, zawierającej ślubowanie braterstwa broni z armią niemiecką i austro-węgierską — wisiała w powietrzu. Jednocześnie zaczęły

napływać z Rosji głuche wiadomości o tworzeniu się tam odrębnego wojska polskiego na wielką — w setkach tysięcy — skalę.

Komendant zapytał mnie kiedyś w czasie dni owych, czy stykam się z naszymi oficerami, którzy na jego zlecenie zawarte w liście do Śmigłego Rydza po akcie 5 listopada, cofnęli swoje podania o dymisię, lub przeniesienie do armii austriackiej i wrócili do szeregów legionowych. „Jaki nastrój wyczuwacie wśród nich”, pytał Komendant. Nie byłem na to pytanie przygotowany i odpowiedziałem ogólnikowo, że nie widzę żadnej zmiany w zwykłej gotowości do posłuszeństwa rozkazom Komendanta; że jak sądzę tylko jakieś nieliczne jednostki mogłyby z tego wylać. „Myślę, że nie doceniacie doniosłości tego, czego mogę od ludzi zażądać”, odpowiedział Komendant. „Szczególnie jeśli chodzi o oficerów. Oficer w czasie wojny jest to jednostka uprzywilejowana. To swego rodzaju arystokracja. Jest honorowany, cieszy się rozmaitymi przywilejami. Natomiast najniższą kastą ludności w czasie wojny są ludzie internowani; nawet jeńcy wojenni nieprzyjacielscy są wysoce uprzywilejowani w porównaniu z nimi. Jeśli więc zażądam od moich oficerów, żeby się zrzekli swojej przynależności do najwyższej kasty i zostali zdegradowani do losu niewolników za drutami kolczastymi, którym pierwszy lepszy landszturmista niemiecki czy austriacki będzie wydawał rozkazy i groził, jeśli ich zepchnę do roli pariasów wojny — to zażądam od nich rzeczy najcięższej, bo upokorzenia. Trzeba największej siły charakteru i wytrzymałości nerwowej, żeby to przetrwać”. Przyznałem się, że nie przemyślałem sprawy z tego punktu widzenia. „Wy wszyscy” — powiedział Komendant z goryczą — „zostawiacie mnie przemyślanie rzeczy do dna. I nie tylko nie umiecie myśleć, ale nawet wyobraźni nie macie. I czy do prawdy nie zdajecie sobie sprawy z tego, że nie jesteście dla mnie papierowymi kartami, które rzucam na stół, gdy wam każe ginąć, albo iść na ciężką udrękę? Idźcie już sobie” — odprawił mnie opryskliwie.

Był to jeden z tych momentów, kiedy zdałem sobie sprawę z tego przeżywać musi człowiek, któremu tysiące zawierzyły swój los i jak wielką jest męka decyzji, o której w latach późniejszych, już w Polsce niepodległej, tak często mówił Komendant.

W niedługim czasie Piłsudski stanął wobec konieczności decyzji i otworzenia kart. Obóz aktywistyczny, traktujący fakt rewolucji rosyjskiej jako zapowiedź bliskiego zwycięstwa państw centralnych, uznał, że nadszedł czas wykazania jak największej gorliwości we współdziałaniu z przyszłymi zwycięzcami. W Tymczasowej Radzie Stanu Studnicki wystąpił z wnioskiem natychmias-

owego tworzenia armii polskiej według Beselerowskiego wzoru, uzyskał wbrew Piłsudskiemu większość w przegłosowaniu swego projektu, włącznie z formułą przysięgi żołnierskiej, zawierającą ślubowanie braterstwa broni wobec armii niemieckiej i austro-węgierskiej, przeciwko czemu Piłsudski założył protest i zgłosił rezygnację z Tymczasowej Rady Stanu. Wyznaczony został termin otwarcia werbunku oraz termin, w którym wszystkie oddziały Legionów mają tę przysięgę złożyć. Piłsudski wydał rozkaz, a raczej instrukcję, odmowy przysięgi.

Po dymisji Komendanta cały personel Komisji Wojskowej Tymczasowej Rady Stanu opuścił lokal; przenieśliśmy się wszyscy ponownie do zakonspirowanych kwater P.O.W. W kilka dni później zapadło postanowienie formalnego wypowiedzenia przez nas posłuszeństwa Tymczasowej Radzie Stanu, które zadeklarowaliśmy po jej powołaniu do życia i po objęciu przez Piłsudskiego Komisji Wojskowej. Dokonanie tego aktu przypadło w udziale mnie. Udałem się do pałacu Kronenberga i zażądałem rozmowy z marszałkiem Niemojowskim, jako przedstawiciel Komendy Naczelnej P.O.W. Zauważyłem widoczne poruszenie, poproszono mnie abym zaczekał, a tymczasem zaczął się gorączkowy ruch i narady, na które byli wzywani poszczególni członkowie Rady Stanu do gabinetu marszałka. Po dziesięciu minutach czekania zacząłem manifestować zniecierpliwienie i oświadczyłem szefowi kancelarii, że nie mam zamiaru dłużej czekać i jeżeli pan marszałek nie jest ciekaw tego co Naczelna Komenda P.O.W. ma mu do zakomunikowania, to w przeciągu pięciu minut odchodzę. W trzy minuty po tym ultimatum zostałem zaproszony do gabinetu wicemarszałka Mikułowskiego-Pomorskiego, który przywitał mnie bardzo kurtuazyjnie i oświadczył, że marszałek przewodniczy na konferencji, której przerwać nie może, jego więc delegował dla przyjęcia mego oświadczenia. Powiedziałem mu więc, że dla uniknięcia wszelkich nieporozumień Komenda Naczelna P.O.W. oświadcza, iż od tej chwili nie uważa się za związaną żadnym stosunkiem zależności od Tymczasowej Rady Stanu i żadnych jej uchwał ani rozporządzeń wykonywać nie będzie.

Mikułowski-Pomorski zapytał mnie, czy zechciałbym mu podać motywy tego kroku. Tu przeszedłem na ton raczej żartobliwy; powiedziałem mu, że przecież związek P.O.W. z Tymczasową Radą Stanu było to *matrimonium ratum sed non consumatum*, co jest przecież wystarczającym powodem do rozwodu; że przecież *de facto* zawsze słuchaliśmy i na przyszłość słuchać będziemy tylko rozkazów Józefa Piłsudskiego i jedynie jego autorytet, jako Szefa Komisji Wojskowej T.R.S., nas z nią wią-

zał. Opuszczenie przezeń Tymczasowej Rady Stanu stosunek ten zakończyło nieodwołalnie.

Mikułowski-Pomorski powiedział, że nie pozostaje mu nic innego jak przyjąć do wiadomości z ubolewaniem to stanowisko P.O.W. Pożegnaliśmy się uprzejmie i opuściłem pałac Kronenberga. W poczekalni zauważyłem dość liczne towarzystwo złożone z członków i wyższych urzędników Tymczasowej Rady Stanu, oczekujących najwidoczniej niecierpliwie, aby się dowiedzieć o wyniku mojej z Mikułowskim-Pomorskim konferencji. Miarą napięcia stosunków było to, że wychodząc rozglądałem się bacznie i kluczyłem jakiś czas po przyległych ulicach, aby stwierdzić czy nie mam za sobą obserwatorów, i czy mogę udać się wprost do lokalu Naczelnej Komendy P.O.W.

W pułkach i formacjach legionowych tymczasem wrzało jak w ulu. Wszystkie oddziały dawnej I-szej Brygady wykazały jednolitą gotowość do odmowy przysięgi. Autorytet Komendanta i bezwzględne zaufanie do niego trwało nienaruszone. Co więcej, można było zauważyć wyraźne podniesienie ducha i jak gdyby radość, że kości zostały rzucone. Ten sam nastrój górował w pułku 4-tym i 6-tym dawnej III-ciej Brygady oraz w artylerii; chwiała się II-ga Brygada, jasne jednak było, że pójdzie ona za decyzją swego dowódcy, pułkownika Józefa Hallera, do którego oficerowie i żołnierze mieli sentyment i przywiązanie, że jednak radzi będą, jeśli pójdzie on za Piłsudskim. Tylko wśród oficerów tyłowych z cesarsko-królewskiej Naczelnej Komendy Legionów, Departamentu Wojskowego, pułkownika Sikorskiego i jego organizacji werbunkowej panowała gotowość złożenia przysięgi.

Gdy przyszedł dzień na nią wyznaczony odegrały się sceny o ogromnym napięciu, niezapomniane dla wszystkich tych, którzy brali w nich udział. W większości wypadków reakcja żołnierza była jednolita; po odczytaniu przez dowódcę odezwę Tymczasowej Rady Stanu, rozkazu dziennego dotyczącego złożenia przysięgi i roty przysięgi — na komendę kto jest gotów do złożenia przysięgi dwa kroki naprzód wystąpi — kompanie stały jak mur; na rzuconą po chwili komendę następną: kto przysięgi odmawia dwa kroki wstecz, kompanie cofały się dwa kroki wstecz, jak jeden mąż, w posępnej ciszy. A wtedy oficerowie dowodzący plutonami, kompaniami i szwadronami podchodzili do dowódcy i rzucaли mu szablę pod nogi. Nastrój był wspaniały i podniosły. Oddziały, które odmówiły przysięgi zostały internowane w koszarach, broń została im odebrana i umieszczona pod strażą niemiecką w magazynach. W niedługim czasie odesłano ich do obozów koncentracyjnych: oficerów do Beniaminowa, w rejonie

fortecy Modlińskiej, szeregowych do Szczypiorna w Kaliskim, na pograniczu zaboru niemieckiego.

Trudno jest dociec, jak to było naprawdę, jeśli chodzi o pułki II-ej Brygady, tj. 2-gi i 3-ci pułk piechoty oraz 2-gi pułk ułanów. Według panującej wówczas wersji, pułkownik Józef Haller po długich konferencjach ze swoimi oficerami, którzy starali się skłonić go do solidarności z Piłsudskim, do osiągnięcia w ten sposób jednolitej zmiany frontu Legionów jako całości w oparciu o postawę ogromnej większości Narodu — gotów był złożyć deklarację odmawiającą przysięgi i udawał się już do Komendy Legionów w tym celu. Wersja ta ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa, gdyż dwa nurty polityczne reprezentowane dość silnie w II-ej Brygadzie musiały zmierzać równolegle, w tym samym kierunku. Z jednej strony był to głos oficerów będących pod urokiem dotychczasowej działalności Piłsudskiego — z drugiej strony zaś, głos wszystkich tych, których zdrowy instynkt pociągnął do wojska, mimo że politycznie ulegali wpływom obozu narodowo-demokratycznego; w tym zaś wypadku gotowi byli z Piłsudskim się solidaryzować. Według tej samej wersji w ostatniej chwili, już po drodze do Komendy Legionów, przyłączył się do pułkownika Hallera ktoś z obozu przeciwnego, wymieniano najczęściej dwa nazwiska: Sikorskiego, lub Zagórskiego — i zdołał mu wyperswadować, że przysięgę złożyć należy. Faktem jest, że to ostatnie uczynił.

W czasie, gdy się to wszystko działo, nie byłem w Warszawie. W związku z reorganizacją P.O.W. zostałem wyznaczony na Komendanta Naczelnego na okupację austriacką z siedzibą w Lublinie. Przed wyjazdem przyjęty zostałem przez Komendanta, od którego otrzymałem niezwykle znamiennej instrukcję. Po pierwsze, że mam nawiązać kontakt z polskimi oficerami armii austriackiej, których było sporo w Generalnym Gubernatorstwie Lubelskim. Jeśli uda mi się między nimi znaleźć ludzi pewnych i zaufanych, zbadać wraz z nimi i o ile możliwości przygotować plany przedostania się na drugą stronę frontu wschodniego, o ile możliwości dowiedzieć się, czy i na jakim odcinku frontu znajdują się formacje polskie po stronie rosyjskiej, i na tym odcinku szukać możliwości przejścia. Wszystko to miałem robić z możliwie największą ostrożnością i w najskrupulatniejszej tajemnicy. Po drugie, miałem znaleźć na terenie okupacji austriackiej miejsce, w którym Komendant mógłby na pewien czas, bez pozostawienia żadnego śladu swego przybycia, zniknąć i ewentualnie później wypłynąć na dalszy etap podróży. Zapytałem jeszcze Komendanta, czy mam się już od razu zająć przygotowaniem dla niego odpowiednich dokumentów osobistych cywilnych i wojskowych. Od-

powiedział, że tym się zajmuje już Sławek, ale jeśli mamy odpowiednie możliwości techniczne w Lublinie, to nie zaszkodzi jeśli będę miał taką potrzebę na uwadze.

Niezwłocznie po przyjeździe do Lublina zająłem się tą sprawą. Dowiedziałem się, że szczęśliwym trafem został właśnie niedawno przydzielony do Generalnego Gubernatorstwa rotmistrz Stanisław Loevenstein, członek Związku Walki Czynnej i P.P.S. w czasach przedwojennych we Lwowie, któremu władze austriackie odmówiły pozwolenia na przejście do Legionów. Był to mój stary przyjaciel osobisty i kolega uniwersytecki, któremu z całą pewnością mogłem zaufać. Odnalazłem go. Powiedziałem mu, że stoimy przed koniecznością jak najszybszego nawiązania kontaktu z formacjami polskimi po tamtej stronie frontu, przez wysłanie jednego lub kilku emisariuszy. Z całą gotowością przyrzekł zrobić wszystko co można, zobowiązując się oczywiście do jak największej dyskrecji. Wziął się do tego istotnie z największą energią. W przeciągu kilkunastu dni miałem już dzięki niemu dwie możliwości z grubsza nawiązane i szukaliśmy jeszcze innych. Robił on też przez swych przyjaciół Polaków oraz Węgrów starania, aby zarówno przez wyższe sztaby jak przez oficerów znajdujących się na froncie wschodnim ustalić, czy i na jakim odcinku tego frontu znajdują się polskie formacje wschodnie.

Znalazłem również stosunkowo szybko bardzo poręczną ewentualną kryjówkę dla Komendanta, okazało się bowiem, że rodzice jednej z naszych dzielnych powiasek dzierżawili z dawien dawna folwark, będący własnością miasta Lublina. Był to zaciszny dworek w dużym ogrodzie, do którego wjeżdżało się z jednej z bocznych uliczek na skraju miasta, jak do każdej miejskiej posesji, dalej jednak rozciągały się już pola i łąki folwarku. Można było stamtąd wyjechać polnymi drogami nie pokazując się w mieście i tak samo można było dojechać do dworku przez miasto nie przejeżdżając. Starsi państwo Bukowscy doskonale wiedzieli o przynależności ich córki i jej przyjaciółek do P.O.W. i należeli od dawna do tak nielicznego wówczas grona wielbicieli Piłsudskiego i jego polityki. Dla zachowania pozorów wobec służby zacząłem bywać często w ich domu, odgrywając rolę zakochanego w pannie Jadwidze. Po pewnym czasie zaczęliśmy już uchodzić za parę narzeczonych i zapowiedziane zostało w domu, że wkrótce przybędzie pewnie mój wuj i opiekun, aby zapoznać się z rodziną mej narzeczonej. Gdy więc po miesiącu pobytu w Lublinie przybyłem do Warszawy na odprawę, mogłem zameldować Komendantowi pewne postępy i możliwości w zakresie przedostania się przez front i zupełnie przygotowaną sprawę ewentualnego jego zniknięcia z oczu.

Było to już po wystąpieniu Komendanta z Tymczasowej Rady Stanu i po odmowie przysięgi na jego rozkaz przez ogromną większość żołnierzy legionowych. Naprężenie było niezwykle, obóz aktywistyczny atakował demagogicznie Piłsudskiego i Piłsudczyków, P.O.W. spływała z powrotem pod ziemię; lada chwila spodziewaliśmy się ciężkich represji ze strony niemieckiej.

Gdy po zakończeniu odprawy byłem gotów do powrotu do Lublina, zostałem wezwany do Komendanta. Zapowiedział mi, że pojedzie wraz ze mną do Lublina, że dzień lub dwa zamierza bawić w Lublinie jawnie i otwarcie, że zamierza zwiedzić pole bitwy pod Jastkowem z roku 1915, której dwuletnia rocznica właśnie mijała i w której dowodził nie tylko I-szą Brygadą, lecz i 4-tym pułkiem Legionów. Po tej właśnie wycieczce zamierzał Komendant „zniknąć”. Zapytałem Komendanta, co dalej? Odpowiedział mi, że to się okaże i że dalsze zlecenia otrzymam dopiero na miejscu. Posłałem natychmiast kuriera do Lublina z zapowiedzią przyjazdu Komendanta i z poleceniem przygotowania jego pobytu w domu państwa Bukowskich oraz wycieczki do Jastkowa. Komendant zapowiedział wyraźnie, że swego wyjazdu i jego pozornego celu, to jest odwiedzin Jastkowa nie zamierza ukrywać, nie życzy sobie jednak żadnych powitań w Lublinie, ani też żadnych manifestacji. W dwa dni później wyjechaliśmy z Komendantem koleją i po przybyciu do Lublina zajechaliśmy do hotelu Victoria. Komendant polecił mi wziąć tylko jeden podwójny pokój, wobec tego że nie zamierza spędzić w hotelu więcej jak jedną dobę. Gdy wpisywałem przy biurku portiera rubrykę meldunkową, portier który obserwował to co piszę, zobaczywszy słowa Brygadier Józef Piłsudski, wziął z leżącej obok niego kupki gazet jedną i bez słowa podsunął mi przed oczy. Zobaczyłem, że na pierwszej stronie lubelskiego organu aktywistów wielkimi literami wydrukowany sensacyjny tytuł: „Piłsudski zniknął z Warszawy, prawdopodobnie udał się w kierunku frontu, by przejść na stronę rosyjską”. Wziąłem tę gazetę, udaliśmy się na pierwsze piętro do przeznaczonego dla nas pokoju i gdy wyszedł numerowy, ustawivszy nasze walizki, pokazałem Komendantowi ową gazetę. „Już zdążyli”, mruknął Komendant i zasepił się nieco. „Każcie podać herbatę”, był to na razie jedyny jego komentarz. Po wypiciu herbaty Komendant zapytał mnie, czy wiem gdzie jest Generał-Gubernatorstwo i udaliśmy się spacerkiem przez Krakowskie Przedmieście do pomnika Unii Lubelskiej, za którym znajdowała się siedziba generała Szeptyckiego. Weszliśmy tam na chwilę i Komendant zostawił swój bilet wizytowy dla Generał-Gubernatora. To była jego odpowiedź na rewelację prasy aktywistycznej. Wyobrażam sobie, że w chwilę

potem musiały żywo pracować linie telefonu i telegrafu między Lublinem a Warszawą.

Poszliśmy jeszcze na spacer do parku miejskiego, po czym wróciliśmy do hotelu i Komendant polecił mi zaaranżować wycieczkę pod Jastków na dzień następny o 11-ej rano, z tym że wrócimy z Jastkowa już nie do hotelu, lecz polnymi drogami wprost do dworku państwa Bukowskich. Udałem się więc tam, by uprzedzić gospodarzy. Na drugi dzień o 10-ej rano moja „narzeczona” oraz jej przyjaciółka Basia, jedna z nielicznych kobiet-żołnierzy I-szej Brygady, miały przyjechać do hotelu i zabrać walizki Komendanta i moje, przy czym Komendant Okręgu Lubelskiego P.O.W. miał zająć się obserwacją i ustaleniem, że przewiezienie tych walizek do państwa Bukowskich nie będzie przez żadnych tajniaków śledzone.

Wszystko odbyło się następnego dnia według planu i bez komplikacji. Mam wrażenie, że władze okupacyjne uspokojone owym biletem wizytowym Komendanta u Szeptyckiego, uznały ową sensację dziennikarską z dnia poprzedniego za głupstwo i nie zarządziły żadnych kroków śledczych. Gdy bowiem wyjechaliśmy około południa w kierunku odległego o kilkanaście kilometrów Jastkowa, po opuszczeniu miasta mogliśmy z łatwością stwierdzić, na pustej szosie, że żadnego „ogona” za nami nie ma. Był to piękny dzień letni i spędziliśmy kilka godzin, jeżdżąc powozem bądź też krążąc pieszo ścieżkami polnymi, na polu bitwy, którą Komendant pamiętał z minutę na minutę niemal. Opowiadał mi cały jej przebieg, pokazywał w terenie pozycje wszystkich oddziałów naszych i pozycje rosyjskie, żywo malując wszystkie momenty szczególnego napięcia w przebiegu boju, otrzymywane meldunki, wydawane rozkazy i ostateczny całkowity odwrót przeciwnika, odsłaniający Lublin, do którego Komendant wbrew rozkazom austriackiego dowództwa natychmiast pchnął szwadron Beliniaków, z najprzystojniejszym i najelegantszym z oficerów, Grzmotem-Skotnickim, na czele.

Po obejrzeniu pola bitwy, stwierdziwszy jeszcze raz skrupulatnie że wykluczone jest, abyśmy byli obserwowani, pojechaliśmy bocznymi drogami, wśród dojrzewających zbóż do państwa Bukowskich. Już na polach ich folwarku spotkaliśmy parę naszych patrolujących peowiaczek, które z nabożnym wzruszeniem przywitawszy Komendanta, zameldowały, że rzeczy zostały przewiezione bez zwrócenia najmniej uwagi i że siedziba ani od strony miasta, ani od strony pól obserwowana nie jest.

„Pamiętajcie, żeby mi na pewno tak było; bo jeśli meldunek wasz jest fałszywy, to pójdziecie pod sąd polowy”, powiedział im surowo Komendant, groźnie ściągając brwi i śmiejąc się wesoło.

Odesłaliśmy powóz i szliśmy dalej pieszo aż do bramy ogrodowej, gdzie czekali na nas starzy państwo Bukowscy, by powitać Komendanta. Po drodze zawiadomiliśmy Komendanta, że nazywa się Czaporowski i jest moim stryjem, na to nazwisko bowiem miałem wówczas wystawiony fałszywy paszport. Ustaliliśmy po krótko z jakiej miejscowości pan Czaporowski pochodzi oraz szeregu zwykłych szczegółów, aby móc zgodnie odpowiadać na te ewentualne pytania ciekawej jak zawsze służby, w szczególności zaś starej gosposi, Florentyny, która była niezmiernie do swojej panienki przywiązana i wiadomo było że będzie aż nadto zainteresowana wszystkimi szczegółami dotyczącymi jej zamierzonego małżeństwa.

Dworek i stary ogród był uroczy, cichy i spokojny i Komendant był wyraźnie zadowolony, rozmowny i wesoły. Ustalone było z góry, że nikt obcy w tym czasie odwiedzać państwa Bukowskich nie będzie; łączniczką z miastem miała być wyłącznie obywatelka Basia; ja zapowiedziałem dziesięciodniową przerwę w Komendzie Naczelnej w urzędowaniu, aby sprowadzić do minimum kontakty zewnętrzne. Nawiasem mówiąc, gdy po czterech czy pięciu dniach, pani Bukowska zapytała owej Florentyny jak też jej się podoba narzeczony panienki — Florentyna palnęła bez ogródek: „Prawdę mówiąc, proszę Pani, to mi się on wcale nie widzi, bo mało co na naszą panienkę patrzy, a tylko za tym starszym panem, stryjem swoim, oczami wodzi i koło niego chodzi. Musi być pewnie, że ten stryj bardzo bogaty, ale wszystko jedno, dla narzeczonego panienka powinna być pierwsza”. Oczywiście obserwacja była zupełnie trafna i było z tego dużo śmiechu.

Pozostały mi w niezatartej pamięci te osiem czy dziesięć dni, spędzone wówczas w odosobnieniu z Komendantem i kilka dłuższych rozmów, które z nim wtedy miałem. Początkowo Komendant był milczący i chmurny; godzinami spacerował po ogrodzie, lub po swym pokoju, pochłonięty głębokimi rozważaniami. Rozchmurzał się tylko przy stole, gdzie starał się być rozmowny i wesoły, przekomarzając się z panienkami, lub wyciągając pana Bukowskiego na dłuższe debaty o sprawach gospodarskich i o stosunkach wiejskich, przeprowadzając porównanie między warunkami gospodarki na kresach, a w Lubelszczyźnie i opowiadając ciekawe anegdoty o eksperymentach gospodarczych i fantazjach szlachty kresowej w szczególności swego ojca. Zauważyłem przy tym, z jak niezmierną skrupulatnością, mimo pozornej swobody, utrzymywał zgodność wszystkiego co mówi z umówionymi okolicznościami swego *incognito*.

Po czterech czy pięciu dniach zauważyłem pewne odprężenie

w zachowaniu się Komendanta. Doszedłem do przekonania, że decyzje które miał przed sobą zostały najwidoczniej powzięte. Nie spacerował już po ogrodzie samotnie; zachęcał mnie, aby mu towarzyszyć; wypytywał o rozmaite szczegóły z naszych zarówno peowiackich jak i politycznych stosunków. Widziałem, że można już się odważyć na zadawanie pytań, które mnie przez cały czas męczyły. Komendant zaczął się interesować sytuacją bieżącą, kazał referować sobie wiadomości z prasy miejscowej i warszawskiej, szczególnie dopytywał się czy nie zaczęły się już w Warszawie represje i czy nie przybył kurier od Sławka, który miał zakomunikować Komendantowi jeśli by sytuacja w Warszawie przyniosła coś nowego i ważnego. Interesował się i zarządził wywiad przez P.O.W., czy Szeptycki jest w Lublinie, czy też wyjechał do Warszawy.

Dawało mi do myślenia to, że Komendant nie zadaje mi żadnych pytań, ani też nie wydaje żadnych poleceń co do szukania przejścia przez front. Zapytałem go wreszcie tak jak przed wyjazdem w Warszawie, co będzie dalej. Tym razem dostałem odpowiedź, że za kilka dni Komendant zamierza wrócić do Warszawy. Wyraziłem przekonanie, że może lepiej byłoby, aby Komendant pozostał na okupacji austriackiej jeśli już „dalszej podróży” nie zamierza. Że na pewno na okupacji austriackiej pozostać byłoby swobodniej i bezpieczniej.

„O na pewno bezpieczniej”, odpowiedział mi Komendant, „tylko widzicie dziecko, ja właśnie teraz bezpieczeństwa szukać nie będę. Inny mus stoi przede mną. Pomówimy o tym wieczorem. Co zaś do dalszych podróży, to nie potrzebujecie się tym w tej chwili zajmować, jeśli o mnie chodzi; natomiast nie przerywajcie tego coście zaczęli. Przerzucenie się na tamtą stronę frontu będzie dla was konieczne. Z wojskiem naszym po tamtej stronie musicie nawiązać łączność jak najprędzej. Nim jeszcze stąd wyjadę, powiem wam o tym więcej”.

Był to ciężki dzień dla mnie. Stały mi jasno przed oczami konsekwencje decyzji Komendanta. Ogromne prawdopodobieństwo uwięzienia go przez Niemców, z tym że z więzienia tego może nie wyjść żywy. Trudności jakie staną przed nami, gdy zostaniemy sami, gdy będziemy musieli pobierać decyzje bez niego w sytuacjach, które mogą być niezmiernie trudne i skomplikowane. Zdawałem sobie jasno sprawę, że brak jego potężnego autorytetu łatwo może doprowadzić do rozbicia w naszym obozie.

Poszedłem do miasta dla zapoznania się z pocztą i prasą, a następnie, wracając okólną drogą, wałęsałem się przez kilka

godzin po polach i łąkach nad Bystrzycą, pełen myśli posępnych i niespokojnych.

Gdy pod wieczór wróciłem do Komendanta, znalazłem go raczej wesołego i pogodnego — jak zwykle po powzięciu decyzji. Komendant siedział długo przy stole tego wieczora, prowadząc żywą rozmowę na tematy dalekie od bieżącej rzeczywistości. Po kolacji wziął mnie do swego pokoju. „Widzę z waszej ponurej miny”, powiedział, „że chcecie mnie męczyć rozmaitymi pytaniami, ale niech tam! Może to wasza ostatnia sposobność na długi czas”. Ośmielony, zacząłem pytać. Pierwsze moje pytania zmierzały do zagadnienia przerzucenia się na drugą stronę frontu, gdzie według nadchodzących wiadomości, bardzo wówczas przesadnych, powstawać miała ogromna armia polska o liczebności przekraczającej nasze dotychczasowe najśmielsze nadzieje. Następnie wysunąłem jako alternatywę — jeśli Komendant zaniechał tej myśli — pozostania na okupacji austriackiej, lub w Galicji, w ukryciu, z którego Komendant mógłby jednak wszystkim kierować. Wyraziłem przypuszczenie, że przy ogromnym doświadczeniu Komendanta w konspiracji z czasów P.P.S. i przy bezporównania rozleglejszej i silniejszej sieci organizacyjnej, jaką rozporządzamy zarówno przez P.O.W. jak przez ludzi związanych z Legionami, oraz przy słabości i niedołęstwie aparatu okupacyjnego austriackiego, przy obecności w nim dużej ilości Polaków dalekich od wkładania energii w poszukiwanie go, a częstokroć gotowych do pomocy w ukrywaniu — jest wielka szansa do opanowania spod ziemi, już nie przez miesiące, lecz lata.

Te moje pomysły Komendant zbył raczej krótko. „Tak mi wygląda, jakbyście się umówili ze Sławkiem. Jemu te same rzeczy po głowie chodziły przed moim wyjazdem z Warszawy i wszystko to wziąłem pod uwagę, dochodząc do mojej decyzji. Nie zmienię jej. Mniejsza już o to, że przedostanie się przez front nie byłoby teraz dla mnie takie łatwe, gdy już tego się spodziewają, i na pewno czujne oczy szukają mnie wszędzie na całej przestrzeni etapów i frontu. W razie niepowodzenia, będę przyłapanym zbiegiem, co mi się wcale nie podoba. W razie powodzenia, z czym się tam zjawię? Nie będę miał swojego wojska, a kandydatów na wodzów jest tam zdaje się aż za dużo. Wojsko i dowodzenie będzie potrzebne w momencie kiedy dla całego świata wojna będzie się kończyła, a dla nas będzie się może zaczynała”.

„Jest czas — mówił dalej Komendant — kiedy muszą się stać rzeczy mocne, twarde, otwarte, fakty głośne, nie dające się ukryć, mówiące same za siebie. Przyszdeł czas zwrotu, który musi być dla wszystkich jasny. Ja, a nie kto inny, muszę wytknąć

nowy front, i to tak, żeby nie było żadnej wątpliwości. Dlatego wracam do Warszawy”.

„Niemcy Was zamkną, wywiozą, Komendancie; mogą Was zabić skrycie i upozorować to chorobą, lub próbą ucieczki”.

„Tak samo mogłem kulę dostać w pierwszym miesiącu wojny” — przerwał Komendant. „Wojna jest. Gdy mnie Niemcy zamkną rozlegnie się to na cały świat. Powie to i Polsce i światu więcej niż jakieś moje odezwy z ukrycia wydawane”.

„Wojna może potrwać jeszcze długo, Komendancie, mogą przyjść rzeczy trudne i nieprzewidywane. Nie wiem, jak sobie damy rady, boję się naszych polityków. Czy Komendant przewiduje szybki koniec wojny?”.

„Słuchajcie, moje dziecko, nie ma nic zawodniejszego niż przewidywanie czasu trwania różnych procesów, gdy chodzi nie o maszyny lecz ludzi, gdy decydują charaktery i umysły ludzkie, których działania nie można obliczyć, bo może być błędne, może być opóźnione lub przyspieszone zależnie od imponderabiliów. Łatwiej jest obliczyć i przewidzieć fakty, niż ich daty i wynik działań, niż czas ich trwania. Mówicie o przewidywaniach. Teraz właśnie jestem bardziej niż kiedykolwiek pewien, że moje przewidywania co do tej wojny były dobre. Ale bądźcie przekonani, że fakty które dotychczas zaszły, w oczach wielu ludzi będą mówiły całkiem co innego, niż mówią mnie. Przewidywałem, że Rosja zostanie militarnie pobita i to się stało. Ale przebieg tego procesu był całkiem inny i dłuższy, niż się spodziewałem. Przewidywałem nieuniknioną rewolucję w Rosji, i ta przyszła, ale też znacznie później, niż oczekiwałem. I mówię wam, że najważniejszą rzeczą jest trwać przy raz dobrze przemyślanej koncepcji i nie porzucać jej mimo, że przejściowe i pozorne fazy i obroty sprawy nasuwają największą wątpliwość, że koncepcja ta była mylna. Do tego właśnie trzeba ogromnej wytrwałości, uporu i pewności, którą się ma jednak tylko wtedy, kiedy się dobrze przepracowało myślowo swoje przewidywania. Młodzi jesteście i może nie rozumiecie jeszcze wagi tego, co wam mówię. I pytacie ciągle o przewidywania, jak gdyby to była rzecz łatwa i prosta, którą się łapie z powietrza jak muchę. Ale to wam mogę powiedzieć, dziś gdy się moje przewidywania sprzed lat wielu sprawdziły — a był czas kiedy nikt wierzyć mi nie chciał — mam większą niż kiedykolwiek pewność, że sprawdzą się i dalej”.

„Więc Komendant przewiduje, że Niemcy tę wojnę przegrają?”.

„No, dobrze żeście to spostrzegli”, odpowiedział z ironiczną nieco pobłażliwością Komendant, „tak właśnie myślę od lat

czterech czy pięciu. I dlatego robiłem, to co robiłem i zrobię, to co zrobię”.

Byłem podniecony i nieco oszołomiony tym co słyszałem i rzuciłem gorączkowe nieco pytanie:

„Dlaczego Komendant nie mówił ludziom tego wszystkiego. Przecież nie byłoby wielu trudności, ludzie by rozumieli o co chodzi i ci, którzy Komendantowi przeszkadzają i przeciwstawiają się, pomagaliby mu”.

„Wiecie, Świtek — zirytował się Komendant — wy jeszcze macie bardzo zielono w głowie. Gdyby nie to, że wiem jak ciężkie czasy i próby czekają was wszystkich w najbliższym czasie, to powiedziałbym żebyście sobie poszli i wrócili do mnie dopiero wtedy, kiedy wasze własne doświadczenie nauczy was jakie głupstwa gadacie. Zrozumcie, że właśnie przewidywany przez mnie przebieg wydarzeń zamykał mi usta na całe lata. Jakże wam się zdaje, czy osiągnąłbym możliwość mojej roboty strzeleckiej, stworzenia Legionów, dowodzenia I-szą Brygadą, wreszcie rzucenia jej na szalę politycznej gry, gdyby Austriacy czy Niemcy wiedzieli, że w przewidywaniach moich leży ich klęska? A poza tym mylicie się sądząc, że nie mówiłem o tym. Mówiłem kilkakrotnie z ogromnym ryzykiem. Mniejsza o to, dlaczego ryzykowałem. I znają doskonale moje przewidywania niektórzy z tych, co z całą zawziętością idą dziś przeciwko mnie. Bo im się zdaje, że są ode mnie mądrzejsi i „realniejsi”. To wielka dla mnie łaska Boża, że znalazła się tak duża gromada ludzi, którzy wierzą mi i ufają bez pytania nawet, albo którym, tak jak wam, wystarcza wiedzieć, co ja przewiduję, aby uwierzyć w to. To mi pozwala na wiele rzeczy, to jest ogromny atut w mojej śmiałej grze. Ale i wy nie bądźcie tacy pewni siebie. Nim dojedziemy do końca tej wojny na pewno będziecie mieli niejedną chwilę wątpliwości i będziecie się męczyli wobec oczywistości niemal, że Komendant się mylił. Być może, że mimo to będziecie szli za mną, ale nie dziwcie się tym, którzy będą szli przeciw. To jedno miejcie zawsze na uwadze: w całej mojej pracy momentem do którego zmierzałem i w którym leżała celowość mojej roboty był ostatni dzień tej wojny, a nie taka czy inna faza jej przebiegu. Będzie to dzień dla nas niesłychanie niebezpieczny, w którym decydować będzie to, czy będziemy mieli choć trochę siły wojskowej. Dopóki się ta wojna toczy niewiele znaczyły w niej nasze brygady, czy dywizje, ale w dniu kiedy się skończy nawet niewiele batalionów może mieć niezmierną wagę, szczególnie jeśli będą w ręku kogoś, kto będzie umiał nimi zagrać tak, jakby to były korpusy”.

Komendant przerwał, stanął przed oknem, za którym wsta-

wał już jasny świt i trwał w głębokim zamyśleniu. Nie śmiałem mu przeszkadzać. Po dłuższej chwili dopiero powiedziałem:

„Komendancie, wiele zaczynam rozumieć, ale jeśli staję przed nami perspektywa działania bez Was, muszę prosić o kilka jeszcze wyjaśnień i instrukcji”.

Następną rozmowę z Komendantem miałem tego samego dnia po południu. Przez cały ranek moje myśli krążyły i błąkały się bezradnie w usiłowaniu skonkretyzowania pytań, które mam jeszcze zadać Komendantowi. Wiedziałem, że nie może ich być za dużo, że trzeba poprzestać na najważniejszych, a nasuwało się ich mnóstwo. Od razu na początku rozmowy Komendant ułatwił mi nieco zadanie, mówiąc:

„Nie pytajcie mnie tylko, co i kiedy będzie. Pamiętajcie, że ja nie mam ministrów ani ambasadorów, którzy by mnie informowali i dostarczali wiadomości. Mam tylko moją pracowitość myślenia i mój litewski upór w obstawaniu przy tym, co z moich przemyśleń wynikało. Czego się głównie boję to tego, że wam wszystkim tego uporu może zabraknąć, gdy łączności ze mną mieć nie będziecie. Tego się strzeżcie”.

„Kto ma decydować”, zapytałem wówczas, „jeśli łączności z Komendantem nie będzie?”.

„Jeśli Sosnkowskiego wraz ze mną nie zamkną, macie jego słuchać”, odpowiedział Komendant. „Jeśli zaś on podzieli mój los, co zdaje mi się najprawdopodobniejsze — decydować musi Konwent, o którym Wam mówiłem”.

Obok zmian w organizacji P.O.W. nastąpiły wówczas z inicjatywy Komendanta pewne kroki w dziedzinie organizacji politycznej, które nasuwały przypuszczenie, że i na tym polu spodziewa się on jakiejś doniosłej zmiany. Któregoś dnia, w czasie godzin urzędowych spędzanych w lokalu Komisji Wojskowej T.R.S., zostałem wezwany do gabinetu Komendanta. Poinformował mnie on jako o rzeczy w najwyższym stopniu tajnej, że powołuje do życia organizację, w skład której wejść mają tylko najbardziej pewni i zaufani ludzie z obozu niepodległościowego. Organizacja ta będzie się składała z dwóch równoległych członków. Pierwszy — mający się w skrócie nazywać A — będzie się składał z wpływowych członków wszystkich politycznych stronnictw i ugrupowań, należących do C.K.N. oraz z mianowanych przez Komendanta członków P.O.W., mających dostateczne przygotowanie i doświadczenie polityczne. Celem tej organizacji będzie dbać o jednolitość poczynań i prac całego obozu i zachowanie w tych pracach podstawowych wytycznych polityki Komendanta. Ludzie ci muszą oczywiście umieć posługiwać się rzeczową argumentacją i starać się o jak najsilniejszy wpływ na

swoje otoczenie, nie zaś operować tylko autorytetem i rozkazem Komendanta. Muszą odegrać rolę kręgosłupa w rozrastającym się organizmie obozu. Związek A, którego się ma objąć wszystkie ważniejsze ośrodki na przestrzeni kraju, kierowany będzie przez nieliczną Radę, którą nazywać będziemy Konwentem. Na czele Konwentu stać będzie Komendant sam i Sosnkowski jako jego zastępca.

Członem drugim będzie związek B, do którego powołani będą ekonomiści, finansiści i działacze gospodarczy naszego obozu. Zadaniem ich będzie przygotowywać się do rozstrzygania i prowadzenia zagadnień finansowo-ekonomicznych przyszłego państwa polskiego. Na razie będzie to polegało głównie na studiach i dyskusjach. Mojej osoby dotyczy tylko sprawa związku A; mam być jednym z dwóch lub trzech przedstawicieli P.O.W. w tym związku i mam wejść w skład Konwentu A. Wszystkie szczegóły, związane z tą sprawą i instrukcje, otrzymam od Sosnkowskiego, który ma się zająć powołaniem do życia i organizacją Konwentu. U niego też mam się niezwłocznie zameldować.

Uczyliem to tego samego dnia i miałem z „Szefem” dłuższą rozmowę na temat, które ugrupowania i jacy ludzie spośród nich muszą być wzięci pod uwagę, jako członkowie związku A, względnie kandydaci do Konwentu. Szef zapowiedział mi, że wkrótce zawezwie mnie do siebie w tej sprawie jeszcze raz, prawdopodobnie będzie to już pierwsze zebranie Konwentu. W kilka dni potem jednak dostałem rozkaz wyjazdu do Lublina i do rozmowy tej już nie doszło.



Powiedziałem Komendantowi, że nie dokończyłem rozmów z Sosnkowskim na ten temat.

„Odwieziecie mnie do Warszawy — odrzekł Komendant — i Sosnkowski powie wam wszystko co trzeba”.

Zadałem wówczas następne pytanie, co mamy robić w sprawie wojska w kraju i jaki ma być nasz stosunek do wojska organizowanego na wschodzie. Nawróciłem też do tego momentu z rozmowy poprzedniej, kiedy Komendant mówił o doniosłości „ostatniego dnia wojny”. Odpowiedź, którą otrzymałem, da się streścić następująco:

„Wojska trzeba będzie jak najwięcej; a jeśli nie wojska, to ludzi gotowych aby się do niego zaciągnąć wtedy, kiedy miliony zmęczonych ludzi będą właśnie chciały z wojną skończyć i iść do domu. P.O.W. jest ważna, bo jest na miejscu i jest wszędzie. Wojsko na wschodzie, to też sprawa ogromnej wagi, bo jeśli nawet w części będzie się chciało rozejść do domu, to ma broń

i amunicję i jest blisko. Jest tam, gdzie może najbardziej będzie potrzebne. Jak najprędzej starajcie się z nimi tam nawiązać łączność. Przy pierwszej sposobności, starajcie się przedostać na tamtą stronę frontu, dookoła, czy też wprost”.

„Co mamy tam mówić, — zapytałem — autorytet Komendanta jest tam podobno legendarny. Będą się nas pytać o Wasze, Komendancie, instrukcje i o Wasze zdanie”.

„Jeśli przyjdzie to czego się spodziewam, będzie to mówić samo za siebie — gdy będę więźniem niemieckim. Pilnujcie tam tego, żeby się nie mieszać do wewnętrznych walk rosyjskich. Wyciągnąć jak najwięcej Polaków z wojska rosyjskiego. Ściągać ich jak najbliżej kraju”.

„Czy nie obawia się Komendant — zapytałem — że może być za mało oficerów w stosunku do ilości zmobilizowanych prostych żołnierzy Polaków?”.

„Tak nie myślę, odpowiedział Komendant. A zresztą tym sobie głowy nie zaprzątajcie. Głównie chodzi o to, aby jak największą ilość Polaków z kotła tamtejszego wyciągnąć. Wy nie znacie Rosji tak dobrze jak ja; jeszcze nie wiadomo, co oni z tej swojej rewolucji zrobią”.

W tym miejscu Komendant przerwał na chwilę rozmowę, zauważył, że jest zbyt duszno w pokoju i poszliśmy na dłuższy spacer do ogrodu i w pole. W czasie spaceru Komendant opowiadał mi o swoim ostatnim pobycie w Rosji, w czasie przygotowań do niedosłej akcji bojowej w Mozyrzu; o trudnościach technicznych planu, o pracach techników partyjnych nad wynalezieniem tłumika do motoru, co pozwoliłoby na wycofanie się po akcji drogami wodnymi. Rozpytywał mnie Komendant o moje podróże po Rosji, brał na egzamin z języku rosyjskiego. Wymienił cały szereg nazwisk swoich dawnych ludzi, których mogę spotkać w Rosji; podawał cały szereg szczegółów anegdotycznych, po których w razie potrzeby ludzie ci będą mogli rozpoznać, że jestem naprawdę jego człowiekiem i mogą mieć do mnie zaufanie.

„Jeśli spotkacie tego i tego, mówcie do niego 'Dynamit Pyroksylinowicz', a tego i tego znowu zapytajcie, jak to było na „chipiesnej kwartire” w Kijowie i jakich brzydkich wyrażen używał, gdy mu się prymus nie chciał palić”.

Po powrocie ze spaceru, mówiliśmy dalej.

„Pytaliście o ostatni dzień wojny — rozpoczął Komendant. — Ja go tak widzę: Niemcy będą pobite, Austria się rozsypie. Będą związani, albo przez okupację, albo przez twardy dyktat zwycięskiej koalicji. Nie sędzę, aby przez pewien czas byli dla nas groźni. Będą zaszachowani od zachodu. Natomiast wschód to jest wielka niewiadoma, wobec której będziemy stać oko w

oko i w jakimś okresie przejściowym na własne siły skazani. Nie myślę, żeby w chwili końca wojny większa potęga zbrojna rosyjska została odbudowana, i nawet niewielka osłona zbrojna z naszej strony może wystarczyć, aby tylko była; więc to musicie mieć zawsze na uwadze, jeśli mnie jeszcze z wami nie będzie. Mieć wojsko i postawić je od razu na nogi. Mieć broń i amunicję. Każda armata, każdy magazyn wojskowy będzie na wagę złota”.

„Co robić z P.O.W.?”

„Rozbudować szeroko, jak najszerzej, i trzymać na miejscu”. „Ilość broni, którą mamy, Komendancie, jest po prostu bez znaczenia. Czy nie należałoby, gdy Niemcy będą już bliscy przegranej, pójść na pozorne tworzenie „Wehrmachtu”, aby w ten sposób broń dostać i umundurowanie?”

„Tego mi nie śmieście robić, — odrzekł Komendant — jeśli byście na to poszli, stracie to, co jest niezmiernie ważne na ów ostatni dzień, tak jak ja go widzę, że P.O.W. będzie wszędzie i jednego dnia i o jednej godzinie może zadziałać. To sobie zapamiętajcie, bo to jest niebezpieczne: Niemcy się czują słabo już teraz, inaczej nie ryzykowaliby eksperymentu z wojskiem polskim. Mogą was bardzo kusić, obiecywać, że nie użyją tego wojska na froncie zachodnim, czego zresztą gotowi dotrzymać, bo tam im nie byłoby na pewno na nic potrzebne; ale skoncentrują was wówczas w jakimś jednym, czy najwyżej dwu obozach ćwiczebnych i stracie to, co przed chwilą powiedziałem, zorganizowaną sieć na całym terytorium i możliwość jednoczesnego zaskoczenia”.

„Jak odpowiadać na ewentualne dalsze zabiegi niemieckie, jeżeli będą dawali coraz więcej w zakresie administracji; jeżeli na przykład dadzą rząd, którego się domagamy?”

„Trzymajcie się dalej tego samego klucza: licytacja wzwyż. Gdy dali Radę Stanu zażądaliśmy Rządu; jeśli dadzą Rząd — domagajcie się Sejmu. Gdyby i to dali, żądajcie wojska — domagajcie się mojej osoby na czele wojska; jak nie — to nie. Nie przejmujcie się argumentami, gdy wam panowie aktywiści, czy pan profesor Beseler, będą wykładali, że wasze żądania są nie logiczne, albo niemożliwe — wy im na to, po litewsku powtarzajcie swoje. A teraz nie męczcie mnie już więcej. Jutro jedziemy do Warszawy. Wybierzcie pociąg w najspokojniejszych godzinach; może być, że rozkazy o moim aresztowaniu są już wydane, chociaż wątpię, bo to przecież muszą sobie uzgodnić między Wiedniem a Berlinem, Lublinem a Warszawą i pewnie jeszcze nie zdążyli. Nie chciałbym jednak być gdzieś przypadkowo przytrzymany. Chcę na to czekać w moim mieszkaniu w Warszawie”.

„Gdy Wam mówię o licytacji wzwyż nie chodzi mi specjal-

nie o wojsko. Wojna, w której bierze udział tyle państw po obu stronach, może być łatwiejsza do zakończenia militarnego, niż politycznego. Po zamknięciu działań wojennych będzie się musiała zebrać jakaś konferencja międzynarodowa. Ważne jest, aby musiała zebrać jakaś konferencja międzynarodowa. Ważne jest, aby sprawa polska stanęła na niej jako zagadnienie międzynarodowe, a nie tylko kwestia do załatwienia między zwycięzcami. I ważne jest, żeby ci zwycięzcy mieli jakieś zobowiązania wobec nas. Nie o nas się ta wojna zaczęła i przez pierwsze dwa lata nie było w sprawie polskiej żadnych zobowiązań. Dopiero listopad zeszłego roku otworzył w naszej sprawie licytację. Trzeba wszystko zrobić, żeby ona trwała. Nasi politycy wbrew temu czego od nich oczekiwałem i domagałem się nie potrafili nic zrobić. Dopiero przez kryzys legionowy doprowadziłem do aktu 5-go listopada, który licytację rozpoczął. Jeśli mnie nie będzie, musicie naszych polityków pilnować, żeby się tej linii trzymali”.

„Nie podobna powiedzieć jak długo jeszcze będzie trwała wojna i w jakim stopniu pełne będzie zwycięstwo, ale myślę że na konferencji pokojowej działać jeszcze będzie wśród zwycięzców świeży gniew na Niemców i jeżeli chodzi o zachodnią stronę naszej sprawy, to możemy liczyć, że uzyskamy dużo. Gorzej będzie ze stroną wschodnią. Nie wiadomo jaki będzie stan rzeczy w Rosji w tym momencie i jakie będą jej siły. W każdym razie liczyć się musimy z tym, że wśród rządów koalicji będzie tendencja do pozyskania sobie Rosji; a i ze strony Rosji samej, jeśli nawet będzie demokratyczna czy liberalna, będziemy mieli pretensje do kresów. Sondowałem już tę sprawę w rozmowach z nimi przed wojną i wiem, że to nie pójdzie gładko. Trudno przewidzieć jaki głos na konferencji pokojowej będzie miała Rosja, a jaki my. Będzie więc mus, abyśmy mogli postawić jakąś siłę za naszymi żądaniami. Bo jeśli Niemcy będą musieli nawet się poddać podyktowanym im warunkom, które może im narzucić siła zwycięzców, stojących im nad karkiem — to tu na wschodzie będziemy prawdopodobnie stali z Rosją oko w oko. Musimy być tak silni, żeby się móc Moskalom nie dać i żeby konferencja pokojowa wiedziała, że jeśli będą chcieli nam zrobić krzywdę, to możemy zacząć nową burzę. Co im na pewno nie będzie w smak, bo gdy się działania wojenne raz skończą, ani wojsko ani opinia publiczna w ich krajach nie będzie chciała nic innego, jak tylko najprędszego, definitywnego pokoju”.



Następnego dnia wyjechaliśmy do Warszawy. Szczęśliwie nie

zwróciliśmy niczyjej uwagi ani w Lublinie, ani na granicy okupacyjnej w Dęblinie, ani przy wysiadaniu w Warszawie. Odwiozłem Komendanta do jego mieszkania na Służewską i zająłem się swoimi sprawami przez cały dzień następny. Wieczorem dowiedziałem się, że rozpoczęły się represje ze strony niemieckiej. Aresztowany został Sławek, Adam Skwarczyński, Stanisław Thugutt i kilku innych. Rozbita została redakcja naszego organu prasowego „Rząd i Wojsko” oraz popularnego „Biuletynu Informacyjnego”. W „Gońcu Warszawskim”, głównym organie aktywistów, ukazał się list otwarty podpisany przez p. Izę Moszczeńską, Małgorzatę Starzyńską i jakąś trzecią jeszcze równie zaciekle aktywistkę spod znaku Studnickiego, atakujący ostro Piłsudskiego jako rozbijacza, szkodnika, działającego w podejrzanych intencjach. Artykuł miał wszelkie cechy denuncjacji i między wierszami zawierał wprost wezwanie do Niemców, aby położyli koniec zgubnej działalności Piłsudskiego. Wkrótce potem Niemcy powoływali się na ten artykuł w uzasadnieniu aresztowania Piłsudskiego i Sosnkowskiego. Poza tym rozeszły się pogłoski, że lada chwila może nastąpić strajk kolejowy na terenie obu okupacji. Ta ostatnia wiadomość zaniepokoiła mnie ze względów praktycznych, albowiem za kilka dni wyznaczony miałem w Lublinie zjazd Komendantów Okręgów P.O.W. na okupacji austriackiej. Starłem się jeszcze znaleźć „Szefa” i zameldować się u niego w sprawie Związku A i Konwentu. Nie udało mi się jednak przez cały dzień go znaleźć. Wobec tego udałem się późnym wieczorem na Służewską, sądząc że znajdę go u Komendanta. Komendant był zajęty, miał konferencję z Michałem Sokolnickim — o ile sobie przypominam. Sosnkowskiego nie było. Dowiedziałem się tylko, że jest na jakimś zebraniu politycznym i tego wieczora już u Komendanta nie będzie. Gdy jednak Komendantowi zameldowano o moim przybyciu, wezwał mnie natychmiast do siebie.

„Co Wy tu jeszcze robicie? — zapytał. — Wasze miejsce w Lublinie. Wracajcie tam natychmiast”.

Bąknąłem coś o tym, że mogę mieć trudności wobec strajku kolejowego i że mam jeszcze sprawy do załatwienia z „Szefem”.

„Nie kuście Pana Boga — odpowiedział Komendant. — Wygraliście wielki los, że wracacie na okupację austriacką. Widzicie przecież, co się tu dzieje i zobaczycie co jeszcze będzie. Strajk, czy nie strajk, to mnie nic nie obchodzi. Możecie sobie iść piechotą, to wasza sprawa”.

Widziałem, że Komendant jest zagniewany i wobec tego odmeldowałem się, dodając że za tydzień stawię się na odprawę w Komendzie Głównej.

„No, mnie już pewnie nie zobaczycie tak prędko” — rzekł Komendant, podając mi rękę na pożegnanie.

Istotnie, zobaczyłem go dopiero 11 listopada 1918 roku.

Strajk kolejowy wybuchł rzeczywiście już o północy i pojechać do Lublina koleją nie mogłem. Wyruszyłem z Warszawy następnego dnia o świcie, posuwając się w kierunku okupacji austriackiej rzemiennym dyszlem, mleczarskimi wozami i bryczkami użyczanymi w znajomych dworach po drodze. Gdy w dwa dni później znalazłem się już na okupacji austriackiej w miasteczku Kurowie, dowiedziałem się że koleje funkcjonują już z powrotem. Na najbliższej stacji kolejowej zobaczyłem w oknie ruszającego w stronę Warszawy pociągu znajomą Peowiaczkę, która zdążyła mi jeszcze krzyknąć, że Komendant i Szeł areztowani przez Niemców i wywiezieni z Warszawy.

Zaczął się nowy etap w naszej pracy, jeden z najtrudniejszych. Mimo że byłem jednym z niewielu przygotowanych na ten obrót rzeczy po moich ostatnich rozmowach z Komendantem, czułem się fatalnie. Po tylu latach „życia ułatwionego” przez to, że w każdej sytuacji przyzwyczailiśmy się do polegania na decyzji i rozkazie bądź Komendanta, bądź w jego zastępstwie Sosnkowskiego, stanęła mi przed oczami niełatwa perspektywa, że sami będziemy musieli pobierać decyzje.

W Lublinie czekała mnie jeszcze jedna jedna niespodzianka. Tadeusz Kasprzycki, który w myśl instrukcji Komendanta przeniósł Kwaterę Główną P.O.W. z Warszawy do Lublina, nie wiedział nic, gdy się u niego zameldowałem, o Konwencie i jego składzie. Zwróciłem mu uwagę na doniosłość tej sprawy nie tyle dla P.O.W., ile dla polityki naszego obozu. Powtórzyłem mu, co słyszałem od Komendanta, że jeśli Sosnkowski zostanie wraz z nim uwięziony, Konwent ma prowadzić całokształt naszej akcji. Wiedziałem dobrze z dotychczasowego doświadczenia i znajomości ludzi, że jeśli kierownictwo polityczne pójdzie torem międzypartyjnego i międzygrupowego uzgadniania, na pewno dojdzie do tarć, może nawet do rozbicia dotychczasowej jednolitości obozu niepodległościowego. Kasprzycki zgodził się na moją propozycję, aby natychmiast porozumieć się z Jędrzejem Moraczewskim, który był wówczas jednym z najbliższych doradców i współpracowników Komendanta, był mu całkowicie oddany nie tylko jako dowódca; podzielał z nami bezwzględną wiarą w polityczny autorytet Komendanta. Moraczewski, oficer I-szej Brygady, był na urlopie z wojska jako poseł do parlamentu wiedeńskiego. Miał też pełną swobodę poruszania się. Wysłaliśmy natychmiast depeszę do niego z prośbą o niezwłoczne przybycie do Lublina.

Gdy przybył z Krakowa, dowiedzieliśmy się, że został on również przez Komendanta przyjęty do Związku A i uprzedzony, że wejdzie w skład Konwentu, ale od tego czasu nie dowiedział się nic więcej i był przekonany, że Komendant i Sosnkowski nie zdążyli przed aresztowaniem Konwentu zorganizować. Wysunąłem wówczas śmiały projekt: abyśmy we trzech, Moraczewski, Kasprzycki i ja ułożyli skład Konwentu według naszej najlepszej wiedzy o tym, kogo prawdopodobnie Komendant by powołał. Uważałem jednak, że dla przyszłej spoistości Konwentu niezbędne jest, aby wszyscy jego członkowie byli przekonani, że zostali przez Komendanta mianowani, że działają z jego autorytetu i pod przysłą przed nim odpowiedzialnością. Propozycja moja została przyjęta. Zobowiązaliśmy się więc do absolutnej tajemnicy i ułożyliśmy listę członków Konwentu z tym, że każdego z jego członków powiadomimy, iż został on mianowany przez Komendanta osobiście, bezpośrednio przed jego aresztowaniem. Układając listę, zrobiliśmy pewien błąd, który później doprowadził do dość poważnych komplikacji: nie wzięliśmy pod uwagę organizacji tzw. Młodzieży Narodowej, znanej później już w czasach niepodległości pod nazwą „Naprawiaczy” (Związek Naprawy Rzeczypospolitej). Była to organizacja silnie reprezentowana zarówno w P.O.W., jak i w naszym politycznym obozie; organizacja zwarta, ścisła, idąca wprawdzie już od wielu lat za Piłsudskim i uznająca jego autorytet, ale dbająca bardzo o swoją niezależność, mająca swoje tajne władze i niełatwa do podporządkowania jakiegokolwiek innemu oprócz Piłsudskiego autorytetowi zbiorowemu, szczególnie jeśli by nie była w nim reprezentowana. Jeszcze gdy rozmawiałem w Warszawie z Sosnkowskim o Związku A, poruszyłem sprawę konieczności włączenia doń „Młodzieży Narodowej”. Sosnkowski odpowiedział mi, że jest to dla niego jasne i że oczywiście weźmie to pod uwagę przy składzie Konwentu. Najwidoczniej jednak nie zdążył tego załatwić definitywnie, ja zrobiłem ciężki błąd nie pamiętając o tym w Lublinie, zaś Moraczewski ani Kasprzycki nie znali dostatecznie układu stosunków, szczególnie w zaborze rosyjskim, i rzecz cała uszła naszej uwagi.

Ułożyliśmy listę Konwentu w następującym składzie: J. Moraczewski, E. Rydz-Śmigły, M. Downarowicz, T. Kasprzycki, B. Miedziński, M. Wojtek-Malinowski, J. Poniatowski, W. Sieroszewski, M. Sokolnicki, L. Wasilewski, J. Zdanowicz-Opieliński, Andrzej Strug, B. Ziemięcki. W kwietniu 1918 wszedł do Konwentu A. Koc na miejsce T. Kasprzyckiego.

W kilka tygodni później, gdzieś w Kieleckim, w majątku rodziców jednego z poległych oficerów I-szej Brygady, zebrał się

po raz pierwszy Konwent w tym składzie. Zarysowało się od razu, że moja koncepcja była słuszna. Widzieliśmy w toku obrad, trwających dni kilka, że wszyscy członkowie są głęboko przejęci nominacją Komendanta i spoczywającą na nich odpowiedzialnością zastępowania jego autorytetu.

Obrady nasze nie miały charakteru „uzgadniania” międzypartyjnego, toczyły się na wysokim poziomie i z pełnym poczuciem wagi zadania, które na nas spadło. Muszę powiedzieć, że jeśli obóz Piłsudskiego przetrwał czasy Magdeburga nie tylko w całości i jednolitości, ale powiększając siły i dając je w pełni gotowości do użycia w ręce Józefa Piłsudskiego w godzinie jego powrotu z Magdeburga — była w ogromnym stopniu zasługa Konwentu.

Dopiero w roku 1919, przy sposobności jakiejś nocnej rozmowy w Belwederze, przyznałem się Komendantowi do przestępstwa sfingowania jego woli i autorytetu. Wysłuchał mojej relacji z zainteresowaniem, rozgrzeszył mnie jednak, zapowiadając tylko wcale nieżartobliwie, abym już nigdy nie śmiał pozwolić sobie na coś podobnego po raz drugi.

Konwent w zmienionym składzie — dopełnionym przez tych, którzy w okresie magdeburskim bądź siedzieli w więzieniach niemieckich, jak Sławek, bądź w katordze rosyjskiej, jak Aleksander Prystor, funkcjonował jeszcze przez pierwsze lata niepodległości. Oczywiście już nie jako ciało decydujące, ale tylko doradcze. W czasie różnych kryzysów i trudności Komendant zwoływał jeszcze tych samych ludzi, mówił im co i dlaczego zamierza zrobić, dla jakiej swojej akcji wymaga poparcia, żądał swobodnego wypowiedzenia się wszystkim i brał pod uwagę wypowiedziane zdania. Nie znaczy to bynajmniej, by się tym zdaniom poddawał, lub swoje poglądy zmieniał. Bywało jednak, że napotykał opór, musiał przyjmować pod uwagę że nie znajdzie podtrzymania dla danych swoich planów, z których wobec tego musiał rezygnować. Czy było to dobrze, czy źle, to inna sprawa. Będę o tym mówił później przy konkretnych wypadkach. Przeważnie różnica zdań polegała na tym, że Konwent wskazywał Komendantowi iż dla niektórych swoich najślusniejszych i głęboko przewidujących koncepcji nie znajdzie zrozumienia nawet w swoim własnym ówczesnym obozie — lewicy niepodległościowej.

Pierwsze czasy po uwięzieniu Piłsudskiego i Sosnkowskiego były dość ciężkim dla nas — peowiaków — kryzysem. Dało się to szczególnie odczuć tam, gdzie nasi działacze — wbrew przestrogom Komendanta — zbyt silnie wiązali się w swoich przemówieniach ideologicznych i politycznych i w instrukcjach da-

wanych dołom, z przejściowym etapem naszej polityki, którym było podtrzymywanie Rady Stanu i udziału w niej Komendanta. Stwarzało to pozory naszej przynależności do obozu aktywistycznego i skłaniało ludzi do uproszczenia — tak dalekiego od istotnej polityki Piłsudskiego — że stawiamy na zwycięstwo państw centralnych w tej wojnie. Szybko następujące po sobie fakty, rozkaz odmowy przysięgi wydany przez Komendanta, jego wystąpienie z Rady Stanu, i uwięzienie przez Niemców, powinny były wprawdzie mówić same za siebie. Nie było tak jednakże. Ludzie byli zaskoczeni, robiło to wszystko na nich wrażenie jakiegoś nagłego zwrotu. Wyzyskiwali to aktywiści w swojej prasie i agitacji ustnej, zarzucali Piłsudskiemu brak konsekwencji jeśli chodzi o politykę oraz niszczenie swego własnego dzieła, jeśli chodzi o tworzenie siły zbrojnej. Zwycięstwo państw centralnych wydawało im się rzeczą całkowicie pewną, właśnie w tym momencie, gdy Rosję ogarnęła rewolucja i gdy według ich przekonania, jeśli nawet Rosja nie zawrze odrębnego pokoju, to przestanie wiązać ogromne siły niemieckie i austriackie na wschodzie, pozwalając im rzucić się całą masą na front zachodni i zmiażdżyć go zanim Stany Zjednoczone zdążą się przygotować do odegrania poważnej roli wojennej na kontynencie europejskim. Według nich Piłsudski popełnił czyn szalony, świadczący o zupełnym braku kwalifikacji na męża stanu, gdy w tej właśnie chwili zamiast połączyć losy Polski ze stroną zwycięską i zabezpieczyć sobie maksimum korzyści za cenę oddania im do pomocy poważnej siły wojskowej — wystąpił przeciwko nim i przez to wystąpienie dał im na przyszłość pretekst do nieuznawania jakichkolwiek swoich zobowiązań w stosunku do Polski.

Przez szereg miesięcy tedy musieliśmy usilnie pracować nad utrzymaniem jedności w P.O.W. i w całym naszym obozie. Trzeba było pisać i mówić, objeżdżać cały kraj, docierać do wszystkich ośrodków organizacyjnych i — że tak powiem — umacniać w wierze nasze szeregi.

Aktywiści zrobili jednak ogromny błąd przez wydrukowanie denuncjacyjnego listu p. Moszczeńskiej i towarzyszek, na który Niemcy powołali się jako na głos potępiający Piłsudskiego ze strony polskiej opinii publicznej. Bezwzględne wypowiedzenia się czołowych aktywistów ze Studnickim na czele, potępiające Piłsudskiego i przyznające rację Niemcom w jego uwięzieniu, wywołały silny odruch oburzenia i sprzeciwu. Agitacja obozu Narodowo-Demokratycznego, uprzednio utożsamiająca Piłsudskiego i Piłsudczyków z obozem aktywistycznym, straciła też grunt pod nogami. Po uwięzieniu Piłsudskiego i Sosnkowskiego i po odmowie przysięgi przez Legionistów nie podobna już było robić

z Piłsudskiego i nas wszystkich popleczników niemieckich. Popularność imienia Józefa Piłsudskiego wzrosła niezmiernie i szerzyła się w dalszym ciągu. Zarysowało się coś w rodzaju nieumówionego współdziałania, niepisanego układu między naszym obozem, a Narodowo-Demokratycznym. Nasze niepodległościowe wydawnictwa „Rząd i Wojsko” oraz „Biuletyn Informacyjny” zaczęły być czytane przez tzw. pasywistów i rosły w nakładach.

Wszystkie te sprawy spowodowały, że mimo udzielonej mi instrukcji Komendanta i zasadniczej decyzji Konwentu powziętej na jednym z pierwszych jego zjazdów, kwestia wysłania emisariuszy na drugą stronę frontu poszła na szereg miesięcy w odłokę. Nadszedł koniec roku 1917 zanim sprawa wypłynęła znówu na porządek dzienny; trzeba było bowiem wysłać ludzi wyrobionych, orientujących się politycznie, umiejących mówić i argumentować, takich — szczególnie po wielu aresztach niemieckich — nie mieliśmy bynajmniej w nadmiarze. Wprawdzie cały szereg oficerów I-ej i III-ej Brygady w chwili odmowy przysięgi otrzymał instrukcję, aby uchylić się od internowania i zasilić szeregi P.O.W., byli to jednak przeważnie oficerowie liniowi, bardzo przydatni w szkoleniu i kształceniu wojskowym, ale nie mający ani wyrobienia politycznego, ani skłonności do zajęcia się tą dziedziną pracy. Gdy więc przyszło w początkach roku 1918, po przejściu ostrej fazy kryzysu magdeburskiego, do konkretnego planowania nawiązania łączności na wschód stanęliśmy przed poważnymi trudnościami w dwóch dziedzinach: braku ludzi i braku pieniędzy; te ostatnie bowiem od dawna przestały napływać z kasy oficerskiej I-szej Brygady i z funduszków wpływających na ręce Piłsudskiego i do jego dyspozycji. Kilkunastotysięczna już wówczas P.O.W., wymagająca kilkuset ludzi do prowadzenia jej, przy pełnym wojennym zastoju w kraju i trudności zarabkowania potrzebowała pieniędzy, których niewiele tylko mógł wycisnąć z siebie nasz obóz polityczny. Dopiero głęboka zmiana stosunków na froncie wschodnim w lutym 1918 roku, dzika demobilizacja, która się zaczęła w armii rosyjskiej i rozluźnienie czujności po stronie niemiecko-austriackiej, uczyniła możliwe przedostanie się do Rosji wprost, nie zaś kosztowną drogą okólną przez państwa neutralne.

Ustalone zostało od początku w naszych kierowniczych sferach, że mnie przypadnie w udziale rola emisariusza na wschód i objęcie Komendy Naczelnej P.O.W. po tamtej stronie frontu. W miarę rozwoju wypadków politycznych w Rosji, szczególnie od chwili obalenia rządu demokratycznego i pochwycenia władzy przez bolszewicki odłam socjaldemokratów, w kierownictwie P.P.S. zapadła decyzja nawiązania kontaktu z socjalistami rosyj-

skimi i zorientowania się w tym, jak naprawdę wygląda rzeczywistość rosyjska, czym są owi bolszewicy i czego należy się od nich spodziewać. Postanowiono więc, że emisariusze P.P.S. obok wysłańców P.O.W. będą musieli również pójść na wschód, spróbować układów z bolszewikami na temat ich stosunku do Polski. Zostało wkrótce ustalone, nie bez wpływu Konwentu, że z ramienia P.P.S. udadzą się na wschód dwaj ludzie związani ściśle z obozem Piłsudczyków i oddani Piłsudskiemu — Andrzej Strug i Tadeusz Hołówko.

Komendant Naczelny P.O.W., Rydz-Śmigły, w porozumieniu z Jędrzejem Moraczewskim jako przewodniczącym Konwentu, zdecydował, że emisariuszami P.O.W. będą oprócz mnie kpt. Leopold Lis-Kula, ze względu na jego wybitne zdolności wojskowe i świetną kartę służby w I-szej Brygadzie oraz ppor. Tadeusz Schaetzel, oficer artylerii I-szej Brygady. Oprócz nominacji na Komendanta Naczelnego P.O.W. na Ukrainę i Rosję (K.N.3.) otrzymałem również pisemne pełnomocnictwo do ewentualnych pertraktacji politycznych z ramienia Konwentu, jako najwyższej władzy tajnej obozu niepodległościowego w kraju.

Już po ustaleniu tego wszystkiego przyszła dalsza kilkotygodniowa zwłoka z powodu braku najskromniejszej choćby sumy na koszt podróży i pobytu w nowym terenie, z zapewnieniem niezależności osobistej wysłańców. Wreszcie i ta trudność została przełamana. Wacław Sieroszewski zjawił się któregoś dnia u mnie, przynosząc tryumfalnie jedną, czy dwie pięćset rublówki, które udało mu się wycisnąć od zamożnych sympatyków.

Bogusław MIEDZIŃSKI

(d.c.n.)

POLEMIKI

W. M. MARCINKOWSKI

JESZCZE O NARODOWYCH SIŁACH ZBROJNYCH

W dyskusji na łamach *Zeszytów Historycznych* (*Zeszyty Historyczne*, Nr 34-ty) na temat książki p. Stefana Korbońskiego pt. „Polskie Państwo Podziemne” (Biblioteka „Kultury”, tom 253) brak jak dotychczas głosu ludzi, których p. Korboński konsekwentnie atakuje przy każdej okazji i oskarża o różne zbrodnie. Robi to tu, na Zachodzie, chyba od chwili kiedy, po nieudanej próbie znalezienia *modus vivendi* w ustroju komunistycznym, ratował swe życie ucieczką z Polski.

Byli w Polsce ludzie, którzy, już w 1941 roku, zdali sobie sprawę że, od momentu zaatakowania Rosji przez Niemcy, wrogiem numer jeden Polski stała się Rosja. Wtedy gdy „Polskie Państwo Podziemne” szafowało hojnie życiem Polaków udzielając pomocy sprzymierzeńcowi naszych aliantów („Wachlarz”, patrz Cezary Chlebowski, „Zagłada IV Odcinka”, PAX, 1968 r. i o innych odcinkach „Wachlarza” — artykuł w *Dzienniku Związkowym* (Zgoda) z 12 stycznia 1976 r., Chicago, pt. „Wieczór Autorski Cezarego Chlebowskiego”), ludzie ci stanęli na stanowisku że, pozostając w obozie aliantów, okupowana Polska ma za swoje główne zadanie zachowanie siły żywej narodu i podtrzymywanie jego morale w tragicznych warunkach okupacji. Pod koniec wojny, gdy oczywistą się stała świadomość nadchodzącej okupacji Polski przez Rosję, doszła do tego konieczność przygotowania społeczeństwa do zajęcia właściwej postawy w stosunku do nowych okupantów i ich kolaborantów.

Zdaniem tych ludzi Niemcy wojnę przegrały w momencie zaatakowania Rosji. Stało się to tym bardziej oczywiste po Pearl Harbour. (*Szaniec* Nr 15 (106) z 4 grudnia 1943 r.).

Udział polskich jednostek wojskowych w walkach na zachodzie był dostatecznym wkładem Polski w wysiłek aliancki. Nie

było potrzeby udawadniać naszego stanowiska nieprzemyślanymi — jeśli idzie o ich skutki dla Polaków w okupowanej Polsce — akcjami wywiadowczymi i sabotażowymi.

Taka była postawa tak zwanego środowiska „Szańca”. Było ono przedłużeniem przedwojennej tajnej organizacji Obozu Narodowo-Radykalnego, ONR, rozbudowanej pod okupacją przez dołączenie do niej ogromnej liczby wartościowych elementów, stojących w okresie pokoju z dala od życia politycznego. Środowisko „Szańca” weszło do ruchu oporu przeciw okupantowi z chwilą zakończenia działań wojennych, gdy po niefortunnej kampanii wrześniowej, zaczęli wracać do domów ludzie z rozbitych oddziałów wojskowych, z tzw. armii płk. Umiańskiego i uciekinierzy z niewoli niemieckiej i rosyjskiej.

Gdy społeczeństwo polskie usiłowało wyjść z impasu spowodowanego rozbiem organizacji życia społecznego przez trzy-nastoletnie rządy dyktatury sanacyjnej, środowisko Pokolenia Polski Niepodległej zorganizowało podziemną organizację wojskową „Związek Jaszczurczy”, ZJ, późniejsze Narodowe Siły Zbrojne, który ogarnął swymi wpływami całą Polskę i swoim wywiadem sięgnął aż do Berlina („Pomorze”, Magazyn Społeczno-Kulturalny, Nr 19 (337), Bydgoszcz - Toruń, 1-15 października 1970 r., str. 6), a od 1942 roku rozpoczął akcję partyzancką („W Marszu i Boju”, Wydawnictwo Zarządu Głównego Samopomocy Żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej, Monachium, 1948 r.).

Środowisko to zorganizowało przy Związku Jaszczurczym „Komisariat Cywilny”, usamodzielniony następnie i przemianowany na „Służbę Cywilną Narodu”. Uruchomiło olbrzymi, tajny aparat wydawniczy periodyków i książek. (Patrz: *Katalog Polskiej Prasy Konspiracyjnej, 1939-1945*, opracował Lucjan Dobroszycki, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej i Władysława Chojackiego *Bibliografia Zwartych Druków Konspiracyjnych*, Warszawa, 1970, wyd. Państwowe Wydawnictwo Naukowe). Zorganizowało sieć łączności na Węgry, z której korzystało tzw. „Biuro Polityczne” przyjaciół gen. Sikorskiego (Świętosławski, Szpotkański, Drewnowski, Miklaszewski).

Ale Pokolenie Polski Niepodległej, myślące innymi kategoriami niż politycy wychowani na problemach różnic orientacyjnych sprzed pierwszej wojny światowej i na walkach partyjnych krótkiego okresu demokracji w Polsce niepodległej, nie mogło znaleźć uznania tak zwanych czynników oficjalnych. Ludzie, dla których interes partyjny identyfikował się z interesem Polski, znaleźli się u steru Polski pod okupacją i na zachodzie. A i animozje personalne też odgrywały ogromną rolę.

Zabrakło w polityce polskiej ludzi takich, jakimi przed pierwszą wojną światową byli Dmowski i Piłsudski. Obaj oni mieli jasną, choć każdy inną, wizję odbudowy niepodległej Polski. Obaj zresztą, niestety, nie potrafili przystosować się do nowych warunków życia politycznego w odbudowanym państwie polskim.

Wysiłki środowiska „Szańca” dojścia do współpracy czy to z „Grubą Czworką”, czy to z ZWZ, później AK, spotykały się zawsze z żądaniem bezwarunkowego podporządkowania się. Mielśmy propozycję Stefana Sachy wejścia do Stronnictwa Narodowego i tą drogą do wpływów w Polskim Państwie Podziemnym. Nie uważaliśmy jednak za właściwe obciążanie się hipoteką tej partii politycznej i podporządkowywanie się jej przywódcom.

Korzystało z naszych usług „Biuro Polityczne”, któremu nasza drukarnia tajna drukowała jego wydawnictwa, a nasi łącznicy utrzymywali łączność i przerzucali ludzi na Węgry. Korzystał z naszych przejść granicznych i naszych usług Delegat Rządu na Pomorze. Komórki „Służby Cywilnej Narodu” utrzymywały kontakt i służyły swymi osiągnięciami odpowiednim komórkom Delegatury Rządu. Przekazywaliśmy zebrane przez nasz wywiad informacje do wywiadu AK. Na wielu terenach była bliska współpraca naszych dowódców terenowych z ich odpowiednikami z AK. Ale wszystko to było robione bez oficjalnego uznania Władz Polski Podziemnej. I nawet po wojnie nikt z tych panów nie raczył wspomnieć o tym w druku. Trzeba było artykułu w wydawanym w Polsce „Pomorzu”, ażeby wiadomość o przekazywaniu informacji przez wywiad ZJ do wywiadu AK została opublikowana, podczas gdy ludzie AK nie wspominają o tym w swych pracach.

Nawiązaliśmy przyjazne stosunki z prof. J. Piekałkiewiczem gdy został Delegatem Rządu. Zarysowała się możliwość współpracy i wymiany wyników prac (Artykuł pt. „Służba Cywilna Narodu”, *Zeszyty do Historii Narodowych Sił Zbrojnych*, Zeszyt IV-ty, str. 126-128). Ale prof. Piekałkiewicz został wkrótce aresztowany (19. 2. 43) i zamordowany (19. 6. 43) przez Niemców. W miesiąc po jego aresztowaniu ukazało się potępienie NSZ podpisane jego nazwiskiem (Jan Rzepecki, *Wspomnienia i Przyczynki Historyczne*, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, 1956, str. 260). Kto był autorem tego potępienia? Może prowadzone w tym czasie rozmowy z PPR'em (J. J. Terej, *Rzeczywistość i Polityka*, str. 294, Warszawa, 1971) były przyczyną tego „zaocznego” wyroku?

Książka pana Korbońskiego zawiera wiele błędów i bardzo personalnych ocen. Niektóre z nich wytknął mu p. Siemaszko w swej recenzji. Ja w tym liście zajmę się tylko niektórymi sprawami dotyczącymi „Grupy Szańca” i NSZ. Omówienie wszystkiego co o tym pisze p. Korboński wymagałoby książki nie listu.

Wydaje mi się że w konspiracji nie miał p. Korboński bezpośrednich kontaktów z „Grupą Szańca” i NSZ. Wszystkie jego informacje pochodzą zapewne z drugiej ręki. Był zapewne informowany przez szefa BIP'u (Biuro Informacji Politycznej), płk. Rzepeckiego i przez wywiad AK. Wywiad AK nie kierował się, taką jak płk Rzepecki, nienawiścią do środowiska „Szańca”, ale też był do niego raczej wrogo nastawiony, mimo że z naszych, nigdy nie pokwitowanych informacji, korzystał.

O słabym poinformowaniu p. Korbońskiego o tym co się

działo w podziemiu, poza jego własną sferą działania, najlepiej świadczy jego twierdzenie o zamordowaniu przez NSZ pracowników BIP'u, Widerszala i Makowieckiego. Ludzie lepiej poinformowani wiedzieli, że był to wyczyn komórki likwidacyjnej wywiadu AK, kierowanej przez Władysława Jamontę, dawnego działacza Falangi Bolesława Piaseckiego. Wiadomość o popełnieniu tej zbrodni przez komórkę AK, z wiedzą czy bez wiedzy czynników kierowniczych AK, mogła przeszkodzić w rozmowach PPR'em. Rzucono więc oskarżenie na NSZ. Czy nie podobnie rzecz się miała z Handelsmanem i Krahelską i innymi? Czy informację o popełnieniu tej zbrodni przez NSZ dostał p. Korboński od szefa BIP'u, płk. Rzepeckiego? P. Korboński zarzut ten stawia jako stwierdzony fakt, podczas gdy nawet J.J. Terej (*Rzeczywistość i Polityka*, str. 277), który swą książkę pisał w Polsce i opierał się głównie na tzw. „relacjach”, czyli zeznaniach wymuszonych przez Bezpiekę, pisze że sprawy te nie są jeszcze dostatecznie zrozumiałe i wyjaśnione. Podobne stanowisko zajął p. Siemaszko.

W mojej obecności ks. Jan Salamucha opowiedział o swoim spotkaniu z gen. Rostworowskim. Zapytany dlaczego AK puszcza plotkę że to NSZ zamordował Widerszala i Makowieckiego, gen. Rostworowski odpowiedział, że sprawca jest znany ale ze względów politycznych wygodniej jest władzom AK utrzymywać błędną informację o sprawcach morderstwa. Na marginesie: Bolesław Piasecki zadenuncjował Jamontę Bezpiece w związku z tą sprawą. Chwalił się tym na śledztwie Różański.

P. Korboński kładzie silny nacisk na rzekomą antysemicką działalność środowiska „Szańca” i NSZ pod okupacją, ale nie przywiązuje wagi do udowadniania swych twierdzeń, więc trudno wiedzieć na czym swe oskarżenia opiera. Faktem jest że, w warunkach stworzonych dla Żydów przez Niemców, w środowisku tym decydowały względy humanitarne. Mogę tu przytoczyć przykład osobisty. W początkach okupacji wypłacałem z kasy mojej firmy „zaliczki na dostawy powojenne” inżynierowi pochodzenia żydowskiego, zagrożonemu gettem. A znałem go tylko z rozmów telefonicznych. Dostarczył mi przed wojną kompresory do klimatyzacji.

W odpowiedzi na recenzję p. Siemaszki, p. Korboński radzi mu by nie wywoływał wilka z lasu. Chciałbym zapytać czy, to co p. Korboński robi we wszystkich swoich publikacjach, nie jest wywoływaniem wilka z lasu? A na dodatek wskazywaniem mu żeru? (*ACEN News*, listopad-grudzień 1969 i *Congressional Record*, Nr 26, Vol. 116). Czy tylko brak konsekwencji?

P. Korboński twierdzi że zna „haniebne wyczyny NSZ” mordowania Żydów po lasach z raportów podziemnych. Czy znowu od płk. Rzepeckiego? I pisze dalej że: „zresztą NSZ nie robił z tego specjalnej tajemnicy. Byli nawet tacy, którzy się tym chlubil”. Czy p. Korboński byłby łaskaw przytoczyć nazwiska tych którzy

się tym chlubili? I wyjaśnić na czym opiera informację, że NSZ nie robił z tego specjalnej tajemnicy. Bo ja wiem że NSZ Żydów po lasach nie mordował i „nie robił z tego specjalnej tajemnicy”. Mordowały Żydów i nie tylko Żydów różne bandy włączące się po lasach i podające się nieraz za oddziały AK, NSZ, BCh itp.

Przy okazji może by p. Korboński mógł podać również nazwiska ludzi, o których w swej książce *W Imieniu Kremla*, na str. 365 pisze: „Czołowi przywódcy NSZ poskładali wizyty potężnym żydowskim organizacjom, zaraz po przyjeździe do New Yorku”. Bardzo mało czołowych NSZ-owców wylądowało na Zachodzie, chyba żaden w New Yorku. A ci co się znaleźli na Zachodzie, nie myśleli o wizytach ciężko pracując na chleb powszedni, bo byli pozbawieni dostępu do kas państwowych i partyjnych. Bardzo bym chciał dowiedzieć się kogo p. Korboński uważa za czołowych przywódców NSZ'u.

Ogromnie mnie zafrapował ustęp w odpowiedzi na recenzję p. Siemaszki, w którym p. Korboński pisze: „Fakt że byłoby trudno dostarczyć listę z datami, cyframi i nazwami NSZ'owskich mordów na Żydach nie dowodzi bynajmniej, że tych mordów nie popełniono”.

Rozumując podobnie, fakt że byłoby trudno dostarczyć listę z datami, cyframi i nazwiskami osób okradzionych przeze mnie nie dowodzi bynajmniej, że ja nie kradłem. Ale wątpię by p. Korboński taki zarzut postawił w tej formie komukolwiek, nie tylko mnie, bo obawiałby się procesu o zniesławienie (*libel*). W wypadku NSZ może sobie na to pozwolić bo wie że nie będzie pociągnięty do sądu, który nie jest w stanie rozstrzygać o sprawach, które miały miejsce w okupowanej Polsce.

Kiedy w biuletynie *ACEN News* ukazało się oskarżenie przez p. Korbońskiego NSZ'u o mordowanie Żydów po lasach i inne podobne zbrodnie, myślałem o napisaniu listu do redakcji biuletynu, prostującego fałszywe oskarżenia. Ale po namyśle doszedłem do wniosku że nie jest to właściwe forum do dyskusji na te tematy. Szczególnie że w tym biuletynie p. Korboński miałby ostatnie słowo.

P. Korboński pisze też o akcji pod Borowem. Jego ujęcie tej sprawy zgadza się z relacją płk. Rzepeckiego w jego „Wspomnieniach”. Ale gdyby p. Korboński przeczytał sobie artykuł w Nrze 15 (106) *Szańca* z 4 grudnia 1943 roku, pt. „NSZ potępione — Armia Ludowa uznana” to znalazłby tam następujący ustęp: „...czynniki 'miarodajne' umieściły w stałym swem sprawozdaniu powyższą akcję oddziału NSZ, jako czyn dokonany przez oddziały Armii Krajowej”. Akcja miała miejsce 9 sierpnia 1943 r. Czynniki „miarodajne” pochwały się likwidacją bandy gnębiącej ludność okolic Borowa. A w Nrze 46 (200) *Biuletynu Informacyjnego* z dn. 18 listopada 1943 roku od tej akcji się odżegnały, nazywając ją „ohydnym wymordowaniem w dniu 5 sierpnia br. oddziału tzw. Armii Ludowej pod Borowem w woj. Lubelskim”.

Borów i okolica gnębione były działalnością komunistycznej bandy „Gwardii Ludowej” dowodzonej przez niejakiego Skrzypka, przedwojennego komunistę i podobno wiejskiego złodzieja, karanego przed wojną więzieniem. Akcje „Gwardii Ludowej” powodowały represje okupanta na ludności cywilnej. W cytowanym powyżej artykule pisał *Szaniec*, że akcja oddziałów bolszewickich w Polsce „ma na celu stworzyć taki terror niemiecki, by wywołać zbrojne powstanie w Polsce”. Likwidacja band rosyjskich i komunistycznych kierowanych z Rosji leżała w interesie polskim. Tak to oceniły początkowo czynniki „miarodajne”. Gdy okazało się że była to akcja NSZ, ocena została zmieniona na „mord”. „Zawiadomienie w Biuletynie Informacyjnym ukazało się pod naciskiem płk. Rzepeckiego (*Wspomnienia i Przyczynki Historyczne*, str. 261).

P Korboński pozwolił sobie na napisanie że Brygada Świętokrzyska „przeszła na stronę Niemców”. Nie łatwo w krótkich słowach tę sprawę omówić. Ale spróbuję. Może p. Korboński tę obelgę cofnie.

Przez prawie cały okres okupacji spotykałem się u Antoniego Goerne na co-tygodniowej kawie z różnymi ludźmi z Delegatury, z AK i z różnych grup politycznych. Bywali tam m.in. gen. Wroczyński, płk Kurcusz, prof. Piekałkiewicz, sen. Kobylański i inni. Jedną z osób tam poznanych był płk X (nazwiska nie podaję bo może być w kraju), ze sztabu AK, pracujący w sprawach ziem zachodnich Polski.

Od niego wyszła propozycja przygotowania planów ewentualnego współdziałania NSZ i AK w wycofaniu na zachód oddziałów obu organizacji w wypadku ich zagrożenia przez bolszewików. NSZ mógł być w tej akcji pomocny dla AK bo miał na zachodzie dobrze rozbudowaną organizację i sprawną łączność z ziemiami „przyłączonymi do Reichu”. Propozycja nie była uzależniona uznaniem NSZ przez AK.

W myśl tej propozycji, która szła po linii naszych planów, i, jak się później przekonałem, była zgodna z wytycznymi Naczelnego Wodza, gen. Sosnkowskiego, dla Lawiny (gen. Bór) zawartymi w depezy z dnia 25 lipca 1944 roku (*Zeszyty Historyczne* Nr 25, str. 222, Witold Babiński, „Wymiana Depesz Między Naczelnym Wodzem a Dowódcą Armii Krajowej, 1943-1944”, część III, punkty „b” i „c”), opracowany został plan stworzenia dwóch rzutów oddziałów NSZ, które by, we współdziałaniu z AK, wycofywały się w walce z Niemcami, przed posuwającym się na zachód frontem bolszewickim.

Płk X nie uzyskał zatwierdzenia tych planów w sztabie AK. Sprawa współdziałania upadła, ale nasze plany miały być realizowane samodzielnie. W momencie gdy była przygotowywana ewakuacja naszych oddziałów, magazynów broni i sztabów z Warszawy i okolic, wybuchło w Warszawie powstanie. Uniemożliwiło to stworzenie dwóch silnych zgrupowań dla marszu na zachód. Pozo-

stała jedynie Brygada Świętokrzyska, która została stworzona z drobnych oddziałów partyzanckich z myślą przeszkolenia w działaniu większej jednostki. Miała być załącznikiem południowego rzutu sił przebijających się na zachód. Łączność z innymi oddziałami i z terenem została zerwana, bo sztab i centrala łączności nie zostały na czas ewakuowane z Warszawy.

Sytuacja na froncie wschodnim zdawała się świadczyć o tym, że powstania nie będzie. Rozbitków armii niemieckiej, ciągnących na zachód przez Warszawę, zastąpiły świeże oddziały dążące na wschód. Zresztą w piątek, 28 lipca, rozmawiał z gen. Borem z naszego ramienia prezes Janusz Regulski i dostał od niego zapewnienie że o powstaniu w zaistniałej sytuacji, mowy nie ma. Toteż nie pośpieszyliśmy się z ewakuacją ludzi, broni i sztabów z Warszawy.

Brygada Świętokrzyska była jednostką zbyt słabą by samodzielnie wykonać zadanie planowane dla dużo większych sił. Pozostanie na terenie zajętym przez armię rosyjską skazałoby Brygadę na stoczenie beznadziejnej walki z nowym okupantem. Rozwiązanie Brygady byłoby równoznaczne ze skazaniem na mękę i śmierć tysiąca patriotycznej młodzieży zdekonspirowanej w stosunku do komunistycznych kolaborantów.

14 stycznia 1945 roku Brygada stoczyła ciężką walkę z przeważającymi siłami niemieckimi, które przybyły obsadzać linię rowów przeciwpancernych, które Brygada miała przekroczyć, aby się znaleźć na tyłach niemieckich. O przekroczeniu linii rowów nie było już mowy. Brygada skierowała się na Żarnowiec i po moście, słabo obstawionym przez Niemców, przekroczyła Pilicę, ostrzelując się atakującym od tyłu bolszewikom.

Odchodząc od linii frontu Brygada doszła do lasów pszczyńskich. Okazało się że droga przez las jest obstawiona przez spadochroniarzy niemieckich. Stało się oczywiste że Niemcy zamierzają rozbroić Brygadę. Zarządzone zostało przesunięcie do przodu oddziałów osłaniających tabory i pozostawienie ich bez osłony aby nie stanowiły przeszkody w walce. Zorientowawszy się że Brygada gotowa jest przyjąć walkę, niemiecki dowódca odcinka frontu wycofał spadochroniarzy.

Pod pozorem, prowadzonych jakoby w tym czasie, rozmów z Zachodem o zaprzestanie wojny i przejście na wspólną obronę Europy przed zalewem komunistycznym, Niemcy próbowali skłonić Brygadę do wzięcia udziału w tworzonemu przez nich legionie anty-bolszewickim. Udział w tej imprezie mieli brać biali Rosjanie, Żelazna Gwardia, Rexisti itd. Stanowcza odmowa Dowództwa Brygady wzięcia udziału w jakiejkolwiek imprezie przy boku Niemców, spowodowała propozycję przeczekania na Morawach do czasu zakończenia pertraktacji z Zachodem i nawiązania kontaktów z rządem polskim w Londynie.

Uzyskany czas został wykorzystany przez Brygadę na przeorganizowanie zlepką oddziałów partyzanckich w zwartą jednostkę bo-

jową. Było to możliwe dzięki zamieszanemu panującemu wśród Niemców w Czechach, gdzie każdy z nich myślał o ratowaniu swej głowy w obliczu nadchodzącej nawały bolszewickiej.

W dogodnym momencie Brygada została poderwana do marszu i, unikając okolic obsadzonych przez załogi niemieckie, południem Czech dotarła na tyły niemieckie pod Pilznem. Wysłany przez front patrol nawiązał łączność z Amerykanami i wspólnie z nimi Brygada uderzyła na Niemców, przerywając ich linię frontu. Przy okazji Brygada uwolniła obóz koncentracyjny kobiet w Holiszowie.

W obozie tym przebywało około trzystu kobiet, w większości Żydówek. Od szeregu dni były one zamknięte w barakach i pozbawione jedzenia i wody. A baraki były obstawione beczkami z benzyną, przeznaczoną do ich podpalenia w momencie nadejścia Amerykanów. Zaskoczona natarciem Brygady, obsługa SS obozu nie zdołała podpalić baraków. Dostała się w komplecie do niewoli i została przekazana Amerykanom.

Przez cały czas od chwili przejścia za linię frontu nie zrobiła Brygada nic co by pomogło Niemcom w ich walce. Wprost przeciwnie stanowiła dla nich potencjalne niebezpieczeństwo na tyłach.

Przejście Brygady na zachód to wyczyn chyba jedyny w historii polskiej wykorzystania wroga dla własnych celów. Wymagał żelaznych nerwów i umiejętności grania na zwłokę.

Wyczyn z którego dumni są żołnierze Brygady Świętokrzyskiej i ich koledzy z Narodowych Sił Zbrojnych.

Tyle jeśli chodzi o to, co p. Korboński tak nonszalancko nazywa przejściem „na stronę Niemców”. Nasi politycy nie wahali się poświęcić życia trzystu tysięcy Polaków wywołując powstanie w Warszawie. Próba mobilizacji AK, jak pisze p. Korboński o akcji „Burzy”, udała się i w Warszawie. I zmobilizowała nie tylko AK ale i całe społeczeństwo Warszawy łącznie z NSZ. I zniszczyła nie tylko ludność Warszawy ale i samo miasto. Miasto, które zawsze było ośrodkiem oporu przeciw każdemu okupantowi. Miasto i zabytki odbudowano. Ale tych co zginęli w powstaniu, tych wywiezionych przez Niemców i tych wywiezionych na wschód zabrakło by przywrócić Warszawie jej historyczny charakter.

Kiedy Brygada Świętokrzyska znalazła się pod opieką Amerykanów, polski Londyn, sądząc że jest to oddział AK, przysłał oficerów łącznikowych by się nią zajeli. Wycofano ich gdy się przekonano że jest to oddział NSZ. Gdyby to było AK chwalono by bohaterów i umiejętność wykorzystania wroga. NSZ trzeba było potępić. Taką była zawziętość naszych polityków wobec każdego kto ośmielił się mieć własne niezależne zdanie. A przecież przejście na zachód Brygady mogło być dla rządu emigracyjnego doskonałym argumentem przeciw naciskowi naszych zachodnich aliantów o uznanie przez Polaków marionetek Stalina za legalny rząd polski. Tak jak otwarło oczy Amerykanom, z którymi zetknęła się Brygada, na cele Rosji we Wschodniej Europie.

Czy NSZ nie miał racji ratując życie tysiąca Polaków, którzy dziś na wszystkich terenach naszej diaspory wybijają się w pracach polonijnych? Czy nasi politycy emigracyjni nie potrafili zdobyć się na obiektywną ocenę swego własnego postępowania w tym trudnym okresie polskiej historii? Rzucając obelgi na przeciwników politycznych bronią się przed uświadomieniem sobie, że nie oni, ale ci których tak namiętnie zwalczali, mieli rację w swej ocenie sytuacji Polski. Dla tych, którzy pod okupacją i teraz w wolnym świecie potrafili myśleć samodzielnie i niezależnie od przydziału partyjnego, taki dokument jak „Uchwały Rady Jedności Narodowej w sprawie Jałty”, drukowany w trzydziestym trzecim *Zeszycie Historycznym*, jest dowodem jacy mali ludzie mieli w swym ręku ster „Polskiego Państwa Podziemnego”.

P. Korboński wspomina o deklaracji „Grubej Czwórki” z 15-go sierpnia 1943 roku. Mówi ona nieśmiało o granicach dających Polsce szeroki dostęp do morza i bezwzględne bezpieczeństwo. A deklaracja Rady Jedności Narodowej z 15 marca 1944 roku domaga się włączenia do Polski całych Prus Wschodnich oraz przesunięcia granicy polsko-niemieckiej daleko na zachód bez precyzowania terminu „daleko”. (*Polskie Państwo Podziemne*, str. 102, 103 i 104). A już cztery lata wcześniej w Nrze 49-tym z 20 grudnia 1940 roku *Szaniec* w artykule pt. „Nasze Cele Wojenne” postawił jako jeden z naszych celów wojennych, postulat granicy zachodniej Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej. Późniejsze wydawnictwa książkowe, drukowane w tajnej drukarni Grupy „Szańca”, podbudowały ten cel danymi historycznymi, ekonomicznymi, ludnościowymi itd. Okazja osiągnięcia tej granicy mogłaby się już nigdy nie powtórzyć i, po Jałcie, byłaby dziś Polska nowym Księstwem Warszawskim. Gdy postulat tej granicy był wysunięty przez *Szaniec*, został on zakwalifikowany przez naszych polityków jako nierealny i drażniący naszych aliantów. A Lech Neyman, autor tej granicy, jedyne realnego osiągnięcia Polski w tej wojnie, zginął zamordowany przez władców PRL'u i nigdy nie jest wspomniany przez naszych publicystów na Zachodzie (*Bibliografia Zwartych Druków Konspiracyjnych*, Władysław Chojnacki, Warszawa, 1970, str. 149, poz. 250, 521, 522).

Oprowadzając czytelnika po „podziemiu” użył p. Korboński tylko tam i tylko takich reflektorów, jakie mu odpowiadały. Toteż jego „przewodnik” ukazuje tylko to co mu w tym podziemiu odpowiada i rzuca cień na to co mu nie odpowiada. W swojej ocenie „Grupy Szańca” i NSZ p. Korboński korzysta jedynie ze źródeł, które mu mogą pomóc w rzucaniu cienia na to środowisko. Są to:

Wspomnienia i Przyczynki Historyczne, Jan Rzepecki, Warszawa, „Czytelnik”, 1956.

Wielka Encyklopedia Powszechna, tom IV, VI i XII, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa.

Polskie Państwo Podziemne, Stanisław Dołęga-Modrzewski, Londyn, 1959.

Studia z Dziejów Ruchu Ludowego, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1971.

Najnowsza Historia Polityczna Polski, Władysław Pobóg-Malinowski, Londyn, 1960.

Armia Podziemna, Tadeusz Bór-Komorowski, wydanie trzecie, „Veritas”, Londyn, 1966.

Powołuje się p. Korboński również na:

„Grupa Szańca i Narodowe Siły Zbrojne”, Z. S. Siemaszko, *Zeszyty Historyczne*, Nr 21, Instytut Literacki, Paryż, 1972.

Wydać mi się że p. Korboński korzystał też chyba z książki *Polityka i Rzeczywistość*, J.J. Terej, Warszawa, 1971, nakładem „Książka i Wiedza”. Książka ta daje dużo materiału faktycznego i nieraz pomaga w odświeżeniu w pamięci nazwisk i chronologii. Opinie w niej zawarte są jednak oparte na tzw. „relacjach”, czyli swobodnych opracowaniach robionych na prośbę Bezpieki w podziemiach ulicy Rakowieckiej.

Kilka słów o źródłach na które powołuje się p. Korboński.

Nie wydaje mi się potrzebne charakteryzowanie płk. Rzepeckiego. Nie miałem przyjemności znać go osobiście, a p. Korboński blisko z nim współpracował w „Polskim Państwie Podziemnym”. Wątpię czy byłby on autorytetem dla p. Korbońskiego tam gdzie pisze o innych sprawach niż o NSZ-cie. A jego relacja o NSZ-cie ziele nienawiścią do tego środowiska. Jest zresztą również krytyczna w stosunku do gen. Bora-Komorowskiego za podpisanie za jego plecami umowy o scaleniu NSZ z AK, w myśl rozkazu Naczelnego Wodza, gen. Sosnkowskiego. Mimo nawet że warunki umowy były dużo mniej korzystne dla NSZ niż wytyczne Naczelnego Wodza. (*Zeszyty Historyczne*, Nr 34, Witold Babiński, „Uzupełnienia”, str. 43-47).

Wielka Encyklopedia Powszechna została wydana pod patronatem władz PRL'u i gdy chodzi o zarzuty stawiane NSZ nie podbudowuje ich dowodami. Wydaje mi się że mógłby p. Korboński znaleźć w niej niejedno hasło, którego wiarogodność zakwestionowałby. Obawiam się że uważałby za niepoważnego, kogoś kto by, pisząc o nim, powoływał się jako na autorytet na hasło „Korboński” na stronie 39-tej szóstego tomu tej Encyklopedii.

Stanisław Dołęga-Modrzewski, znany przed wojną jako Stanisław Kauzik, może być obfitym źródłem informacji o życiu podziemnej Polski pod okupacją, jeżeli udało mu się uratować jego słynny gruby notes, postrach ludzi z którymi się stykał, gdzie skrzętnie notował informacje o swoich rozmówcach i sprawach podziemia. W jego obiektywizm trudno mi uwierzyć gdy sobie przypominam sprawę druku artykułów gen. Sikorskiego w *Kurjerze Warszawskim* i związaną z tym sprawę opięceto-

wania nowobudującej się na ul. Smolnej drukarni tego dziennika. Dużo się mówiło w Warszawie o roli p. Kauzika w tej sprawie.

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza w *Studiach z Dziejów Ruchu Ludowego* zalicza jakoby „Obóz Narodowo Radykalny, tzw. „Grupa ABC” do członków CKON. Nie wiem na czym ta informacja się opiera, bo nie mam dostępu do tego wydawnictwa. Grupa Szańca, o nią pewnie chodzi, miała bliski kontakt z „Biurem Politycznym” Szpotańskiego, Świętochowskiego i in. Ale wejścia do CKON odmówiliśmy z tej prostej przyczyny, że do CKON wchodził znany gangster polityczny Bolesław Piasecki. Jego towarzystwo nam nie odpowiadało. Mieliśmy tam naszego nieoficjalnego obserwatora bo chcieliśmy być poinformowani o wszystkim co się w polskim podziemiu dzieje, ale do CKON nie wchodziliśmy. Błąd „Studiów” wynika zapewne ze zwyczaju naszych krajowych i emigracyjnych polityków mieszania, kiedy im to jest wygodne, ONR'u z Falangą. Piasecki stworzył Falangę kiedy, zaraz po utworzeniu ONR'u, został z niego wydalony za swoje ciągoty do włoskiego faszyzmu i niemieckiego nazizmu.

Gdyby p. Korboński zajrzał do *Zeszytów do Historii Narodowych Sił Zbrojnych*, wydanych w Chicago przez byłych żołnierzy NSZ, to może znalazłby tam fotokopie listów śp. Władysława Pobóg-Malinowskiego do redaktora *Zeszytów*, płk. T. Boguszeńskiego, w których prosi on o egzemplarze tych *Zeszytów* dla przestania do Polski i obiecuje uwzględnić zawarte w nich materiały w przygotowywanych do druku uzupełnieniach do swej książki. Pisał te listy w sanatorium. Umarł zanim zdołał wywiązać się z danej obietnicy. Po jego śmierci nikomu nie zależało na spełnieniu tej jego obietnicy.

Mając takich informatorów jak szef BIP'u, płk Rzepecki, mógł gen. Bór-Komorowski wierzyć w plotkę o zamordowaniu Widerszala i Makowieckiego przez NSZ, choć wydaje się to zupełnie nieprawdopodobne. Może nie chciał, pisząc swą książkę, dezawuować swoich współpracowników, którzy tę plotkę puścili. A może osoba, która zbierała dla niego materiały do tej książki, nie była zainteresowana w prostowaniu informacji, niekorzystnym dla władz AK? A o kiepskim poinformowaniu gen. Bora-Komorowskiego o polskim podziemiu miałem okazję przekonać się w osobistych z nim zetknięciach. Jedna rzecz mnie zastanawia gdy przypominam sobie sprawę zabójstwa Makowieckiego i Widerszala i innych. Dlaczego nikt się nie powołuje na potępienie w *Biuletynie Informacyjnym* AK NSZ'u za te czyny? Czyżby w tym jedynym wypadku nie potępiono go za zarzucane mu czyny? Ja sobie takiego potępienia nie przypominam.

Wydawało się, że autorytetem w sprawach Szańca, był dla p. Korbońskiego p. Siemaszko. Stracił w jego oczach po recenzji książki p. Korbońskiego, wydrukowanej w 34-tym *Zeszycie Historycznym*. Osobiście cenię p. Siemaszkę za pierwszą próbę bez-

stronnego podejścia do historii Grupy „Szańca” i NSZ w jego artykule w 21-szym *Zeszycie Historycznym*. Nie jest jego winą że, nie będąc historykiem i nie mając dostępu do źródeł i dokumentów, popełnia pewne błędy faktyczne, opiera się na opiniach ludzi nastawionych stronnictwo i nie ma możliwości wczucia się w atmosferę kraju pod okupacją, której nie zna z osobistego doświadczenia.

Tyle jeśli chodzi o źródła, z których korzystał p. Korboński. Pozwolę sobie zaproponować mu by zapoznał się z dodatkowymi drukowanymi materiałami. Może by zrewidował po tym swoje opinie i niezgodne z rzeczywistością fakty, podobnie jak miał to zrobić śp. Wł. Pobóg-Malinowski. Są to książki i pisma następujące:

W Marszu i Boju, Wydawnictwo Zarządu Głównego Samopomocy Żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej, Monachium, 1948.

Na Szańcu i Ogniu, Biuletyny wydawane początkowo w Niemczech, następnie we Francji przez byłych żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej, członków kompanii wartowniczych i organizację „Ogniu” we Francji.

Zeszyty do Historii Narodowych Sił Zbrojnych, Nr 1 z 1961 r., Nr 2 z 1962 r., Nr 3 z 1964 r. i Nr 4 z 1969 r. wydawane przez Koło b. Żołnierzy NSZ w Chicago, pod redakcją płk. T. Boguszewskiego. Polecam stronę 85-tą, *Zeszyt 3-ci*, gdzie opisana jest walka oddziału partyzanckiego NSZ z Niemcami na szosie Gościeradów-Kraśnik. Zginął wtedy starszy strzelec 'Dzik' z plutonu szkolnego, Żyd z Warszawy. Pisze mi jego dowódca: „Miałem w pułku partyzanckim, dowodzonym przeze mnie, chłopca pochodzenia żydowskiego, którego partyzanci nasi znaleźli śpiącego w zagajniku. Wychowaliśmy go na dobrego żołnierza, miał pseudonim 'Dzik'”.

Pomorze, Magazyn, Nr 19 (337), str. 6, Budgoszcz-Toruń, 1-15 października 1970 r. Artykuł z serii „Ruch Oporu Polaków Deportowanych”, przez Konrada Ciechanowskiego, pt. „Związek Jaszczurczy”.

Polska Granica Zachodnia, Gerard Labuda, Wydawnictwo Poznańskie, 1971, str. 285 i fotografie między stronami 272 i 273 okładek książek i ryciny z jednej z nich, wydanych pod okupacją nakładem *Szańca*.

O *Katalogu Polskiej Prasy Podziemnej* i o *Bibliografii Zwartych Druków Konspiracyjnych* p. Korboński wspomina w swojej bibliografii. Zapewne jednak jednak nie zwrócił uwagi na tytuły i ich ilość, zaliczone do wydawnictw Grupy „Szańca”, bo pisząc o Grupie „Szańca” i NSZ o tym ich dorobku nie wspomina.

Wydaje mi się że p. Korboński, nie tak jak ja, ma zapewne dostęp do londyńskich archiwów (Studium Polski Podziemnej, Archiwum Prezydenta R.P. i innych), gdzie mógłby się zapoznać z prasą podziemną i wydawnictwami książkowymi Grupy „Szańca”. Może by mu to pomogło stwierdzić, że polityka tej grupy była

dużo bardziej realna niż polityka tych, którzy liczyli na dobrą wolę Stalina, PPR, Churchilla czy Roosevelta.

Z opisu źródeł, z których korzystał p. Korboński, wynika chyba jasno że opiera się on w swoich argumentach tylko na źródłach które mu pomagają w potępieniu Grupy „Szańca” i NSZ. Bez względu na ich wiarygodność i obiektywizm. Z jednym tylko wyjątkiem p. Siemaszki, na którego powołuje się dwukrotnie. Raz gdy pisze o zabójstwie Widerszala i Makowieckiego, przypisując je autorytatywnie NSZ'owi, podczas gdy p. Siemaszko pisze „Ostateczne rozstrzygnięcie tego problemu jest chyba niemożliwe”. A drugi raz gdy pisze o niezalegalizowaniu NSZ przez polskie władze w Londynie. Mam u siebie oryginał listu generała Wł. Andersa do dra Kazimierza Gluzińskiego w Paryżu, datowany 27 lutego 1953 roku (fotokopia na str. 202). Pisze w nim śp. gen. Anders m.in. „Uregulowanie kwestii stanu służby żołnierzy NSZ będzie w niedługim czasie załatwione. Mam nadzieję, że zniknie wreszcie dotychczasowy niefortunny podział między żołnierzami, którzy się bili z wspólnym wrogiem i dla wspólnego celu”. Wykonaniu obietnicy przeszkodziło wejście śp. gen. Andersa do tzw. Zjednoczenia. A więc znowu względy partyjne nie pozwoliły na uznanie Pokolenia Polski Niepodległej.

Poza źródłami drukowanymi p. Korboński powołuje się również na informacje otrzymywane w raportach podziemnych. Czy autorami ich nie byli ludzie tacy jak Rzepecki, Muzyczka, Tatar i im podobni, którzy wybrali wolność za żelazną kurtyną?

Chciałoby się napisać o wielu jeszcze fałszywych informacjach, w które wierzy p. Korboński, jak choćby o naiwnej jego wierze w plotkę, puszczoną przez komunę, o projektowanej przez NSZ nocy św. Bartłomieja. Na liście puszczonej przez komunę znalazły się też nazwiska członków Służby Cywilnej Narodu, komórki Grupy „Szańca” i innych ludzi tego środowiska. Ale p. Korboński przyjmuje za dobrą monetę wszystko co rzuca cień na środowisko Grupy „Szańca”, tak przez niego nie lubiane. Taka postawa zaślepia i podkopuje wiarygodność wszystkich jego relacji o Polskim Państwie Podziemnym.

Napisanie tego listu zajęło mi moc czasu, co jest normalne przy moich zajęciach zawodowych. No i nie łatwo mi było zebrać dokumenty przechowywane w niedostępnych dla mnie archiwach. Musiałem też z powodzi fałszywych informacji i błędów, zawartych w książce p. Korbońskiego i w jego odpowiedzi panu Siemaszce, wybrać tylko te najistotniejsze. Zapisiałem stopy papieru i przekonałem się, że wyczerpująca odpowiedź wymagałaby książki a nie listu do Redakcji. Ale ufam że i tak skrócony pozwoli Czytelnikom *Zeszytów Historycznych* i przyszłym historykom, jeśli będzie wydrukowany, ażeby prace typu „Przewodnika po Podziemiu” traktowali *cum grano salis*.

Bardzo bym chciał przy okazji popolemizować i z p. Siemasz-

ką. Ale na jego artykuł w 21-szym *Zeszycie Historycznym* napisałem moją odpowiedź na 24-ch stronach maszynopisu i właściwie nigdy jej nie skończyłem. Pisałem ją zresztą „do szuflady”, nie licząc na możliwość jej wydrukowania. Jedno tylko zdanie p. Siemaszki o NSZ z jego recenzji książki p. Korbońskiego chciałem skomentować. Na str. 191-szej pisze p. Siemaszko: „Środowisko to nabroili dostatecznie dużo, po cóż przypisywać mu jeszcze motywy bardziej obciążające”.

Nie byliśmy aniołami ani świętymi. Byliśmy zwykłymi śmiertelnikami. Podobnie jak ludzie AK i innych organizacji polskiego podziemia, popełnialiśmy błędy. Ale nie popełniliśmy ich więcej niż inni. I potrafiliśmy być krytyczni w stosunku do własnych posunięć i wprowadzać poprawki gdzie były one potrzebne, bo za tymi, którzy działali na zewnątrz, stała silna organizacja tajna, mająca w swym składzie ludzi nieprzeciętnych, która nie pozwalała by robota zewnętrzna zeszła na manowce. Świadomość tego była chyba jednym z głównych powodów, które nie pozwoliły ludziom „Polskiego Państwa Podziemnego” na uznanie Pokolenia Polski Niepodległej.

W warunkach pracy konspiracyjnej musiały się zdarzać, i nie tylko w NSZ-cie, wypadki indywidualnej niesubordynacji, przekraczania kompetencji i samowoli. To był problem wszystkich organizacji podziemnych. Walczyliśmy z tym w miarę naszych możliwości i dumni jesteśmy że potrafiliśmy bez pomocy z zewnątrz dać sobie z tym radę. A naszym postępowaniem nigdy nie kierował interes partyjny, grupowy czy klasowy. Kierował nim interes Polski i całego narodu polskiego.

A jeśli p. Siemaszko pisząc o „nabrojeniu” przez środowisko „Szańca” myśli o niepodporządkowaniu się jego „czynnikom miarodajnym” to mogę go zapewnić, że przez cały czas okupacji dążyliśmy do włączenia naszych szeregów do wspólnego wysiłku Polskiego Państwa Podziemnego. Nie dopuścili do zjednoczenia ludzie typu Rzepeckiego i partie polityczne obawiające się dynamizmu Pokolenia Polski Niepodległej. Podpisanie umowy scaleniowej NSZ z AK powitała Grupa „Szańca” z entuzjazmem (*Szaniec*, Nr 3 (109) z 15 kwietnia 1944 r. artykuły „Jedna Armia Gwarantując Siły” i „Wielka Chwila”). Nie dopuścili do lojalnego wykonania umowy ludzie, którym zależało na rozbiciu niewygodnego dla nich środowiska a nie na scaleniu wysiłku zbrojnego narodu.

Łączę wyrazy szacunku i pozostaję z poważaniem,

W. M. MARCINKOWSKI

Gen. Dyw. W. ANDERS

7. Waverton Street,
London, W.1.

Dn. 27 lutego 1953.

Wielce Szanowny Panie Doktorze,

Żałuję, że brak czasu nie pozwolił mi porozmawiać z Panem podczas mego pobytu w Paryżu.

Z tego co mi meldował ppłk. Bittner oceniam, że odpowiedź co do wykorzystania Panów Komórki Krajowej ma nastąpić w marcu. Mam więc nadzieję, że skromna pomoc jaką byłem w stanie dla jej przetrwania udzielić — przetrwanie to umożliwi.

Uregulowanie kwestii stanu służby żołnierzy N.S.Z. będzie w niedługim czasie załatwione. Mam nadzieję, że zniknie wreszcie dotychczasowy niefortunny podział między żołnierzami, którzy się bili z wspólnym wrogiem i dla wspólnego celu.

Co do „Ogniwa” — będę Panom wdzięczny za oddziaływanie pośród dawnych żołnierzy N.S.Z. będących w Panów zasięgu, w takim kierunku, aby byli oni gotowi do służby w P.S.Z. wtedy gdy one powstaną. Przed tym mogą zaistnieć możliwości szkolenia wojskowego czy to „we własnym zakresie”, czy to być może w wojskowych ośrodkach alianckich. Liczę więc na to, że młodzież „Ogniwa” weźmie w tym szkoleniu żywy udział. Gdy tylko te możliwości zaistnieją, nie omieszkać Panów o tym zawiadomić.

Proszę przyjąć, Panie Doktorze, wyrazy szacunku i pozdrowienia,

(—) W. ANDERS

Dr. K. Gluziński,
55, rue de l'Est,
Boulogne (Seine)
France.

Kajetan BIENIECKI

„BURZA” W KRAKOWSKIM — ANALIZA JEDNEGO DOKUMENTU*

O historii Armii Krajowej piszą jeszcze ci, którzy w niej służyli — i to nie tylko Polacy — ale jednocześnie już piszą inni, zwłaszcza w Kraju, którzy byli za młodzi, by w niej służyć. Jedni piszą z pamięci lub dostępnych im źródeł i często nie mają czasu lub ochoty krytycznie badać omawianych faktów. Inni usiłują złożyć fakty, cytowane w źródłach, w jakąś logiczną całość i niejednokrotnie mają z tym duże trudności.

* Cyfry w nawiasach odnoszą się do źródeł i dokumentów na str. 208-210.

Stefan Korboński, na przykład, w swej ostatniej książce omawiając „Burzę” w Krakowskim pisze:

„Oddziały wchodzące w skład tych dywizji stoczyły z Niemcami w ramach akcji „Burza” kilkadziesiąt bitew i potyczek. Na czoło wysunęła się siedmiogodzinna walka w dniach 12 i 13 września 1944 roku w rejonie Poręba, Robczyce i Wiśniowa, oddziału 22 dywizji piechoty w sile 358 żołnierzy z baonem policji niemieckiej. Niemcy stracili 83 zabitych, przy czym zdobyto 6 samochodów osobowych”. (1)

Oparte jest to na depeszy dowódcy Okręgu Kraków do dowódcy A.K., która po odszyfrowaniu tak brzmiała:

„W dniu 12 i 13 IX oddział partyzancki z 22 d.p. w sile 358 ludzi stoczył walkę siedmiogodzinną z baonem policji z Krakowa w rejonie Poręba-Robczyce-Wiśniowa. Walka zakończyła się klęską nieprzyjaciela. 83 zabitych, ciężko rannych (?), 98 rannych. Straty własne 1 zabity, 9 rannych. Zdobyto 6 samochodów osobowych, 40 granatów ręcznych, 102 sztuki 'Panzerfaust'”. (2)

Depesze Armii Krajowej uważane są słusznie za podstawowe źródła historyczne. Nie wszyscy chcą pamiętać, że w warunkach w jakich były nadawane istniały możliwości, że łatwo mogły się zakraść błędy w numerach, nazwach lub innych detalach. Dostrzeżenie takich błędów wymaga znajomości tematu, a poprawienie ich stanowi rodzaj rozwiązywania szyfru.

W przytoczonej wyżej depeszy są dwa oczywiste błędy. Po pierwsze: 22 dywizja piechoty we wrześniu już nie istniała. Po drugie: na dokładnych mapach sztabowych nie ma takiego rejonu, który da się określić wszystkimi trzema wymienionymi miejscowościami: Poręba - Robczyce - Wiśniowa.

Czy to ma znaczyć, że depeszę należy odrzucić jako źródło historyczne? Absolutnie — nie. Trzeba ją tylko poprawić i wtedy okaże się, że walkę stoczył zupełnie inny oddział Armii Krajowej w rejonie, który łatwo da się ustalić.

Spróbujmy tę depeszę zanalizować. Trzy podstawowe elementy odgrywają tutaj rolę, tj.: data, oddział i miejsce. Zaczniemy od miejsca. Aby to ustalić trzeba przeszukać kilkanaście „setek” (map w skali 1 : 100000). Na arkuszu „Dębica”, przy linii kolejowej Dębica - Rzeszów, znajdziemy miejscowość Ropczyce przez p. W okolicy natomiast nie ma ani Poręby, ani Wiśniowej. Poza tym Ropczyce zbyt daleko położone są na zachód od terenu działania 22 dywizji piechoty. A więc arkusz „Dębica” odpada. Przy dalszym ślęczeniu nad mapami znajdziemy Wiśniową na arkuszu „Strzyżów”, ale w jej okolicy na próżno szukać będziemy Poręby. Jeżeli będzie Poręba Wielka, Poręba Radlna, brakować na odmianę będzie Wiśniowej. Aż

wreszcie na mapie „Wieliczka” natrafimy na Porębę i Wiśniową, ale w okolicy brak jest zapowiadanych Robczyc. Posuwając się na północ od Wiśniowej drogą biegnącą w dolinie rzeki Krzyworzeki, na dwunastym kilometrze, przy ujściu tej rzeki do Raby znajdziemy miejscowość Dobrzyce przez D. W trójkącie o wierzchołkach, które tworzą miejscowości Poręba - Dobczyce - Wiśniowa jest wzgórze Łysina 896, pokryte lasami i panujące nad całą okolicą. Trzy kilometry od wzgórza na północny-wschód jest miejscowość Lipnik. Na podstawie więc mapy „Wieliczka” można ustalić, że walka stoczona została w rejonie Poręba - Dobczyce - Wiśniowa.

Przejdźmy teraz do analizy oddziału. W Okręgu Krakowskim podczas „Burzy” mobilizowało się pięć dywizji piechoty i Krakowska Brygada Kawalerii. Zanotujmy to w następującej formie:

21 d.p.	5 b.k.
22 d.p.	6 d.p.
24 d.p.	106 d.p.

Dwunastego września 1944 roku dywizje 22 d.p. i 24 d.p. już nie istniały. Żołnierze oddziałów partyzanckich tych dywizji byli już „po herbacie”. Większość z nich bowiem została rozbrojona i wywieziona do Rosji, albo wcielona do armii Berlinga. W tym też czasie zmienił się charakter „Burzy”, która do tej pory razem z frontem przesuwała się skokami ze wschodu na zachód. Z końcem sierpnia front jednak ustabilizował się nad Wisłoką na długie miesiące, a na Wiśle w rejonie Baranowa powstał przyczółek. „Burza” trwała dalej.

Wobec nieistnienia powyższych dywizji, z dwucyfrowych do rozważania pozostaje tylko 21 d.p. Wnikając w treść meldunku zauważymy, że określona jest data, miejsce i zdobycz, oddział natomiast uogólniony. Może rozwiązanie należy więc szukać w pułkach. Podczas „Burzy” 21 d.p. stanowiły następujące pułki: 1 p.s.p., 3 p.s.p. i 12 p.p. Z tych wszystkich pułków najliczniejszym był 1 pułk strzelców podhalańskich. Dowódcą jego był mjr „Borowy” Adam Stabrawa i miał pod sobą blisko 1.200 żołnierzy z powiatów gorlickiego, nowosądeckiego, limanowskiego i nowotarskiego. Pułk ten walczył w Gorcach i okolicy, staczając boje, między innymi pod Ochotnicą. Bitwa ta trwała od 18 do 22 października. Straty niemieckie wynosiły 173 zabitych (w tym pułkownik) i 123 rannych. (3) Jednym z żołnierzy tego pułku był nawigator Wellingtona z 419 kanadyjskiego dywizjonu „Moose”, Hubert Brooks. W swoich wspomnieniach pisze on, że na „huk armat” szli na pomoc 600 partyzantom, których 6.000 Niemców okrążyło pod Lipnikiem przy użyciu samolotu,

czołgów i samochodów pancernych. Bitwa ta trwała dwa tygodnie. Lipnik został spalony doszczętnie, a ludność wymordowana. Nie wymienia on jednak daty. (4) Inne źródła podają, że działo się to w trzeciej dekadzie listopada 1944 roku. (5) Miejsowości się zgadzają, ale nie zgadzają się daty.

Dowódcą 3 pułku strzelców podhalańskich był kpt. „Czaharski” vel „Skiba” — Józef Badach-Rogowski. W skład pułku wchodziły oddziały „Harnaś” I, II i III, które rekrutowały się z żołnierzy z patroli dywersyjnych krakowskiego Kedywu „Szerzeń”, Legionu Śląskiego i terenówki z Bystrej, Jordanowa i okolicy. Oddziały te biwakowały od sierpnia 1944 roku na Hali Malinowej i wysadziły w nocy z 6 na 7 listopada w powietrze cztery mostki kolejowe i spaliły most na szosie Sucha - Jordanów. (6)

12 pułkiem piechoty dowodził kpt. „Dąb” — Władysław Wojas. Oddział tego pułku pod dowództwem mjr. Piekarza w październiku 1944 roku rozbił więzienie w Kalwarii Zebrzdowskiej i uwolnił więźniów. W trzeciej dekadzie września 9-ta górską kompania „Chełm” wysadziła mosty kolejowe pod Zabierzowem, Wielkimi Drogami i Skawcami. Oddział ten od lipca 1944 biwakował na Hali Malinowej obok oddziału „Harnaś”, a po pacyfikacji Babiej Góry, w drugiej dekadzie października i powrotu ze Słowacji, operował po prawobrzeżnej stronie Skawy, między Makowem Podhalańskim a Jordano-wem. (7) Jak widać, potyczki oddziałów partyzanckich 21 d.p. toczą się więc bardziej na południe i na zachód od rejonu, o który nam chodzi.

Szukajmy z kolei rozwiązania wśród kawalerzystów. Krakowską Brygadę Kawalerii stanowiły pułki: 8 p.uł. i 5 p.s.k. 3 p.uł. „Kwiaciarnia” był dywizjonem rozpoznawczym 106 d.p. o sile 485 żołnierzy i operował w rejonie Działoszyc. 8 p.uł. „Ul” i 5 p.s.k. „Pszczoła”, o łącznej sile 4.000 żołnierzy, działały w rejonie Proszowic i Skąty. Podczas „Burzy” oddziały te walczyły po północnej stronie Wisły, na zachód od Nidy, w tzw. „Rzeczypospolitej Proszowicko-Kazimierzowskiej”. (8) W okresie „Burzy” w kawalerii panuje dualizm. 8 p.zmot. wchodził w skład Podokręgu Rzeszów. Oddział ten, liczący około 600 żołnierzy pod dowództwem kpt. „Boryny” Józefa Rządskiego, między 23 lipca a 3 sierpnia bije się w lasach pod Kolbuszową (9). 5 p.s.k., liczący ponad 1.000 strzelców pod dowództwem mjr. „Klamry” Lazarowicza walczył od lipca do września w trzech zgrupowaniach: por. „Sępa” Stachowskiego w rejonie Sędziszowa i Ropczyc, kpt. „Rygla” Kani w rejonie Dębicy i por. „Lisa” Mateckiego w rejonie Pilzna. Pułk ten również należał do Pod-

okręgu Rzeszów. (10) Żaden z oddziałów kawaleryjskich nie odpowiada warunkom.

W skład 6 d.p. wchodziły pułki: 12 p.p., 16 p.p. i 20 p.p. Podczas „Burzy” panuje w numeracji dualizm i w piechocie, bo w powiecie bocheńskim mobilizował się również 12 p.p. (11)

W ramach akcji „Burza” został zmobilizowany z końcem lipca 1944 I batalion „Barbara” 16 pułku piechoty. Batalionem dowodził kpt. „Leliwa” — Eugeniusz Borowski. W skład oddziałów liniowych batalionu wchodziło sześć kompanii. Oddział liczył blisko 600 żołnierzy. Szlak bojowy tego batalionu to potyczki, walki, zasadzki i wypady, dokonane plutonami lub kompaniami w promieniu około 20 km. od każdorazowego miejsca postoju batalionu. Batalion „Barbara” był trzykrotnie osaczony przez przeważające siły niemieckie i staczał boje pod Ratówkami (7.9.44), Suchą Górą (12.9.44) i Jamną (25.9.44). Pod Jamną batalion został okrążony przez 8 batalionów niemieckich, circa 5.000 ludzi, o dużej sile ognia. Bój ten trwał od świtu do nocy. W czasie walk na Pogórzu Tarnowskim, podczas „Burzy” trwającej 90 dni, z batalionu „Barbara” poległo 49 żołnierzy, w tym 5 oficerów i 5 podchorążych. (12) Dowódcą II plutonu w 4-tej kompanii „Ewa” 16 p.p. był skoczek, jeden z 316¹ cichociemnych, por. „Radomyśl” — Zbigniew Matula². Poległ on śmiercią partyzanta pod Brzozową w środę 1 listopada 1944 r. Szczęście wojenne dopisało natomiast lotnikom brytyjskim z 148 dywizjonu specjalnego³, którzy wyskoczyli z płonącego Halifax’a

1. W 82 samolotach wyleciało z Zachodu do Polski 351 skoczków (316 żołnierzy, w tym jedna kobieta, 28 kurierów, 1 Węgier i 4 Anglików, z tym, że dwukrotnie skakali jeden „ptaszek” i jeden „kotek”).

2. W aktach VI Oddziału Sztabu Nacz. Wodza por. Zbigniew Matula figuruje jako „Padomyśl”. Walczył i umierał jako „Radomyśl”. Po wojnie został ekshumowany i spoczywa na cmentarzu w Zbylitowskiej Górze pod Tarnowem.

3. Była to część załogi Halifax’a JP 162 (13), samolotu, z którego w nocy z 4/5 sierpnia (14) dokonała ona zrzutu na placówkę koło Warszawy (15) w rejonie Wołomina. Znakiem rozpoznawczym zrzutowiska była litera „T”. W drodze powrotnej o północy samolot został zaatakowany koło Wojnarowej, na południe od Tarnowa, przez dwusilnikowy niemiecki nocny myśliwiec Messerschmitt 110. Halifax zapalił się. Z samolotu wyskoczyło czterech: dwóch Kanadyjczyków, nawigator F/O Phillip Anderson z Toronto, drugi pilot sgt. Robert Peterson z Banff i dwóch Anglików, radiotelegrafista sgt. Allen Jolly z Fleetwood i mechanik sgt. Charles Underwood z Coventry. Z płonącego Halifax’a nie zdążyli jednak wyskoczyć pilot Anglik F/O McCall oraz strzelec pokładowy też Anglik sgt. C. Aspinall. Strzelec ogonowy sgt. J. Rea został zabity. Wszyscy trzej pochowani zostali w Wojnarowej. Z siedmioosobowej załogi Halifax’a czterech żyjących powróciło przez Odesę (16) jeszcze przed zakończeniem wojny. Dwóch z nich jechało na pokładzie angielskiego statku „Duchess of Bedford” na Maltę (17), a stamtąd transportowcem wojennym „Orion” do Szkocji 1 kwietnia 1945 r. (18).

w nocy z 4/5 sierpnia 1944 roku. Do Jamnej przybyli oni na parę dni przed bitwą. Jednym z nich był Kanadyjczyk Robert Peterson. W osiemnaście lat później napisze on swoje wspomnienia (19). O bitwie pod Jamną tak powie: „Pierwsze próby przebicia zawiodły. Sytuacja wydawała się beznadziejna. Pod szesnastogodzinnym ogniem *my borrowed time was fast running out*”. Jamna położona jest od Wiśniowej o 52 km. na wschód.

Inny natomiast „błękitny” partyzant, lotnik polski z 1586 eskadry, Włodzimierz Bernhardt⁴ pisze w swoich wspomnieniach (20) o oddziale partyzanckim, w którym walczył z dwoma kompaniami SS i plutonem żandarmerii w końcu września 1944 roku pod Brzesko-Słotwiną. W boju tym zostaje ranny i traci przytomność. Nie podaje on numeru oddziału, ale wymienia dowódcę „Meteora”. Ppor. kawalerii „Meteor” — Zdzisław Straszynski — został zrzucony w maju 1944 z Liberatora przez kpt. pil. Zbigniewa Szostaka⁵. Według innych źródeł „Meteor” został przydzielony do Inspektoratu tarnowskiego. Przypuszczalnie był to załączek III batalionu 16 p.p. (21). Brzesko-Słotwina leży 41 km. na północny wschód od Wiśniowej.

Na początku września 1944 roku nastąpiła koncentracja oddziałów partyzanckich „Żelbet” (20 p.p.) we wsi Bysina, położonej około 4 km. na zachód od Myślenic. „Żelbet” był kryptonimem jednego z odcinków Obwodu Kraków-Miasto. Dowódcą zgrupowania, liczącego około 150 partyzantów, mianowany został por. „Nawara” — Stanisław Gaczol. Zgrupowanie to tworzyły oddziały: „Żelbet” I-dowódca ppor. „Gołąb” — Adam Żuwała; „Żelbet” II-dowódca ppor. „Bicz” — Artur Korbel i „Żelbet” III-dowódca ppor. „Waga” — Jan Korzeniowski.

W tym samym czasie, po drugiej, prawobrzeżnej stronie Raby, biwakował na Łysinie oddział partyzancki „Kamiennik” pod dowództwem ppor. „Kościeszy” — Wiktora Horodyńskiego z Obwodu myślenickiego. Oddział ten szkolił cichociemny rtm. „Jabłoń” — Krzysztof Grodzicki. Na początku drugiej dekady września oddział ten stoczył pod Łysiną walkę, rozbijając w zasadzce na szosie Wiśniowa-Dobczyce kolumnę samochodową żandarmerii niemieckiej, zdobywając sprzęt i uzbrojenie. (22) W początku października do oddziałów tych dochodzi jeszcze oddział partyzancki „Wichra” z Obwodu bocheńskiego pod dowództwem por. „Giewonta” — N. Gondka. W drugiej dekadzie listopada nas-

4. Włodzimierz Bernhardt był drugim pilotem Halifax'a z polskiej eskadry 1586. W drodze powrotnej z nad Puszczy Kampinoskiej, po dokonanych rzucie w nocy z 16/17 sierpnia został strącony w okolicy Tarnowa.

5. Kpt. pil. Zbigniew Szostak poległ 14/15 sierpnia 1944 koło Bochni, spoczywa na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

tapila kolejna reorganizacja i sformowany zostaje „Żelbet” IV, a dowódcą mianowany jest ppor. „Stryszawa” — Władysław Kamski. Całością grupy dowodzi mjr „Orion” — Aleksander Mięka, a zastępcą jego jest rtm. „Dzik” (N.N.). Grupa ta liczy około 200 partyzantów i właśnie o niej wspomina Hubert Brooks, mówiąc, że na „huk armat” szli na pomoc.

Reasumując powyższą analizę ze wszystkich możliwych numeracji jednostek napisanych w następującej formie:

21 d.p.	5 b.k.	6 d.p.	106 d.p.
1 p.s.p.	3 p.uł.	12 p.p.	112 p.p.
3 p.s.p.	8 p.uł.	16 p.p.	116 p.p.
12 p.p.	5 p.s.k.	20 p.p.	120 p.p.

tylko trzy tj. 21 d.p., 12 p.p. i 20 p.p. są najbardziej podobne do 22 d.p. pod względem cyfr, liter i ich sumy.

Zakładając, że podobnie jak do nazwy miejscowości, tak i do numeracji oddziału wkradł się błąd, to najbliższą do 22 d.p. cyfrowo jednostką jest 21 d.p., bo zmienić trzeba tylko jedną cyfrę. Nie zgadza się natomiast data i miejsce działania tej jednostki. Wszystkie natomiast warunki spełnia 20 p.p. („Żelbet”). Należący właśnie do „Żelbetu” oddział „Kamiennik” pod dowództwem „Kościesz”, na początku drugiej dekady września, rozbił kolumnę żandarmerii na drodze Wiśniowa-Dobczyce. Oddział ten posiadał radiostację.

Zatem więc depeza dowódcy Okręgu Kraków do dowódcy A.K. L. dz. 8918/tjn. 44 z dnia 22. 9. 44 przed zaszyfrowaniem w oryginalnym tekście tak przypuszczalnie brzmiała:

„W dniu 12. i 13. IX oddział partyzancki z 20 p.p. w sile 358 ludzi stoczył walkę siedmiodzinna z baonem policji z Krakowa w rejonie Poręba - Dobczyce - Wiśniowa. Walka zakończyła się klęską nieprzyjaciela. 83 zabitych, ciężko rannych (?), 98 rannych. Straty własne 1 zabity, 9 rannych. Zdobyto 6 samochodów osobowych, 40 granatów ręcznych, 102 sztuki 'Panzerfaust' ”.

Analiza i bilans „Burzy” w Krakowskim oraz ocena działalności oddziałów partyzanckich wychodzi poza ramy tego artykułu. „Burza” ciągle czeka na swego historyka. Historia jednak wymaga precyzji.

Kajetan BIENIECKI

ŹRÓDŁA I DOKUMENTY

- (1) KORBOŃSKI Stefan, *Polskie Państwo Podziemne*, Instytut Literacki, Paryż, 1975, str. 168-169.

- (2) *Polskie Siły Zbrojne, Armia Krajowa*, tom III, Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego, Londyn, 1950, str. 644.
- (3) KUBIK Ludwik, „Burzliwe dni Podhala”, *Tygodnik Powszechny* Nr 52 (831), Kraków, 27 grudnia 1964.
- (4) BROOKS Hubert, „Escape to danger”, *Weekend Magazine* Vol. 7, Nr 40, Montreal, 5. 10. 1957, str. 2, 3, 34, 35 i 36 oraz Vol. 7 Nr 41 z 12. 10. 1957, str. 34, 35, 38, 48, 50 i 51.
- (5) DĄBROWA-KOSTKA Stanisław, „Bój pod Porębą” *WTK* Nr 49 (847), Warszawa, 7. 12. 1969 oraz „Okrażenie w masywie Kotonia”, *WTK* Nr 51/52 (849/850), Warszawa, B. Nar. 1969.
- (6) WIRA Kazimierz, List do redakcji, *Wojskowy Przegląd Historyczny* Nr 1 (45), Warszawa, 1968, str. 506-509.
- (7) KUBIK Ludwik, „Burzliwe dni Podhala”, *Tygodnik Powszechny* Nr 52 (831), Kraków, 27. 12. 1964.
Polskie Siły Zbrojne, Armia Krajowa, tom III, Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego, Londyn, 1950, str. 920.
STUDZIŃSKI Tadeusz, *Pięć mostów*, Iskry, Warszawa, 1958.
- (8) IGLEWSKI Antoni, List do redakcji, *Wojskowy Przegląd Historyczny* Nr 3-4 (51), Warszawa, 1969, str. 650-656.
NIECZUJA-OSTROWSKI Bolesław, „Bohaterowie spod kryptonimu 0,08 wystąp!” (lista poległych) *WTK* Nr 44 (842), Warszawa, 2. 11. 1969.
WAŻNIEWSKI Władysław, „Republika Pińczowska”, *Wojskowy Przegląd Historyczny* Nr 3 (43), Warszawa, 1967, str. 183-223.
- (9) ZAGÓRSKI Andrzej, List do redakcji, *Wojskowy Przegląd Historyczny* Nr 4, Warszawa, 1965, str. 423-426.
- (10) ŁUBIEŃSKI Konstanty, „Burza” na Rzeszowszczyźnie, ze wspomnień uczestników „Burzy” w pow. dębickim, *Więź* Nr 7/8 (111/112), Warszawa, lipiec-sierpień 1967, str. 149-158.
STAŃKO-POŻOGA Antoni, 5 Pułk Strzelców Konnych w Konspiracji, list do redakcji, *Wojskowy Przegląd Historyczny* Nr 4 (48), Warszawa 1968, str. 386-387.
- (11) GARLIŃSKI Józef, *Piechota Armii Krajowej, 1939-1945*, Zeszyt 17-ty, Londyn, 1974, str. 38.
- (12) BIENIECKI Kajetan, 16 p.p. Armii Krajowej w „Burzy”, *Biuletyn Informacyjny Koła A.K., Oddział Montreal* Nr 2-3 (65-66), Montreal, czerwiec-wrzesień 1975, str. 16-21.
BOROWSKI Eugeniusz, *Bój pod Jamną, Dynamit część II*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1967, str. 27-42.
- (13) Logbook, Robert Orlando Peterson Nr R131742.
- (14) Telegram od RCAF Casualties Officer do Mrs. A. H. Peterson, Ottawa, 8. 8. 1944, 3.30 p.m.
List od RCAF Casualty Officer (podpis nieczytelny) do Mrs. A. H. Peterson, Ottawa, 9. 9. 1944.
- (15) List od gen. M. Iżyckiego do Mrs. A. H. Peterson, Londyn, 24. 10. 1944.
- (16) Telegram od RCAF Casualties Officer do Mrs. A. H. Peterson, Ottawa, 19. 3. 1945, 7.55 p.m.
- (17) List do autora od R. O. Peterson z dnia 14. 3. 1965.
- (18) Telegram od RCAF Casualties Officer do Mrs. A. H. Peterson, Ottawa, 4. 4. 1945, 11.31 p.m.
- (19) PETERSON Robert, Canadian Airman in Poland, *Biuletyn* Nr 11 Kongresu Polonii Kanadyjskiej — Okręg Alberta, Edmonton, 3. 5. 1962.

- (20) BERNHARDT Włodzimierz, „Z kartek mojego dziennika”... 1944 r., *Akowiec*, Koło A.K. Oddział Los Angeles, grudzień 1967, str. 5-10; Nr 1 (3), kwiecień 1968, str. 7-12; Nr 2 (4), sierpień 1968, str. 9-15; Nr 3 (5), grudzień 1968, str. 12-15.
- (21) DĄBROWA-KOSTKA Stanisław, „Spokojny” i „Powolny”, *WTK* Nr 17 (815), Warszawa, 27. 4. 1969.
BERNACZYK-SŁOŃSKI K., O cichociemnym por. „Meteorze”, list do redakcji, *WTK* Nr 20 (818), Warszawa, 18. 5. 1969.
- (22) DĄBROWA-KOSTKA Stanisław, Koncentracja grupy „Podhale”, *WTK* Nr 48 (846), Warszawa, 30. 11. 1969.
SOBOLEWSKI Kazimierz, *Myslenicki Odwet*, *Dynamit*, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1964, str. 120-160.
-

Józef LEWANDOWSKI

OBRONA „POMYŁEK”

„Hipoteza autora, że PPR i AL przygotowywały się do wywołania powstania i objęcia władzy w Warszawie jest *całkowicie* nie do przyjęcia. W ostatniej dekadzie lipca 1944 roku czołowi przywódcy PPR i dowódcy AL śpieszyli z Warszawy do Lublina, aby tam, w związku z powstaniem PKWN wziąć czynny udział w organizowaniu się nowych władz. Pozostali w Warszawie niżsi funkcjonariusze partii i wojskowi AL nie mieli ani instrukcji ani też zamiaru rozpoczęcia walki. Natomiast *nie ulega wątpliwości*, iż władzom sowieckim zależało na wybuchu powstania w Warszawie, ale kierowanego przez czynniki niekomunistyczne”. Cytat ten pochodzi z artykułu Z. S. Siemaszki „Gloryfikacja Pomyłek” (*Zeszyty Historyczne*, 1975, Nr 34, str. 192) recenzującego książkę Stefana Korbońskiego „Polskie Państwo Podziemne” (Instytut Literacki, Paryż, 1975). Podkreślenia w cytowanym tekście zostały zrobione przeze mnie.

Ostrożność w formułowaniu sądów oraz świadomość niepełnej wiedzy należy do podstawowych zasad wpajanych na wszystkich seminariach historycznych. Szczególna ostrożność jest wskazana, gdy chodzi o tzw. motywacje — nawet uczestnicy wydarzeń historycznych nie zawsze wiedzą, co skłoniło ich do takiego lub innego postępowania lub decyzji, nie mówiąc już o tym, że z biegiem czasu motywacje się zmieniają. Tak jak i w technice obowiązuje zasada, że nie wolno przeciążać materiału, to jest budować wniosków na podstawie materiału, który ciężaru ich nie udźwignie. Wiedza autora artykułu o zamiarach PPR, a tym bar-

dziej o zamiarach władz sowieckich, nie usprawiedliwia stanowczości sądów.

Tak się złożyło, że kilkanaście lat temu, a ściślej mówiąc, w lipcu 1964 roku, czyli w przeddzień dwudziestej rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, miałem długą rozmowę z kimś (nazwiska nie jestem upoważniony ujawnić) kto w ostatnich latach II-ej wojny światowej był pracownikiem KC PPR i oficerem Sztabu Głównego AL. Rozmowa dotyczyła m.in. sytuacji w Warszawie latem 1944 roku i zamiarów PPR w tym okresie. Punktem wyjścia rozmowy był mój pogląd na powtarzające się we wszystkich niemal publikacjach PPR i AL potępienia „stania z bronią u nogi” i łączące się z tym wezwania do aktywnej walki z Niemcami i do powstania zbrojnego. Takie odezwy szczególnie często powtarzały się latem 1944 roku, ostatnia została opublikowana tuż przed Powstaniem, jeśli dobrze pamiętam, w dniu 29 lipca. Ja do tych odezwo odnosiłem się z pewną dozą ironii, widząc w nich raczej stronę komiczną: ślepe powtarzanie płynących z Moskwy, łapanych przez radio dyrektyw, nie uwzględniających kusego zasięgu wpływów PPR, przypisywanie sobie Bóg wie jakich możliwości, „konja kują, żaba nogę podstawia”.

Mój rozmówca, który zresztą brał udział w redagowaniu ostatniej z wymienionych odezwo PPR-u, wyjaśnił mi, że ulegam wpływom dość powierzchownego myślenia stereotypowego: „Oczywiście — tłumaczył mi — zakres nie tylko organizacyjny PPR, ale i zakres wpływów politycznych był nader wątki. Mimo to wezwania do powstania zbrojnego nie były taką demagogią, jak by się po latach zdawało, lecz dość realną grą polityczną. Chodzi o to że, podobnie jak większość mieszkańców Warszawy, zdawaliśmy sobie sprawę, że w momencie wycofywania się Niemców dojdzie do zbrojnego powstania, niezależnie od tego, czy Armia Krajowa doń wezwie, czy też przeciwnie będzie wzywała do zachowania spokoju i powściągliwości. Wychodząc z dotychczasowej taktyki Armii Krajowej sądziliśmy, że wybierze ona tę drugą alternatywę. W tej sytuacji, mimo słabych wpływów, jako organizacja wzywająca do walki zbrojnej stanęlibyśmy na czele spontanicznego powstania i w rezultacie na czele społeczeństwa. Armia Krajowa wydając rozkaz powstania pokrzyżowała nasze plany. Co więcej, sądząc z perspektywy historycznej, Powstanie Warszawskie prawdopodobnie pokrzyżowało również plany sowieckie w Polsce”.

Tyle mój rozmówca. Ostatnie zdanie wymaga rozszyfrowania. Nie jest tajemnicą, że *Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego* (PKWN) był dla Stalina rozwiązaniem tymczasowym. Dlaczego „PKWN formalnie nie miał charakteru rządu i nigdy w toku swego działania jako rząd nie wystąpił, choć był najwyższym organem władzy wykonawczej”? * Dlaczego Stalin powołał czterech

* Jaroslav Valenta (w:) *Střední a Jihovýchodní Evropa... 1939-1945*, Praha, 1969, str. 179.

miesiące później Rząd Tymczasowy? Co się w międzyczasie zmieniło? Dlaczego PKWN nie zabiegał nigdzie o uznanie międzynarodowe, choć bardzo uparczywie robił to w swym późniejszym wcieleniu? Pytania można mnożyć. Nawet jeśli nie mamy na nie wyraźnej i pełnej odpowiedzi, nie należy od nich uciekać.

Pan Siemaszko wychodzi z założenia, że sowieckie zamiary dają się odczytać z kształtowanych przez nie realiów. To założenie, z którym spotykałem się niejednokrotnie, jest spowodowane wyżej wzmiankowanymi trudnościami poznawczymi, szczególnie dotkliwymi ilekroć jesteśmy zmuszeni badać zamiary państwa totalitarnego, starannie i skutecznie ukrywające swoje pobudki i racjonalizacje. Ale zwróćmy uwagę na to, że u podłoża tego rozumowania leży przeświadczenie o nadzwyczajnej skuteczności sowieckiej w sferze polityki zagranicznej, że zwłaszcza Stalin osiągał w tej dziedzinie wszystko, co tylko chciał. Do tego przeświadczenia w dużej mierze przyczynia się oficjalna historiografia sowiecka, do której włączam i część autorów PRL. Jej linia wytyczna — nie przyznawać się do tego, co nie zostało zrealizowane lub zostało skompromitowane w dalszym rozwoju wydarzeń.

Istnieje wytłumaczenie, że Stalin latem 1944 roku powołał tylko PKWN a nie Rząd Tymczasowy dlatego, że obawiał się reakcji sojuszników. Wersja ta nie wytrzymuje krytyki. Dla Anglii i USA było obojętne, czy faktyczny rząd nosi nazwę taką lub inną. Wydaje się, że koncepcja Polski jako „państwa demokracji ludowej”, zależnego od ZSSR lecz posiadającego pewną autonomię, jeszcze latem 1944 roku nie była przesądzona, że rozważano jeszcze inne warianty rozszerzenia wpływów sowieckich w Europie. Pomijając to, że polityka sowiecka w sprawach polskich była na ogół pochodną polityki w sprawach niemieckich — w tej fazie wojny Stalin mówił, że „Hitlerzy przychodzą i odchodzą a naród niemiecki pozostaje”, co nie było frazesem pozbawionym politycznej treści, to trzeba jeszcze wziąć pod uwagę niejednokrotnie udokumentowaną nienawiść Stalina do Polski i Polaków. W tajnym sprawozdaniu powołanej w październiku 1956 roku na VIII plenum KC PZPR komisji podano do wiadomości (jeśli to tak można nazwać), że latem 1943 roku Stalin przyjął u siebie na Kremlu oficerów sowieckiej służby bezpieczeństwa, odkomenderowanych do spraw polskich i odbywających przeszkolenie w Riazaniu. Stalin wygłosił wówczas przemówienie, że nikomu z Polaków nie wolno wierzyć. Stalin powtarzał to samo jeszcze przy kilku innych okazjach, ale nie to jest istotne. Istotne jest jak antypolskie fobie Stalina wpływały na jego plany polityczne. Nazwa PKWN, tak jak nazwa Krajowa Rada Narodowa, niebezpiecznie przypominała rozmaite ciała powoływane przez Związek Sowiecki na kresach i w państwach bałtyckich dla przygotowania inkorporacji. Zarówno mój rozmówca jak i ja znaleźliśmy dość dużo faktów nasuwających przypuszczenie, że celem

przyświecającym Stalinowi latem 1944 roku, do którego wrócił w latach późniejszych, była inkorporacja Polski, jej przekształcenie w którąś republikę związkową. Jeśli mało wiadomo o tendencjach rozwoju PRL w latach 1948-53, o doktrynie o „dwóch etapach rozwoju demokracji ludowej”, o rusyfikacji całego wyższego dowództwa wojskowego itd., to — po latach — nie trzeba było zbyt wiele wyobraźni, by zrozumieć natrętnie powtarzany przez Gomułkę i przez Bieruta slogan o „PPR — opatrnościowej sile narodu polskiego”.

Jeśli Polska nie stała się którąś republiką sowiecką, to należy przypuszczać, że w zespole przyczyn główną rolę odegrało chyba Powstanie Warszawskie. Stalin, personifikujący sowiecką politykę zagraniczną, doszedł latem 1944 roku do wniosku, że inkorporacja Polski bez odpowiedniego przygotowania gruntu byłaby zbyt kłopotliwa. Nie jest tajemnicą, że Stalin ostrzegał Bieruta, że nie należy niepotrzebnie deptać uczuć narodowych Polaków. Koncepcja VIII plenum KC PZPR — nagonka przeciwko tradycjom niepodległościowym przy jednoczesnym wystawianiu Romana Dmowskiego i Narodowej Demokracji była Bierutowi wprost nakazana przez Stalina.

Można wnioskować, że gdyby nie przeświadczenie, iż zbyt szybka sowietyzacja Polski wywoła gwałtowny a może i zbrojny opór (Bierut właśnie w toku przygotowań do VIII plenum, latem 1950 roku mówił, że w wypadku konfliktu zbrojnego w Polsce irredenta może liczyć na 50 tys. osób, ale nierozważna polityka może spotęgować siły irredenty do 500 tysięcy!) prawdopodobnie tzw. „drugi etap dyktatury proletariatu” rozpocząłby się wcześniej i sięgnąłby dalej, stwarzając fakty nieodwracalne lub z trudem odwracalne, co łatwo sobie przedstawić, porównując sytuację w PRL z innymi krajami „demokracji ludowej”.

Sumując wyżej powiedziane, chcę podkreślić wniosek metodologiczny, istotny zresztą i w wielu innych emigracyjnych dyskusjach historycznych: Każde doprawdy istotne wydarzenie historyczne trzeba rozpatrywać *przynajmniej* z dwóch perspektyw. Pierwsza — to ocena wydarzenia z punktu widzenia czasu, w którym wydarzenie to miało miejsce — oczyma ludzi współczesnych. Nie twierdzę, że o tej perspektywie się zapomina ale niestety, w zasadzie na tym się poprzestaje. Historia jednak nigdy się nie kończy i z biegiem czasu wydarzenie nabiera innych wymiarów i innego, czasem nieoczekiwanego, charakteru. Dlatego trzeba również zrozumieć sens przeszłości z punktu widzenia perspektywicznego. To dotyczy nie tylko konkretnego przedmiotu dyskusji — historycy stosują przecież obydwie miary w przypadku Konstytucji 3-go Maja i powstań narodowych XIX wieku. Nawet tak stosunkowo niedawne wydarzenia, jak odbudowa niepodległego państwa i klęska wrześniowa mają swoją, i doraźność, i perspektywę historyczną. Od Powstania Warszawskiego dzieli nas pełnych trzydzieści lat — cały okres dziejowy, cała

generacja polityczna. O samym Powstaniu, dzięki jego kronikarzom i historykom wiemy już dość dużo. Gorzej z powiązaniem dziejów Powstania z wydarzeniami lat późniejszych. Skutki Powstania nie ograniczają się bowiem do konsekwencji doraźnych, jednocześnie tragicznych i wymiernych. Pomijając polityczną rolę sporu o Powstanie w drugiej połowie lat czterdziestych, to przecież pokolenie „Polskiego Października” szczególnie mocno odczuwało więź obu wydarzeń. A w jakim stopniu wzorce powstańcze kształtowały postawę studentów warszawskich z marca 1968 roku, stoczniovców Wybrzeża w grudniu 1970 roku? Co spowodowało, że Krzysztof Kamil Baczyński był ukochanym poetą młodzieży lat sześćdziesiątych?

Nie podejmuję się odpowiedzi na te pytania, zresztą odpowiedź winna być nie polemiczna, lecz konstruktywna, naukowa, z wyważeniem całej wielostronności zjawisk i postaw, a tego nie sposób uczynić w przypadkowej wypowiedzi.

Wspominałem, że ocena ważnych wydarzeń historycznych winna być rozpatrywana przynajmniej pod dwoma aspektami. Ale jest także punkt widzenia, wpływający z możliwości i konieczności oceny porównawczej. Z tym najgorzej, bowiem jesteśmy na ogół przekonani o wyjątkowości dziejów własnych. Wbrew naszym poglądom, Powstanie Warszawskie nie było aktem odizolowanym. Powstań w tej fazie II-ej wojny światowej było kilka, w Neapolu, w Paryżu, na Słowacji, w Pradze. Wybuchły one tam, gdzie hitlerowcy byli w odwrocie a armie sojusznicze zdawały się być blisko. Nie należy przypuszczać, że polski rachunek krzywd był mniejszy niż w Neapolu i Paryżu, a duch bojowy warszawiaków słabszy niż na Słowacji lub w Pradze. Mój rozmówca w 1964 roku nie bez racji przypuszczał, że powstanie w Warszawie wybuchłoby na rozkaz lub wbrew rozkazowi. Wystarczyła byle iskra by podpalić nagromadzony latami materiał wybuchowy. (Nieco później, jako członek redakcji projektowanej przez PWN encyklopedii ruchu oporu w II-ej wojnie miałem możliwość konfrontacji tego przeświadczenia ze zdaniem wielu specjalistów).

Dowódca Armii Krajowej wydając historyczny rozkaz, wbrew poglądom krytyków, wyrażał zdanie nie tylko swoje i swego ścisłego sztabu. Dowódca konspiracyjny jest bardziej ograniczony jeśli idzie o wydawanie rozkazów od dowódcy wojsk regularnych. W warunkach konspiracji tylko ten rozkaz wchodzi w życie, który wyraża wolę wojska.

Józef LEWANDOWSKI

P.S. Nazwisko mojego rozmówcy znane Panu Stefanowi Korbońskiemu.

J. L.

RECENZJE

Aleksander LITWIN

TRAGICZNE DZIEJE KPP (1935-1938)

Józef Kowalski wydał trzeci i ostatni tom dziejów KPP, obejmujący lata 1935-1938, okres najbardziej sławny a zarazem najbardziej tragiczny w dziejach tej partii. Spod pióra Kowalskiego nie może wyjść rzeczywista historia tej partii — historia która była ciągłym i nieustającym pasmem „błędów” i „naprawiania” tych błędów. Rzeczywista historia wymaga obiektywnego zarysowania faktów i krytycznej ich analizy. Do tego jednakże nie jest zdolny Kowalski, urzędowy i namaszczonego w Moskwie historyk, ani w ogóle współcześni spadkobiercy KPP.

Nie mogę w krótkiej recenzji poddać analizie krytycznej historii tej partii i ustosunkować się do wielu twierdzeń Kowalskiego. Książkę tę niewątpliwie poddano „ocenie” i aprobachie zarówno w Warszawie, jak i w Moskwie. Spróbuję jednakże po krótko wskazać na niektóre cechy charakterystyczne tej partii, by jej działalność móc ocenić i właściwie umiejscowić w historii.

Kowalskiemu udostępniono w Moskwie wiele materiałów niedostępnych historykom polskim, choć żali się on, że „sprawa szerszego dostępu do wewnętrznej dokumentacji Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej, zwłaszcza z lat 1937-1938, znajduje się w sferze jeszcze nie zrealizowanych postulatów badawczych” (str. 8). A jeśli by nawet materiały te udostępniono? Kowalski i tak nie ujawniłby faktów kompromi-

tujących Komintern i partię sowiecką — kompromitujących nawet KPP. Postaram się niżej uzupełnić częściowo przynajmniej fakty nie ujawnione przez Kowalskiego.

Z genezy KPP

KPP powstała formalnie w grudniu 1918 roku z połączenia SDKPiL i PPS Lewicy. SDKPiL już dawno „dowodła” piórem Róży Luksemburg, że Polska niepodległa powstać nie może, bo jej powstanie sprzeczne jest z prawami koncentracji i centralizacji. Polska jednakże powstała wbrew tym teoriom. SDKPiL przyjęła ten fakt, choć nigdy go nie „uznała”.

Jeszcze w 1919 roku na I-szym Kongresie Kominternu twierdzili przedstawiciele KPP — Budzyński i Bobiński — że uznają Niemcy za „czołową siłę rewolucji”; nie zaś Rosję. Ale wkrótce KPP z teorii tej zrezygnowała i uznała Rosję za „czołową siłę”, jako że tam zrodziła się i zwyciężyła rewolucja. Tam powstał Komintern — organizacja jednocząca internacjonalistycznie ruch „rewolucyjny”. Wkrótce, na IV i V Kongresie Kominternu KPP uznała wraz z innymi partiami, że Rosja Sowiecka jest „ojczyzną międzynarodowego proletariatu” — i tak zaczęła wychowywać swe kadry. KPP uznawała Rosję za swą główną „ojczyznę”, a formalnie, od II Zjazdu KPP, Polskę za drugą ojczyznę.

Wojnę 1920 roku, jak wiadomo, zapoczątkowała Polska swym najazdem na Kijów, ale wkrótce losy wojny się odmieniły i wojska sowieckie doszły do Wisły, a pragnęły dojść do Berlina. *Nada Germaniu proszczupat' sztykom* — powiedział Lenin. Rosja sowiecka bowiem wychodziła z założenia, że tylko „zwycięska rewolucja” w Niemczech może ocalić „rewolucję rosyjską”. To był istotny sens „internacjonalizmu proletariackiego” w interpretacji Moskwy.

Komuniści polscy stanęli oczywiście na gruncie „internacjonalizmu proletariackiego” i bronili Rosji przeciw Polsce nawet gdy oczywiste się stały zaborcze zamiary Rosji Sowieckiej — w lipcu-sierpniu 1920 roku.

Komuniści, w ramach „internacjonalizmu proletariackiego”, zawsze stali na gruncie rozbioru Polski — zgodnie z taktyką narzuconą im przez Komintern. „Internacjonalizm proletariacki” Moskwy wymagał wzmocnienia Niemiec kosztem Polski; dlatego KPP żądała „prawa do samookreślenia” dla Górnego Śląska, aż do oderwania go od Polski i przyłączenia do Niemiec. Początkowo domagali się tego komuniści także dla Pomorza, ale z cza-

sem hasło to straciło na aktualności. Domagali się jednak „samo-określenia” dla Gdańska, który był zresztą niemiecki.

Nadto domagali się komuniści prawa do samookreślenia dla Ukrainy Zachodniej i Białorusi Zachodniej i — przyłączenia ich do Związku Sowieckiego. Z hasła tego „zrezygnowali” polscy komuniści w 1935-1936 — aż do września 1939 roku, gdy Sowiety ziemie te po prostu siłą zbrojną przyłączyli do swych ziem. Komuniści ten akt samowoli uznali za słuszny, i zgodny z prawami historii. Tak więc, zgodnie z decyzjami Kominternu, KPP stała na gruncie okrojenia Polski do „etnicznych” granic.

Sprawą moralnej raczej natury był fakt, że w ramach „internacjonalizmu proletariackiego” KPP otrzymywała stałe dotacje pieniężne od ZSSR, raczej od Kominternu, oczywiście z kieszy sowieckiej. To była „forma wspomagania rewolucji” w ościennych państwach. Stosują to Sowiety po dzień dzisiejszy.

KPP była zawsze partią „antywojenną”, demaskowała zawsze poczynania Polski, które rzekomo wymierzone były przeciw ZSSR. Przeważnie były to fakty nierzeczywiste — zwłaszcza po 1921 roku. Ale w ramach swych „obowiązków internacjonalistycznych” uważała KPP za celowe demaskować te „poczynania wojenne” Polski. Dlatego prowadziła swą robotę w wojsku, gdzie miała rzekomo uprawiać propagandę antywojenną. Komuniści oczywiście prowadzili w wojsku robotę propagandową, demaskującą, ich zdaniem, „plany wojenne” Polski. Ale nadto zbierali informacje wojskowe, które przekazywali swym przełożonym, ci zaś w ramach „internacjonalizmu proletariackiego” przekazywali je... Sowiecom — oczywiście bez wiedzy szarych mas członkowskich. Była to dziecinnada, która przynosiła Sowiecom mało korzyści, ale świadczy o obliczu kadry partyjnej, która może taką robotę prowadzić. Z takich to faktów wyrosło zabójstwo Nowotki w okresie okupacji, posądzanego przez niektórych członków partii o przekazywanie Gestapo (za wiedzą NKWD) spisów przeciwników politycznych.

Pomijam tu zagadnienia sporów partyjnych „większości” i „mniejszości”, w których posługiwano się nie najczystszyimi metodami w walce o władzę nad partią. Wymagałoby to oddzielnego omówienia.

Jedną rzecz należy podkreślić: — KPP nigdy nie była partią samodzielną, niezależną, ze względów „ideowych” była zawsze podporządkowana w ramach „internacjonalizmu proletariackiego” Kominternowi, a w ten sposób Sowieckiej Rosji. Komintern był bowiem zawsze ekspozyturą Rosji Sowieckiej, spełniającą powierzone mu zadania.

KPP była partią nieliczną, można nawet powiedzieć partią prawie kadrową. Wskutek jednak znakomitej organizacji, dyscypliny, oddania członków sprawie „idei”, jej krąg oddziaływania był stosunkowo szerszy. Służyło do tego zdobywanie wpływów w związkach zawodowych, wśród delegatów fabrycznych, nawet w związkach twórczych (zwłaszcza gdy sytuacja była dogodna) niczym nieograniczoną demagogią, do czego KPP była szczególnie skłonna. KPP potrafiła sfanatyzować swą kadrę partyjną i narzucić jej niesłychaną dyscyplinę, którą przyjmowano jako dobro wolną, jak to wśród sfanatyzowanej masy członków bywa.

„Aktyw” partyjny KPP był przeważnie (choć nie wyłącznie) żydowskiego pochodzenia (jak dawniej SDKPiL) — element poddający się najłatwiej sfanatyzowaniu wskutek odwiecznych prześladowań, jakim podlegał ten naród; stąd łatwość poddawania się kosmopolitycznym ideom w rodzaju — „Rosja sowiecka — ojczyzna międzynarodowego proletariatu”. Wśród przywódców partyjnych przeważali Żydzi, oni stanowili jądro partii, jej podstawowych „teoretyków”, zarazem najbardziej wiernych kosmopolitycznym hasłom komunizmu sowieckiego.

KPP jako partia „rewolucyjna” wysuwała zawsze wygórowane hasła, maksymalne żądania, zawsze dążyła do strajków, które starała się przekształcić w „strajki powszechne”, choć sytuacja bynajmniej temu nie sprzyjała. Ten kult strajku był KPP narzucany przez Komintern; Sowiety bowiem wychodziły z założenia, że im większy bałagan w kraju, im kraj bardziej opanywany jest przez fałę, „rewolucyjnych” strajków, tym bliższa „rewolucja”, tym dalsza będzie wojna i interwencja przeciw ZSSR. W gruncie rzeczy więc strach był motorem wielu poczynań Kominternu, choć ubranych w „ideologiczne” szaty.

Oto przykład. Gdy KPP usiłowała utworzyć „antyfaszystowski front ludowy” zwróciła się do PPS, Bundu, KCZZ, Stronnictwa Ludowego i innych organizacji z propozycją zorganizowania „ogólnokrajowego wystąpienia ludu pracującego Polski”, w tym „strajków protestacyjnych, do ogólnokrajowego strajku protestacyjnego włącznie”, politycznych strajków chłopskich, „do ogólnokrajowego protestacyjnego strajku chłopskiego włącznie”. Wniosek ten wydaje się nam wręcz śmieszny wskutek swego braku powagi, hurra-rewolucyjności, wyolbrzymionego znaczenia jakie KPP przypisywała strajkom i wskutek nierealnej oceny ówczesnej sytuacji. Jednakże w takim „liście otwartym” zwrócił się Sekretariat Krajowy KPP do wymienionych organizacji w po-

czątkach czerwca 1935 roku. Kowalski przytacza ten fakt z maksymalną aprobatą, jako dowód, że jedynie KPP była partią konsekwentną, broniącą „interesów ludu”.

KPP zachłystywała się słowem, hasłem, frazesem — i nauczyła swą kadre, by umiała się zachwycać każdym słowem, każdym frazesem i dogmatycznie analizować każde słowo. Zwłaszcza wpajała w swą kadre poczucie „doniosłości” uchwał Kominternu czy doniosłości słów Stalina, jako najwyższej wyroczni i najwyższej „mądrości”. Zrodziło to w KPP jakieś dziwne lekceważenie rzeczywistości i zapatrzenie w nierealną przyszłość, jakiś dziwny bezkrytycyzm wobec swych poczynań i zwłaszcza poczynań Sowietów. Dziwne, jak KPP łatwo znajdowała „usprawiedliwienie” dla każdej zbrodni Stalina albo jak umiała ukryć przed swymi członkami nawet zbrodnie ludobójstwa. KPP była „immunizowana” na wiele faktów, nawet tych o których pisała prasa; po prostu nie dawała im wiary i z łatwością zarzucała im fałsz. Mówiło się w związku z tym o obłudzie komunistów, ale oni rzeczywiście dawali wiarę najbardziej nieprawdopodobnym wieściom.

Kowalski manipuluje cyframi, by wprowadzić czytelnika w błąd. Zgodnie z intencją Kominternu dąży do wykazania, że KPP była przeważnie „polską” partią, że ilość Żydów była znacznie mniejsza od rzeczywistej liczby. Dowodzi np. że w KPP w 1935 roku było 74,8 % Polaków, 22,8 % Żydów a Ukraińców (łącznie z Niemcami) 2,4 %. Nie można z tymi danymi polemizować nie ma bowiem żadnych wiarygodnych źródeł i statystyk. Kowalski jednakże operuje rzekomymi danymi i dochodzi do wniosku: — „Skład narodowościowy KPP był wyrazem jej internacjonalizmu”. Można i tak! — choć Polska liczyła ok. 40 % mniejszości narodowych, z których najbardziej Żydzi garnęli się do KPP.

Jednolity i ludowy front

KPP zawsze stała na gruncie dyktatury proletariatu i polskiej republiki rad. Tak głosił przecież Komintern. Stalin wyciągnął z tego dalszy wniosek, że socjaldemokracja jest „socjalfaszyzmem” oraz głównym wrogiem komunizmu i rewolucji proletariackiej. Stało się to szczególnie groźne w okresie dojścia Hitlera do władzy. Wprawdzie przesadne są sądy jakoby taktyka ta ułatwiła Hitlerowi dojście do władzy i jakoby jednolity front klasy robotniczej mógł się temu przeciwstawić. Nie mniej taktyka

ta była z gruntu błędna. Zależność ruchu komunistycznego od decyzji Moskwy i rozstrzygania przez Moskwę wszystkich zasadniczych kwestii taktycznych czy innych, centralizm kominternowski, który pozbawiał wszystkie partie komunistyczne jakiegokolwiek samodzielności w rozstrzyganiu swoich spraw, okazały swe fatalne skutki.

Umacnianie się dyktatorskiej roli Stalina w WKP(b) i państwie sowieckim narzucało też jego wolę Kominternowi.

Wypadki francuskie i utworzenie tam „jednolitego frontu” socjalistów i komunistów, polityka współdziałania tych partii nawet w rządzie, nakazały zmianę taktyki Kominternu. Z wnioskiem tym wystąpił na kongresie Kominternu [„sławny”] Dymitrow. Nie jest jasne w tej sprawie stanowisko Stalina. Najbardziej prawdopodobne wydaje się, że zachował on daleko idącą nieufność wobec tej taktyki, o czym świadczą niektóre jego późniejsze kroki aż do rozwiązania Kominternu włącznie. W każdym bądź razie referat Dymitrowa był pełen niedomówień, jak gdyby nie uzgodnił on swoich wytycznych ze Stalinem. W każdym razie Stalin ze swoich teoryjek nigdy się nie wycofał.

Zapoczątkowana przez Dymitrowa taktyka nasuwała wiele wniosków pryncypialnych. Okazało się, że zasadniczy cel walki o dyktaturę proletariatu i władzę rad delegatów, propagowany w ciągu całego okresu od czasów Lenina, jest ponoć nieaktualny i niecelowy. Ale komuniści, którzy te hasła głosili, w początkach wojny właściwie do tych teorii cichcem wrócili. Wszystkie „demokracje ludowe” okazały się jedynie „dyktaturami proletariatu”, a faktycznie dyktaturami partii komunistycznych. Wskazuje to nie tylko na zakłamanie komunizmu, ale na wartość jego hasel i przyrzeczeń.

Partie komunistyczne stanęły w rezultacie Kongresu na gruncie demokracji parlamentarnej, „szerokiego frontu demokratycznego”, aż nawet na gruncie obrony narodowej. Szczególnie KPP stanęła na gruncie obrony narodowej, walki z reżymem sanacyjnym i demokracji parlamentarnej w Polsce.

Nie należy zapewnień komunistów brać dosłownie. KPP nigdy nie stanęła na gruncie demokracji parlamentarnej w Polsce, pragnęła demokracji kierowanej przez siebie, nigdy nie stała na gruncie „szerokiego demokratycznego frontu”, nie stała też właściwie nigdy na gruncie „obrony narodowej”, od początku wojny stała bowiem na gruncie teoryjki lansowanej przez Moskwę, że wojna jest „obustronnie imperialistyczna”. Tak więc wojna wrześniowa nie była obroną narodową ze strony Polski, a najazd Sowietów na Polskę był słuszny. O układzie Mołotow -

Ribbentrop i rozbiórce Polski przez Niemcy i Rosję Sowiecką Kowalski, rzecz jasna, nie wspomina nawet jednym słowem.

Nową taktykę wprowadzili w życie ci sami przywódcy, którzy stali na gruncie stalinowskich teoryjek o „socjalfaszyzmie”, na gruncie „polskiej republiki rad” itd. Mało tego — Kowalski stoi na stanowisku, że uchwały VII-go Kongresu Kominternu były rehabilitacją stanowiska Warskiego i Kostrzewy na II-gim zjeździe polskiej partii. Leński stał jednakże na odmiennym stanowisku. Mając władzę w KPP nie tylko bronił swego stanowiska, ale rzucał na Warskiego i Kostrzewę oszczerstwa i kalumnie, by ich skompromitować w oczach partii. Była to zwykła walka o władzę, prowadzona nie najczystszyimi metodami. Leński miał za sobą poparcie Komitetu Wykonawczego Kominternu.

VII Kongres nie był „odrodzieńczym ruchem” w łonie komunizmu, jak stara się zapewnić czytelnika Kowalski. Była to próba zmiany taktyki, udaremniona przez Stalina, nowa taktyka z zachowaniem starych pozycji ze starymi przywódcami na czele. Nie zapominajmy, że było to w okresie „wielkiego terroru”. Do zagadnienia tego wkrótce powrócę.

Komuniści, skłonni do egzaltacji, znajdowali się pod urokiem „budownictwa socjalizmu” w ZSSR i przejścia rzekomo Rosji wkrótce „od socjalizmu do komunizmu”, gdzie będzie wszystkiego w bród i ludzie będą mogli zażywać pełnego dobrobytu. Co to jest socjalizm i co to komunizm, właściwie nie wiadomo. Jest to inne określenie na dawne pojęcia „królestwa Bożego na ziemi”. Pamiętajmy, że nawet w okresie głodu w Rosji Stalin śmiało powiedzieć: — *„Żit’ stało lechcze, zit’ stało wieseleje”*. Komuniści mieli skłonność wierzyć słowom, nie konfrontowali ich z rzeczywistością. Nawet zesłanie kilku milionów do łagrów (przypuszczalnie już w tym czasie ok. 12-15 milionów), gdzie większość z nich wyginęła, nie przekonało komunistów. Zarzucali prasie „burżuazyjnej” fałsz. To ich rozgrzeszało. Nie przemawiał do komunistów argument, że socjalizm opiera się na pracy niewolniczej. Prasa mówiła o śmierci głodowej milionów ludzi, zwłaszcza na Ukrainie. Komuniści temu przeczyli, uważali te fakty po prostu za oszczerstwa. Ale przecież przywódcy KPP wiedzieli o tym, co się dzieje w ZSSR, bywali tam nawet i nikt się nigdy nie zbuntował przeciw temu zakłamaniu. Mówili czasem o „trudnościach wzrostu”, ale nikt nie śmiał krytycznego słowa powiedzieć, by nie być okrzykanym jako „trockista”. Spytałem kiedyś Franciszka Fiedlera o to. Nie otrzymałem odpowiedzi. Palmiro Togliatti powiedział w 1954 roku „o wielkim odrodzieńczym impulsie” jaki stanowił VII kongres Kominternu; ale prze-

cięż zdawał sobie dobrze sprawę ze zbrodniczych poczynań reżymu Stalina przed i po kongresie — i sam nawet ponosił odpowiedzialność za wiele poczynań Kominternu.

Nie wszędzie w KPP uchwały Kominternu spotkały się ze zrozumieniem. W wielu wypadkach dało o sobie znać — pisze Kowalski — „niedostateczne przygotowanie teoretyczne członków partii i terenowego aktywu oraz brak odpowiednich wydawnictw”. Nie odpowiada to stanowi faktycznemu. Nawet Kowalski tłumaczy, że część „drobnoprzemysłowych robotników żydowskich w Warszawie” (a więc element najbardziej „uświadomiony” — według rozumowania komunistów) uważał poczynania Kominternu „za proces likwidowania rewolucyjnych organizacji” (str. 144).

Przejawy „naruszania praworządności w ZSRR” — pisze Kowalski — dały asumpt „przeciwko współpracy z komunistami” (str. 173). PPS, Bund, SL i inne partie rozluźniły swe kontakty z komunistami, uważały bowiem, że ta partia komunistyczna jest uzależniona od obcych sił.

Manewry komunistów w ramach taktyki „frontu ludowego” spotkały się jednakże ze zrozumieniem wśród części inteligencji, szczególnie wśród części pisarzy, czego przejawem był roztrąbiony lwowski tzw. Kongres Kultury. Kowalski wyciąga z tego wniosek, że był to „wyraz uznania dla postawy i hartu ideowego komunistów”. Tylko urzędowy historyk może w 1975 roku dojść do takich wniosków, którym przeczy historia.

Dalsze upodlenie

Konsekwentne zerwanie z hasłem dyktatury proletariatu wymagałoby „konsekwentnej krytyki poprzedniego stanowiska Kominternu w sprawie burżuazyjnej demokracji i socjaldemokracji” — pisze Kowalski — zwłaszcza krytyki teorii „socjalfaszyzmu”. „Jednakże wobec wyjątkowej już wówczas pozycji Stalina, VII-y Kongres nie zdobył się na to” (str. 207). Komintern nie tylko obawiał się wówczas Stalina, ale duża jego część wręcz nie chciała zmian. Komintern był nie tylko ekspozyturą „międzynarodową” WKP(b), ale zaczął się wkrótce przekształcać w ekspozyturę sowieckiej policji politycznej (GPU). Był to proces nie prosty i nie jednoznaczny, ale jednakże proces rzeczywisty, jak wykazały fakty. Nie mógł im zaprzeczyć nawet Togliatti po śmierci Stalina.

Stenogram VII Kongresu nigdy nie został opublikowany, jak to było w zwyczaju Kominternu. Przeciwwstawił się temu Stalin, który widział w kongresie wiele „niebezpieczeństw”. Komintern to oczywiście zaakceptował i uznał jego decyzję za swoją.

W 1936 roku odbyło się IV Plenum KC KPP. Niewiele o tym plenum wiadomo, część jego uchwał nigdy nie została opublikowana. Odbyło się ono w Moskwie i ponoć nawet w stenogramach nie znaleziono spraw, które były omawiane. Dlaczego — nie wiadomo.

Plenum stanęło na gruncie „frontu narodowego”. KPP występowała w tych uchwałach — pisze Kowalski — „jako rzecznik ludowego, plebejskiego patriotyzmu i jego tradycji” (str. 213). „My komuniści jesteśmy spadkobiercami najlepszych tradycji demokratyczno-wyzwoleńczych ludu polskiego” — głosi uchwała tego plenum. Może nawet niektórzy naiwni dawali wiarę tym zapewnieniom, ale wkrótce rzeczywistość, wskutek zależności od Moskwy, zadała temu kłam.

W latach 1933-1934 zaszedł pierwszy wypadek zabójstwa w Rosji dwóch członków KC KPP — Jerzego Czeszejki-Sochackiego oraz Tadeusza Żarskiego. Oskarżono ich bezpodstawnie, że byli „agenturą peowiacko-defensywiacką” w łonie KPP. WKP(b) uznała się za uprawnioną do ferowania wyroków śmierci na członków polskiego KC. Sochackiego GPU strąciła po prostu ze schodów w przepaść między schodami i poniósł śmierć na miejscu, jak to czyniła GPU, chyba niejednokrotnie, np. w wypadku Sawinkowa. Dowodem jest fakt, że wypadek ten rozstrąbiono w KPP. „Cień zjawisk — pisze Kowalski — związanych z tzw. kultem jednostki ciążył nad obradami IV Plenum” (KPP). Cóż to za cień?

Plenum KC KPP po prostu akceptowało ten fakt bezpodstawnego zabójstwa. W specjalnej uchwale wezwano do wychowania partii „w duchu bolszewickiej czujności” (a więc w duchu czujności zabójców) wobec rzekomej działalności „agentury peowiacko-defensywiackiej” wewnątrz KPP, która „rozbijała proletariacki trzon naszej partii, osłabiała jej zdolność bojową, powstrzymywała przezwyciężanie nacjonalistycznych złudzeń w masach, hamowała rozwój naszych wpływów i walkę masową z faszysmem”, nadto „żerowała na walce frakcyjnej, a po V Zjeździe na zdemoralizowanych w tej walce elementach typu trockistowskiego”. „Była to dywersyjna działalność agentury wroga klasowego” (str. 216).

Tak to KPP zaakceptowała zabójstwo członków swego KC przez sowiecką GPU. Dlaczego Stalin to uczynił, jakie miał ku temu powody — nie wiadomo. Może pchnęła go do tego choroba

liwa podejrzliwość? Podziwiać jednakże można (jeśli cokolwiek z tych koszmarnych lat może jeszcze nas dziwić), że plenum KC KPP akceptowało to zabójstwo i kłamliwe oskarżenia GPU.

Mało tego — plenum KC zatwierdziło uchwałę Biura Politycznego o wykluczeniu z partii wieloletniego Sekretarza Generalnego KPZB Józefa Łohinowicza, którego określono jako „białoruskiego nacjonalistę” i „agenta faszystowskiego”. Łohinowicz został przez GPU rozstrzelany. Nadto plenum zatwierdziło uchwałę BP w sprawie wykluczenia z partii zastępcy członka Biura Politycznego — Stanisława Burzyńskiego i zastępcy członka KC Konstantego Graesera-Kalickiego; nadto usunięto z szeregów KPZU — Bronisława Bermiana-Stasiaka, Piotra Putkę, Piotra Łypienko i niejakiego Datmana. Oczerniono ich jako „agentów ukraińskich nacjonalistów i sanacyjnego wywiadu”. Rozstrzelało ich GPU. Kowalski pociesza się, że „zrehabilitowano ich po XX Zjeździe KPZR” (w 1956 roku).

Plenum usunęło z zespołu kierowniczego wybitnego działacza KPP Amsterdama, znanego pod pseudonimem Henrykowski. Było to przypuszczalnie jedno z antysemickich posunięć ówczesnego kierownictwa KC, nakazane przez Komintern. Postanowiono też zreorganizować skład Centralnej Redakcji, w której dominowali działacze pochodzenia żydowskiego. Motywowano ten krok „ideologicznie”: — „aby robotnik czuł się rzeczywistym gospodarzem partii”. Rzecz jasna — nie o to chodziło KPP.

Nadto wielu działaczy KPZB oskarżono wówczas o „specyficzną formę dywersji piłsudczykowskiej”. Byli wśród nich Arsenij Konczewski, Leopold Rodzewicz i wielu innych. GPU wszystkich ich rozstrzelało.

Rozprawy, o których była wyżej mowa, były jedynie wstępem do rozprawy Stalina z KPP, zresztą nie tylko z KPP. Rozprawa Stalina z komunistami przybrała międzynarodowy charakter. Komintern wzywał do Rosji Sowieckiej niczego nie podejrzewających członków komitetów centralnych partii rumuńskiej, węgierskiej, czeskiej, jugosłowiańskiej i innych. Tam ich aresztowało GPU i większość z nich rozstrzelało. Kowalski wprowadza jawnie w błąd czytelnika, gdy nie mówi o tych aresztach i rozstrzelaniu komitetów centralnych wymienionych i innych partii.

Nie wiadomo dokładnie, dlaczego Stalin to uczynił. Według jednej z wersji, bardzo zresztą prawdopodobnej, Hitler dał znać Stalinowi o obcych rzekomo agenturach w łonie partii komunistycznych w krajach Środkowej i Wschodniej Europy. Podejrzliwy chorobliwie Stalin dał temu wiarę i rozprawił się z tymi partiami

w sposób jemu właściwy. Pogłoskę tę lansowano dłuższy czas. Czy odpowiada ona prawdzie — trudno powiedzieć. Była to ponoć długofalowa polityka Hitlera oczyszczenia pola dla swych zaborów.

Zabójstwo członków KC KPP

W roku 1937 zaczęto wzywać do przybycia do ZSSR wszystkich członków kierownictwa KPP. Wzywali przeważnie przedstawiciele Kominternu. W Moskwie GPU aresztowało ich wszystkich. Nie wszystkie fakty są znane. Wiem tylko o kilku.

Warskiego, człowieka w podeszłym wieku, skazano na zesłanie do łagru. W drodze, z powodu niesłychanego pragnienia, upadł przed kałużą i pił z niej wodę, a właściwie błoto. Zginął w drodze do łagru w jakimś nieznanym lesie.

Próchniak, który był w Moskwie, przez tydzień przesiadywał na ławeczce przed domem i wyczekiwał na swe aresztowanie. Nie poczynił żadnych kroków, by uciec lub ukryć się. Po tygodniu aresztowano go i rozstrzelano.

Bronkowski był również w Moskwie jako łącznik z Kominternem. Aresztowano go w domu i rozstrzelano.

Leńskiego wezwano z Paryża. Mimo ostrzeżeń swych przyjaciół, pojechał do Moskwy pełen zaufania do władzy sowieckiej. Z dworca zadzwonił do Bronkowskiego. Słuchawkę podniosła żona i oświadczyła Leńskiemu, akcentując każde słowo: — Bronka nie ma. — Leński odpowiedział: — Głupia jesteś. — Zaraz też przyjechał. Wyjaśniła mu wszystko i ostrzegła go. Jeszcze raz powiedział: — Głupia jesteś. — I poszedł do siedziby Kominternu. Tam go aresztowano i wkrótce rozstrzelano.

Franciszek Fiedler ocalał jedynie dlatego, że do Moskwy nie pojechał, udał że jest chory na grypę. W „obawie” przed towarzyszami (w Paryżu!) rzeczywiście położył się do łóżka, a żona lekarka „opiekowała” się nim. Tak też ocalał Ostap Dłuski, członek Redakcji Centralnej.

Czołowy teoretyk KPP, Ryng, pojechał do Moskwy, tam został aresztowany i rozstrzelany.

Jeszcze wielu członków KC KPP zostało w Moskwie rozstrzelanych. Wymienię jedynie część z nich. Byli wśród nich Purman, Wojewódzki (działacz NPCh), Taraszkiewicz (działacz KPZB i poseł na Sejm), Bobiński i Budzyński, Hanecki, Lauer, Unslicht (zresztą działacz WKP(b), współpracownik jeszcze Lenina i GPU), Żbikowski, Danieluk, Krajewski (zięć Warskiego,

działał długo w WKP(b), Horwitz-Walecki, Rwał-Reicher, Hempel, nadto znani posłowie na Sejm Dąbał, Królikowski, Łańcucki, Bitner i wielu innych.

W taki sposób Stalin wykonał swe poważne zadanie — rozstrzelał komitety centralne wielu partii komunistycznych. W samym Związku Sowieckim aresztowano i zesłano do łagrów w tym czasie miliony osób, m.in. członków centralnych instancji partyjnych i wojskowych najwyższych stopni.

Jest jednakże charakterystyczna rola, jaką spełnił przy tym Komintern. Stał się on powolnym narzędziem policji politycznej ZSSR, współdziałał w najbardziej ohydnej robocie. Czynili to zresztą ludzie powszechnie znani, o głośnych nazwiskach — nie tylko w świecie komunistycznym. Wszyscy znajdowali się pod presją, nie byli pewni jutra, musieli oddawać „usługi” GPU. Komintern stracił faktycznie na jakimkolwiek znaczeniu, nie był ośrodkiem międzynarodowego ruchu komunistycznego, nie mógł nawet już pełnić swej dawnej roli — ekspozytury międzynarodowej ZSSR. Stał się okresowo ekspozyturą GPU, choć od tej haniebnej roli starał się Komintern uwolnić i od wielu „misji” uchylać.

KPP bez przywództwa

Dla KPP nastały tragiczne dni. Wysoko scentralizowana partia nie posiadała kierownictwa, zamknął centralny ośrodek dyspozycyjny jakim był Komintern. Zerwał on wszelkie kontakty z polską partią ponoć dlatego, że dowierzał oszczerczym oskarżeniom GPU; powtarzał zresztą te oskarżenia w swej publicystyce.

KPP nie została natychmiast rozwiązana; działała ona pod często przypadkowym kierownictwem, czasem dorywczo utworzonym, np. kilku osób z praskiego biura łącznikowego, samowznączego Sekretariatu Krajowego, itp. Te przypadkowe instancje starały się utrzymać na miarę swych możliwości jakąś organizację i dyscyplinę. Nie dawały one wiary oskarżeniom, ale utrzymywały wiarę w nieskazitelność Kominternu i WKP(b) jako „przodującej” i „najbardziej doświadczonej” partii rewolucyjnej, „partii Lenina”. Jak daleko sięgała ta wiara świadczy fakt, że jeden z członków sekretariatu krajowego pojechał do Moskwy, gdzie oczywiście wpadł w ręce GPU i już nigdy nie wrócił. A pojechał tylko po informacje — co robić? dlaczego Komintern zerwał stosunki z polską partią?

W tym czasie komuniści zajmowali się szczególnie sprawą pomocy republice hiszpańskiej. W Hiszpanii działała Brygada Międzynarodowa, w której Polacy odgrywali szczególnie ważną rolę. Kowalski poświęca jej wiele uwagi, jako świadectwu „internacjonalizmu” KPP.

Rosja Sowiecka popierała republikę przeciw interwencji Niemiec hitlerowskich i Włoch i posłała tam swe kadry i pomoc zbrojną. Dowódcą Brygady Międzynarodowej był sowiecki generał Karol Świerczewski. Komuniści utworzyli wokół niego całą legendę — o gen. Walterze. Jak przedstawiały się te stosunki rzeczywiście?

Nieudolność, jaką wykazał Świerczewski w końcowym okresie wojny, ujawniła się w większej mierze w Hiszpanii. Posyłał on po prostu oddziały Brygady Międzynarodowej pod kule — wskutek swej nieudolności; padło tych żołnierzy niewiarygodnie dużo.

Na terenie Hiszpanii działała, rzecz jasna, także GPU. Rozstrzelała ona tam setki i tysiące niewinnych ludzi z oskarżenia o „anarchizm” czy „anarchosyndykalizm”. Wielu komunistów udało się z Hiszpanii (w końcowym okresie wojny) do ZSSR, tam ich jednakże zsyłano do łagrów, skąd przeważnie już nie wrócili.

Na domiar w południowej Francji partia komunistyczna utworzyła biuro dla wysyłki uciekinierów z Hiszpanii przeważnie do ZSSR. Kierowniczką tego biura była żona jednego z sekretarzy KC partii francuskiej, Niemka z pochodzenia. Okazała się ona agentką Niemiec hitlerowskich, za jej wskazaniem zsyłano byłych ochotników hiszpańskich do sowieckich łagrów. Nie sposób opisać tu tragedii tych ludzi, którzy poświęcili życie dla „demokracji” hiszpańskiej, a stali się ofiarami GPU.

Ochotnicy polscy z masakry tej przeważnie ocaleli, gdyż udali się z Hiszpanii do Francji, częściowo do Włoch lub do północnej Afryki. Była to kolejna tragedia KPP, o której Kowalski nie napisał ani słowa.

Front narodowy

Kowalski podsumowuje cele i skutki jednolitego frontu na szerokim tle wypowiedzi czołowych teoretyków socjaldemokracji. W tym okresie PPS, Bund, Stronnictwo Ludowe zerwały z KPP stosunki „ludowo-frontowe”. Powodem była rozprawa Stalina

z KPP. Twierdzili, że nie można mieć zaufania do partii, która jest pod obcym kierownictwem. Składali zresztą KPP swe ubolewanie z powodu straty przywódców.

Kowalski pisze zresztą otwarcie co sądzi (może słowa te odnosi do wczesnego okresu jednolitego frontu):

— „Ruch komunistyczny zrezygnował z terminu (? — L.) 'socjalfaszyzm', bronił burżuazyjnej demokracji zagrożonej przez faszyzm, realizował front jednolity i ludowy, traktując walkę o radykalną demokrację (? — L.) jako wstęp do walki o dyktaturę proletariatu wzorowaną całkowicie na przykładzie ZSRR” (str. 252).

Do słów tych jest niepotrzebny żaden komentarz, wyjaśniają one istotne cele komunizmu, co zresztą uwidoczniło się w roku 1945 i później. Przed zdobyciem władzy komuniści przyrzekają zawsze „demokrację”, zaś po zdobyciu władzy orzekają, że ich demokracja jest właśnie dyktaturą proletariatu tylko słownie różną od dyktatury sowieckiej.

KPP przygotowała odezwę do partii (1937 r.), która miała już otwarcie postawić sprawę obrony narodowej. „Gdyby pod pozorem uwolnienia Śląska hitlerowcy wtargnęli do Polski — głosi ten projekt odezwy — to wojnę obronną przeciw takiemu najazdowi uznałibyśmy za wojnę sprawiedliwą”. W stanowisku KPP miała to być istotna zmiana bowiem, jak pamiętamy, KPP stała dawniej na stanowisku, że „imperializm polski” zagarnął Śląsk który musi być zwrócony Niemcom. Taka była przecież polityka Kominternu wobec Niemiec.

„Nie godzi się polskiemu demokracji — głosiła KPP — zamykać oczy na bezsporny fakt, że jedynym wrogiem niepodległości Polski jest hitleryzm, a jedynym sprzymierzeńcem blok pokojowy państw demokratycznych i Związku Sowieckiego”. KPP pozostała zawsze wierna Sowietom, także w obronie niepodległości Polski. Nie przyszło komunistom przez myśl, że losy wojny mogą pchnąć ZSSR w sojuszu z Niemcami hitlerowskimi, do zaatakowania i rozbioru Polski. Ale również w tym wypadku komuniści pozostali wierni Sowietom i Stalinowi.

KPP stanowczo odrzucała zarzut PPS i SL, że jest „obcą agenturą”. Komuniści — twierdziła — kierują się zasadami „internacjonalizmu proletariackiego”, dlatego udzielają poparcia „sprawie budownictwa socjalistycznego w ZSSR i jego antyimperialistycznej walce”. KPP zapewniała o swym „narodowym” stanowisku i o swej obronie Polski przed agresją hitlerowską. Zwłaszcza po IV Plenum nasiliły się te zapewnienia. Opory największe przeciwko temu stanowisku KPP wykazywały pewne

koła Kominternu, którym hasła te wydawały się „nacionalistyczne”. KPP zarzut ten odpierała.

Już na I Kongresie Kominternu dały się słyszeć głosy przeciwko podporządkowaniu Kominternu partii rosyjskiej. Z czasem jednak głosy te ucichły i partie uległy sloganom, że Sowiety są „ojczyzną międzynarodowego proletariatu”, jedynym państwem socjalistycznym w otoczeniu wrogich państw kapitalistycznych itd., by z czasem podporządkować się skrajnemu centralizmowi stalinowskiemu. Na VII Kongresie Kominternu zaakcentowana została ponoć w jego uchwałach, jak zapewnia Kowalski, „konieczność pewnej przynajmniej decentralizacji MK, zwiększenia samodzielności i inicjatywy partii komunistycznych” (str. 375). Nie przypominam sobie tego rodzaju uchwały Kominternu. Wprost przeciwnie — partie komunistyczne znajdowały się jak nigdy dotąd pod naciskiem WKP(b), centralizm Kominternu dał o sobie znać jak nigdy dotąd.

Likwidacja i rozwiązanie KPP

W tym czasie w sowieckich łagrach znajdowało się co najmniej 20 milionów ludzi, kilka milionów zginęło — rozstrzelanych przez GPU, bądź zmarłych z głodu i wycieńczenia. Było to niczym nieusprawiedliwione ludobójstwo, związane z pracą niewolniczą. Cóż może to usprawiedliwić? Czy jest to sprawa tylko zbrodniczych instynktów Stalina i jego aparatu? Oczywiście że także, ale jest to przede wszystkim owoc systemu dyktatorskiego, co Kowalski skrętnie pomija. Powołuje się przy tym na uchwały KPZS po 1956 roku.

„Na sytuację tę złożył się skomplikowany spłot czynników — powiada Kowalski — oddziaływujący na cały ruch komunistyczny”. Tego „skomplikowanego spłotu czynników” nie omawia, nawet nie opisuje, by móc go ocenić. Zagadnienia te — powiada — będą „przedmiotem badań i dyskusji historyków i socjologów”. Za uchwałami KPZS wskazuje Kowalski „na historyczną rolę J. Stalina w dziejach”, nie cofa się nawet przed wskazaniem, że zwycięstwo nowego ustroju „stworzyło sprzyjające warunki dla rozwoju demokracji partyjnej i państwowej” w ZSSR. Ale „pogwałcenie zasad praworządności socjalistycznej i masowe represje wyrządziły poważną szkodę Komunistycznej Partii i budownictwu socjalistycznemu”. I te bzdury o „praworządności socjalistycznej” w ZSSR, szczególnie w czasach Stalina, powtarza Kowalski bez zająknięcia. Dodaje przy tym, że ujemne następstwa „kultu jednostki” „odbiły się również na Międzynarodówce

Komunistycznej, na jej kadrach i na wielu aspektach jej polityki” (str. 376-377).

Kowalski uważa, że błędna teza teoretyczna Stalina o stałym zaostrożeniu się walki klasowej w socjalizmie wyrządziła „wielką szkodę sprawie budownictwa socjalistycznego, rozwojowi demokracji w partii i w państwie”, że w praktyce „ta błędna teza teoretyczna” służyła „jako uzasadnienie masowych represji”, ułatwiała „pogwałcenie praworządności socjalistycznej”. A więc błędna „teza teoretyczna” stała się podstawą zamordowania i osadzenia w łagrach milionów niewinnych osób. Widocznie „błędna teza teoretyczna” jest nadal podstawą istnienia łagrów w ZSSR i osadzania zdrowych ludzi w domach dla obłąkanych.

Nie mogąc sprawy KPP ukryć, Komintern ogłosił w swym piśmie artykuł pt. „Prowokatorzy przy robocie” jako „korespondencję z Warszawy”. Powtarza w nim wszystkie oszczerce zarzuty GPU przeciw KPP. Rzecz jasna — tymczasowe kierownictwo KPP nie odważyło się zaprotestować i wskazać na zbrodnie reżymu sowieckiego, choć przecież zbrodniczość tego reżymu nie ulegała wątpliwości. Tymczasowe kierownictwo jedynie tłumaczyło nieśmiało, że te oskarżenia to tylko „rezultat nieporozumienia”.

Kowalski stwierdza przy tym: — „Ówczesną prasę KPP przepełniały uchwały instancji i organizacji partyjnych, wyrażające aprobatę dla sankcji wobec domniemyanych wrogów” (str. 424). Mało tego — tymczasowe kierownictwo KPP, wzorując się na specjalnej rezolucji KW MK, nawoływało członków partii „do najostrzejszej walki z trockizmem” w szeregach KPP. Zalecono nawet by wątpiących w słuszność decyzji Stalina i GPU natychmiast wykluczać ze wszystkich organizacji robotniczych i związków zawodowych. To był szczyt upodlenia! Po tych wszystkich zbrodniach i oszczerstwach uznawano nadal autorytet WKP(b) i Kominternu. Podejmowano nawet specjalne uchwały „o zaśmieszczeniu partii różnego rodzaju elementami obcymi”, o „zaniedbaniu konsekwentnej walki z prowokacją” itd.

Uchwała Komitetu Wykonawczego Kominternu była stosunkowo krótka. Stwierdzała ona: „Komintern, po ujawnieniu szeroko zakrojonej sieci defensywiacko-prowokatorskiej na kierowniczych stanowiskach w KPP, zdecydował rozwiązać Komunistyczną Partię Polski, aby przeciąć za jednym zamachem długo ropiejący wrzód, i postanowił na nowo zbudować partię na zdrowych proletariackich podstawach”. Natychmiast przy tym dodano: „Kto się zdecyduje organizować partię poza Kominternem” będzie uważany za prowokatora. Tak starano się zapobiec buntowi w partii. KPP zachowała dyscyplinę.

Kowalski stara się zapewnić, że w partii komunistycznej panowała wówczas „atmosfera zbiorowej psychozy”. W tej atmosferze rozwiązano KPP, formalnie w sierpniu 1938 roku. Ale w partii — dodaje Kowalski — „zawarł się ogrom wiary w ideały sprawiedliwości społecznej, hartu, ofiarności i poświęcenia działaczy tysięcy bojowników”.

Cóż na to powiedzieć?

Aleksander LIWIN

Józef LEWANDOWSKI

NA WSCHÓD OD WIDNOKRĘGU

Dziwna książka*, niecodzienna. Smutna książka o tragicznych losach człowieka, łamanego przez młyn dziejów, przez siły niszczące i poszczególnych ludzi i cały naród ukraiński. Losy człowieka samotnego, który nie

O autorze wiemy niewiele, tylko tyle, co sam o sobie na kartach pamiętnika napisał i co wydawnictwo jako uzupełnienie podało w przedmowie. Urodził się w 1914 roku, Ukrainiec, chłop ze wsi Boremszczyzna na pograniczu Wołynia i Polesia, za młodu wstąpił do Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, co pociągnęło za sobą areszt i pięcioletnie ciężkie więzienie, które dla Szumuka było jednak i uniwersytetem i pierwszym oknem na świat. Z więzienia uwolniła go wojna. Wrócił w rodzinne strony, by szybko zniechęcić się do komunizmu, zetknąwszy się z sowiecką praktyką.

W 1943 roku Szumuk wstępuje do Ukraińskiej Powstańczej Armii. Po latach podaje, że uczynił tak, gdyż była to na tym terenie jedyna organizacja walcząca z Niemcami, choć współpraca UPA z hitlerowcami w pierwszych latach wojny nie była dlań tajemnicą. W innym miejscu Szumuk podaje, że wstąpił do UPA by uchronić się przed wywiezieniem na roboty do Niemiec. Zgódźmy się jednak, że decyzje ludzkie są często skomplikowane i składają się z wielu trudnych do wyodrębnienia bodźców.

Służąc w UPA autor szybko zetknął się z faktami sprzecznymi z jego idealistycznymi poglądami na cele ukraińskiego ruchu narodowego.

Szumuk pisze, że nie mógł akceptować mordowania wsi polskich przez UPA, jeszcze bardziej bolało go masowe mordowanie swoich, ukraińskich, ziomków na podstawie niesprawdzonych podejrzeń, często insynuowanych przez sowiecką agenturę w UPA. Co prawda Szumuk szybko przesunął się naprzód po drabinie służbowej UPA, był wykładowcą politycznym, dowódcą oddziału by wreszcie zostać obwodowym przewodnikiem UPA, ale awanse te

* Szumuk Danyło, *Za schidnim obrijem. Spomyny*. (Na wschód od widnokregu. Wspomnienia). Wyd. Smoloskyp, Paryż-Baltimore, 1974, str. 447. tylko nie znalazł ale chyba i nie znajdzie spokoju i przystani, mimo iż dla samego siebie nie tak wiele wymaga.

są raczej nieumotywowane — nie należy zapominać, że autor przebywał w ZSSR, gdzie za działalność w UPA nadal wymierzane są kary śmierci.

Pod koniec wojny aresztowany przez władze sowieckie, Szumuk został skazany na karę śmierci, z czasem zamienioną na 25 lat katorgi, którą spędzał w najcięższych obozach północnych. Brał udział w powstaniu więźniów w obozie w Norilsku w 1953 roku. Wypuszczony w czasach Chruszczowa, skazany w prowokacyjnym procesie w 1957 roku ponownie na 10 lat, w 1972 znowu na 10 lat.

W chwili wydania książki Szumuk przebywał w obozie w Mordowskiej ASSR.



Książka Szumuka jest jeszcze jednym smutnym opisem rzeczywistości sowieckiej, opisem spokojnym, wstrzemięźliwym, prawdziwym. Opisów tych jest już dużo, ale książka Szumuka mimo to nie traci na znaczeniu.

Druga warstwa to analiza niedoli i bezdroży ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego. Ruch ten wydał niewątpliwie wielu działaczy i bojowców, którzy w imię niepodległej Ukrainy nie szczędzili ani sił, ani zdrowia ani życia. Rejestr poległych jest chyba tego najlepszym dowodem. Jednocześnie jednak walka nie tylko była bezowocna, ale również i dwuznaczna — mało kto tak zaskodził interesom narodu ukraińskiego jak ci, którzy w imię jego interesów walczyli — taką konstatację jakże często spotykamy w pracach ukraińskich i nie-ukraińskich autorów. Szumuk jest ostry w swojej krytyce ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego: „Wiem, że moje opowiadanie nie przypadnie do gustu ani komunistom ani apologetom UPA, zarówno Polakom jak Rosjanom i Niemcom, ale inaczej nie mogę i nie mam prawa. Niech mnie nawet ukamieniają, wszyscy razem, ... ale ja innym być nie mogę i nie chcę się przystosowywać do tej czy innej koniunktury politycznej. Błądziłem, robiłem pomyłki ale zawsze zdecydowanie szedłem za głosem sumienia i rozumu, nie patrząc na przeszkody, groźby, kary i cierpienia. Oskarżają mnie o odstępstwo i rewizjonizm, zarówno apologetci komunizmu jak OUN, ale doprawdy to ja nie brałem ślubu ani z jednymi ani z drugimi...” (str. 395).

Szukając źródeł negatywnych zjawisk Szumuk widzi je w poglądach ideologa OUN, Dmytra Doncowa, w jego nietscheańskiej koncepcji nadczłowieka, wolnego od więzów etycznych w dążeniu do celu. Zdaniem Szumuka, koncepcja elity i arystokracji ducha, propagowana przez Doncowa „... otworzyła drzwi do życia społeczno-politycznego motłochowi...” (str. 413).

Obecne marzenia autora są skromne: „Niech by nawet istniał na Ukrainie dokładnie taki sam ustrój społeczny i polityczny jak w Rosji, ale żeby Ukraina żyła własnym życiem państwowym, chociażby tak jak Polska...” (str. 397). Z polskiego punktu widzenia ten minimalizm jest zaskakujący, ale niejednokrotnie dane mi było stwierdzić, że przykład polski, najbliższy z krajów demokracji ludowej i najlepiej znany przez podbite narody, skłania je do wysuwania postulatów rozluźnionej zależności od Moskwy. Taki postulat można odczytać między wierszami słynnej pracy Iwana Dziuby (*Internacjonalizm czy rusyfikacja*), do tego dążą opozycjoniści w republikach nadbałtyckich. Polska była wśród uciśnionych narodów bardzo popularna, zwłaszcza po 1956 roku.

Może nie wszystko w krytyce OUN i UPA jest w tej książce odkrywcze, gdyż na temat ich już wiele napisano. Wiadomo, że w Związku Sowieckim i w PRL ciągle publikuje się stopy literatury, formalnie wymierzonej przeciwko OUN, *de facto* jednak przeciwko ukraińskim dążeniom narodowym w ogóle. W jakimś stopniu i miejscu prace te zbiegają się z książką Szumuka ze względu chociażby na materiał faktyczny. Byłoby jednak dużym uproszczeniem stawiać znak równania między pracami tak różnej proweniencji

i tendencji. Książka Szumuka nie jest bowiem w żadnym wypadku pracą prosowiecką, wprost przeciwnie, jej aktualne ostrze jest wymierzone przeciwko sowieckiemu panowaniu nad Ukrainą. Jego krytyka zaś OUN i UPA wychodzi od wewnątrz, jest głosem ukraińskiego patrioty.

Miarą znaczenia książki może służyć chociażby to, że jeden z czołowych organizatorów i przywódców UPA, Lew Szankowskyj poświęcił jej drukowaną w 20 odcinkach recenzję o ogólnej objętości ok. 100 stron maszynopisu! Główna teza Szankowskiego brzmi: Książka jest falsyfikatem, spreparowanym przez sowieckie władze bezpieczeństwa. Na dowód tego Szankowskyj przytacza wiele pomyłek w nazewnictwie miejscowości, w datach, w kolejności wydarzeń itd.

Nie będąc specjalistą w tej dziedzinie i nie będąc w stanie przeprowadzić własnej weryfikacji zakładam, że Szankowskyj ma w każdym szczególe rację. Mimo to teza jego nie została dowiedziona. Pomyłki tego typu i w nie mniejszej ilości zdarzają się w każdym pamiętniku pisanym po latach. A trzeba dodać, że wspomnienia Szumuka powstawały w szczególnie trudnych warunkach, częściowo w obozie, a na wolności autor też musiał kryć się ze swoim dziełem, ciągle narażony na konfiskatę i pozbawiony dostępu do materiałów. Metoda Szankowskiego daje się streścić następująco: Kto nie z nami ten służy sowieckim władzom bezpieczeństwa. Co nie wyklucza prawdopodobieństwa, że w skomplikowanej drodze między autorem w Związku Sowieckim (w więzieniu!) a wydawnictwem w Paryżu pierwotny tekst autorski mógł ulec okaleczeniu, jak i nie wykluczam autocenzury, od której nie jest wolny w ZSSR nikt, również i autorzy prac samizdatowskich.

Józef LEWANDOWSKI

LISTY DO REDAKCJI

Londyn, 18 lutego 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dziękuję za ogłoszenie w *Zeszytach Historycznych* (Zeszyt 35-ty), opracowania Komisji Wojskowej Rady R.P. pod tytułem „Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych 1945-1946”, które swego czasu Panu Redaktorowi wysłałem.

Jak już pisałem w listach z dnia 4 grudnia 1975 i 24 stycznia 1976 r. jest to opracowanie Komisji Wojskowej w związku z moimi wnioskami na Radę R.P.

Komisja Wojskowa, której byłem przewodniczącym zadanie swe wykonała i dnia 12 grudnia 1961 r. przedłożyła Radzie R.P. sprawozdanie, dołączając do niego w pełnym brzmieniu opracowanie „Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych 1945-1946, w świetle dokumentów”.

Rada R.P. sprawozdanie Komisji przyjęła do wiadomości i wezwała Rząd R.P. do wydania tego sprawozdania i opracowania w formie broszury.

Dzięki Panu Redaktorowi nastąpiło to teraz w *Zeszytach Historycznych*.

Proszę uprzejmie o umieszczenie w najbliższym numerze *Zeszytów Historycznych* moich wyjaśnień, by sprostować to, co napisał P. Z. Siemaszko, że jest to „opracowanie Br. Łokaja”.

Z poważaniem,

Br. Ł O K A J



Kopenhaga, 5 września 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

Recenzję J. Lewandowskiego o książce Rechowicza „Bolesław Bierut” mimo całego szacunku dla Autora, uważam za dość bałamutną. Wprowadza ona zresztą czytelnika nie raz w błąd.

Oto okoliczności śmierci Bieruta. Jedynym świadkiem tych dni Bieruta był Franciszek Mazur. Rozmawiałem z nim natychmiast po jego przyjeździe z Moskwy. Relację Mazura uważam za możliwie szczerą, o czym świadczył emocjonalny sposób relacji i wzruszenie jakie go w czasie relacjonowania nieraz ogarniało. Był on naprawdę wzruszony.

W Moskwie istniał paskudny zwyczaj — zapraszania na wszelkie uroczystości na Placu Czerwonym gości zagranicznych — nie zważając na pogodę. Zaproszenie było równoznaczne z obowiązkiem. Po takim 5-godzinym staniu na mrozie Bierut ciężko przeziębził się. Mimo że przezornie włożył futro. Nie nosił jednakże czapki uszatk, jak to jest w sowieckim zwyczaju. Rozwinęła się grypa. Lekarze Kremla zostali natychmiast zmobilizowani i uczynili wszystko co możliwe. Po 6-ciu dniach grypa wydawało się mijała. Ale Bierut był niewytrwały. Był zresztą od dawna chory „na

serce". Zamierzał jak najszybciej pojechać do Polski, gdzie było dość niespokojnie. 7-go dnia rano o godz. 10-tej przyszedł do niego Mazur. Bierut zaproponował mu przechadzkę i mimo sprzeciwu zaczął się przygotowywać do spaceru. Po kilku minutach Mazur wrócił; Bierut podniósł się z siedzenia i zaczął iść w stronę drzwi. W tej chwili zachwiał się i upadł. Natychmiast zmobilizowano lekarzy kremlofskich (początkowo straż ochronną dla natychmiastowej pomocy). Zatelefonowano po prof. Fejgina do Warszawy wobec poważnego stanu chorego. Był to zawał serca. Prof. Fejgin miał być polskim świadkiem tych wypadków. Nie pamiętam, czy była w tej sprawie uchwała sowieckiego kierownictwa partyjnego. Stan chorego szybko się pogorszył. Odezwała się jego stara choroba serca. Wkrótce chory umarł. Prof. Fejgin przyjechał już po zgonie Bieruta. Wiem o tym z osobistej relacji mego przyjaciela prof. Fejgina, obecnie już nieżyjącego.

Śmierć Bieruta wywołała wstrząs w kierownictwie kremlofskim. Natychmiast zebrało się i poza formalnościami podjęło uchwałę, że w przyszłości nie będzie się zapraszać obcych gości na jakieś zimowe parady i manifestacje. Nie jest prawdą „opakowanie” Bieruta, leżał normalnie w trumnie.

Sądzę, że nie można opierać się na krążących po Warszawie wówczas „plotkach”.

Aleksander LITWIN

Szanowny Panie Redaktorze,

Ze znacznym opóźnieniem przeczytałem artykuł Emila Jerzego Czerniawskiego (*Zeszyty Historyczne*, Nr 33-ty). Zainteresował mnie szczególnie fragment dotyczący materiałów Kazimierza Świtalskiego i jego losów, zamieszczony na str. 159-162.

Na plenum KC PZPR w październiku 1953 roku mówcy strasznie ostro zaatakowali UB i jego metody. Ujawnienie tych metod wywołało wstrząs wśród części ówczesnego „aktywu”, zwłaszcza wśród inteligencji. Widzieli w tym sowieckie metody z epoki Stalina i stawiali otwarcie, że trzeba z tym skończyć. Bierut nie tyle przejął się tą krytyką, lecz uważał, że trzeba uczynić jakiś gest kompromisowy dla uspokojenia opinii tego aktywu partyjnego.

Jednym z takich kroków była decyzja min. Radkiewicza przekazania części „archiwum” UB do Wydziału Historii Partii, aby udostępnić część tego archiwum historykom. W końcu 1954 lub na początku 1955 roku archiwistka wręczyła mi jakiś zespół materiałów. Później powiedziała mi, że to jest „archiwum Świtalskiego”. Choć nie należę do ludzi ciemnych jak tabaka w rogu, nie przyszło mi na myśl, że Kazimierz Świtalski wrócił po wojnie do Warszawy, że w 1948 roku został przez UB aresztowany, że przesiedział w więzieniu mokotowskim 7 lat i nadal mieszkał pod Warszawą. Nie przypuszczaliśmy wówczas, ani ja ani nikt spośród kilkudziesięciu moich współpracowników, że były premier sanacyjny, na którego zresztą komuniści byli szczególnie cięci za „wypadki krakowskie”, znajduje się w Polsce „Ludowej”. Tak władze potrafią zataić wieści o swoich wyczynach przed tzw. opinią publiczną.

Przejrzałem „archiwum Świtalskiego” dość pobieżnie. Znajdował się tam rękopis jakiejś pracy (ponad 100 stron) widocznie samego Świtalskiego o zagadnieniach prawnopañstwowych, którą oceniłem wówczas w zasadzie pozytywnie, mimo że z wielu poglądami autora nie zgadzałem się. Nadto znajdowało się w tym „archiwum” wiele kartek, po części trudno czytelnych. Teraz wyjaśniono, że były one zawilgocone, prasowane itd., o czym wówczas nie wiedziałem. Na tych „karteluskach” znajdowały się czyjes

wypowiedzi, jakieś rozkazy itp. Przeczytałem tylko ich część bardziej czytelną. Nie przypuszczam, aby tam znajdowało się ok. 100 dokumentów Piłsudskiego, chyba o kilkadziesiąt mniej. Możliwe jednakże, że Świtalski osobiście mógłby znaleźć tam więcej tych dokumentów i na pewno odczytać więcej, niż ja to zdołałem uczynić. Wątpię by te materiały miały tak istotne znaczenie dla historii, jakie im Świtalski przypisuje. Uważał on siebie za historyka tego okresu. Wątpię, by z taką mentalnością i bezkrytycznym zapatrzeniem w Piłsudskiego można było napisać rzeczywistą historię. Zresztą, na ile mi wiadomo, Świtalski zamiarów swych nie zdołał urzeczywistnić.

W swym liście z 22 grudnia 1962 roku adresowanym do p. Czerniawskiego i jego żony, Świtalski m.in. pisze (str. 160-161):

„Tutejsi — pozał się Boże — historycy, wydają swoje, tendencyjne oczywiście, opracowania historyczne...” itd.

Nie wiem, co upoważniło Świtalskiego do takich ogólnikowych sądów. W każdym bądź razie jego „prace” są też co najmniej „tendencyjne”. Cóż też sądzić o ogólnikowym twierdzeniu „tutejsi — pozał się Boże — historycy”. Daleki jestem od mniemania, by historycy polscy zawsze podawali obiektywne fakty, aby po marksistowsku nie zniekształcali czasem historii. Daleki jestem jednak od sądu, by wszystkich ich zaliczyć do „pozał się Boże historyków”, by nie było wśród nich rzeczywistych historyków zasługujących na najwyższe uznanie, nawet w sprawach historii najnowszej. A jeśli czasem jakieś zagadnienia omijają, to są do tego zmuszeni przez warunki cenzury itp. Pogardą w każdym bądź razie cieszą się ci, którzy istotnie zniekształcają historię dla sobie wiadomych celów.

Informacja „Wolnej Europy” z 28 stycznia 1967 roku do mnie nie dotarła.

Jak prof. Leon Grosfeld mógł się powołać, że czytał archiwum Świtalskiego w „Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych” — nie rozumiem jeśli akta te w 1957 roku na domaganie się p. Altmana zostały przekazane przez Zakład Historii Partii — Archiwum Akt Nowych. Chyba że Ministerstwo sporządziło sobie kopie. Proszę jednakże wziąć pod uwagę, że był to okres po „październiku” i nie można było w Polsce postępować dowolnie nawet w takich sprawach.

Jak władze polskie potrafią ukryć sprawy świadczy fakt, że o śmierci byłego premiera Polski w wypadku ulicznym (potrącony przez tramwaj) nie wspomniano w *Życiu Warszawy*.

Czym powodowała się warszawska *Kultura*, że zaczęła publikować „Zapiski Kazimierza Świtalskiego”, nie wiem.

Aleksander LITWIN



PRZYCZYNEK DO HISTORII RGO

Z satysfakcją i wdzięcznością przeczytałam w 31-ym *Zeszycie Historycznym* Wspomnienia Stanisława Wachowiaka. Wyciąganie na światło dzienne spraw z okresu konspiracji, oraz wymienianie nazwisk znacznych ludzi a wśród nich „dobrych” Niemców jest doskonałą terapią po tym cośmy przeszli w latach 1939-1945.

Zatrzymałam się dopiero przy zdaniu: „[...] Najcięższy rok jaki przeżywałem był 1943. Ale dzięki temu, że Naród jak jeden mąż odbudował swoje warsztaty i znakomicie je ulepszał, że tworzył nowe, Polska nie

zaznała głodu ni chłodu na większą skalę...". Otóż głód był i chłód też. Nie będzie przesadą jeśli powiem, że 80 % ludności stolicy było niedożywionej, a zwłaszcza dzieci i ludzie starsi. Głód był, bo nie było stałego dowozu nabiału, mięsa, tłuszczów i jarzyn. To, co na swym ciele przywoziły nieocenione paskarki było niewystarczające i o wiele za drogie. Większość dawnej ludności: robotnicy, urzędnicy, nauczyciele, artyści, fachowi handlowcy żyli z dnia na dzień. Zbawienną rolę odgrywała samopomoc koleżeńska dostarczając żywność rodzinom pozbawionym „głowy”. Wymienia się RGO, Caritas, Społem, jadłodajnię dziennikarzy przy Brackiej, ale były też inne źródła przede wszystkim dobre serca.

O głodzie i chłodzie piszą wszyscy pamiętnikarze. Ich relacje powiększyły świeżo wydane wspomnienia o Wandzie Grabowskiej, która swą opiekuńczą działalnością obejmowała Płock, jego okolice i Podziemie Wojskowe. Pani Grabowska tak pisze: „[...] W 'General Gouvernement' za ceny paskarskie wszystko można było dostać, a u nas w 'Reichu' najformalniejszy głód... Ile bym mieszkań dziennie odwiedziła — inteligentkich i robotniczych, wszędzie na obiad gotowane kartofle z solą. Na ulicach łatwo było poznać dzieci polskie — blade, z oczyma podkrążonymi o tak specyficznym wyrazie smutku, zmęczenia i znękania, że do końca życia pamięci tych dziecięcych twarzyczek się nie pobędzie”...

Tak było we wszystkich miastach. Niewątpliwie RGO odegrało poważną rolę w Warszawie i dlatego pozwolę sobie przytoczyć pewien odcinek jej działalności. Stanisław Wachowiak notuje: „[...] W tym czasie RGO było prawie zorganizowane. Na przełomie lat 40/41 wydawaliśmy 120.000 posiłków”. O wiele wcześniej, bo we wrześniu 1939 roku zorganizował się Stołeczny Komitet samopomocy społecznej przekształcony w 1940 roku na Wydział RGO pomocy wysiedleńcom i uchodźcom z siedzibą w Alejach Jerozolimskich. Na czele tej placówki stanęli prof. Staniszkis z Warszawy i prof. Sedlaczek z Poznania. W krótkim tempie powstało Ognisko nr I — kierownik p. T. Klepa b. prezydent m. Kalisza i Ognisko II — kierownik p. Pietraszkiewicz z Wileńszczyzny, w prostej linii potomek Onufrego, przyjaciela Odyńca i Zana. W 1940 roku przybyło Ognisko III na Senatorskiej, IV — na Okopowej, V — gimnazjum wraz z internatem s.s. Urszulanek Czarnych i VI — przy ul. Widok ufundowane i utrzymywane przez ziemian z okolicznych powiatów. Pan Klepa dotrwał do końca. Syn jego, Andrzej, stał pracownikiem Komitetu, poświęcający czas wolny od zajęć biurowych odrabianiu kursu podchorążówki, zginął w Powstaniu. Wszyscy kierownicy wymienionych zakładów internatowych, o nieposzlakowanej postawie organizatorów i opiekunów opuszczali Komitet dobrowolnie, przeważnie w poszukiwaniu lepszego azylu. Nigdy w ciągu tych trudnych lat nie było żadnych nieporozumień między nimi, zarządem, i podopiecznymi. Najwięcej niepokoju sprawiało Ognisko III (chłopcy do lat 13-tu), wyróżnione przez braci Salezjanów i siostry zakonne: wciąż je zasilali małymi Izraelitami, których przechowywanie groziło nie tylko zamknięciem wszystkich placówek Komitetu lecz i zarządowi RGO.

W maju 1941 profesorowie Staniszkis i Sedlaczek zostali wywiezieni do Oświęcimia, skąd nie było powrotu. Ich miejsce zajęli mec. Tłuchowski z Warszawy i p. Tomanowski b. zastępcą wojewody lubelskiego. Trzecią z kolei siedzibą Komitetu była kamienica Kościelskich przy Świętojańskiej na Starym Mieście. Komitet miał pracowników stałych, łączników i przyjaciół. Zadaniem łączników był wywiad na mieście, przyjaciele — pomoc moralna i finansowa. Wśród nich wymienić trzeba Stanisława Miłaszewskiego z żoną, i panie: Czachowską, Czartoryską, Mareszową, Plucińską, Strakaczową, Światopełk-Mirską z domu Radziwiłłównę, siostrę właściciela firmy Wedel, rodziców harcerzy i pana Dal Trozzo obywatela z Grójeckiego.

Pomoc przyjaciół pozwoliła Komitetowi zorganizować w latach 42/43 obozy harcerskie w Śródborowie i Chyliczkach pod firmą kolonii letnich dla dzieci RGO.

Najwydatniejszą pozycją finansową był wkład grupy poznańskiej reprezentowanej przez p. Plucińską. Dzięki im powstało Ognisko VII — Internat dla dzieci z Zamojszczyzny. Bo to co Szanowny Autor, Stanisław Wachowiak, opowiada jako doskonałą anegdotę o 4 wagonach i o przekupkach żądających dzieci było prawdą szczerze zakonspirowaną przez Komitet.

W mroźny ranek zjawił się w biurze Komitetu częsty gość p. Celt, łącznik z Komisji Dworcowej, i zameldował — kolejarze z Mrozów odsunęli na boczny tor 4 wagony z dziećmi — trzeba je zabrać.

Nie pamiętam jak duży był transport i ile było osób w akcji ratowniczej. Pamiętam rozłożyste sianie z Zosią Mejerówną, stałą pracownicą Komitetu i jej przyjaciółką, pielęgniarką ze szpitala Maltańskiego. W Mrozach nie byłam, ale następnego dnia wczesnym rano widziałam hall kamienicy Kościelskich wypełniony przekupkami zza Żelaznej Bramy. Spis dzieci zrobiony i wartko załatwiony. Pozostało jednak sporo tych, których nikt nie chciał. Dla nich grupa poznańska dostała wilę p. A. Ponikowskiego i przy ofiarnej pomocy firm warszawskich urządziła internat na Mokotowie. Kierowniczką tego zakładu została Zofia Mejerówna.

Gdy na gorąco opowiadałam o wyczynach Poznaniaków pani Prądyńskiej w Ravensbrücku, moja wdzięczna słuchaczka promieniała radością i dumą. Słusznie. Sypałam faktami i nazwiskami (wielu już nie pamiętam): Cyryl Ratajski, państwo Plucińscy, pani Gosieniecka z córkami, Celichowscy, Kirył Sosnowski, ks. Karol Milik, którego najwięcej cieszył sukces uruchomienia tajnej szkoły pracownic społecznych, „bo któż, jeśli nie one będą najwięcej potrzebne w wolnej Polsce”.

Mira MAŁACHOWSKA

Toronto, luty 1976 r.



Szanowny Panie Redaktorze,

W nrze 34-ym *Zeszytów Historycznych* ukazały się dwa listy, zajmujące się moimi wspomnieniami z lat 1941-1942 (*Z.H.* nr 32). Oto parę słów odpowiedzi.

P. Stefan Korboński uzupełnia moją notę biograficzną dotyczącą Stefana Kurowskiego-Warszawskiego w sposób mało dlań życzliwy. Nasuwają mi się pewne uwagi „odciążające” tego ostatniego.

Z Kurowskim stykałem się w latach 1941-1942 oraz po roku 1956. Zaraz po wojnie raczej rzadko i przypadkowo. Nigdy jednak i od nikogo nie słyszałem zarzutów tak ostro sformułowanych pod jego adresem. Przeciwnie dochodziły mnie wyrazy sympatii dlań również z ust b. więźniów politycznych (powojennych), z którymi miał do czynienia. M.in. Kazimierz Moczarski, działacz A.K. skazany na śmierć, następnie ułaskawiony, a po 1956 roku zrehabilitowany — był o Kurowskim jak najlepszego zdania. O czym wiem, gdyż z Moczarskim byłem w latach 1957-1968 w stałym kontakcie.

Głównym zarzutem postawionym przez Korbońskiego Kurowskiemu jest to, że nie dopuścił go do zeznań w procesie norymberskim. Korboński dowiedział się o tym od prokuratora Piotrowskiego. Gdzie jednak gwarancja, że tak właśnie było? A może kto inny był odpowiedzialny za niedopuszczenie p. Korbońskiego na ławę świadków? Może to Piotrowski wskazał palcem na Kurowskiego pod czymś naciskiem?

P. Korboński wylicza dalej, za Wielką Encyklopedią Powszechną wszystkie godności Kurowskiego:

1948-1950 reżymowy minister pełnomocny w Wiedniu;

1950-1953 sędzia Sądu Najwyższego;

po 1956 Prezes Sądu Najwyższego;

i dodaje — „Kto wie jaka się kryła działalność za tymi funkcjami, ten nie może inaczej myśleć o Kurowskim jak tylko o człowieku bardzo reżymowi komunistycznemu oddanym i w zamian szacowanym najwyższymi stanowiskami, wymagającym dużego stopnia zaufania”.

Kurowski zawiódł jednak to zaufanie gdy złożył dymisję ze swego stanowiska w S.N. „Nie chciał — jak pisałem — pogodzić się z wciąż większym uzależnieniem sądów od czynnika politycznego”. Wcześniej zaś, w latach 1950-1953, więcej chorował na gruźlicę aniżeli sądził lub urzędował (chyba było tak i w Austrii). M.in. długo przebywał w sanatorium w Szwecji.

W związku z uwagami p. Piotra Sieranta: jeśli autor sam widział egzemplarze „Ghetta (czy też Getta) Podziemnego” (a może zna tę pisownię tylko z przekazu katalogowego) i stwierdził, że słowo getto pisane jest w tym tytule bez litery „h” — to oczywiście nie ma tematu do dyskusji. Mogę tylko zauważyć, że *errare humanum est* i że opisując wydarzenia sprzed 30 lat, bez żadnych notatek, a tylko w oparciu o pamięć własną i jeszcze paru osób — takich czy innych błędów uniknąć nie sposób. Jak wynika zresztą z załączonej kopii dokumentu, pochodzącego od jednego z członków władz PS w getcie i on pamięta owo „ghetto”, umieszczone w tytule pisma, według starej pisowni.

W związku z łatwą według p. Sieranta — możliwością dotarcia do zachowanych 3 numerów „Getta Podziemnego” w Żydowskim Instytucie Historycznym oraz w Zakładzie Historii Partii — to pragnę stwierdzić, że gdy byłem w ŻIH w 1959, czy też w 1958 roku nie tam o uratowanych numerach pisma PS w getcie nie wiedzieli, mimo że właśnie wtedy „przypomniano sobie” o gettowym PS i Jerzym Neudingu. Jeśli zaś chodzi o ŻHP — pozwolę sobie zacytować ustęp z pracy p. Pawła Korci, w *Zeszytach Historycznych* (nr 23-ci) pt. „Materiały do studiów nad historiografią PRL w zakresie historii najnowszej”: „W 1960 roku opracowano powielany informator o zasobie archiwalnym Zakładu Historii Partii [...]. Niestety Informator przeznaczony był jedynie do „użytku służbowego”, co praktycznie oznaczało nawrót do ograniczenia informacji naukowej”. Można dodać do tego, że pozycja katalogowa nie zawsze odpowiada pozycji na półce bibliotecznej. Przekonałem się o tym nawet w Sztokholmie. Mimo że na wydziale slawistyki Uniwersytetu Sztokholmskiego w katalogu znaleźć można kolejne, pełne roczniki *Życia Literackiego* — nie znalazłem tam jednak np. kilku numerów tego tygodnika m.in. jednego z artykułów Szafrńskiego-Kraśnińskiego, atakującego inż. Szymona Wiesenthala. Jak mnie właśnie poinformował jeden z miejscowych historyków polskich — mimo istnienia w katalogu stwierdził brak na półkach niektórych pozycji np. *Przeglądu Kulturalnego* i paru innych.

Łączę wyrazy szacunku,

Lucjan SZULKIN

Nowa forma Samizdatu: Dr Aleksander Litwin, którego artykuł „Czy wojna wrześniowa była konieczna?” został odrzucony przez redaktora *Zeszytów Historycznych*, powiełił ten artykuł i rozsyła odbitkę z nagłówkiem „Przeczytaj i przekaz drugiemu”. Adres dr. A. Litwina: HESSENSGADE 45, 2300 KØBENHAVN S., DANIA.

SPIS TREŚCI

Barbara Truchan: „Burza” pod Wilnem	3
„Grażyna”: „Wspomnienia” (Wstęp i Listę pseudonimów opracował Z. S. Siemaszko	27

DOKUMENTY

Historyczne wywiady sprzed 40-tu laty

Mieczysław Pruszyński: Rozmowa historyczna ze St. Grab- skim	38
Mieczysław Pruszyński: Rozmowa z b. min. pełnom. Al. Ła- dosiem	50

WSPOMNIENIA

Tadeusz Katelbach: <i>Moja misja kowieńska</i>	60
Bogusław Miedziński: <i>Wspomnienia</i> (4)	97

POLEMIKI

W. M. Marcinkowski: <i>Jeszcze o Narodowych Siłach Zbroj- nych</i>	188
Kajetan Bieniecki: „Burza” w Krakowskim — <i>Analiza jednego dokumentu</i>	202
Józef Lewandowski: <i>Obrona „Pomyłek”</i>	210

RECENZJE

Aleksander Litwin: <i>Tragiczne dzieje KPP (1935-1938)</i> ..	215
Józef Lewandowski: <i>Na wschód od widnokładu</i>	231

LISTY DO REDAKCJI

Br. Łokaj — wyjaśnienie w związku z zamieszczonym w Nr. 35-tym <i>Zeszytów Historycznych</i> opracowaniem pt. „Li- kwidacja Polskich Sił Zbrojnych 1945-1946”	234
Aleksander Litwin — na marginesie recenzji J. Lewandow- skiego z książki Rechowicza pt. „Bolesław Bierut” ..	234
Aleksander Litwin — na marginesie artykułu E. J. Czer- niawskiego (<i>Zeszyty Historyczne</i> Nr 33-ci)	235
Mira Małachowska — Przyczynek do historii RGO na mar- ginesie „Wspomnień” St. Wachowiaka (<i>Zeszyt Histo- ryczny</i> Nr 31-szy)	236
Lucjan Szulkin — w odpowiedzi na Listy pp. St. Korboń- skiego i P. Sieranta (<i>Zeszyt Historyczny</i> Nr 34-ty) ..	239

ACHEVE D'IMPRIMER LE 5 AVRIL 1976 SUR LES PRESSES
DE L'IMPRIMERIE RICHARD, 24, RUE STEPHENSON, PARIS (18^e)

Dépôt légal : 2^e trimestre 1976.

**„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO
KWARTAL NA POZATKU LUTEGO, MAJA,
SIERPPIA I LISTOPADA KAZDEGO ROKU.**

PRENUMERATA ROCZNA — F. 95,00.

**PRENUMERATA ROCZNA DLA
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 80,00.**

F. 25 (dol. 6,50)